

ROY-BHATTACHARYA
JOYDEEP

BAJARZ Z MARAKESZU

Przełożyła Anna Zarnecka

Dla Nicole Aragi i Alane Salierno Mason, z wdzięcznością

MARRAKESZ,
PLAC DŹAMA AL-FNA, WIECZÓR

Ostatecznie liczy się tylko prawda.

A jednak kiedy myślę o zdarzeniu, które wyznaczyło kres mojej młodości, dochodzę do jednego wniosku: prawda nie istnieje.

Być może trzeba uwierzyć filozofowi, który z przerażeniem uświadomił sobie, że z chwilą ujawnienia prawda zmienia swą postać i tym samym przeistacza się tylko w jedną z wielu możliwych opinii, z których każda jest sporna i kontrowersyjna; a także — co nieuchronne — podlega mistyfikacji.

Innymi słowy, nie ma jednej prawdy.

Albo jeszcze inaczej: prawdą jest to, co zawiera w sobie własne zaprzeczenie. Chyba tego właśnie dowodzi moje opowiadanie. Dlatego zamiast prawdy proponuję wam coś lepszego: magię wyobraźni.

Masa al-heir. Dobry wieczór. Pozwólcie, że się przedstawię. Nazywam się Hasan. Jestem mistrzem opowieści, władam najpotężniejszym królestwem: wyobraźnią. Moja pamięć nie jest już tak niezawodna jak dawniej, ale jeśli zgodzimy się co do ceny, obiecuję, że opowiem wam historię, jakiej nigdy dotąd nie słyszeliście. To historia miłosna, jak wszystkie najlepsze opowieści, ale ta zawiera wątek kryminalny. Dotyczy tajemniczego zniknięcia pary kochanków - jego, jej, ich obojga albo żadnego z nich. Zdarzyła się dwa lata temu... Zresztą równie dobrze mogła mieć miejsce pięć, dziesięć albo nawet dwadzieścia pięć lat temu. Szczegóły są nieistotne.

Tamtego wieczoru różowy pył unosił się w powietrzu tak samo jak teraz, światło ze straganów z przyprawami i owocami rozszczepiało się na jasne snopy przypominające pustynne widma; gorączkowy rytm bębnów wznosił się i opadał jak ciała wędrowców przemierzających piaszczyste wydmy. Zniknięcie pary kochanków sprawiło, że całe miasto zamarło w bezruchu, a Dżama al-Fna', słynne miejsce spotkań i prawdopodobnie najbardziej tajemniczy skwer miejski na świecie, na zawsze zmienił swój charakter. Jak już mówiłem, autentyzm mojej historii jest bez znaczenia, tak jak nie jest ważne to, kto zaginął - kobieta, mężczyzna, oboje czy żadne z nich. Liczą się życie, wdech i wydech, wędrówka fal, ruch piasku na wydmach i plaży, każde jego ziarenko, które odzwierciedla mnogość sprzecznych sposobów postrzegania i relacjonowania zdarzeń.

W jakim języku mówisz, cudzoziemcze? Po angielsku? Może być, postaram się wysławiać najlepiej, jak umiem, choć mój francuski jest dużo lepszy, a po arabsku, oczywiście, byłoby mi mówić najłatwiej. Powiedz, skąd jesteś? Z daleka? Rozumiem. Nieważne. Tu, na Dżama, wszyscy są przybyszami. Nie chcę być wścibski, ale musimy najpierw trochę się poznać; chciałbym stworzyć stosowny nastrój. Usiądź, proszę, dołącz do słuchaczy. Ziemia może wydać ci się twarda, ale ja rozłożę przed tobą magiczny dywan słów, a ten wkrótce uniesie cię daleko stąd. Pozwól, że naleję ci miętowej herbaty, poczęstunek jest częścią opowieści. Jesteśmy wierni tradycji gościnności. Wszystko musi się odbyć zgodnie ze zwyczajem. Jeżeli nie zadbałbym o twoją wygodę, jak mógłbym oczekiwać, że wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia? Opowieść jest jak taniec. Potrzebuje co najmniej dwojga ludzi, aby zaistnieć: jednego, który opowiada, i drugiego, który słucha. Czasem role się odwracają i darczyńca staje się obdarowanym. Oboje mówimy, oboje słuchamy, i nawet milczenie nabrzmiewa znaczeniem. Na kanwie kilku zupełnie zwyczajnych słów utkamy niezwykle kobierzec, pleciony z materii niby-snu, ale bliski rzeczywistości, która najczęściej pozostaje nieuchwytna. Opowieść to sztuka wzajemnego zaufania, obopólna gra wyobraźni. Historia, którą razem stworzymy, ujawni, czy zawierzyliśmy nawzajem swoim głosom. Widać to będzie także w okrucach przeszłości, które powracają do nas i w teraźniejszości. Może właśnie to,

co nam umknie, o czym zapomnimy, okaże się istotą opowieści, jej esencją i prawdą, i przemieni wspomnienia w mitologię?

Ale te rozważania zataczają kręgi bez początku i końca, niczym wijący się w powietrzu dym. Przyjemnie jest snuć je w długie wieczory, rozmawiając z przyjaciółmi w zielonej dolinie Ourika w górach Atlasu Wysokiego, skąd pochodzę. Ale równie dobrze mogłem się urodzić pośród białych murów As-Sawiry nad Oceanem Atlantyckim albo w Zagorze o barwie piasku, gdzie korzenie pofałdowanych górskich źleńców wnikają w złote pustkowia Sahary. Wszystkie te miejsca są piękne, a ja mówię, że pochodzę stąd lub stamtąd, zależnie od wymogów opowieści, którą właśnie snuję, jej smaku, atmosfery i okoliczności. W ten oto sposób wytyczamy drogę, jednym okiem zerkając na rzeczywistość, a drugim wpatrzni w miraż wyobraźni. Dzięki temu rozszerzam granice opowieści, zwłaszcza że niewiele w życiu podróżowałem, a z pewnością nie tak dużo jak ty albo mój brat Mustafa. Byłem w Rabacie i Casablance, a któregoś dnia mam zamiar odwiedzić bardziej odległe miasta, jak Meknes, Fez i Tanger. Słynne nazwy i słynne miejsca o długiej i znamienitej historii. Ich atrakcje zachęcają do odwiedzin. Każdej zimy przyjeżdżam do Marrakeszu - uciekam tu przed przenikającym zimnem miejsc, w których przebywałem w ciągu roku: gór, pustyni bądź wybrzeża. Odwiedzam to miasto także dlatego, że chciałbym rozstrzygnąć, co stało się tutaj, na Dżama, tamtej nocy, kiedy w powietrzu dało się wyczuć coś dziwnego, zanim jeszcze po raz pierwszy i — jak się okazało - ostatni pojawiła się na placu para nieznajomych przybyszów.

Nie daje mi to spokoju.

DŻAMA

Tego wieczoru zmierzch zapadł wcześniej. Słońce zastygło na horyzoncie wielką czerwoną plamą i ciemne, niskie chmury wzmogły jego żar. Smużki dymu z palonego drewna wiły się ponad spiętrzonymi dachami suku, mieszając się z nawoływaniem muezzinów. Nadszedł czas modlitwy, wieczornych ablucji, kiedy to sprzedawcy zamykają swoje stragany i podążają w kierunku domu. Tamtego wieczoru - dwa, pięć albo dziesięć lat temu -tak jak teraz usadowiłem się w południowo-wschodniej części placu,

dokładnie tam, gdzie zaczyna się Rue Moulay Ismail, za różowymi kamiennymi schodkami budynku poczty, skąd widać, jak młodociani tancerze z plemienia Chleuch oddają się erotycznym pługom i aż nadto dosadni w ruchach i gestach, oferują swoje usługi klientom. Nie lubię uderzać w moralizatorski ton ani nie jestem pruderyjny, niewiele też mnie szokuje, ale muszę przyznać, że czasem odwracam od nich wzrok, nawet jeśli obecność zgromadzonych wokół nich tłumów jest dla mnie korzystna.

Od czasu wydarzeń, o których będę opowiadał, nie siadam już na moim starym miejscu. Może i jestem przesądny, ale wspomnienia tamtego wieczoru są dla mnie zbyt bolesne. Teraz rozkładam kilim po drugiej stronie placu, obok jasno oświetlonych stoisk z cytrusami, tuż przy posterunku policji. Mogę tam snuć opowieści w spokoju, choć stale pozostaję czujny. Bywa, że widok młodej turystki, ledwie podchwycony kątem oka zarys ramion albo blask czarnych oczu odbijających światło lamp wystarczają, aby powróciły wspomnienia tamtej nocy i wytrąciły mnie z równowagi. Wtedy muszę zebrać wszystkie siły, żeby przypomnieć sobie, o czym opowiadałem, i na nowo podjąć utracony wątek. Ale to zdarza się rzadko. Słynę wśród bazarzy z Dżama z daru narracji, piękna budowanych zdań, bogactwa wyobraźni i tego, że przerywam tylko wówczas, gdy odpowiadam na pytania dzieci. A przynajmniej tak było, zanim tych dwoje rozplynęło się w powietrzu, bezpowrotnie zmieniając życie wielu ludzi i ściągając na mojego upartego brata Mustafę hańbę aresztu i więzienia. Ale zanedo wybiegam naprzód i chyba powinienem zaprosić do nas mojego przyjaciela Aziza, który właśnie pojawił się na placu. Tamtego wieczoru to on, jako jeden z pierwszych, ujrzał dwoje przybyszów, zanim jeszcze ośmielili się wtargnąć w panującą na Dżama chaotyczną ciemność.

RIAD

Aziz przyniósł dzbanek miętowej herbaty i kilka szklanek. Kiedy je podawał, stado gołębi przeleciało nad naszymi głowami na drugi koniec placu, gdzie grupa kolorowo ubranych turystów właśnie wychodziła z suku. Ptaki

zawirowały z łopotem skrzydeł; Aziz przyglądał im się przez chwilę. Powietrze o zmierzchu było przejrzyste i różowawe. Pomimo nadchodzącego mroku wciąż jeszcze było całkiem widno. Gołębie utworzyły wstęgę i jedna z turystek, młoda kobieta z długimi blond włosami, pobiegła za nimi roześmiana. Aziz patrzył za nią uśmiechniętymi oczyma, a gdy usiadł w kręgu słuchaczy, nagle zauważyłem, że ma na sobie tę samą oliwkowo-zieloną dzellabę, którą nosił tamtego pamiętnego wieczoru. Poczulem, jakbym cofnął się w czasie. Mimowolnie się wzdrygnąłem. Aziz musiał to zauważyć, na jego twarzy pojawił się bowiem cień niepokoju. Milczał dłużej, niż pozwalało na to dobre wychowanie, a kiedy zaczął mówić, w jego głosie pobrzmiwał smutek, a nawet żal.

- Dziękuję za zaproszenie, Hasanie - powiedział i zamilkł. Jego ciemne oczy lśniły. - Co opowiedzieć twoim słuchaczom? Może najpierw powiem parę słów o sobie. Zgoda? Nazywam się Aziz. Pochodzę z małej wioski niedaleko Al-Ujun w zachodniej części Sahary. Jestem kelnerem w restauracji hotelu Riad Dar Timtam w samym sercu medyny i tej nocy, o której wspominał Hasan, mój dzień pracy właśnie dobiegał końca.

Aziz zamilkł, szukając właściwych słów, a jego spojrzenie błędziło gdzieś daleko. Nie ponaglałem go. Dałem mu czas do namysłu, bo rozumiem, jak ważna jest dokładność w odtwarzaniu zdarzeń. Po chwili kontynuował swoją opowieść już łagodniejszym głosem.

Dochodziła siódma wieczorem. Poprzedniej nocy miałem dziwny sen i cały dzień nękał mnie ból głowy. Śniło mi się, że ściany piasku nacierały na Dżama, zasypując wszystko, co spotkały na swej drodze. Był to przerażający sen i pamiętam, że ci go opowiedziałem, Hasanie, licząc, że pomożesz mi zrozumieć jego znaczenie.

Nie patrzył na mnie, kiedy wypowiadał te słowa. Oczy miał wółprzymknięte. Popijał herbatę i ciągnął dalej:

Wciąż jeszcze rozmyślałem o swoim śnie, kiedy nadeszła tamta para. Przyszli od strony Suku Zrabia, gdzie w dawnych czasach popołudniami handlowano niewolnikami. Kiedy stanęli przed drzwiami restauracji,

zastanawiając się, czy wejść do środka, a ich postacie rzuciły długie cienie, podbiegłem, aby ich powitać. Od razu wyczułem, że jest w nich coś dziwnego. Dziewczyna przypominała gazelę. Była smukła i drobna, sporo niższa od towarzyszącego jej mężczyzny, i miała duże ciemne oczy. To ona mówiła, podkreślając słowa pełnymi wdzięku gestami. Wydawało się, że potrafi odgadnąć każdą myśl swojego towarzysza, jeszcze zanim on ją wypowie. Jego skóra była ciemniejsza niż jej - miała kolor piasku, na który pada cień. Wysoki, smukły i czarnowłosy, mężczyzna przypominał mi jakiegoś arabskiego księcia. Stał wyprostowany i byłem niemal pewien, że jest w nim coś niezwykłego. Rzadko na siebie spoglądali, ale kiedy już ich oczy się spotkały, można było poznać, że nie widzą świata poza sobą.

Aziz wypił łyk herbaty, a ja spojrzałem na naszą publiczność, która nagle się powiększyła. Wszyscy siedzieli w ciszy i skupieniu. Na niebie właśnie pojawił się księżyc, a powietrze było delikatne i świetliste. Aziz odrzucił koc i wyprostował plecy. Widać było, że w miarę jak przywołuje z pamięci szczegóły, nabiera pewności siebie.

Poprosili o zaciszne miejsce. Ponieważ w restauracji było tłoczno, zaprowadziłem ich na dziedziniec, gdzie wśród drzewek cytrusowych i kwitnących krzewów mieściło się kilka stolików. Wybrali najciemniejszy kąt, zupełnie jakby mrok ich przyciągał. Kiedy przyniosłem wodę, popatrzyli na mnie, a ich oczy lśniły niczym płomienie świec. Poczułem się nieswojo. Gdy ten szczupły chłopak zadał mi jakieś pytanie, nie mogłem wytrzymać jego spojrzenia. Oczy jego towarzyszek miały tę samą obezwładniającą moc — patrzyła na mnie i równocześnie poza mną. Wtedy, pełen niedobrych przeczuć, pomyślałem, że pod postacią przystojnego chłopca i pięknej dziewczyny do riadu zawitała śmierć.

Poruszony, wymówiłem się nagłym zmęczeniem i poprosiłem mojego przyjaciela Abdul Karima, aby ich obsłużył. On też przyznał, że jest w tej parze coś niezwykłego. Powiedział mi potem, że kiedy jedli, przypomniały mu się nagle i bez powodu kwitnące drzewa, które ujrzał podczas swojej pierwszej podróży do Marrakeszu. Abdul Karima najbardziej poruszyła łagodność przybyszów. Jego zrównoważenie i pogoda ducha uspokoiły mnie i kiedy

para skończyła posiłek, ponownie zacząłem ich obsługiwać. Poprosili o miętową herbatę, którą chłopak wypił duszkiem, jakby był bardzo spragniony; a dziewczyna patrzyła na niego z taką czułością, że nawet moje serce mocniej zabiło. Poczulem powiew chłodnego zimowego wiatru. Restauracja opustoszała. Nie było już żadnych gości. Wróciłem na swoje stanowisko, zostawiając ich samym sobie w ciszy dziedzińca rozświetlonego blaskiem latarenek.

Aziz, mówiący dotychczas równym, spokojnym tonem, spojrzał na mnie, jakby w oczekiwaniu na aprobatę. Skinąłem głową, a on podjął przerwane opowiadanie. Jego głos, teraz już podniesiony, zdradzał jednak lekkie zdenerwowanie.

Gdy patrzyłem, jak wychodzą z restauracji, przepelniał mnie spokój. Wyszli tak samo cicho, jak weszli. Ona trzymała go za rękę, a on szedł wyprostowany jak wartownik. Pochłoneły ich ciemności ulic. Pamiętam, że spojrzałem w niebo: chmury uwiły podwójny pierścień wokół księżyca, który przybrał dziwny, czerwony odcień.

Kiedy wróciłem do restauracji, aby sprzątnąć stół, zauważyłem, że szklanki, z których pili, były lodowato zimne, a na ich brzegach zebrały się krople rosy, mimo że podałem im parujący wrzątek. Pokazałem to Abdul Karimowi, który ze zdziwienia otworzył szeroko oczy. Zaraz też wskazał płatki szronu, które w niewyjaśniony sposób znalazły się na listkach mięty na dnie dzbanka.

Wyszedłem na ulicę, aby zapalić papierosa i trochę się uspokoić. Na suku większość sklepików było już zamkniętych. Tylko kilka smug światła rzucanego przez nieliczne latarnie przecinało mrok. Siedziałem przy wejściu do restauracji, na schodku, rozkoszując się dymem i tłumacząc sobie, że pewnych rzeczy po prostu nie da się wyjaśnić.

PRAWDA i METODA

Aziz westchnął i rozejrzał się po placu, jakby szukał drogi ucieczki od przywołanych wspomnień. Niepewnie wzruszył ramionami i patrzył na mnie

z nadzieją, że podsunę mu jakieś wytłumaczenie. Ale ja nie odezwałem się ani słowem. Cóż miałbym mu powiedzieć? Jego przeżycie było równie niezwykle jak wszystko inne tamtego wieczoru.

Aziz westchnął raz jeszcze. Nieświadomy głębokiego znaczenia, jakie miały jego słowa, powiedział:

- Zawsze ma się nadzieję, że opowiedzenie czegoś innym pomoże nam to zrozumieć.

- Zrozumieć co? - zapytałem, a on oblał się rumieńcem, jakbym zadał mu wyjątkowo trudne pytanie.

- No, co się z nimi stało, oczywiście - odparł.

Wiedziałem, że muszę dodać mu otuchy. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że spotkanie z tą parą przepełniło go takimi obawami. Podniosłem się, zbliżyłem do niego i uściśkałem serdecznie. Próbując go pocieszyć, powiedziałem:

- Mój drogi Azizie, tych dwoje nieszczęśników nie przybyło tutaj z zaświatów. Byli ludźmi w każdym calu. Utrzymywać inaczej, znaczyłoby dopuścić do głosu błędne przesady, a tych dotyczących tamtego wieczoru jest już i tak dość sporo.

Aziz pokręcił głową.

- Tym, czego nie dostrzegłeś - ciągnął głosem pełnym smutku — a czego ja prawdopodobnie nie potrafiłem właściwie przekazać, jest niepewność, jaka mi pozostała po odejściu tych dwojga. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem nauczycielem życia. Jestem prostym człowiekiem, kelnerem w kawiarni, i wszystko, co mogę wnieść do twojej mistrzowskiej opowieści, to zwykłe poczucie obowiązku. Kiedy dzieje się coś, czego nie potrafię wytłumaczyć, tracę grunt pod nogami.

- Rozumiem - odpowiedziałem. Aziz rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie.

- Czyżby? Cóż, może i tak. Jesteś przecież władcą pamięci i wspomnień. Wiesz o tych sprawach więcej niż ktokolwiek inny. Czy jednak ktokolwiek może wiedzieć, co to znaczy być człowiekiem w dzisiejszych czasach? Czy w ogóle można rozpoznać ciemność, która zamieszkuje w ludzkim sercu? Pytam, bo wydaje mi się, że czasami prawda już się nie liczy, choć oczywiście nie możemy całkowicie jej odrzucić. Dla mnie

ważne jest to, co można zrozumieć, co naprawdę można pojąć i ogarnąć własnym rozumem.

Dotychczas stałem obok Aziza, ale teraz odsunąłem się nieco i zwróciłem do grupy słuchaczy. Nie mówiłem do nikogo w szczególności, ale mój wzrok padał po kolei na każdego. Siedzieli nakryci kocami, zasłuchani. Zacząłem pewnym i równym tonem głosu:

- Na pewno można wskazać elementy, które kształtują wizerunek człowieka. Weźmy na przykład mnie. Znacie mnie jako Hasana, bazarza, bo tak postanowiłem się wam przedstawić. Pochodzę z gór i jestem tutaj, aby dać wam rozrywkę. Takie jest moje powołanie, takie też było powołanie mojego ojca i jego przodków. Dookoła mnie miasto rozpościera swoje towary, różnorodne opowieści, a ja przyglądam się im i decyduję, które warto opowiadać, a o których lepiej jest milczeć, które skazane są, być może z ważkich powodów, na zapomnienie. Zgromadziliście się wokół mnie, oczekując, że wyobraźnia służy mi jak dawniej i że możecie polegać tak na niej, jak i na mojej umiejętności opowiadania. Dziś wieczór postanowiłem jednak wprowadzić pewne zmiany. Dziś wieczór chciałbym, aby wasze wspomnienia połączyły się z moimi i abyśmy wspólnie prześledzili te zdarzenia, tak zupełnie inne od wszystkiego, czego dotychczas doświadczyliśmy. Co będzie nam potrzebne? Przede wszystkim wzajemne zaufanie, ponieważ to ono da nam swobodę, śmiałość i wytrwałość w dociekaniu. Któż jednak może nam zagwarantować, że to, co odkryjemy, będzie prawdą? Kto z was ośmieli się wstać i oświadczyć, że historia, którą teraz wspólnie opowiadamy, naprawdę się wydarzyła? Wszak każdy posiada głęboko skrywane wspomnienia i tajemnice, do których broni dostępu.

WRONIE DRZEWO

Kiedy przerwałem na chwilę, aby złapać oddech, księżyc wspiął się na szczyty murów obronnych medyny, a jego światło wydobyło z mroku zarysy domów otaczających Dżama. Zrobiło się chłodno. Założyłem opończę, a niektórzy słuchacze rozluźnili koce, które mieli przepasane wokół dżellab, i naciągnęli

je na głowy, jeden z nich, fakih z bujną brodą, podniósł rękę i zaczął mówić z napięciem, które przykuło uwagę zebranych. Był to śniady mężczyzna w średnim wieku. Choć miał na sobie ubranie wieśniaka, wypowiadał się jak człowiek wykształcony i wyczułem, że umysł ma bystry i wnikliwy.

- Oczywiście, to, co mówisz, brzmi rozsądnie - powiedział z lekką ironią - ale masz w tym ukryty zamiar. Dążysz do celu, którym jest uniewinnienie twojego brata, oczyszczenie go z zarzutu popełnienia zbrodni, do której sam się przyznał.

Spojrzałem na niego spokojnie.

- Jeżeli gdzieś podążam - odparłem - to mam tylko jeden cel: poszukuję prawdy. Prostej, rzetelnej prawdy, leżącej u podstaw każdego doświadczenia. Jeśli chodzi o mojego brata, nie będę ukrywał, iż mam nadzieję, że jeśli każdy z nas wiernie odtworzy swoje wspomnienia z tamtego wieczoru, jeżeli nie będziemy oszczędzać sił i będziemy się wiernie trzymać faktów, to w końcu uda nam się rzucić nieco światła na to, co teraz jest jeszcze ukryte. Żeby to osiągnąć, musimy powracać do miejsca, w którym wszystko się zaczęło, za każdym razem pogłębiając naszą wiedzę i rozumiejąc coraz więcej.

Mężczyzna zauważył, grzecznie i zdawkowo, że moja wiara w siłę wyobraźni jest wzruszająco naiwna.

- Nie tyle wyobraźni, ile pamięci - odpowiedziałem.

- Pamięć jest niczym innym jak tworem wyobraźni — odparł. — Nieprawdaż? To ona daje początek snom, pamięć zaś ukrywa się między nimi. Pamięć uwalnia rzeki tęsknoty, wyobraźnia zaś nawadnia je deszczem wspomnień. Żywią się wzajemnie.

Nie dałem się sprowokować.

- Muszę dotrzeć do prawdy - powiedziałem stanowczo. - Mój brat siedzi w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił. Chcę wiedzieć, dlaczego się tam znalazł. Trudno będzie to odkryć, zgadzam się, ale nie jest to niemożliwe.

Fakih uśmiechnął się sceptycznie.

- Nie zdajesz sobie sprawy, że twoja prawda to paradoks, ponieważ wspomnienia mogą być wytworem wyobraźni. Uzbrojony w arsenał dobrych intencji, zamierzasz prześledzić bieg wydarzeń tamtego wieczoru.

Nie odtworzysz jednak faktów, ale wykreujesz świat słowami. Co jest punktem odniesienia w tej grze cieni?

- Ludzkie serce - odparłem zdecydowanie. Mężczyzna wykrzywił usta i owinął się mocniej kocem.

- Tworzysz mit wokół przestępstwa. Przepraszam za obcesowość, ale tak właśnie uważam. W obliczu straszliwej winy swojego brata usiłujesz uprząć zasłonę, która ochroni cię przed rzeczywistością. Kiedy pamięć blednie, wyobraźnia rozrasta się w nieskończoność, a piękne fantazmaty zawsze są lepsze od faktów, zwłaszcza tych nieprzyjemnych.

- Niczego nie przędę - odpowiedziałem. - Jeżeli istnieje jakaś zasłona, to nie ja ją utkałem. Mam inny cel. Chcę ją uchylić.

Przez moment wpatrywał się we mnie niezwykle intensywnie, aż poczułem zakłopotanie. Zachowywał się tak, jakby inni słuchacze nie istnieli; na nikogo nie zwracał uwagi.

Nagle gwałtownym ruchem zgiął się w sztywnym ukłonie i skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Kiedy się wyprostował, machnął dłonią i stwierdził oziębło:

- Wierzysz w siłę słów i zawartą w języku moc porozumienia.

- W coś trzeba wierzyć - wyszeptalem.

- A czy można polegać na bajarzu, którym kierują podejrzone intencje? Zawahałem się, świadomy niebezpieczeństwa. Słuchacze mogli zrazić się do mnie, zanim jeszcze nasz wieczór rozpoczął się na dobre. Aby podbudować swoją wiarygodność, powiedziałem ugodowo:

- Przepraszam. Być może nie wyraziłem się dość jasno. Dzisiejsza opowieść z pewnością jednak rozproszy twoje wątpliwości.

Nie dał żadnego znaku, że przyjął moje przeprosiny; powiedział tylko pełnym rezerwy głosem:

- *In sha Allah*, zobaczymy.

Po chwili podjąłem przerwana opowieść.

Pozwólcie, że powrócę do tamtego wieczoru. Choć wydaje się mało prawdopodobne, byśmy mogli zgubić drogę podczas tej wyprawy w przeszłość, to zapewniam was, że ze względu na charakter tych zdarzeń tak właśnie się stanie. Różnorodne wersje zatrą każdy wyraźny punkt orientacyjny: meczety

i minarety, suki i qajsarijje, plac upstrzony gołębim łajnem i labirynt uliczek, które do niego wiodą. Ziemia, po której stąpamy, zamieni się w proch, a czerwone niebo Marrakeszu przeistoczy się tak wiele razy, że w końcu uznamy się za szczęściarzy jeśli będziemy pamiętać, w jakim zdążamy kierunku.

Ale to wszystko dopiero nastąpi. Teraz, kiedy wierzchołek meczetu Kutu-bijja właśnie rzuca cień w kierunku Dżama, ruszamy nieśmiało, jakby pogrążeni w sennym transie, i podążamy za strzelistą wskazówką cienia, która przesuwa się cal za caliem przez Avenue Mohammed V i szereg dorożek, cierpliwie czekających na pasażerów w skwarze dnia i w wieczornym chłodzie. Pomiedzy siódmym a ósmym powozem, w mroku placu Foucaulda, dostojny cyprys góruje nad sąsiadami niczym lustrzane odbicie wznoszącej się w górę wieży minaretu. Nazywam ten cyprys Wronim Drzewem, tak wiele pustynnych wron gnieździ się wśród jego gałęzi. To ich niepokój ostrzegł mnie tamtego wieczoru, że zdarzy się coś niezwykłego.

Były też inne znaki. Nad miastem unosiła się woń popiołu. Krwawo różowy księżyc był w pełni, otaczała go poświata. Dziwnie wilgotny, chłodny wiatr wiał od gór i przenikał głowy. Po chwili czerwony zygzak błyskawicy osuszył powietrze, rozświetlając swym blaskiem mrok ulic.

Pomimo tych wszystkich złowróżbnych znaków usiadłem na swoim zwykłym miejscu i z niefrasobliwością, która nadal jeszcze mnie zaskakuje, rozpocząłem przygotowania do snucia moich wieczornych opowieści.

AKROBATA

Kto jako pierwszy zwrócił moją uwagę na błyskawicę? Czy też na pojedynczy grzmot o zmierzchu, który — w odwrotnej niż zwykle kolejności -poprzedził piorun? Czy był to Tahar, artysta trapezu? Niech pomyślę... Zawodna pamięć kiedyś mnie zgubi. Już sobie przypominam. To nie był Tahar, który pojawił się na scenie dużo później, i to w dwuznacznym przebraniu. To był akrobata Said, który mieszka w małym pokoju za niebieskimi drzwiami przy Bab ad-Dabbagh, chyba najstarszej bramie w murach obronnych miasta.

Said jest niezwykle pod wieloma względami. Krążą plotki, że po jego narodzinach pies porwał łożysko, zanim jego rodzice zdążyli je zakopać, co może tłumaczyć, dlaczego woli przebywać w powietrzu niż na ziemi. Co więcej, jest akrobatą, który nosi okulary. Być może widzieliście, jak występuje na placu w okularach na gumce. Jest napowietrznym tancerzem, człowiekiem, który wyzwolił się z więzów codzienności i poddał się wyobraźni. Kiedy podziwiam jego występy, zawsze zdumiewa mnie lekkość, z jaką porusza się po pałacu swoich snów i marzeń. Mój przyjaciel Driss mówi, że Said dzięki szybkości i sile podskoków jest z nas wszystkich najbliższym Boga. Nie chwieje się i nie potyka. Ma wrodzony talent, został obdarzony łaską. Nikt, kto go zna, nie widział go nigdy zagniewanego ani przygnębianego. Należy do tych, którzy zawsze cieszą się życiem.

Kiedy więc ten sam Said przyszedł do mnie zatroskany i z niepokojem opowiadał o niezwyklej, rozwidlonej błyskawicy, która przybrała kształt węża piaskowego z głową po obu stronach, wzbudziło to moje zainteresowanie. Powiedział, że złożył już trampolinę, liny i kijki i po raz pierwszy, odkąd przybył na Dżama dwanaście lat temu, postanowił skończyć występ przed dziewiątą wieczorem. Coś w ognistej błyskawicy wzbudziło w nim straszną trwogę; znak oznaczał ból i zniszczenie.

- Spójrz na ten pomarańczowy księżyc z idealnie okrągłym pierścieniem wokół! - zawołał w uniesieniu. — Wygląda, jakby nawiedził go złowrogi Saturn. Prawie czuć smak spalenizny na języku. W tym żółtobrunatnym świetle przestaliśmy rzucać cienie, zauważyłeś? Dzieje się coś niedobrego! Nie można ignorować takich oczywistych znaków. Ten księżyc ukradł nasze cienie! Sprawił, że staliśmy się puści.

Próbowałem go uspokoić. Starłem się mu wytłumaczyć, że Dżama jest jak pole kłębiącego się dymu - przekształca wszystko, także księżyc. Czerwony zygzak błyskawicy oznacza ogień, a żywioł ten, nawet niszcząc, otwiera wrota oczyszczenia. Powinien więc zostać i posłuchać opowieści, którą właśnie miałem rozpocząć. Odświeżającym nurtem wyobraźni chciałem rozproszyć jego obawy.

- Jeśli sięgniesz dna strachu - powiedziałem pocieszającym tonem - możesz wszystko odwrócić, a wtedy łowca stanie się zwierzyną. Zaufaj sobie. Uwierz, że potrafię odmienić to, co cię przeraża.

Ale Said nie dał się przekonać. Powiedział, że w trakcie skoku zobaczył miejsce, gdzie trafił piorun. Z dymu i popiołów wyczytał, że wszystkim nam grozi wielkie niebezpieczeństwo i natychmiast powinniśmy się rozejść.

Patrzyłem, jak odchodził. Potem jak zwykle czekałem, aż zgromadzi się moja publiczność, ale było mi ciężko na sercu.

AL-HAMRA

Marrakesz, Al-Hamra, stolica imperium, otoczona czerwonym murem oaza między pustynią a górami. Tutaj żółtobrunatne niebo odbija się od glinianych tabii i fasad domów i zwłaszcza o świcie, kiedy wszystko spowija cisza, nie ma lepszego sposobu, by powitać nowy dzień, jak tylko odbyć spacer wzdłuż murów obronnych i przyglądać się, jak karawany wielbłądów przybywają z południa i ze wschodu. W oddali rysują się ciemne grzywy palm w Palmeraie. Za nimi, odcieniami cynobru, rdzy, szkarłatu i czerwieni, mieniają się ośnieżone szczyty Atlasu Wysokiego.

To krajobraz pełen alegorii. Rządzi nim wyobraźnia, a tutejsi bazarze całymi dniami przywracają do życia dawne, tajemnicze historie. Siedzimy ze skrzyżowanymi nogami na naszych kilimach i śpiewnym głosem tworzymy kroniki z ulotnych snów. Wieczorem kilim staje się naszą twierdzą. Jest przejrzystym sercem, tygłem pełnym wymyślonych przez nas opowieści. Jest zimą na placu Dżama, latem w górach i porą owocowania roślin, którą mamy przy sobie wszędzie, gdziekolwiek jesteśmy. Jest naszym domem, naszą kasbą, naszym mahzanem, sanktuarium. Drzwi do niego są zawsze otwarte; czekamy w środku i na zewnątrz, wpisując do kronik, które tworzymy, wszystkie możliwe historie.

PODRÓŻ

Tego wieczoru, kiedy nieznajomi przybysze zaginęli, postanowiłem za temat przewodni opowieści obrać czerwień; taką barwę miał bowiem otoczony pierścieniem księżyc. Czerwień jest też kolorem ognia, krwi i ofiary. Odwracając twarz w kierunku Dżama al-Fna - którego nazwa w naszym języku znaczy zarówno „Zgromadzenie Umarłych”, jak i „Meczet Nicości” - rozłożyłem swój kilim i przygotowywałem się do rozpoczęcia opowieści. Wokół siebie miałem swoje zwykłe przybory: sfatygowany skórzany kufer z pergaminami; lusterko, w które spoglądam, bo odbija twarze słuchaczy; sękaty klocek z drzewa tui, z którego czerpię natchnienie, oraz symbole snów w formie wiązek zboża, rzeźbionych drewnianych grzechotek i lśniących czarnych kamyków o kształcie węzowych łbów i igieł jeża. Kilim - spłowiałą czerwoną tkaninę ze wzorem gwiazd, otoczoną szlakiem czarnych chmur o precyzyjnym układzie geometrycznym -dostałem od ojca. Dywan należał do naszej rodziny od pokoleń. Jak zwykle usiadłem pośrodku kilimu i ułożyłem kijki narracyjne w półkole przed sobą. Były wyrzeźbione z hebanu i nabijane pierścieniami z kości słoniowej. Każdy kijek reprezentował jedną fabułę, a pierścień - temat. Czekałem na zmrok, aby zobaczyć, na który z kijków najpierw padną promienie zachodzącego słońca, wyznaczając w ten sposób treść opowieści.

Plac Dżama był tego wieczoru wyjątkowo zatłoczony. Przybyło wiele autobusów ze środka kraju. Przywiozły one mieszkańców górskich wiosek i pustynnych osad, nawet tych położonych tak daleko na południe, jak Tantan i Tafrawut. Lubię pielgrzymów - przedkładają magię baśni nad szarą rzeczywistość. Cieszą ich epickie opowieści z mnóstwem dygresji, które pozwalają im odwlec moment powrotu do codzienności.

Zazwyczaj, zanim zacznę, czekam, aż zgromadzi się co najmniej ośmiu słuchaczy. Zasada jest prosta: im liczniejsza publiczność, tym większa jej łatwowierność. Najpierw mówię bardzo miękkim głosem, aby sprawić wrażenie, że moje słowa rozplývają się w powietrzu, niosą obietnicę niewyobrażalnie upajającej podróży, przeżycia marzeń jak ze snu. Moja opowieść unosi słuchaczy - odrywa pracujących na roli chłopów, najemców i poganiaczy

bydła od ich nużącego i przytłaczającego bytu. Stopniowo podnoszę głos, aby zagłuszyć zgiełk panujący na Dżama. Wpadam w rytm i odnajduję właściwą intonację. Zanim zapadnie noc, moi słuchacze są zahipnotyzowani i gotowi do dalszej podróży.

Tamtego wieczoru na prawo ode mnie ojciec z czterema synami grali subtelne andaluzyjskie melodie na udach i skrzypcach. Nieco dalej ulokowała się grupa muzyków *gnawa* z długimi gitarami i pobrzękującymi żelazem młotkami. Ich występy trwają zwykle przez wiele godzin i wprawiają słuchaczy w stan ekstatycznego transu. Wtedy towarzyszyło im trzech ognistych młodzieńców w białych pończochach, którzy tańczyli, kręcąc głowami w takt miarowych rytmów. Wkrótce muzycy przenieśli się na lepsze miejsce, w centrum placu, pozostawiając mnie z akompaniamentem Andaluzyjczyków, znacznie stosowniejszym, by zacząć opowieść i utrzymać jej tajemniczy nastrój. Andaluzyjczycy przyjechali z północy, z okolic Tangeru. Grali doskonale, ze wspaniałym wyczuciem, a ich smutne, nastrojowe melodie ulatywały w powietrze, pozostawiając po sobie jedynie jakąś nieokreśloną tęsknotę.

Pod wpływem chwili wyjąłem spod fałdów dzellaby kawałek ambry, roztaczając w powietrzu jej upojny zapach. Zsunąłem z głowy kaptur płaszcza i wyteżyłem słuch, by dosłyszeć głosy, które wkrótce miały wybrzmieć przede mną. Zgromadzili się słuchacze. Położyłem na ziemi pudełko na datki; zdobna klejnotami dłoń Fatimy na wieczku pobłyskiwała w geście błogosławieństwa. Obserwując moją publiczność, zapamiętywałem poszczególne twarze - wyraz oczu, gesty, miny — aby rozstrzygnąć, jakiego rodzaju opowieść jej zaproponować. Potem wziąłem głęboki oddech i zacząłem mówić.

NIEZNAJOMI

- Ta historia - powiedziałem - jest tak prawdziwa jak samo życie, i dlatego całkowicie wymyślona. Wszystko w niej jest tworem wyobraźni i nic nie jest tworem wyobraźni. Tak jak w najlepszych opowiadaniach, nie chodzi w niej o konwencję, fabułę czy wiarygodność, ale o zwykłe międzyludzkie relacje.

Po tej stosunkowo krótkiej i prostej przedmowie zacząłem opowiadać o Al-Hamrze, szkarłatnym mieście, tyglu licznych marzeń. Rozgrzewałem się już, a mój głos przybierał śpiewne brzmienie doświadczonego bazarza, kiedy zauważyłem zaniepokojenie wśród słuchaczy. Wielu z nich wyciągało szyje, aby zobaczyć, co się dzieje na północnym krańcu placu.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Wtedy po raz pierwszy ich ujrzałem. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem parę cudzoziemców. Wyszli na otwartą przestrzeń Dżama pomiędzy straganów od strony Rue Derb Dabachi, a ich nadejście spowodowało, że typowy na placu zgiełk nagle ucichł. Oczy wszystkich, także moje, zwróciły się prosto na nich. Co skromniejsi pośród nas zaraz spuścili wzrok, jakby zawstydzeni. Inni, bardziej śmiali, nadal przyglądali się tej parze, wręcz pożerali ją wzrokiem. Było w tej wspólnej reakcji coś natrętnego, co mnie zawstydziło. Miałem wrażenie, że wplątaliśmy się już w historię tych dwojga, tak jakby była ona częścią naszych własnych biografii, i to wcale nie najszlachetniejszą.

Być może stało się tak za sprawą uderzającej urody tej kobiety. Była ona tak piękna, że czuliśmy się onieśmieleni. Jej piękno wydawało się promieniować niezwykłym blaskiem i kiedy przechodzili przez plac, zgromadzony tłum ucichł i rozstąpił się przed nimi, jakby chcąc oddać im hołd. Jak wspominał później mój brat Mustafa, był to ten rodzaj piękna, w którym przejawiała się najczystsza laska. W moim odczuciu takie piękno zasługiwało na szacunek, ale należało je podziwiać z dystansu. Kto je napotka, musi być odważny. Ale także prawy. Mustafa nie zgodził się ze mną i ten brak porozumienia ciążył mi jak kamień, kiedy później przyszło mi osądzić jego czyny.

MUSTAFA

Mustafa nie mieszkał w Marrakeszu, ale w As-Sawirze, małym rybackim porcie na wybrzeżu Atlantyku. Był właścicielem sklepiku w medynie, gdzie sprzedawał latarenki własnego wyrobu. Aby zwiększyć dochody, piętnastego dnia każdego miesiąca wsiadał do autobusu i przyjeżdżał z towarem do Marrakeszu, a potem, z kieszeniami wypchanymi gotówką,

odwiedzał oczekujące go dziwki. Był młody, przystojny i rozpierała go energia. Nie zaznał jeszcze rozpaczy i nie potrafił przybrać roli widza w spektaklu życia, zaspokajał więc swoje pragnienia w najbardziej impulsywny, ale również najbardziej naturalny sposób. Jego wizja świata była czystą energią, a jego namiętność prawdziwa. Taka namiętność jest nieokiełznana.

Jeszcze w czasach naszej młodości zobaczyłem go raz wynurzającego się nago z jeziora koło naszej wioski. Krople wody spływały mu po plecach, gdy paradował przed dziewczynami, które przyszły, aby go podziwiać. Każdej po kolei pozwolił się dotknąć. Dogoniłem go na obrzeżu wioski i sprawiłem mu cięgi. Nie jestem purytaninem, ale jego próżność przekroczyła wszelkie granice.

Nie powiedziałem o tym zdarzeniu naszemu ojcu i żaden z nas nigdy później o nim nie wspomniał. Głęboko w sercu wiedziałem jednak, że Mustafa zawsze będzie miał do mnie żal o to zajście. Uraziłem jego dumę i wydaje mi się, że posądzał mnie o zazdrość. Tego dnia wyrósł między nami mur, zaczęliśmy odnosić się do siebie z wielką powściągliwością. Do czasu jego wyjazdu z naszej wioski w wieku osiemnastu lat zamierzałem trzymać się od niego z daleka i nie reagować, gdyby powtórzył ten sam wyczyn. Mustafa jednak postarał się, abym już nigdy nie przyłapał go w dwuznacznej sytuacji.

Kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy, że Mustafa, dziecko gór, postanowił się osiedlić w nadmorskiej As-Sawirze, daleko od rodzinnych stron, od razu poparłem go przed rodzicami.

— Niech jedzie - powiedziałem spokojnie. - Słone morskie powietrze dobrze mu zrobi. Przecież macie jeszcze dwóch synów, którzy zaopiekują się wami na starość i zadbają o wasze potrzeby.

Rok później spotkałem Mustafę w Marrakeszu. Poinformował mnie wówczas buńczucznie, że mieszka z kobietą, ale nie ma zamiaru się ożenić. Nie uznałem za stosowne komentować tych poczynań, życzyłem mu tylko szczęścia. Kilka miesięcy później, przy okazji następnego spotkania, rzucił zdawkowo, ale z uśmiechem, że porzucił swoją przyjaciółkę, bo jej zaborcze żądania względem jego czasu i energii zaczęły go denerwować. Mieszkał teraz samotnie w samym sercu medyny, a brązowa skóra, kręcone

włosy i bezpośredni sposób bycia zdobyły mu popularność wśród turystów. Zaczął uprawiać sport zwany windsurfingiem, którego nauczyła go jakaś Francuzka o imieniu Sandrine. Mieszkała na plaży i była wolnym duchem, tak jak on. I tym razem powstrzymałem się od komentarzy.

Dlatego też kiedy tamtego wieczoru na Dżama zobaczyłem, jak Mustafa podnosi się z obrzeża kręgu, przykuło to moją uwagę. Jego twarz mówiła bez słów; zdradzała wszystkie żarliwe i rozpaczliwe myśli, które go przenikały, jego oczy płonęły, była w nich zapisana historia, w której przybysze byli już kwintesencją ledwie powstrzymywanej namiętności. Wydawało się, że w jednej chwili mojego brata opanowała nieprzewyciężona żądza.

- Mustafo - ostrzegalem - nie działaj pochopnie! Nasza religia jest łagodna. Nie zezwala na przestępstwa i występki. Uświęca obyczaj gościnności. Zaleca skromność.

Spojrzał na mnie z pogardą.

- Boisz się, że wystraszę ci słuchaczy, Hasanie? Kiedy nie odpowiedziałem, krzyknął:

- Po co mi wolność, jeżeli zawaham się z niej skorzystać?! Nie ma nic gorszego w namiętności!

- Muszę zaoponować - powiedziałem poważnie. - Nieokiełzane żądze są źródłem anarchii.

- W takim razie - odparł gorączkowo - muszę ci powiedzieć, że w twojej obecności cały ten rozległy plac wydaje mi się więzienną celą! Serce bije mi jak szalone i muszę odpowiedzieć na jego zew. To, co ty uważasz za przegraną, ja widzę jako zwycięstwo.

- Bracie - powiedziałem spokojnie - twoja lekkomyślność cię zgubi.

- Bracie - odparł - twój strach jest przejawem słabości. Najważniejszą cechą mężczyzny jest odwaga, i zamierzam się nią wykazać.

- Ty zatwardziały grzeszniku! - wybuchłem, straciwszy w końcu cierpliwość. - Nie ma bardziej świetlistej przyjemności ponad tę niewypowiedzianą. Tylko zwierzęta gonią się podczas rui. Myślałem, że stać cię na coś więcej niż jedynie pożądanie, które odbiera ci rozum.

Mustafa roześmiał się tylko i odszedł.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Kobiety nie zawsze budziły w Mustafie tak gwałtowne uczucia. Ale kto wie? Jestem jego bratem, więc trudno mi to ocenić. Może po prostu opowiem wam pewną historię z jego życia i sami ocenicie.

Zdarzyło się to wiele lat temu. Mustafa miał wtedy pięć, Ahmed osiem, a ja dziesięć lat. Naszą wioskę odwiedziła grupa lekarzy z Rabatu - brali oni udział w prowadzonej akurat ogólnokrajowej akcji zwalczania grypy. Zjawili się w naszym domu wcześniej rano, jeszcze przed wschodem słońca. Kiedy dobiegł nas hałas z podwórka, pomyśleliśmy, że to listonosz przyniósł list od wujka Munesa, starszego brata mamy, który pracował w fabryce w Sali i czasem do nas pisał. Zaraz potem usłyszeliśmy jednak głos kobiety, która pytała, czy ktoś jest w domu. Sposób, w jaki zadała pytanie, zdradzał, że była wykształcona. Podekscytowani zerwaliśmy się z łóżek. Wyszedłem pierwszy, jak przystoi najstarszemu z braci; za mną szedł Mustafa, a na końcu dreptał rozważny Ahmed. Ścierając z oczu resztki snu, staliśmy w porannym świetle i patrzyliśmy na młodą lekarkę w białym kitlu, z różową jedwabną chustą na głowie. Była piękna - wysoka, o pełnych ustach, wydatnych kościach policzkowych i jasnej karnacji, którą odróżniała się od śniadych, ogorzałych od słońca kobiet, jakie spotykaliśmy na co dzień. Zaskoczeni tym widokiem, wpatrywaliśmy się w nią niepewnie. Teraz myślę, że — z potarganymi włosami i twarzami usmarowanymi popiołem - wyglądaliśmy wtedy jak trzech wsioowych głupków.

Gdy wreszcie pojawił się ojciec, wysoki, poważny, z połami gandury sięgającymi kolan, lekarka przeprosiła, że niepokoi nas tak wcześniej, i wyjaśniła, że robi obchód, a ponieważ nasz dom leży na samym skraju wioski, jesteśmy pierwsi w kolejności. Uprzejmie, lecz rzeczowo, przedstawiła się oraz towarzyszące jej osoby. Zarośnięty mężczyzna po prawej, o stanowczym wyrazie twarzy, również w białym kitlu, był jej asystentem, a ogolony na łyso żołnierz w mundurze pełnił funkcję kierowcy furgonetki medycznej, zaparkowanej zaraz za koślawą drewnianą furtką, przez którą wchodziło się na nasze podwórko.

Ojciec z początku nic nie mówił, ale wiedziałem, że niepokoiła go perspektywa rozmowy z kobietą mającą władzę.

Lekarka musiała wyczuć jego zażenowanie, ponieważ szybko wyjaśniła powód wizyty - w rejonie szalała epidemia grypy i konieczne było przeprowadzenie szczepienia ludności. Zademonstrowała na swoim ramieniu, jak się robi zastrzyk, i zapewniła, że zaszczepienie całej rodziny zajmie tylko kilka minut.

Podczas gdy tłumaczyła, na czym polega cała procedura, jej asystent wydobyl z furgonetki składane krzeselko i metalowy stolik, na którym rozłożył zawartość torby z instrumentami medycznymi: kasetkę przyborów, pudełko z syfonem, metalową miseczkę, tackę z wacikami i chusteczkami odkażającymi i kilka butelek.

Na widok rzędu lśniących igieł w plastikowych osłonkach Ahmed zaczął wycofywać się w kierunku domu, ale Mustafa go wyprzedził. Wkrótce jednak wrócił z poduszką, którą ułożył na krzeselku lekarki.

- Na glissie będzie pani wygodniej — powiedział.

- Dziękuję ci, chłopcze - odpowiedziała zaskoczona lekarka, już mniej oficjalnym tonem.

- Nie ma za co - zawołał piskliwie Mustafa i wyciągnął ramię. — Mogę być pierwszy? - Oczywiście!

Jako najstarszy syn, powinienem zainterweniować i poprosić o pierwszeństwo, ale tym razem wolałem poczekać.

Kiedy lekarka przecierała ramię Mustafy środkiem dezynfekującym, ojciec odchrząknął, a potem dostojnym, oficjalnym tonem zapytał, czy to ona będzie nas szczepić.

- Oczywiście — odpowiedziała bez wahania. — Przecież jestem lekarzem.

- No tak, ale... — próbował zaproponować ojciec. Lekarka nie pozwoliła mu jednak dokończyć.

- Proszę się nie martwić. Robiłam to setki razy - powiedziała.

Wciąż nieprzekonany, ojciec ucichł, ale wiedziałem, że był zakłopotany tą sytuacją. Zauważyłem także, że mój zazwyczaj gadatliwy najmłodszy brat był niezwykle cicho. Wpatrywał się w lekarkę i wsłuchiwał w każde jej słowo. Kiedy kazała mu zacisnąć dłoń w pięść i wbiła igłę w ramię, nawet

się nie skrzywił. Lekarka wyciągnęła igłę, podłożyła wacik, przylepiła mu na ramieniu plaster i zwróciła się w moim kierunku, gdyż zarówno ojciec, jak i Ahmed nie mieli ochoty poddać się szczepieniu. Przestraszony i niepewny siebie, stanąłem przed nią i wyciągnąłem ramię, naśladując gest Mustafy. Dotknięcie środkiem dezynfekującym chłodziło jak lód, a ukłucie igłą zabolęło, ale wszystko trwało krócej, niż myślałem, tak jak obiecywała.

Przyszła kolej na ojca i Ahmeda. Ojciec zbliżał się z ociąganiem, gdy Mustafa zawołał:

- Mogę jeszcze raz?

Lekarka uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy.

- Jesteś dzielnym chłopcem, ale każdy może dostać tylko jeden zastrzyk. Stałem obok drewnianej ławy, wśród pomalowanych na biało blaszanych puszek, w których rosły kępy mięty, i przyglądałem się, jak ojciec dostaje zastrzyk. Także Ahmed, który dotychczas usiłował się skryć w cieniu białoczerwonych oleandrów obrastających patio, dał się w końcu przekonać. Kiedy igła wbiła się w jego ramię, zawył mrozącym krew w żyłach głosem. Wycofywał się tyłem, przygryzając wargi i trzymając się za ramię, kiedy Mustafa znowu wyrwał się do przodu.

- *Ana muadzaba bik*, kocham cię — powiedział przymilnie, nie mogąc oderwać oczu od lekarki.

Kobieta westchnęła i patrzyła szeroko otwartymi oczyma na jego bujne brązowe włosy, migdałowe oczy i krągłe policzki.

- *Samahli* - powiedziała. - Przepraszam, maleńki, co chciałeś? Mustafa powtórzył głośniejszym głosem, trzymając rękę na sercu:

- Kocham cię.

- O moje złotko! - zawołała rozradowana. - Ja też cię kocham, *habibi*. Ma pan czarującego synka - dodała, patrząc na ojca.

Ojciec nie odpowiedział.

Lekarka uśmiechnęła się do nas ciepło.

- Czy jest jeszcze ktoś w domu? - zapytała.

Mustafa wyrwał się do przodu, trzymając w ramionach Hakiba, naszego rudego kocura.

Żołnierz roześmiał się głośno.

- Puść go, kochanie. Koty nie potrzebują szczepień przeciwko grypie - powiedziała lekarka z uśmiechem.

Mustafa wypuścił więc Hakiba i pobiegł z powrotem do domu, by chwilę później przynieść kanarka w wiklinowej klatce. Kobieta potrząsnęła głową.

- Ptaków też się nie szczepi.

- Czy jest ktoś jeszcze? - zwróciła się do ojca.

Ojciec wyglądał blado w szarym świetle poranka. Jego małe, głęboko osadzone oczy zabłysły ostrzegawczo, nakazując nam milczenie.

- Nie ma nikogo - odpowiedział powoli.

- Nie ma tu żadnych kobiet?

- Nie.

Ahmed i ja nie zareagowaliśmy, choć było to jawne kłamstwo, ale Mustafa nie mógł się powstrzymać. Niespodziewanie podbiegł do lekarki i chwycił ją za rękę, po czym zawołał czystym, donośnym głosem:

- Nieprawda! Jest jeszcze ktoś. Mama jest w domu i robi *halwa*. Naprawdę!

Nastąpiła cisza, podczas której słychać było, jak wiatr porusza rozrzucone po klepisku podwórka żdźbła słomy. Nasza oślica Huda zadarła ogon.

- Proszę iść i przyprowadzić żonę - zwróciła się lekarka do ojca. - Wszyscy muszą być zaszczepieni przeciwko grypie.

Ojciec nie ruszył się z miejsca.

- To przeciwne *taqlid*, naszej tradycji - odparł stanowczo. - Kobiety nie podlegają waszym rozporządzeniom.

- Obawiam się, że w tym wypadku nie możemy robić wyjątków - odpowiedziała lekarka. - Przybyłam tutaj z polecenia ministerstwa w Rabacie. - To bez znaczenia. W górach Berberowie żyją według własnych praw. Wtedy żołnierz zwrócił się do ojca w sposób, który wydał mi się bardzo niegrzeczny.

- Jak się nazywasz?! - krzyknął.

„Teraz to mu się dostanie”, pomyślałem, obawiając się reakcji ojca, który bardzo łatwo wpadał w gniew.

Ku mojemu zaskoczeniu jednak ojciec, przestępując z nogi na nogę, odpowiedział:

- Hamou.

- No więc, Hamou, nie słyszałaś, co mówiła lekarka? W imieniu Jego Królewskiej Mości wzywam cię, abys przyprowadził żonę.

Ojciec stał z niepewną miną, podczas gdy ja i Ahmed wymieniliśmy zdumione spojrzenia.

- W imieniu Jego Królewskiej Mości? — zapytał.

- Tak jest.

Zdziwiony, obserwowałem, jak ojciec kiwa potakująco głową i idzie do domu. Wrócił po krótkiej chwili.

- Ona nie wyjdzie - powiedział, wbijając wzrok w ziemię.

- jeżeli nie przyjdzie sama - powiedział żołnierz - będziemy musieli przyprowadzić ją siłą.

Ojciec wyraźnie zadrzał. Zmienionym, niskim głosem, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem, odpowiedział:

- To nie będzie konieczne.

Wydawał się całkowicie pokonany. Ahmed przewrócił oczami, tak samo jak ja zawstydzony widokiem naszego zwykle srogiego ojca, który teraz jakby zmałał. Kiedy ponownie ruszył do domu, wyglądał już tylko jak starzec z siwiejącą brodą i zniszczoną od słońca twarzą. Nagle usłyszeliśmy jego podniesiony głos — wyładowywał swój gniew, krzycząc na mamę. Zrozumiałem wtedy, że umiejętność oceny, kto ma *suita*, władzę, w danej sytuacji, jest pierwszym krokiem do dojrzałości.

Chwilę później matka wyszła z domu za ojcem. Założyła najlepszą dzellabę, brązową w białe i czerwone paski, i ciężkie srebrne bransolety. Dolną część jej twarzy osłaniała czarna chusta, którą podtrzymywała kącikiem ust. W jej oczach widać było przerażenie, a kiedy podbiegłem, by ją pocieszyć, złapała mnie mocno za rękę.

Rozglądałem się za ojcem, ale on stał z tyłu, upokorzony i milczący.

- *Mabruk* - dorzucił sarkastycznie asystent. - Gratuluję tak szybkiego pojęcia reguł.

Lekarka zajęła się matką.

- To potrwa tylko chwilę - powiedziała łagodnie.

- To prawda, *ummi* - potwierdziłem. - Nawet nie poczujesz, jak już będzie po wszystkim. To tak, jakby ukąsił cię komar.

- Wcale nie jakby ukąsił cię komar — zaprzeczył Ahmed. - Doskonale wiesz, że strasznie boli. - Nic nie boli - wtrącił się Mustafa. - Mięczak z ciebie, Ahmedzie! - Nieprawda! Nie odzywaj się, gówniarzu!

Matka już miała nas upomnieć, kiedy lekarka powiedziała jej, że zastrzyk został zrobiony i może wrócić do domu.

Zdumiona mama stała przez chwilę nieruchomo, po czym - czując ulgę — roześmiała się niczym młoda dziewczyna.

- Widzisz? - nie omieszkałem wtrącić. - Mówiłem ci.

- ja też - dopowiedział Mustafa. - Ja też tak mówiłem!

- Niech Bóg obdarzy cię łaską - podziękowała lekarce mama. - Właśnie usmażyłam *sfendzi*. Czy pani się poczęstuje, *madame*! - dodała nieśmiało.

- Pewnie, że tak - odpowiedział za lekarkę Mustafa. - Mama smaży najlepsze pączki w całej okolicy, *madame*. Musi pani spróbować.

Lekarka się roześmiała.

- Ma pani pięknych synów.

- Nie, to pani jest piękna — wtrącił Mustafa.

- Cicho, Mustafo - skarciła go mama. - Co cię napadło? - Po czym zwróciła się do lekarki: - Proszę mu wybaczyć. Mustafa to mały łobuz, stale ściąga na siebie kłopoty. Nie wie, co mówi.

- Ale to prawda, czyż nie? — dopytywał Mustafa. — Zawsze powtarzasz, że trzeba mówić prawdę.

- Już wystarczy, Mustafo. Za dużo gadasz. - Następnie zwróciła się do mnie: - Hasanie, przynieś gościom wody.

Przyniosłem zimną wodę w bukłakach z kozłej skóry.

- *Szukran* - powiedziała lekarka.

Mama podała *sfendzi* na najlepszym glinianym półmisku i spojrzała nieśmiało na ojca.

- Może spróbujesz i powiesz, czy są dobre? - zapytała. Ojciec jednak odwrócił się na pięcie i znikł w sieni.

Starając się zaoszczędzić mamie wstydu, lekarka skosztowała *sfendzi* i odpowiedziała za niego:

- Wspaniale! Skąd bierze się ich delikatny aromat?

- Dodaję miodu eukaliptusowego z Kenitry.

- Pani synek miał rację. To najlepsze pączki, jakie kiedykolwiek jadłam! Mama zarumieniła się z radości, a lekarka spytała Mustafę, czy chciałby

jej towarzyszyć podczas pozostałych wizyt. Oniemiały ze szczęścia, błagalnym wzrokiem prosił mamę o zgodę. Ponieważ dobroduszną naturą nie pozwalała jej długo się gniewać, pokiwała z uśmiechem głową. Mustafa zakrzyknął ucieszony i puścił się w szalonych podskokach dookoła podwórka, podczas gdy Ahmed i ja staraliśmy się ukryć zazdrość za maską pogardliwej obojętności.

Uśmiechając się, lekarka dała Mustafie do poniesienia torbę z instrumentami. Otworzył usta z zachwytem.

- Naprawdę? Mogę ją nieść?

Torba była tak duża, że ledwie obejmował ją ramionami.

- Przywiozę go z powrotem przed południem - zapewniła lekarka. Patrzyliśmy tęsknym wzrokiem, jak odjeżdżali. Mustafa siedział z przodu, między żołnierzem a asystentem lekarki.

Zgodnie z obietnicą odstawili go parę minut przed południem.

Ahmed i ja graliśmy w szachy na zacienionym dziedzińcu. Powietrze było ciężkie od gorąca; plamy światła przedzierały się przez zbite z listewek zadaszenie. Staraliśmy się ignorować Mustafę, gdy wbiegł na podwórko. - Patrzcie! — zawołał. — Dostałem dwa medale!

Wskazał dwie odznaki na swej piersi: na jednej widniał czerwony krzyż na białym tle, a na drugiej gwiazda w półksiężycu.

Pokiwałem głową, pozorując brak zainteresowania. Ahmed ziewnął. Mustafa podszedł do nas.

- Zazdrościcie mi - próbował nas sprowokować.

- *Ha'in!* - odparł Ahmed z wyrzutem. - Zdrajca! Przez ciebie ojciec czuje się poniżony i się do nas nie odzywa.

Wcale się tym nie przejmując, Mustafa zaczął opowiadać o przygodach, jakie spotkały go w ciągu dnia, a my, wbrew sobie, słuchaliśmy go z zainteresowaniem. Powiedział nam, że nawet fakihi w szkole koranicznej, który - aby ustrzec się przed szczepieniem — przywoływał autorytet hadisów, został w końcu wyprowadzony z meczetu przez żołnierza i zmuszony przyjąć zastrzyk.

- Wyrywał się i pisał jak dziewczyna! - mówił rozbawiony Mustafa.

ja, i Ahmed dzielaliśmy jego radość, bo fakih był bezlitosnym tyranem.

W tym momencie z domu wyszedł ojciec i nasza wesołość natychmiast prysła. Nie mogąc przeboleć zniewagi, ojciec przeleżał cały ranek w łóżku, twarzą zwrócony do ściany. Teraz patrzył wściekle na Mustafę. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, co zamierza zrobić, gdy ruszył w jego stronę.

Mustafa stał w miejscu. Poklepał się po dwóch odznakach na piersi.

- Dostałem je w nagrodę od *madame*, bo jestem grzecznym chłopcem — obwieścił dumnie.

Ale im bliżej był ojciec, tym bardziej Mustafa tracił rezon i w końcu zaczął się wycofywać. Jeszcze raz, choć teraz już lekko zdenerwowany, wskazał odznaki na swej piersi, na wypadek gdyby ojciec nie zauważył ich za pierwszym razem.

- Jestem teraz na służbie u Jego Królewskiej Mości - zawołał przenikliwym, pełnym oburzenia głosem. — Ten żołnierz tak powiedział. Nie możesz mnie uderzyć, *bba!*

Ojciec zawahał się na ułamek sekundy, po czym podjął natarcie.

- Przekonamy się - wycedził ponuro.

W międzyczasie Ahmed zdołał powiadomić mamę, która wybiegła w pośpiechu na dziedziniec, błagając ojca, żeby zaniechał karania.

- Siedź cicho, Mabruka! Ten chłopak zrobił ze mnie głupca przed obcymi. Mustafa opierał się plecami o ścianę. Złapany w pułapkę, skulił się przed górującym nad nim ojcem, ale ten manewr nie zdołał go uchronić. Ojciec wymierzył mu tak mocny cios, że w powietrzu aż świsnęło, a Mustafa przeleciał przez prawie cały dziedziniec.

W pierwszym odruchu chciałem pobiec mu z pomocą, ale zatrzymało mnie spojrzenie ojca.

Mustafa chwiejnie stawał na nogi; dłoń ojca odbiła się na jego twarzy niczym piętno. Zakasłał raz czy drugi i potrząsnął głową. Z ust poląła mu się krew. Mama zaczęła lamentować, ale ojciec kazał jej przestać. Cały roztrzęsiony, mój najmłodszy brat ruszył w stronę drewnianej furtki i opuścił podwórko. Gdy mama chciała za nim pobiec, ojciec powstrzymał ją suchym nakazem:

At,

— Zostaw go. Będzie miał nauczkę.

Patrzyliśmy bezradnie, jak Mustafa znika za grzbietem najbliższego wzgórza. Mama z jękiem opadła na kolana.

- Moje maleństwo! Och, moje biedne maleństwo! - zawodziła. Gdy ojciec zniknął w domu, Ahmed zgiął się wpół i zwymiotował. Podtrzymałem mamę za ramiona, sam ledwie mogąc złapać oddech. Mustafa wrócił dopiero późnym wieczorem i nie odzywał się do nas

przez wiele dni. Czerwony odcisk na jego twarzy zmienił kolor na ciemny fiolet, a potem na marmurkową czerń.

Tamtego wieczoru na Dżama, kiedy patrzyłem za szybko oddalającym się Mustafą, przypomniałem sobie ten właśnie epizod z odległej przeszłości. Mustafa zniknął w mroku, a ja nie mogłem go powstrzymać. Sposób, w jaki odszedł, ciążył mi na sercu tak samo jak wtedy, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Bałem się o niego i nie czułem na siłach, aby sprostać wieczornemu występowi.

Kiedy rozglądałem się dookoła, przypomniały mi się ostrzeżenia akrobaty Saída. Gdybym tylko mógł, wymówiłbym się złą pogodą, poprosił słuchaczy o wybaczenie i opuścił plac. Może nawet poszedłbym szukać mojego zagubionego brata, by przemówić mu do rozsądku.

Ale niczego takiego nie zrobiłem. W poczuciu obowiązku wobec słuchaczy wróciłem do opowiadania. Zignorowałem głos sumienia, który nakazywał mi pójść za bratem, i oddałem się własnym zobowiązaniom.

Nagle dostrzegłem, że przedstawiam Dżama inaczej niż zazwyczaj -w niezwykle ciemnych barwach, jako kobietę o wielkim uroku, pamiętającą zamierzchłe czasy, ale o głosie i twarzy młodej dziewczyny, jako zmienną istotę, która czasem skłonna jest karmić swoje dzieci, mieszkańców i przyjezdnych, którzy zaludniają jej otwartą przestrzeń, a czasem działa na ich zgubę i zadaje im cierpienie.

- Jest niebezpieczna — mówiłem. — Ale niektóre kobiety takie właśnie są:

ich ciemna, mityczna strona zawłada nimi, pokonując ich piękno. Mieście się na baczności, bo z nimi nie ma żartów. Jeden ze słuchaczy zapytał, trochę oburzony, o jakiej mitologii mówię.

- Stale przyjeżdżam z mojej wioski na Dżama i na jego widok zawsze wpadam w zachwyt, czuję się podniesiony na duchu. Jest w tutejszym powietrzu coś krzepiącego, co dodaje mi sił i sprawia, że chciałbym kosztować go częściej. Dlaczego więc przedstawiasz go w takim złym świetle? Dlaczego miałby być złośliwy?

Przypomniałem mu, że do niedawna plac był miejscem egzekucji i wieszano na nim ludzi. Kończyli tu swe życie zarówno winni, jak i niewinni; jedni umierali z okrzykiem rozpaczony na ustach, a drudzy z buntowniczym wyzwaniem zrodzonym z braku nadziei.

- Jeśli dobrze się wsłuchasz - ciągnąłem - być może dosłyszysz jeszcze ich krzyki, odbijające się głuchym echem od bruku.

- To było dawno temu - odparł mężczyzna z lekceważeniem. - Mówisz jak urzędnicy rządowi, którzy chcieli zbudować w tym miejscu parking i na jakiś czas zabronili zwoływania na Dżama jakichkolwiek zgromadzeń i organizowania uroczystości. Wracaj na wieś, jeśli tu ci się nie podoba. Ale jeśli chcesz na Dżama zarabiać pieniądze, miej dość przyzwoitości, aby obdarzyć go dobrym słowem.

Przyznałem mu trochę racji.

- Kocham Dżama tak bardzo jak wszyscy - dodałem z cicha. - jako mistrz opowieści jestem bardziej od innych świadomy jego piękna. Każdego wieczoru podziwiam, jak zwraca swą młodzieńczą twarz w kierunku zachodzącego słońca i kąpie ją w jego promieniach. Ale wiem też, że ma swoją ciemną stronę, swoje wady.

W tej chwili wśród gapiów rozległ się chichot i dostrzegłem mojego otyłego przyjaciela Mohammeda, właściciela sklepiku z tekstyliami na Suku Semmarine.

- Przebóg, Hasanie! Co się z tobą dzieje? Jesteś strasznie ponury. Taki nastrój zupełnie nie pasuje do dzisiejszego wieczoru. Byłem przed chwilą świadkiem niezwykłego zdarzenia.

- Co widziałeś? - zapytałem.

- Widziałem tych dwoje obcokrajowców, o których tak głośno na

targowiskach. Widziałem ich na własne oczy. Są jak anioły, pełni subtelności i wdzięku. Dość już tego smutku. Nadszedł czas, aby cieszyć się ze szczęśliwego losu.

Po tej przemowie wystąpił z tłumu i skłaniając głowę w stronę słuchaczy, zapytał mnie, czy może o tym opowiedzieć.

ANIOŁ

Mohammed mówił prosto i spontanicznie, a jego otwartość i rozbijająca naiwność przykuwały uwagę.

To, o czym chcę wam opowiedzieć, zdarzyło się wcześniej tego wieczoru. Nastął ten spokojny moment dnia, kiedy sklepiki na suku są już zamknięte, a wieczorne tłumy nie zgromadziły się jeszcze na Dżama. Wszędzie panowała cisza. Opadł kurz dnia. Zgasły ostatnie promienie słońca.

Zamknąłem stragan i miałem zamiar pójść do meczetu Al-Qasba. Pobliskie sklepy były nieczynne. Alejka opustoszała. Włożyłem klucze do kieszeni džellaby i ruszyłem do wyjścia.

Zdążyłem zrobić ledwie jeden krok i stanąłem jak wryty. Przede mną, niczym jarząca się iskra, skąpana w smudze światła przesączającego się przez otwór w trzcinowym dachu galerii, stała najcudowniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Wyglądała jak legendarna hurysa, anioł, jak *peri*, wróżka z bajki. Napawałem się pięknem jej świetlistych oczu, czarnych włosów, smukłością rąk i nóg, uśmiechem tak przelotnym jak podmuch wiatru. Kręciło mi się w głowie, jakbym był pod wpływem jakiejś odurzającej substancji. Nie mogłem złapać oddechu. Oniemiały z zachwyty, wycofałem się w cień i stałem w bezruchu.

Nie wiem, jak długa była to chwila. Ona zatrzymała się w tej słonecznej smudze jak motyl, a gdzieś w głębi mnie rozległ się śpiewny głos. Nie zawołałem jej. Nie starałem się nawiązać rozmowy. Niczego nie zrobiłem.

Nie wiem, kiedy w alejce pojawił się ten stary, kulawy osioł. Ktoś okropnie go poturbował; miał krwawe rany na bokach i nabrzmiąle pęciny.

Nawet ja, choć zwykle nie okazuję serca ani cierpliwości tym durnym bydłom, poczułem litość. Osioł kiwał głową na prawo i lewo, a jego pysk oklejała zasuszone ślina. Nagle ruszył w stronę pięknej *peri*, a ja nie mogłem nic zrobić.

Przekląłem go w duchu za najście i już miałem wyjść z ukrycia, aby go przegonić, ale to, co zobaczyłem, sprawiło, że znów stanąłem jak wryty. Ta dziewczyna, piękniejsza od rajskiego ptaka, o wielkich ciemnych oczach i łagodnym uśmiechu, podeszła do zwierzęcia i pogłaskała je po ranach, a osioł, zamiast uciec, zwrócił ku niej swój łeb i pieszczotliwie wtulił nozdrza w jej rękę.

Patrzyłem na to zatopiony w myślach. Jej dotyk był czuły i lekki jak obmywająca fala. Bezgraniczna troska w tym geście była wzruszająca. Zdałem sobie sprawę, że jestem świadkiem aktu współczucia, spontanicznego i bezpośredniego. Był to przejaw miłości, w którym nie dostrzegłem niczego poza chęcią uleczenia. W zachowaniu dziewczyny nie było nic enigmatycznego. Nie zrobiła nic, co mogłoby stać się przedmiotem niesamowitych opowieści czy wydawać się niezwykle.

Wkrótce zwierzę, pocieszone czułą troską dziewczyny, ruszyło dalej. Ona zaś patrzyła, jak odchodziło, a jej oczy błyszczały od łez. Potem zwróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny. Dopiero wtedy go zauważyłem. Był rośli i przystojny, miał silne, muskularne ramiona i szlachetny wyraz twarzy. Wyciągnął do niej rękę. Uczestniczyłem w ich milczeniu, efemerycznym jak uśmiech. Nigdy nie dowiedziawszy się o mojej obecności, odeszli po krótkiej chwili. Pożegnałem ich bez słów. W oddali kot przemknął bezszelestnie przez ulicę. Rozstałem się z nimi tak, jakbym właśnie obudził się z głębokiego snu.

Mohammed zamilkł i spojrzał na każdego po kolei. Kiedy ponownie zaczął mówić, jego głos wciąż był przepojony słodyczą tego doznania.

- Przynoszę wam ich czar — dodał cicho, prawie nie poruszając ustami. - Kiedy usłyszałem, co mówisz, Hasanie, poczułem smutek, dlatego poprosiłem, abys pozwolił mi opowiedzieć tę historię.

W jego szarych oczach zatańczyły iskry.

- Ach, odebrało wam mowę! - dodał głośnie. - Tych dwoje przybyło z innego świata, przyjaciele. To wyższe istoty. Są niewinni, niezwykle

czyści. Spotkania z nimi są pokarmem ducha. W każdym z nas zawiera się wszechświat, ale musimy wyrzec poza siebie, aby zrozumieć ten świat i nasze w nim miejsce.

Mohammed podniósł ramiona i spojrzał ponad naszymi głowami na plac.

- To wszystko, co mam wam dziś do powiedzenia - oświadczył po chwili namysłu.

SZKARŁATNY IBIS

Pamiętam ciszę, jaka zapadła tego fatalnego wieczoru po żarliwym wystąpieniu Mohammeda.

- To wspomnienie rozjaśnia mrok nocy — powiedziałem. — Wznosi się ponad ciekawość lub pragnienie. Postrzegamy obcych jako innych, a ta kobieta nie przypominała niczego, co znamy. To wiem na pewno.

Po krótkiej pauzie zwróciłem się do Mohammeda, który także dzisiaj siedział wśród publiczności, słuchając z uwagą sprawozdania ze swojego udziału w wypadkach z przeszłości.

- Czy zgadzasz się z opisem roli, jaką odegrałeś w wydarzeniach tamtej nocy? - spytałem.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, Hasanie. Doprawdy, nie mógłbym przedstawić tego lepiej. Byłem poruszony niewinnością tych dwojga, a równocześnie pokrzepiony na duchu i pełen ufności.

- Dobrze więc - zacząłem i już chciałem mówić dalej, kiedy przerwał mi inny głos, poważny i głęboki:

- Wydaje mi się, że zszywasz historię z przeciwstawnych odczuć. Odwróciłem się w stronę mówcy. Był to Tuareg, jeden z „błękitnych

ludzi" z południa. Jego ręce i twarz były zafarbowane z powodu wieloletniego kontaktu z suknem barwionym indygo. Powściągliwy i opanowany sposób bycia mężczyzny świadczył o dyscyplinie, jakiej domaga się Sahara od wszystkich swoich mieszkańców.

z naturalną elegancją rozwinął *tagelmust*, zwój czarnego materiału, którym - jak nakazywał ludowy zwyczaj - zasłaniał twarz. Rozłożył ręce zwrócił się do Mohammeda głosem, w którym wybrzmiewała melodia bezkresnych pustynnych przestrzeni.

- Przepraszam, że muszę to powiedzieć, bracie, ale kochankowie zawsze wzbudzają dziwną fascynację, a twoja relacja zataiła tyle samo, ile ujawniła.

Mohammed był wzburzony.

- Co masz na myśli?

Tuareg wyglądał za zakłopotanego.

- Tylko tyle - odpowiedział. - Czasem, kiedy napotykamy rzeczy, których nie rozumiemy, postrzegamy je niezgodnie z ich właściwym znaczeniem. Wysłuchawszy twojej historii, dochodzę do wniosku, że poruszony innością cudzoziemców, nie dostrzegłeś prawdziwego znaczenia ich obecności. Ja też spotkałem tę parę nieznaną, których tak elokwentnie opisałeś. Kobieta zupełnie nie zrobiła na mnie wrażenia, ale oblicze pięknego młodzieńca, który jej towarzyszył, zdradzało tragedię. Razem przypomnieli mi o otchłani, jaką jest egzystencja, i mogę to wyjaśnić, tylko dzieląc się jednym z moich własnych doświadczeń.

Skorzystam z twojego porównania napotkanej kobiety do rajskiego ptaka. Aby zilustrować własne spostrzeżenia, będę mówił o innym ptaku, choć - moim zdaniem — równie wspaniałym.

Na pewno słyszeliście o ibisie grzywiastym. To duży ptak o czarnym upierzeniu i raczej krótkich nogach, o rozłożystych skrzydłach i zakrzywionym w dół czerwonym dziobie. W locie wygląda niezgrabnie, prawie brzydko, ale kiedy stoi na ziemi, jego czarne pióra nabierają metalicznie fioletowego połysku, który przydaje mu dziwnego piękna. Może dlatego marabuci uważają te ptaki za święte. Są one uznawane za prawowitych mieszkańców pustkowi i choć grozi im wyginięcie, wciąż łatwo je dostrzec na stromych zboczach okalających koryta rzek, strumieni i dopływów. Latem zeszłego roku stado tych ptaków jak zwykle zbudowało gniazda na skalnych półkach. Odbywał się wtedy także doroczny festiwal łucznictwa, z którego słynie nasza wioska. Jest to *mawsim* upamiętniający dzień,

w którym zmarł święty człowiek, słynący z daru leczenia padaczki. Ponieważ ibisy za dnia gromadzą się przy strumieniach, zawody łucznicze odbywają się tylko po zmroku, gdy ptaki powrócą już do swych gniazd wysoko na skałach. Strzela się do rozżarzonych kawałków drewna, ułożonych w regularnych odstępach wzdłuż głównego strumienia. Na dany sygnał łucznicy z całego Sahelu popisują się swoimi umiejętnościami, używając płonących strzał, z których słynie nasz *mawsim*. O ile wiem, nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby jakiś ibis zginął od zabłąkanej strzały. Ale w ubiegłym roku stało się inaczej. Łucznicy z całego kraju - z dalekiej północy, z Tetuanu, Szafszawanu i Rifu, a także z południa, z Timbaktu, Walaty i Agadezu - przybyli już na zawody, kiedy ogłoszono, że do stada dołączyły dwa niezwykle ptaki, także ibisy. Podobieństwo gatunkowe było oczywiste, ale te ptaki były bardziej wysmukłe od naszych, miały dłuższe skrzydła i szyje. Najbardziej zwracało uwagę ich szkarłatne upierzenie, które na końcówkach skrzydeł przechodziło w lśniącą czerń. Ptaki wywarły na wszystkich niezwykle wrażenie; nawet najwięksi sceptycy — weterani wojenni i inni — przyznawali ze wzruszeniem, że piękno tych ptaków uczyniło nasze skromne życie bardziej doniosłym. Na początku nikt nie wiedział, skąd przyleciały, aż w końcu jeden z nas, bardziej uczony od reszty, zbadał ich pochodzenie i oznajmił, że są to szkarłatne ibisy z dalekiego kraju za oceanem. Natychmiast zrozumieliśmy, że będą one groźną pokusą dla przyjezdnych łuczników. Aby zapobiec wypadkom, zebraliśmy naszą młodzież i utworzyliśmy szwadron, którego zadaniem było obserwowanie skalnego urwiska i opieka nad szkarłatnymi przybyszami. Pierwsze trzy dni festiwalu minęły spokojnie. Wszyscy strzegli ptaków. Nawet małe dzieci zdawały rodzicom codzienne raporty. Czwartego dnia zdarzyło się jednak nieszczęście. Widziano tylko jednego ptaka. Poruszeni, podwoiliśmy strażę i po długiej naradzie zarządziliśmy rewizję w namiotach zawodników. Oburzona tak oczywistym pogwałceniem tradycyjnego prawa gościnności, grupa z Gourma-Rharous spakowała się i odjechała. Nie przejęliśmy się tym jednak. Chcieliśmy chronić pozostałego przy życiu szkarłatnego ibisa. Nasz młodzieżowy szwadron wymyślał coraz to nowe sposoby zapewnienia mu ochrony dniem i nocą.

Należący do niego chłopcy rozstawiali patrole po obu stronach wodnego koryta, którym o tej porze roku płynie wezbrany strumień, a nawet ustanowili całonocną wartę na piaszczystych wydmach podchodzących pod żółto-szare urwisko.

W przedostatni dzień zawodów rozluźniliśmy strażę, ptak bowiem ocalał. Atmosfera festiwalu była już jednak zepsuta. Goszczący u nas łucznicy byli skwaszeni i kłótniwi; wyraźnie mieli nam na złe bezustanny nadzór i przeszpiegi.

Nasze starania zostały jednak zniweczone. Pomimo wszystkich środków ostrożności, a może za sprawą wyroku nieubłaganego przeznaczenia, w *ostatni* dzień festiwalu nadeszła katastrofa. O świcie zerwała się wyjątkowo silna burza piaskowa. Szalała przez cały dzień i wszyscy, nawet wartownicy, zmuszeni byli szukać schronienia. Jeden czy dwóch śmiałków próbowało wyjść na zewnątrz, ale kłujący piach pokonał ich ofiarność. Zrezygnowani i pełni złych przeczuć, nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko przeczekać nawałnicę.

Kiedy wieczorem burza ucichła i ukazał się żółty sierp księżyca, drogocennego ptaka już nie było. Przeszukaliśmy skaliste ściany urwiska i oba brzegi strumienia, ale po ibisie nie został żaden ślad. Nie znaleźliśmy nawet jednego piórka, które mogłoby dać nam wskazówkę, jak potoczył się jego los. Ptak znikł tak tajemniczo, jakby go nigdy nie było.

Nie mieliśmy ochoty współzawodniczyć tej ostatniej nocy. Goszczący u nas łucznicy wyjechali rankiem z wioski, głośno krzyząc i urągając nam. Przyrzekli też, że już nigdy nie powrócą. Patrzyliśmy bezsilni, jak odjeżdżali. Nikt z nas nie próbował ich zawrócić. Nasz stary doroczny festiwal nieodwracalnie utracił ducha.

MEDYNA

Teraz Tuareg zwrócił się do mnie:

- W murach otaczających to miasto jest dziewięć średniowiecznych bram, a w mrowisku jego wąskich uliczek dzieje się tak wiele, że można

by snuć tutaj niezliczone opowieści. Myślę o tym, kiedy pozwałam swojej wyobraźni szybować jak ptak i kontempluję cieniłą przestrzeń domów i ulic ciągnących się w stronę gór. U moich stóp, ze wszystkich stron mojego latającego dywanu, leżą płaskie dachy i pachnące ogrody medyny. W oddali, zasłonięte mgiełką, mającą ośnieżone szczyty. Słońce wstaje o wschodzie, wynurzając się zza grani. O zachodzie zapada się w spienione fale. Pomiędzy wschodem a zachodem słychać muzykę Marrakeszu, Bagdadu Zachodu, miasta, które nie byłoby takie samo bez Dżama, tak nierozłącznie z nim związanego jak śnieg jest związany z górskimi szczytami. Zamilkł i przyjrzał mi się uważnie. Jego twarz zdradzała czujność i zamyślenie. Milczałem w czasie jego monologu, ale teraz pospieszyłem z pochwałą.

- Ty też jesteś, oczywiście, inadanem, twórcą opowieści.

- Tak, zgadza się - odparł z uśmiechem.

- Jak się nazywasz, *homme bleui*

- Dżawad.

Podziękowałem mu za jego opowieść, a on znowu się uśmiechnął.

- Kurz unosi się nad równiną. Opada gorączka dnia. A my obaj stoimy w cieniu Wroniego Drzewa, snując opowieści.

Wśród słuchaczy, których grono stale się zmienia, zawsze znajdują się niecierpliwcy, chcący wiedzieć od razu, co będzie dalej. Jeden z nich wykrzyknął nagle:

- Ale co z tymi nieznanymi przybyszami? Co się z nimi stało?

W odpowiedzi Dżawad zwrócił się w stronę stoisk na rogu placu, załadowanych stosami pomarańczy.

- Są gdzieś tam, wciąż nawiedzają plac - odpowiedział, zataczając ramieniem szeroki łuk - choć ich nie widzimy. - Wzruszył ramionami. W jego oczach tańczyły figlarne iskierki. - Są tak nieuchwytni jak ryby w wodzie. Raz są, raz ich nie ma.

Zebrani roześmiali się niepewnie, ale mój przyjaciel Mohammed, który rozmyślał nad czymś w milczeniu, pozostał poważny. Podeszedł do Tuarega.

- Jeżeli dobrze sobie przypominam, użyłeś słów „otchłań, jaką jest egzystencja”. Wy tłumacz, proszę, co miałeś na myśli - powiedział oziębło, krzyżując ręce na piersi.

OTCHŁAŃ

Kiedy wybrzmiało pytanie Mohammeda, nastała cisza. Tuareg zacisnął usta. Wesołość zniknęła z jego oczu, ustępując miejsca melancholijnej zadumie.

- Chodzi o to, co jest możliwe, co może się zdarzyć. Wszystko się zmienia, kiedy kochamy tak bardzo, że jesteśmy gotowi się dla tej miłości poświęcić. Wtedy wступujemy w otchłań; jak w sen, z pewnością, ale także w rzeczywistość, która najczęściej staje się udręką - odpowiedział po pełnej napięcia chwili.

Przerwał i owinał się płaszczem barwionym indygo. Powiódł po nas ciężko wzrokiem. Swym posępnym wyglądem wyróżniał się na tle naszego wesołego zgromadzenia.

Patrząc kątem oka na Mohammeda, mówił precyzyjnie i obrazowo.

- Piękno, jako jedyne ludzkie pojęcie, które jest, ściśle mówiąc, czysto subiektywne, triumfuje zwykle nad mądrością i zdrowym rozsądkiem. Ten, kto je dostrzega, uprzywilejowany świadek doskonałości, żyje w cudownym śnie. Ucieka z rzeczywistości, namiętnie się z nim utożsamiając. Zawiera z pięknem mistyczne małżeństwo, wchodzi z nim w pełne zjednoczenie, które zawiera tak radość i światło, jak i rozpacz oraz mrok. Każdy, kto zetknie się z takim pięknem, doznaje przeistoczenia. Odtąd już nigdy nie będzie doświadczał rzeczywistości tak jak dawniej. Będzie ona dla niego raczej smutnie uszczuplona. Oto, czym jest otchłań: stanem egzystencji pozbawionej zadowolenia i szczęścia.

Dżawad zamilkł, aby zebrać myśli. Gdzieś w oddali zapiszczały koła wozu. Oczekiwałem od niego, że powie coś więcej o pięknej nieznajomej, która tak bardzo zauroczyła Mustafę. On tymczasem uciekł się do następnej analogii.

- Pomyślcie o czerwonej poświacie murów Marrakeszu, uwodzących cieniem w upalne dni i pokusą odpoczynku tak silną, że z czasem można Przesiąknąć odświeżającym chłodem i pozostać bez formy i treści. Tym jest otchłań.

Unikając wzroku Mohammeda, zwrócił się do mnie:

- W ten sposób nasza natura zwycięża nad nami. Jest jak piasek przesypany się przez drzwi. Gdzieś głęboko w nas pożądanie wzbiera jak burza. Jego siła jest tak wielka, że wszystkie inne wartości - logika, cnota, rozważa - stają się bezużyteczne.

Nikt się nie odezwał, kontemplowaliśmy jego słowa. Długie nitki babiego lata unosiły się nad placem. Zastanawiałem się, skąd przyleciały.

- Zapowiadają się piękne żniwa - odezwał się ktoś z tłumu, pewnie rolnik.

Ujęty niezamierzoną ironią tej uwagi, Tuareg uśmiechnął się. Obaj patrzyliśmy na dwie czarne kolumny — Wronie Drzewo i minaret meczetu Kutubijja. Księżyc w pełni lśnił wysoko na niebie. Tuareg wysunął środkowy palec, tak że utworzył on jedną linię z wieżą i drzewem.

- Ty i ja mamy okrutny talent - powiedział.

Wiedziałem, co miał na myśli. My, mistrzowie opowieści, poczytujemy środkowy palec za symbol śmierci.

- Chciałbym, żeby było inaczej - dodał. - To ogromny ciężar. Sprawia, że jesteśmy mniej podobni do innych ludzi.

Zwrócił się też do Mohammeda:

- Żegnaj - powiedział, unosząc dłoń do serca. Mohammed nie odwzajemnił gestu pożegnania.

Tuareg rozejrzał się jeszcze dookoła i opuścił krąg zgromadzonych. Z zalem patrzyłem, jak odchodzi.

ZŁAMANIE

Coś z rozprawy Dżawada o pięknie pozostało we mnie i przywołało wspomnienie rozmowy, którą odbyłem z braćmi, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi i każdy z nas był niepoprawnym idealistą.

Przysiedliśmy wtedy na krawędzi urwiska, z którego rozciągał się widok na całą dolinę. Nasza wieś znajdowała się na jej dnie, a dom stał nieco wyżej. W oddali zbierały się masy czarnych chmur i chwilę potem patrzyliśmy, jak wybuchają deszczem nad szczytami Atlasu Wysokiego.

Niebo

najpierw poczerwiało, a potem przybrało niesamowity odcień fioletu; na tym tle ośnieżone górskie szczyty wyglądały jak błyskawica.

- Jak pięknie! - powiedziałem, pogwizdując z zachwytem.

- Nie wiem, czy użyłbym tego słowa - odparł Mustafa. — Zwykle używam słowa „piękno” w odniesieniu do kobiet.

_ No jasne - zadrwił Ahmed. - Masz bzika na punkcie dziewczyn.

- Co w tym złego? To tylko zdrowa ciekawość. Nie jestem już dzieckiem, mam czternaście lat!

- Nadal sądzę, że burza jest piękna - powiedziałem ze spokojem. Zapaliłem papierosa i poczęstowałem Ahmeda, ale nie Mustafę.

- Hej, a ja? - zaprotestował.

- Musisz zasłużyć na prawo do palenia — powiedział Ahmed. — To nie jest przywilej, który przychodzi automatycznie wraz z wiekiem.

- Dobrze. Co mam zrobić, żeby zasłużyć na papierosa?

- Stracić dziewictwo - zachichotał Ahmed.

- Aha - odparł Mustafa - w takim razie byłbym tu jedyną osobą z papierosem.

Spojrzeliliśmy na niego ze zdziwieniem, a potem Ahmed zapytał, czy żartuje. - Dlaczego mi nie wierzycie?

Ahmed nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Postanowiłem przyjść mu z pomocą. Chrząknąłem, by przeczyścić gardło.

- O czym ty mówisz, Mustafu? - spytałem.

- A jak myślisz?

- Nic ci nie wierzymy - zawołał Ahmed. - Kogo przeleciałeś?

- Wszystkie - odpowiedział Mustafa, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Co? Wszystkie we wsi?

- A gdzie indziej?

- Ahmed! Mustafa! - upomniałem ich. - Zachowujcie się.

- Podaj ich imiona - nie dawał za wygraną Ahmed. Mustafa zaczął wyliczać na palcach.

- Niech pomyślę. Salima, Zubajda, Dudza, Huda... Co to za głupoty! - przerwałem tę wyliczankę.

- To dlatego paradujesz jak łabędź wokół wiejskiego stawu - rzucił Pogardliwie Ahmed.

Mustafa wyprostował się w poczuciu urażonej godności.

- Do waszej wiadomości: wcale nie „paraduję jak łabędź” wokół stawu. Po prostu bardziej odpowiada mi temperatura tamtej wody niż tej w naszym lodowatym źródle.

- Wodę w stawie ociepla, bez wątpienia, szybkie bicie serc twoich adoratorek? - spytałem ironicznie.

- Możliwe - odparł Mustafa, spuszcżając wzrok.

- Nie masz wstydu - powiedział Ahmed i splunął na ziemię. - Pewnie spałeś także z Hajat, Szamą i Ziną - dodał bez namysłu, przywołując imiona dziewcząt w swoim wieku.

- No proszę cię! Mam dobry gust. Hajat jest gruba, Szama zezowata, a Zinie rośnie broda.

- Głupku, nie to jest najważniejsze. Ojciec Hajat jest bogaty, ojciec Szamy pożyczą we wsi pieniądze na procent, a brat Ziny prowadzi przedsiębiorstwo taksówkarskie w Tafilalt. A to w końcu liczy się najbardziej: pieniądze.

- Nie można spać z pieniędzmi - powiedział dosadnie Mustafa.

- Ale można spać na nich - odparł niezrażony Ahmed, po czym zamilkł na chwilę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. W końcu zapytał, już mniej pewnie, o dziewczynę, o której wiedzieliśmy, że bardzo mu się podobała: - A Malika?

- Nie martw się — powiedział Mustafa. — Jest twoja, jak tylko będziesz na to gotów.

- W każdym razie - powrócił do natarcia Ahmed - mówiąc szczerze, nie podobają mi się kobiety, w których gustujesz. Wszystkie dziewczyny, które wymieniłeś, a szczególnie Salima i Zubajda, malują się jaskrawo-czerwoną szminką, przez co wyglądają jak dziwki. Nie czuję nic prócz pogardy dla dziewczyn, które próbują dodać sobie wdzięku, stosując takie sztuczki. Ale przypuszczam, że to właśnie dlatego uważasz je za atrakcyjne.

- Mylisz się, mój drogi Ahmedzie. Atrakcyjne jest ich piękno, ale co ty możesz o tym wiedzieć? Nie widziałeś tego, co ja.

- Zamknij się. Ależ z ciebie chwalipięta.

- I to mówi chłopak, który się przyznał, że w dzień, kiedy po raz

pierwszy ujrzał cudną Malikę, spał bez spodni, aby mieć lepsze sny?
— odparował Mustafa.

- Przynajmniej nie założyłem sirwali, haremowych szarawarów, tak jak ty!

- Hej, dość już! - wtrąciłem. - Zamknijcie się obaj.

Mustafa i Ahmed kłócili się jednak dalej, tak jakby w ogóle mnie nie słyszeli.

- Co w tym złego, jak się od czasu do czasu założy sirwale do łóżka? Ma się wtedy lepsze sny - dodał prowokująco. - A ty przecież wiesz, jak bardzo lubię fantazjować o nagiej skórze i jedwabiu. Następnego dnia można dodać sobie jeszcze przyjemności, podpalając sirwale i patrząc, jak idą z dymem.

- To otwórz w przyszłości sklep z sirwalami - powiedział Ahmed.

- Ja sam jestem podejrzliwy wobec iluzji, szczególnie jeśli chodzi o miłość - zauważyłem, wnosząc pierwszy zauważalny wkład w rozmowę.

- To dlatego, że jesteś takim beznadziejnym nudziarzem - powiedział Mustafa. — W wieku czternastu lat nie myśli się o rzeczywistości. Żyje się marzeniami. - Przypomnę ci, że skończyłem lat osiemnaście - odparłem wyniośle. - Mam ważniejsze sprawy na głowie niż chłopięce fantazje. - Ach tak? — wtrącił się Ahmed. — Opowiesz nam o nich, jak się ożenisz i zaczniesz zarabiać prawdziwe pieniądze, tak jak ja je zarabiam, stawiając we wsi zakłady. W przeciwieństwie do was, nie mam zamiaru zostać starym biedakiem z demencją, jak Lalla Nizam z naszej wioski. - Lalla Nizam może i jest biedny, ale odznacza się godnością i czułością. Tylko ludzie z najczystszy sumieniem mają to, co najważniejsze: czułość i jeszcze jeden bezcenny dar, który otrzymujemy od Boga: rozum.

- Nie jestem gotów na ten zimny racjonalizm - odpowiedział Mustafa. - Chcę dać nura w życie i się w nim pławić. Trzeba sprawdzać wytrzymałość granic i podnosić się po każdym upadku. Nic mi po twoim rozumie, Hasanie, ani po pieniądzach Ahmeda. Dla mnie liczy się pogoń za pięknem i wolność, którą daje. - A ja uważam, że zarówno piękno, jak i bogactwo, to przelotna złuda — powiedziałem spokojnie. - Miłość powinna być budowana na trwałych podstawach. Po pierwsze, powinna prowadzić do małżeństwa, a małżeństwo

powinno być jak wyspa, na którą powraca się z *zawsze* nieprzewidywalnego morza.

- Powinna, powinno... - powtórzył Mustafa znudzonym głosem.

- Tak, powinno - odparłem już nieco podrażniony - bo najpiękniejszym obiektem pożądania jest to, co istnieje w rzeczywistości, nawet jeśli nie spełnia jakiegoś abstrakcyjnego standardu zrodzonego z fantazji.

- Nie! - sprzeciwił się Mustafa. - Po co istniałoby piękno, gdyby nie można było o nim śnić?

- Absolutnie się z tobą nie zgadzam.

Mustafa wydawał się niezadowolony. Pochwycił lutnię, którą ze sobą przyniósł, i zaczął na niej brzdąkać.

- O Boże - zaprotestował Ahmed - czy musimy teraz znosić jęki twojej gimbri?

- Słoń ci nadepnął na ucho, Ahmedzie. Możesz sobie iść, jak ci się nie podoba.

- Według wujka Mohanda z Marrakeszu wcale nie jest trudno kogoś w sobie rozkochać. Najtrudniej jest podtrzymać miłość przez długie lata - powiedziałem, podejmując przerwany wątek rozmowy.

- A co on wie? — zaśmiał się drwiąco Mustafa. — Ta wiedźma, jego żona, czyni go wiecznie nieszczęśliwym. Jego życie to jedno pasmo cierpień. - A ty wiesz więcej? Mówisz, jakbyś posiadał magiczną władzę nad kobietami. - O tak, potrafię je oczarować - odpowiedział Mustafa z typową dla niego bezczelną pewnością siebie. Pokazał zęby w uśmiechu i posłał pocałunek w kierunku swojego krocza. — Zawdzięczam to mojemu mistrzowi, zasłużył, by nazywać go *sidi*. Czasem jest jak jagnię, częściej jak lew, ale zawsze wie, jak je sobie pozyskać.

- Kipisz żądzą - odparłem. - To obrzydliwe.

- Pożądanie jest obrzydliwe?

- Wykolejone pożądanie jest obrzydliwe. I niebezpieczne.

- A co jest złego w niebezpieczeństwie?

- Nie zrozumiałbyś, Mustafo. Jesteś jeszcze chłopcem.

- Ale nie jestem prawiczkim — przyznał otwarcie. - I w przeciwieństwie do ciebie, kiedy się w końcu zakocham, to tylko w pięknej kobiecie, która

nie będzie wszędzie dźwigać ze sobą piecyka i węgla, tak jak twoja przyszła oblubienica.

- Wszystkie te dziewczyny, którymi się chwaliłeś... Co one dla ciebie znaczą? Jeżeli żadnej nie kochasz, to co z nimi robisz?

- Dobrze się bawię, Hasanie. Czy to nie jasne? Zdobywam doświadczenie.

- Ale czym właściwie jest dla ciebie miłość?

- Prawdziwa miłość?

- Tak.

Mustafa zamilkł i chyba po raz pierwszy wpadł w zadumę. Ku naszemu zdziwieniu wyjął z ukrycia swoją własną paczkę papierosów i zapalił. Po chwili powiedział:

- Wiecie, że *qamar*, księżyc w pełni, oznacza także niezwykle piękną kobietę? Księżyc jest wtedy u szczytu piękna i kiedy spojrzycie w górę, to macie wrażenie, że oczy wspinają się po drabinie z ciemności do światła. Tak właśnie rozpoznam mój księżyc, moją księżycową pełnię, kiedy ją odnajdę.

- Jak ją rozpoznasz? — dopytywał Ahmed z niedowierzaniem.

- Będę oślepiony jej światłością. Pochwyci mnie w ramiona pałającym spojrzeniem. Nasze spotkanie będzie niespodziane, senne, a w jej oczach ujrzę odbicie swojego przeznaczenia.

- Etam!... Bredzisz - rzucił Ahmed.

- Mówię całkiem poważnie - powiedział Mustafa i coś w jego głosie przykuło naszą uwagę. - Myślę, że to kwestia intuicji. Intuicja, rozpoznanie i afirmacja. A kiedy to nastąpi... - zawiesił głos. - Kiedy poczuję, jak serce podchodzi mi do gardła, będę błagał tę łaskę, to piękno, o zbawienie.

- To tylko piękne słowa - odparł niewzruszony Ahmed.

- W każdym razie to, co opisałeś, to nie miłość, tylko zakochanie - dodałem. Mustafa powoli odłożył lutnię i wstał.

- W takim razie mogę tylko powiedzieć, że miłość przychodzi nagle, spada jak grom z jasnego nieba. Jakby uderzył w ciebie piorun, tak jak ten, który właśnie strzelił w odległy szczyt. Albo jakbyś spadał z dużej wysokości i czuł, że się roztrzaskasz o skały i życie już nigdy nie będzie takie samo.

- Jasne, że nie, geniuszu, przecież się zabijesz - powiedział Ahmed. Mustafa zignorował ten komentarz.

- W grze o miłość — powiedział uroczystym tonem — stawka jest bardzo wysoka i musisz być gotów zaryzykować wszystko. Wszystko.

Ahmed wzruszył drwiąco ramionami i dorzucił szyderczo:

- Gadanie.

Mustafa popatrzył na niego z uśmiechem i rozłożył ręce, jakby udawał samolot. Nisko pochylony, zaczął biec wzdłuż urwiska, nabierając coraz większej prędkości.

- Zwolnij, durniu! - zawołał ostrzegawczo Ahmed. Mustafa, na nic nie zważając, pędził wprost na skraj urwiska. Ahmed i ja wstaliśmy przerażeni.

- Co do diabła? - mruknął Ahmed.

Słowa nie uleciały jeszcze z jego ust, gdy Mustafa rzucił się w przepaść i zniknął nam z oczu.

Nie mogąc złapać oddechu, pobiegliśmy za nim na oślep i spojrzeliśmy w dół.

Mustafa leżał rozkrzyżowany na skalnej półce kilkanaście metrów pod nami. Kiedy do niego zeszliśmy, uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Zdaje się, że złamałem nogę - powiedział. - Boli jak diabli, ale za nic bym nie oddał tej chwili kiedy wyleciałem w powietrze. Tak samo będzie, gdy nadejdzie moja prawdziwa miłość. Teraz już mi wierzcie?

Ahmed i ja spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem, zanim zawołaliśmy jednym głosem:

- Oszalałeś!

ZAHRA

Minęły dwie godziny, zanim zdołaliśmy wydobyć Mustafę z przepaści. W drodze do domu złapała nas burza. Wróciliśmy przemoczeni do suchej nitki i oczywiście kłamaliśmy jak najęci, kiedy rodzice pytali, co się stało.

Kilka dni później, w jasny, słoneczny poranek, dotrzyzymałem towarzystwa Mustafie, który siedział ponury na dziedzińcu z nogą w gipsie uniesioną do góry, kiedy Ahmed na rowerze zajechał zziębnięty na podwórko i zahamował tuż obok nas, wpadając w poślizg.

- Hasan, rusz tyłek! - krzyknął. - Ta dziewczyna, z którą ojciec chce cię ożenić, idzie drogą na północ. Pospiesz się, może ją dogonisz i zobaczysz, jak wygląda. Weź mój rower.

- To na pewno ona?

- Tak, tak, to Zahta, na miłość boską! Jestem pewny na sto procent.

- Ale ona nie jest stąd. Co robi w naszej dolinie?

- Skąd mam wiedzieć? Może odwiedzała kogoś we wsi. Mój kolega Dehili mi powiedział. Zna jej braci i rozpoznał ją, jak przechodziła przez wieś. Pospiesz się, do jasnej!

Niepewnie przestępowałem z nogi na nogę.

- Ahmed, ale ja nie wiem, czy chcę. Wierzę w rozsądek ojca, a te sprawy toczą się swoją koleją...

Mustafa dał mi kuksańca.

- Hasan, nie bądź taki zacofany! - niecierpliwił się. - Ahmed ma rację. Pospiesz się i biegnij za nią, a potem wracaj i opowiedz nam, jak wygląda.

Spojrzałem na nich. Nagle, ku własnemu zaskoczeniu, wsiałem szybko na rower Ahmeda i pedałując zawzięcie, pognałem w dół wyboistej ścieżki w kierunku wioski.

- Ma na sobie jaskrawozielone *bubu!* - wołał za mną Ahmed. - Na pewno ją rozpoznasz.

Miał rację, poznałem ją, tym bardziej że była jedyną osobą na drodze na północ. Zaschło mi w ustach, a serce biło mi jak szalone.

Zwolniłem, będąc dopiero jakieś dwadzieścia metrów za nią, i przejechałem tuż obok, a potem szybko odwróciłem głowę, żeby na nią spojrzeć. Na Boga, była piękna jak Szeherezada! Miała pociągłą twarz, ogromne brązowe °czy i subtelny zielony tatuaż na podbródku. Kiedy zobaczyła, że się odwracam, uśmiechnęła się, a w tej samej chwili straciłem kontrolę nad rowerem, zjechałem z drogi i wylądowałem z wielkim hukiem na poślachach.

Pobraliśmy się cztery miesiące później. Zahra właśnie skończyła szesnaście lat. Była w wieku Ahmeda, dwa lata młodsza ode mnie.

UZDRAWIAJĄCY OGRÓD

- Tacy właśnie są moi bracia - powiedziałem, przerywając opowieść. - Ahmed w ogóle się nie zmienił. Wciąż przywiązuje wagę do tego, co materialne. Wierzy, że świat może zaspokoić jego potrzeby. Co do Mustafy i jego absolutnej wiary w piękno, cóż, dopiero się okaże, dokąd prowadzi ta opowieść.

Spojrzałem na słuchaczy i dodałem po krótkiej przerwie:

- Jedno jest pewne. Zważywszy na to, jak potoczyły się losy Mustafy po spotkaniu z parą cudzoziemców, trzeba przyznać, że Tuareg był bardzo spostrzegawczy. Dostrzegł niebezpieczeństwo zagrażające tym, którzy stają w obliczu piękna. Życie mojego brata zmieniło się bezpowrotnie w egzystencję pozbawioną zadowolenia i błogości.

Wtedy odezwał się nowy głos, lekko przekorny i żartobliwy.

- Nie byłbym tego taki pewien, Hasanie. Nie zgadzałem się z tym pustynnym koczownikiem, kiedy przemawiał, i teraz też nie mogę przyznać ci racji. Wasze gadanie trąci pesymizmem na odległość.

Odwróciłem się, aby sprawdzić, do kogo należy ten głos, i rozpoznałem Jusufa, średniego syna jednego z handlarzy pomarańczy na Dżama. Był mały, miał ziemistą cerę i chodziły plotki, że ugania się za kobietami. Poczęstował nas słodko-gozkimi pomarańczami z dużego kosza. - Świętuję urodziny trzeciego dziecka. To chłopiec! - oznajmił z dumą. Pełnym pogardy gestem wskazał w kierunku, w którym odszedł Tuareg.

- Być może jako filozof ten człowiek ma dużo do powiedzenia, ale dla mnie to za mało. Nie dowiedziałem się niczego, czego sam bym nie wiedział o życiu. Tak, czasem coś nam doskwiera. Co w tym nowego? A mnie rzeczywistość stale wynagradza. Co i rusz odkrywa przede mną coś nowego, czego wcześniej nie widziałem. Po to mamy oczy, zmysły i rozum, żeby ich używać i uczyć się z naszych własnych doświadczeń, nawet złych. A miłość? To najlepsza rzecz na świecie. Tak więc, przyjaciele, powiedzcie gromkie „nie” pesymistom! Przepowiednie? Zgoda, trzeba je szanować, ale dlaczego kłaść blask szczęścia śniedzią burz i ciemności? Powiedzcie sobie raczej: ja sam jestem planszą, na której toczy się gra o moje życie!

Jusuf zwrócił się teraz do sklepikarza Mohammeda. W jego oczach skakały radosne iskry.

— W imieniu mojego nowo narodzonego syna oddaję ci cześć, szczęśliwy los pozwolił ci bowiem być świadkiem dobroci, jaką ta cudzoziemka obdarzyła najędzniejsze z bydła, osła. To był prawdziwy akt miłosierdzia. Zazdroszczę twoim oczom, bo choć też ją widziałem, i to chyba wkrótce po tobie, to nie wywarła na mnie tak silnego wrażenia. Twoja opowieść wzbogaciła jednak moje własne przeżycie.

- Ty też widziałeś cudzoziemców? - zapytał ktoś z tłumu.

Jusuf się roześmiał.

- Tak, tak, widziałem ich, tę parę, o której Hasan opowiada tak barwnie, jak tylko on potrafi.

Przerwał niczym doświadczony mistrz opowieści, który sprawdza, jaki efekt wywierają jego słowa. Wziął do rąk smakowitą pomarańczę, szybko obrał ją ze skórki i zajął się ze smakiem, wypluwając pestki na ziemię. Wkrótce zebrała się ich spora kupka.

Natknąłem się na nich późnym popołudniem. Ponieważ nie jestem tak dobrym bazarzem jak Hasan, powiem tylko, że wydali mi się parą młodych, naiwnych i bardzo zmęczonych turystów, wyczerpanych bezcelową wędrówką po medynie. Trafili na dziedziniec domu niedaleko meczetu AI-Qasba. Budynek należy do mojego przyjaciela, który pojechał odwiedzić teściów w Meknes. Jak zawsze, kiedy wyjeżdża z domu, dał mi klucze, abym wszystkiego przypilnował.

Właśnie odpoczywałem na dziedzińcu, gdy usłyszałem jakieś głosy. Kiedy otworzyłem oczy, ku własnemu zaskoczeniu dostrzegłem w kącie ogrodu, wśród kwitnących drzew i krzewów, ukrywających się mężczyznę i kobietę. Ich ubiór, jakkolwiek skromny, świadczył o tym, że są cudzoziemcami. Ona miała na sobie wypłowiałe džinsy, klapki i białą koszulkę z napisem „I love New York”. On miał przytroczoną do pasa butelkę wody i wciąż spoglądał na sfatygowaną mapę medyny. Oboje byli zakurzeni i przepoceni, jak to zwykle bywa z cudzoziemcami, gdy pochodzą przez chwilę w naszym upalnym słońcu. Jeżeli chodzi o ich wygląd, który był przedmiotem tak licznych dyskusji, ja bym powiedział, że on

był chudy i wyglądał, mówiąc szczerze, jakby cierpiał na zatwardzenie. Ona była ładna w tani, oszukańczy sposób, nosiła bowiem mocny makijaż, który zmienia nawet mało atrakcyjne kobiety w tajemnicze obiekty pożądania. Innymi słowy, nie było w nich nic niezwykłego. Najpierw chciałem ich przegonić, ale była w nich jakaś bezradność, która mnie powstrzymała. Zauważyłem, że dziewczyna płacze bezgłośnie, a on, raczej mało efektywnie, choć z wielką czułością, stara się ją pocieszyć i ściera jej łzy z policzków. Nie zdawali sobie chyba sprawy z tego, że weszli na teren prywatnej posiadłości. Wydawało się, że krzewy, wśród których się skryli, zostały zasadzone tylko po to, by dać im schronienie.

Jusuf wbił zęby w pomarańczę. Sok ściekał mu po brodzie.

Po chwili kobieta przestała ronić łzy, a towarzyszący jej mężczyzna z widoczną ulgą zajął się zniszczonym skórzanym portfelem, który już wcześniej wyjął z kieszeni. Opróżniał go teraz z zawartości, którą stanowiły głównie monety i parę banknotów. Policzył pieniądze, a potem zwrócił się do dziewczyny. To, co powiedział, sprawiło, że znowu się rozpłakała.

Już miałem zaoferować im pomoc, ale przypomniałem sobie o obowiązkach dozorczy i pomyślałem, że raczej powinienem ich wyrzucić. Uwierzcie mi, kiedy mówię, że wcale nie miałem na to ochoty. Nie znoszę bowiem konfrontacji. Jest to wada, za którą często obrywałem od ojca. Tego wieczoru jednak los mi sprzyjał, ponieważ zanim zmobilizowałem się do działania, oni opuścili dziedziniec i wyszli na ulicę.

Śmiejąc się z cicha, Jusuf zakończył relację zdawkowym machnięciem ręki. - To wszystko, moi przyjaciele. Ot, zwyczajne spotkanie, choć różnie mogło się potoczyć. Byli zwykłymi turystami, którym wyraźnie nie sprzyjało szczęście. Naprawdę nie ma powodu, by postrzegać ich tak jak nasz przyjaciel Tuareg.

SKRADZONE HANTLE

Kiedy Jusuf skończył mówić, sklepikarz Mohammed wydawał się jeszcze mniej zadowolony niż po wystąpieniu Tuarega. Wstał i opuścił krąg słuchaczy w bardzo złym nastroju, bez pożegnania. Jusuf tymczasem stał w miejscu, spokojnie spożywając swój niewyczerpany zapas pomarańczy, i spoglądał na słuchaczy, aby sprawdzić, jakie zrobił na nich wrażenie.

Usiłowałem się skupić. Kiedy chciałem na nowo podjąć opowieść, trafiłem na kolejną przeszkodę.

- Jak wyglądali? - rzucił ktoś do Jusufa.

- Byłem pewien, że ich opisałem — odpowiedział, równie zirytowany jak zaskoczony.

- Podaj szczegóły. Kolor włosów, oczu, wzrost i tak dalej.

Pytania zadawał młody, przysadzisty śniady mężczyzna, który trzymał tęce w kieszeniach i wyglądał na zawodowego kulturystę. Twarz świeciła mu się od potu, jakby właśnie skończył serię wyczerpujących ćwiczeń.

Stanął na wprost Jusufa, który odruchowo się cofnął.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - zapytał drżącym jak trzcina głosem.

- Ponieważ opisałeś ich bardzo ogólnikowo.

- Kobieta była wysoka, trochę za bardzo przy kości — mówił wolno Jusuf i przesuwając koniuszek języka po wargach. - Wyższa od mężczyzny. Miała cienkie, brązowe włosy, brudne nogi. On nosił wyświechtaną brązową kurtkę. Okulary bez oprawek. Miał jasne włosy i ogoloną twarz.

Kulturysta skrzywił się i wysunął podbródek.

- To nonsens.

- jak to? - zapytał z zapartym tchem syn handlarza pomarańczami.

- Twój opis zaprzecza wszystkiemu, co dotąd usłyszeliśmy. Po prostu zmyślasz. Jesteś kłamcą.

Wymawiając słowo „kłamca”, mężczyzna specjalnie przeciągnął głoskę, by lepiej je zaakcentować.

Jusuf drgnął i skoczył na równe nogi. Przy muskularnym młodzieńcu wydawał się kruchy jak źdźbło słomy. Krew odpłynęła mu z twarzy, usta Pobladyły. Wyglądał okropnie.

- Masz czelność kwestionować moją prawdomówność?! — zakrzyknął. Spojrzał na mnie, szukając wsparcia, ale ja zbyt dobrze się teraz bawiłem.

- Mówię ci, że jesteś nic niewartym śmieciem i popaprańcem.

- A wszyscy inni? Nikt ich dokładnie nie pamięta. Mój opis jest tak samo dobry!

- Mówię o tobie, nie o innych.

Obaj patrzyli na siebie z wściekłością. Jusuf zdawał się niewzruszony, mimo iż nie miał żadnych szans. Kulturysta pochylił się do przodu i przyłożył masywną pięść do klatki piersiowej sprzedawcy pomarańczy.

- Kogo obchodzą twoje lenistwo i teściowie bogatego przyjaciela? -zawołał. - Nie jesteśmy tu po to, by słuchać twoich głupich historyjek, półgłówku!

Wskazał boksterską szczęką na mnie i dodał:

- Pozwól mówić temu człowiekowi, jasne? Jego wersja bardziej mi się podoba.

Jusuf zrobił krok do tyłu. Na jego pobladłej twarzy malowały się oburzenie i strach.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - powiedział z uporem. - Nie pozwolę szkalować mojej reputacji.

Wtedy kulturysta ostatecznie stracił cierpliwość.

- Czyżby?! — wrzasnął. - Wynoś się stąd natychmiast, bo cię... Niewypowiedziana groźba okazała się skuteczna - Jusuf szybko opuścił krąg słuchaczy. Kiedy odchodził, jego sylwetka kurczyła się stopniowo, aż stała się ledwie czarnym punkcikiem na placu.

- No, to załatwione - oznajmił kulturysta z charakterystyczną dla siebie elokwencją, po czym zwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem: — Nie lubię, jak mi ktoś psuje opowiadanie. Możesz na mnie liczyć, jeśli jakiś dureń znowu będzie próbował popsuć wszystkim zabawę. Jestem Husajn. Pochodzę z Zagory, z samego Południa. Dopiero co tu przyjechałem. Podnoszę ciężary. Mogę wycisnąć sto jedną ręką. Stoję tam, po zachodniej stronie placu, przed Cafe de France.

Uśmiechnąłem się do niego, wdzięczny za tak szybką i skuteczną interwencję. Rozpoznał, jak niebezpieczny był Jusuf, i przywrócił mojej opowieści niezbędną tajemniczość.

Nagle do Husajna podbiegł chłopiec w podartej tunice i szepnął mu coś do ucha. Ten zerwał się jak oparzony.

- Ktoś ukradł moje hantle! - krzyknął, rozglądając się na wszystkie strony. - Muszę lecieć!

Odwrócił się i pobiegł za chłopcem z determinacją psa goniącego za zającem. Patrzyliśmy za nim, i na pewno nie tylko ja się w tym momencie zastanawiałem, czy nie była to aby sprawka Jusufa.

NAJAZD MAURÓW NA HISZPANIĘ

Wojownicza postawa Husajna podziałała jak balsam na moją duszę. Kulturysta mówił w podnieceniu, bezładnie, lecz prosto z serca, i jego pewność siebie dodała mi nadziei i nowych sił. Byłem gotów podjąć wątek opowieści w miejscu, w którym wtrącił się Jusuf, ale z nową energią. Pogląskałem się po brodzie i obserwowałem publiczność. Patrzyłem na twarze - czy były czujne i przejęte, czy też ospałe i zimne. Była to uczta, z której nie mogłem odejść.

Myśli słuchaczy unosiły się w powietrzu. Dochodziły mnie głosy i zamknąłem oczy, żeby je wysłuchać i odgadnąć ich znaczenie. Tak czynią mistrzowie opowieści i mija dużo czasu, zanim posiadą tę umiejętność. W wiosce było mi znacznie łatwiej, bo otulony ciszą, nie natrafiałem na wiele przeszkód w nasłuchiowaniu. Trzeba było tylko odróżnić słowa od towarzyszących im dźwięków - brzęczenia owadów, szmeru strumieni, szeptu wiatru - a cała reszta przychodziła sama. Historie wyłaniały się z sennych marzeń na jawie.

W mieście było inaczej. Tu dźwięki były głośnie i ostre, a wysiłek, jaki musiałem włożyć, aby oddzielić słowa od otaczającej mnie kakofonii, przyprawiał mnie o zawroty głowy.

Pierwszy raz przyjechałem do Marrakeszu z ojcem. Miałem sześć lat, kiedy zdecydował, że powinienem mu towarzyszyć i poznać smak naszego rzemiosła, patrząc, jak opowiada. Przychodziliśmy na Dżama późnym popołudniem i opuszczaliśmy go dopiero po północy. Spaliśmy w chacie wujka

Mohammeda, w dzielnicy Berrima, poza murami medyny. Zwykle mogłem spać aż do południa, gdy ojciec wracał z porannego spaceru po targowisku. W inne dni uciekaliśmy przed palącym żarem słońca do chłodnych, zacienionych pałaców medyny. Ojciec znał wszystkich strażników, którzy z szacunku dla jego wiedzy często - choć nie zawsze - pozwalali nam wejść bez opłaty. W pałacach było wiele historycznych obrazów i ojciec, z typową dla niego cierpliwością, objaśniał mi znaczenie przedstawionych na nich scen. Najbardziej podobały mi się sceny bitewne, zwłaszcza wspaniałe malowidło w pałacu Al-Bahia, zatytułowane *Najazd Maurów na Hiszpanię*. Obraz przedstawia szturm na Badajoz, bitwę, w której nasz sułtan z dynastii Almorawidów, Jusuf ibn Tazfin, założyciel Marrakeszu, rozgromił siły chrześcijan. Namalowany został w stylu europejskim i ukazuje bitwę z perspektywy Hiszpanów. Mosiężna tabliczka na dole ramy informowała, że na twórczość malarza wpłynęły dzieła kogoś o nazwisku El Greco. Byłem zafascynowany tym obrazem, ponieważ Hiszpanie, przedstawieni na pierwszym planie, mieli dziwnie wydłużone ciała i głowy. Wyglądali na słabeuszy - zupełnie zniewieściałych - i wcale mnie nie zdziwiło, że nie zdołali stawić oporu nieustępliwym zastępom Maurów, które zobrazowano jako rozczarowujący, bezkształtny ciemny tłum na horyzoncie. Trochę później, kiedy miałem już dziewięć lat, znalazłem na bruku Dżama zniszczoną hiszpańską książkę. Rysunek na okładce przedstawiał skandalicznie chudego hiszpańskiego rycerza nacierającego na wiatraki. Odtąd przez resztę dzieciństwa odnosiłem się do Hiszpanów z pogardą. Mój ojciec był tradycyjnym bazarzem i wielkim znawcą kultury ludowej, ale wyróżniała go też niezwykła erudycja. Był to prawdziwy dar - ojciec wychowywał się w górskiej wiosce i nie odebrał nigdy tradycyjnego wykształcenia. Znał kilka dialektów berberyjskich, mówił biegle po arabsku, a nawet potrafił wpleść w swoje opowieści, kiedy uznał to za stosowne, kilka słów z francuskiego i innych języków obcych. Był bystrym obserwatorem i jego opowieści pełne były niezwykle barwnych postaci. Najlepsze z jego historii układały się w całe serie odcinków. Można je było opowiadać tygodniami, zanim następował mrozący krew w żyłach finał. Ojciec był wysokim mężczyzną o krótko

przystrzyżonych włosach. Zawsze był uprzejmy i opanowany, ale niekiedy emanował z niego również pe-

wien rodzaj ciemnej energii. Każdej wiosny, gdy tylko stopniały śniegi, opanowywał go czarny nastrój i wtedy przez co najmniej kilka dni trzymaliśmy się od niego z daleka. Chodziły plotki, że w młodości zabił kobietę, która nie dochowała mu wierności, i jej duch co roku go nawiedzał. Wystarczyło się do niego zbliżyć, aby pod maską powściągliwości wyczuć napięcie i gorycz towarzyszącą wspomnieniu dawnej zdrady. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, nie dziwi mnie, że jego ulubionym tematem była tęsknota.

Poza momentami, kiedy opowiadał, prawie się nie odzywał. Przeciwności życiowe wyłobiły głęboki rów między jego oczami, co sprawiło, że zawsze wyglądał na zmartwionego i przygnębionego. Czasem zastanawiałem się, czy jego rozgoryczenie nie było przesadne - być może stanowiło przejaw jakiegoś innego, nieznanego mi cierpienia - ale nie miałem mu tego za złe. Nadawało mu charakteru, za co go szanowałem. Był dla mnie dobry i okazywał mi wielką cierpliwość, kiedy przybywaliśmy do Marrakeszu.

BADAJÓZ

Wujek Mohammed, u którego nocowaliśmy w Marrakeszu, pracował dorywczo jako robotnik.

Był czarną owcą w rodzinie, ale uwielbiał mojego ojca, którego uważał za człowieka bez skazy. Choć w jego rozpadającym się domu były tylko dwa pomieszczenia, zawsze nalegał, aby starszy brat i bratanek zajęli jedno z nich, a sam spał wówczas pod gołym niebem, co było powodem jego ustawicznych kłótni z żoną, przeokropną jędzą. Miała do niego pretensje, że odmawia zapłaty za noclegi, i wymyślała na niego od najgorszych pod nieobecność mojego ojca. Ale wujek był nieustępliwy i nie chciał słyszeć o żadnych zmianach.

Przez pierwsze dwa lata trzymałem się przy boku ojca, kiedy opowiadał historie, i uczyłem się słuchać i mieć szeroko otwarte oczy i uszy na wszystko, co działo się wokół. Ojciec wiedział, że Dżama jest jak ośelka dla wyobraźni, a wciąż zmieniający się układ postaci i ról to prawdziwa biblioteka dla praktykanta, który może buszować w niej do woli, kiedy poznaje i rozwija subtelne

umiejętności swojego rzemiosła. Ja jednak byłem niespokojnym dzieckiem i często odbiegałem myślą od skomplikowanych opowiadań ojca. Nawet jeśli poczucie winy wyrывało mnie z zamyślenia, gdy tylko zgubiłem nić wiążącą opowieści, to i tak cały dzień był dla mnie stracony. Ojciec często przyłapywał mnie, jak śniłem na jawie, ale nigdy mnie nie karał. Przeciwnie, starał się mnie raczej zachęcić, abym zaczął układać własne opowieści.

Po tym, jak zobaczyłem *Najazd Maurów na Hiszpanię*, całymi godzinami odgrywałem tę bitwę na nowo, wymyślając rozliczne krwawe potyczki, z których armia muzułmańska zawsze wychodziła zwycięsko. Siadałem za ojcem w rogu kilimu i na jego geometrycznych wzorach zaznaczałem pozycje obu armii. Fałdy dywanu tworzyły zarys dolin i wzgórz, gdzie formowały się zastępy wojowników, których figurki przez wiele dni wystrugiwałem z okrawków drewna. Dzielnym muzułmańskim szwadronom nadawałem nazwy żywiołów: Dym, Ogień, Woda, Ziemia, Powietrze. Wychudzeni Hiszpanie byli tylko z grubsza ociosani i stanowili zaledwie czarny tłum, zmuszany do ucieczki za każdym razem, gdy tylko rozpętałem niezwyciężoną siłę żywiołów. Taka była moja zemsta na malarzu bitwy pod Badajoz. Doznawałem ogromnej satysfakcji, przywracając w ten sposób rzeczywisty przebieg wydarzeń.

Zajmowałem się odtwarzaniem bitwy przez dwa sezony, do czasu, gdy przysadzisty i dobroduszny niemiecki turysta zaoferował mi całkiem niezłą sumkę, jak mi się wtedy wydawało, za moich kunsztownie wyrzeźbionych Almorawidów. Najpierw mu odmówiłem, ale kiedy przyszedł następnego dnia, w przypiływie głupoty przyjąłem od niego kilka drobnych monet i zdradziłem mu swoje powołanie strażnika historii.

Tej nocy załamałem się i trwałem pogrążony w rozpacz przez wiele dni. Wujek zachęcał, abym odtworzył armie, ale ja straciłem ducha. Przerażony własną chciwością, uznałem, że nie jestem godny, by strzec muzułmańskiej sprawy.

Ojciec śmiał się z mojego spóźnionego żalu.

Pewnej nocy, kiedy kładliśmy się spać, wyciągnął rękę i rozwichrzył nu włosy.

- Nigdy nie sprzedawaj marzeń - powiedział.

NIEWIDZIALNE OKO

Kiedy przyjechałem z ojcem na Dzama trzeciego roku, chciałem trochę więcej zarobić, zatrudniłem się więc przy jednej z wielu budek z jedzeniem. Jej właściciel nazywał się Abdul Salem i od urodzenia mieszkał w Marrakeszu. Niski, chudy i blady, pochodził z biednej rodziny i bardzo ciężko pracował, by zarobić na zezwolenie na handel. Prowadzenie interesu pochłaniało całą jego energię; tyrał jak wół od świtu do wieczoru i tego samego oczekiwał od wszystkich swoich pracowników. Czasem, kiedy wydawało mu się, że nie wykonują obowiązków, pogonił ich kijem. Mnie zostawiał w spokoju, bo bał się mojego ojca - był przekonany, że potrafi on przywoływać zmarłych.

Abdul Salem lubił recytować wersety z Koranu na zmianę z pieśniami rai z Algierii i Rifu.

Miał wielu klientów i dobrze zarabiał, ale praca u niego była ciężka i nudna. Byłem chłopakiem do wszystkiego, więc pomagałem w rozmaitych pracach, od krojenia jarzyn po zmywanie długich drewnianych stołów i ław ustawionych przed straganem. Sprzedawaliśmy bruschettę, sałatki z oliwek, kanapki z rybą, i takie przysmaki, jak *kefta*, *habra*, *meszwi*, *bstilla*, *fekkas*, *dulla*, mleczko migdałowe i cierpki napój imbirowy nazywany *hendendżal*, uważany za afrodyzjak. Największym powodzeniem cieszyła się krwistoczerwona *merguez*, którą mój pracodawca przyrządzał pikantną harissą własnego wyrobu. Był niezmiernie dumny ze swojej hanssy. Lubiał powtarzać: *Prawdziwego mężczyznę można poznać po tym, jak mu smakuje moja harissa!*

Pracowałem na straganie od dziewiątej rano do czwartej po południu, kiedy to dołączałem do ojca siedzącego po drugiej stronie placu. Najbardziej dłużyły mi się godziny między posiłkami, zwłaszcza późnym popołudniem. Wypełniałem je, wyobrażając sobie, że jestem niewidzialnym okiem wędrującym po placu. Tej sztuczki, doskonalącej wyobraźnię i pamięć nauczył mnie ojciec. Oko wędrowało swobodnie, a ja zapisywałem w pamięci zobaczone rzeczy, których coraz to dłuższą listę przedstawiałem później ojcu. Wyznaczył mi cel - miałem zapamiętać sto różnych

przedmiotów; byłem bardzo dumny kiedy nadszedł dzień, w którym mogłem je wszystkie wymienić.

Te listy były jak smużki dymu, które potrafiłem wyczarować z niczego. Raz pochwycone, stanowiły dla mnie drogę ucieczki i dodawały mi pewności siebie. Najpierw były przypadkowe: kanarek w klatce, ręcznie wpleciony kosz, berberyjska biżuteria, lśniące tahalia - duże dekoracyjne talerze z Fezu -w barwach błękitu, zieleni i żółci, delikatnie zdobione terakotowe lampki oliwne, miedziane dzbanki na wodę i srebrne czajniki do herbaty, mosiężna ręka Fatimy broniąca przed złym okiem, żelazne krzesła, rozdrażnione gęsi i kury, jedwabne frędzle, skórzane pantofle, dzellaby i burki, sterty suszonych listków mięty, plastikowe pojemniki wypełnione owocami jojoby, liśćmi kawa kawa, indygo, kryształkami róży pustyni, kozieradką i ambrą. Później stawiałem mojej pamięci bardziej wymagające zadania, ograniczając wymienianie do listy poszczególnych rzeczy, jak kandyzowane owoce, ręcznie malowane puzderka albo wielbłądzie siodła. Pewnego dnia, kiedy miałem już dość wyliczanek, zadałem mojemu oku jeszcze większy trud. Starąłem się widzieć przez zasłonę drzwi i ścian albo zdjąć brukowaną nawierzchnię z Dżama i odsłonić tysiące zakonserwowanych głów straceńców, których senne oblicza nadziano tutaj na pale. W innym miejscu odkryłem rozległe obszary usłane kwiatem jaśminu.

Zacząłem siebie nazywać Mistrzem Niewidzialnego Oka. Nikt i nic nie uszło mojemu badawczemu spojrzeniu. Wzbudzałem strach nawet w najbardziej zatwardziałych przestępcach. Kiedy powiedziałem o tym ojcu, ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem arogancji.

ZAUQ

Głęboko w sercu medyny, na drugim piętrze pałacu Dat Si Said, znajduje się komnata ślubna pokryta od podłogi do sufitu płytkami zellidżu z cedrowego drewna z gór Atlasu, pokrytymi kwiatowymi i geometrycznym wzorami. W rogu komnaty, na małej desce, innej od otaczających ją paneli, stylizowany drzeworyt przedstawia mistrza opowieści z Dżama z siedzą-

cym obok synkiem. Choć ten unikalny - figuratywny - drzeworyt ma ponad sto lat, lubię myśleć, że przedstawia nas z ojcem. Cieszy mnie nieśmiertelność wyrytej w drewnie sceny, której z jakiegoś powodu nie objął obowiązujący w islamie zakaz obrazowania.

W przeszłości, kiedy siadałem w cieniu ojca na kilimie, myślałem o tym drzeworycie i starałem się siedzieć nieruchomo, naśladowując bezruch tamtych postaci. Pewnego razu przechodząca zawoalowana kobieta dała mi pięć dirhamów i parę lepkich cukierków, tak zaimponowała jej moja umiejętności. Ojciec zmarszczył brwi, kiedy zobaczył monetę, wyraźnie zakłopotany sposobem jej zdobycia.

- Wierzę w nieśmiertelność sztuki słowa. Nie pochwalam uciekania się do wybiegów. Nigdy nie wolno mieszać świata rzeczywistego z czystością wyobraźni - powiedział.

W tej samej komnacie pałacu Dar Si Said stoi świecznik, który bardzo mi się spodobał. Został on wykonany ręcznie z siatki cieniutkich drucików, na które nawleczono koraliki przypominające owady złapane w bursztynie. Od razu się w nim zakochałem. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, było już po zmroku. Zachodzące słońce przetarło odległe szczyty górskie wyblakłym szkarłatem, a przez witraż w oknie wpadł promień zamierającego światła i rozpałił wewnętrzny blask świecznika. Potem śniłem o nim każdej nocy. Łączyły nas uspokajająca wzajemna empatia, wspólny puls, wibracja, która wprawiała mnie w drżenie za każdym razem, kiedy tylko przywoływałem go w pamięci. Szczęśliwy, leżałem w łóżku z uśmiechem na twarzy.

Pewnej nocy wuj Mohammed zapytał, co mi się śniło, a kiedy mu powiedziałem, ryknął gromkim śmiechem.

- No, przynajmniej twoje wariactwo jest nieszkodliwe - powiedział - w przeciwieństwie do innych. Rzeczy martwe nie gryzą i nie prześladują bez ustanku.

Spojrzał znacząco przez ramię na ciotkę, która siedziała w kuchni. - Podaruj mi ten twój sen na jawie. Bardzo by mi się przydał.

Po chwili dodał jeszcze:

- Strzeż się kobiet. Są niebezpieczne.

HOTEL ALI

- To była piękna kobieta - powiedział Abdullah ze smutnym uśmiechem i wiedziałem, że mówi prawdę. Gdy spojrzał na mnie, dostrzegłem błysk podziwu w jego oczach.

Abdullah należał do moich regularnych słuchaczy; był Berberem z doliny Dades we wschodniej części Atlasu. Chodziły pogłoski, iż był synem kaida, plemiennego przywódcy, który popadł w niełaskę. Odkąd go znam, pracuje jako kelner w znanym hotelu Ali, na Rue Moulay Ismail, niedaleko Dżama al-Fna. Kiedy go nie było, dawało się wyczuć pustkę. Dlatego wieczór zaczynaliśmy dopiero wtedy, kiedy pobłogosławił nas swoją obecnością.

- O kim mówisz, Abdullahu? - zaczepił go ktoś.

Łagodny Abdullah zamknął oczy, przywołując z pamięci dawne zdarzenia.

- O parze nieznajomych na placu - odpowiedział miękko. - O dwojgu cudzoziemców. Ona miała niebieskie oczy i złote włosy. Wciąż o niej marzę.

- Myślałem, że miała ciemne oczy i ciemne włosy - wtrącił z rozdrażnieniem ten sam głos.

- Mylisz się — odparł Abdullah tak pewnie, że nie wątpiliśmy w jego szczerość. — Jej wizerunek pozostawił we mnie niezatarty ślad i wciąż widzę ją oczami duszy. Nie mogę o niej zapomnieć.

Zawahał się przez chwilę. Zacerwieniły mu się uszy.

- Nie mam powodu kłamać. Właśnie otrzymałem diagnozę. Mam raka i wkrótce umrę. Ale wspomnienie o niej zabiorę ze sobą do grobu.

- Nie bądź aż takim fatalistą - powiedziałem łagodnym tonem.

- W tej chwili jestem realistą — odpowiedział z uśmiechem. Zakasłał cicho, a w tym stłumionym odgłosie wyczuliśmy jad trawiącej go śmiertelnej choroby. Pochylił głowę, świadomy naszych badawczych spojrzeń. - To nie ja jestem przedmiotem dyskusji - powiedział niezręcznie. - Posłuchajcie, co mam do powiedzenia. W tej historii jest wiele niespodzianek.- Szybkim gestem odsunął z czoła opadający kosmyk włosów. Spojrzał ponad naszymi głowami na plac i otworzył szeroko oczy, jakby leciał w dół

ciemnej studni pamięci. Wciąż patrząc na plac, opisał wydarzenia tamtej nocy, dodając coraz to nowe informacje z właściwą sobie dbałością o nawet najdrobniejsze szczegóły.

Pracowałem na nocnej zmianie. Była dokładnie dziewiąta. Jestem tego pewien, ponieważ antyczny zegar w restauracji wybija godziny i także tym razem policzyłem uderzenia. Zegar, tak jak większość przedmiotów w restauracji, pochodzi z minionego wieku. Dywany, otomany i kanapy pochodzą z czasów sułtana Mulaja Abdul Aziza. Mówi się, że solniczki należały do paszy al-Gławiego, wykafelkowane podłogi i ściany powstały na przełomie wieków, a gliniane garnki tadżin i czajniki do herbaty sprowadzone zostały ze średniowiecznego karawanseraju z Mali.

W restauracji było gorąco. Powiesiłem marynarkę na wieszaku w korytarzu i pracowałem w samej koszuli. Za oszkloną przegrodą kasjer Idris podliczał dzienny utarg. Kucharze grali w karty przy stole, pilnując smakowitego tadżinu. W którymś momencie przewróciło się przechylone krzesło; dźwięk temu towarzyszący przypominał skrzek rozgniewanego ptaka. Zewsząd dochodziły odgłosy restauracyjnego harmideru: brzęk garnków i sztućców, urywki przyciszonych rozmów w wielu językach, echa śmiechu i zawołań. Daniem wieczoru była zupa figowa. Raz za razem napełniałem miseczki ciepłą przezroczystą cieczą i podawałem je turystom.

Tych dwoje pojawiło się znikąd. Na chwilę odwróciłem wzrok od stolików, a oni sekundę później byli już na sali. Restauracyjny zgiełk nagle ucichł. Spojrzenia znieruchomiały. Cień wypełnił salę. Wtedy młoda kobieta podeszła do mnie lekkim krokiem.

- Jesteśmy bardzo zmęczeni — wyszeptała. — Czy możemy dostać stół w spokojnym miejscu?

Już po pierwszych jej słowach zorientowałem się, że oboje są cudzoziemcami. Ona mówiła z dziwnym akcentem, a jego strój i gesty zdradzały światowe pochodzenie. Zaprowadziłem ich do bocznej sali, przyciemniłem światła i bezszelestnie odsunąłem krzesła. On usiadł na kanapie i zamknął oczy. Miał dystygowaną, ale wyraźnie zmęczoną twarz, którą okalał wypięłgnowany zarost. Przyniosłem im wodę o zapachu kwiatu pomarańczy. Ona rozpu-

ściła w szklance białą tabletkę i podała mu ją do wypicia. Patrzyłem na nich z taką uwagą, że wyglądaliśmy na trójkę kompanów.

Z niezwykłą dla mnie śmiałością zapytałem, skąd przybyli.

- Z bardzo daleka - zbył mnie, niezbyt skłonny do podjęcia rozmowy.

- On pochodzi z Indii - odpowiedziała kobieta. - Ja jestem pół Francuzką, pół Amerykanką. Nigdy przedtem nie byliśmy na Dżama.

- A w Marrakeszu?

- To nasz pierwszy raz.

- A w Maroku?

- Też pierwszy - odparła i uśmiechnęła się. — Cały dzień chodziliśmy po medynie. To dobre miejsce, jak ktoś chce się zgubić.

Wskazując na brodę mężczyzny, zapytałem, czy jest muzułmaninem. Przyłożył rękę do serca, ale nic nie odpowiedział.

- Jestem fanem hinduskich filmów, szczególnie tych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Uwielbiam hinduskich aktorów i piosenkarzy. Geeta Dutt, Kishore Kumar, Lata Mangeshkar, Mohammed Rafi. Są tacy łagodni i niewinni. To rzadka cecha.

Pokiwał zdawkowo głową, ale nie przerwał milczenia.

- Mam nadzieję, że wam się tu podoba - dodałem przyjaźnie. Wracając do głównej sali jadalnej, przeszukałem pudełko z kasetami

i znalazłem starą kolekcję pieśni Mohammeda Rafi. Wkrótce zabrzmiała piosenka o miłości, smutna melodia pełna tęsknoty i nadziei.

Kiedy wróciłem, aby ich obsłużyć, siedzieli tak samo jak przedtem, pograżeni w milczeniu. On wydawał się obojętny na wszystko. Nagle jęknął i zaczął pocierać palcami czoło. Zaniepokojona kobieta pochyliła się i pochwyciła jego dłoń. Zacisnął prawą rękę na jej nadgarstku. Patrzyła na niego opiekuńczo, szeptała czułe słowa i gładziła go po policzkach. Uszanowałem ich prywatność i oddaliłem się, zostawiając ich samym sobie.

Kiedy przyniosłem rachunek, zapytała, kiedy zacznie się gra na bębnach na placu. Ostrzegłem ich, żeby nie wybierali się tam tak późno.

- Ależ musimy posłuchać tętniących bębnów - odpowiedziała. Jej niebieskie oczy iskrzyły się z entuzjazmu. - Tyle o nich słyszeliśmy, i o muzykach, którzy przyjeżdżają tu z daleka,

- Ach tak, przyjeżdżają ze wszystkich stron: z Nigeru, Mali, Rifu, Atlasu,

Sahary i Sahelu. Grają na gimbri, ghajtach, udach. Przez całą noc słysząc, jak wybijają pierwotny rytm. Ale to niebezpieczne miejsce. Grasują tam kieszonkowcy, złodzieje i masa innych rzezimieszków. Mężczyźni, nawet muzułmanie, palą kif i są często pijani. Tracą kontrolę nad sobą. Dzieją się różne rzeczy. Słyszałem o tym dużo złego. W końcu zwróciłem się do mężczyzny:

- Nie idźcie tam. Nie bierz jej tam.

Nie wiem, czy mnie usłyszał. Wydawał się błędzić myślami gdzieś bardzo daleko. Wstał od stolika, a ona odwróciła się i patrzyła na niego z niezwykłym napięciem.

- Będziemy uważać - odparł niskim głosem i zbył moje rady wzruszeniem ramion.

- Bardzo dziękujemy. Wszystko bardzo nam smakowało, szczególnie zupa figowa - dodała dziewczyna.

- Przyjdźcie jutro, ale w dzień, na naszą tandżiję — zapraszałem. -Wszyscy w Marrakeszu wiedzą o naszej tandżiji. Słynie na cały świat.

Kobieta odwróciła się w stronę placu.

- Nie mogę się już doczekać dźwięku tamburynów. Muzyka jak za dawnych czasów. Tak długo na to czekałam.

Nie miałem nic do dodania. Zrezygnowany, potaknąłem przyzwalająco. Zostawili mi dziesięć dirhamów napiwku.

- *Ma as-salama* - pożegnała mnie po arabsku z uśmiechem. Patrzyłem z drżeniem serca, jak odchodzą.

Tarika salama, pomyślałem.

Lampka oliwna na ich stoliku zgasła. Na dnie zostało kilka mętów. Jedna z naszych kotek wskoczyła na stół i rzuciła się w pogoń za ćmą. Zepchnąłem ją na ziemię. Zamruczała i otarła się o moje nogi. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem wtedy o moim domu, o jego solidnych drewnianych drzwiach, o bezpieczeństwie czterech ścian. W takim domu żyje się poza czasem. Potem zwróciłem swoje myśli ku Dżama al-Fna' i jego otwartej przestrzeni, gdzie w każdej chwili mogło się coś wydarzyć.

Tej nocy śniłem, że Dżama był oproszony śniegiem. Warstwa skrzącego ^{s1} lodu pokrywała okoliczne dachy i cały pejzaż wyglądał niczym wyrzeźbiony z kryształu. Stalaktyty zwisały z trzciniowych dachów qajsarijji,

stalagmity wystawały z wyłożonych zellidżem podłóg w pałacach. Lśniaca tafla lodu pokrywała Palmeraie i ciągnęła się aż do zboczy Atlasu.

W innym moim śnie fala wody, ogromna jak ściana, przetoczyła się przez Dżama i wszystko pochłonęła.

DŻAMUR

— Byli małżeństwem — powiedział ktoś autorytatywnie. — Mogę o tym zaświadczyć. Ona nosiła obrączkę, choć brakowało jej tej pewności siebie, którą odznaczają się zamężne kobiety. Bezgraniczna wiara we wszystko, co powie mąż, nie świadczy o jej doświadczeniu. Ona zaś była nieśmiała; tak nieśmiała jak dopiero co rozniecony pustynny ogień. Jeśli chodzi o wygląd, to nie zgadzam się z Abdullahem, choć cenię jego uczciwość. Była szczupła, średniego wzrostu, miała ciemne włosy i ciemne oczy, choć czasami, w odpowiednim świetle, wydawały się całkiem zielone. Mówił Samir, berberyjski kupiec, który na Dżama był pewnego rodzaju celebrytą, ponieważ jego nazwisko, a właściwie nazwa jego wioski, leżącej w pobliżu Tinzouline, została wpisana do *Księgi rekordów Guinnessa*. To historia cudu, i determinacji. A oto, jak się zdarzyła. Kilka lat temu, chcąc zwrócić uwagę na zły stan wiekowych kasb, niszczących wskutek erozji, mieszkańcy wioski skrzyknęli się i wyryli rekordową ilość piaskowych aniołów. W przedsięwzięciu tym wzięła udział cała społeczność, od maluchów nieumiejących jeszcze chodzić po dziewięćdziesięcioletnie staruszki. Nagrodą za ich trud była wzmianka w sławnej na całym świecie książce, emitowany w telewizji film dokumentalny, fundusze z Organizacji Narodów Zjednoczonych na odbudowę kasb oraz decyzja o wpisaniu wioski na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Samir przypisywał sobie zorganizowanie całej akcji. Nie chwalił się, po prostu stwierdzał fakt. Ponieważ nikt z wioski nie podważał jego zasług, cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem wśród bywalców Dżama. Choć od tamtej pory nie osiągnął zbyt wiele, to i tak uważany był za wzór do naśladowania, gdyż jego czyn zapisany został w rejestrze obywatelskich osiągnięć.

Wobec słów tak czcigodnego człowieka nawet Abdullah, syn kaida, mógł tylko milczeć.

- Może masz rację — mruknął, spuszczać wzrok. — Może rzeczywiście miała ciemne włosy i ciemne oczy.

- Pamięć bywa zawodna, przyjacielu - powiedział dobrodusznie Samir pełnym, gładkim, ale jakby bezbarwnym głosem.

- Doprawdy, pamięć jest zmienna jak kobieta — przytaknąłem. - Czasem zawodzi nawet najbardziej uczciwych ludzi. Ale opowiedz nam swoją historię, Samirze. Gdzie ich spotkałeś'?

- Gdzież by indziej niż w moim sklepie jubilerskim przy Suku aJ-Kebir? Przerwał, by spojrzeć, jaki efekt wywołały te słowa. Na jego twarzy malował się wysiłek, jakiego wymaga wspomnianie dawnych zdarzeń.

- Było około trzeciej po południu. Tego dnia ruch był mały i prawie nic nie sprzedałem. Pogodzony z losem, zamierzałem uciąć sobie drzemkę.

- Więc było to na długo przed tym, jak pojawili się w hotelu Ali? -zapytałem.

Samir rozprostował palce prawej ręki.

- O tak, dzień był jeszcze w pełni. Dlatego ją tak dobrze zapamiętałem. Zdawała się promieniować światłem.

Zwrócił się do Abdullaha z wielkodusznym uśmiechem:

- Może dlatego myślałeś, że miała złote włosy?

- Widziałem ją w ciemnościach, a nie w biały dzień — zaprzeczył Abdullah. - Drobnny szczegół, Si Abdullah - roześmiał się Samir. — Weszła do sklepu pierwsza, tak płomienna i ożywiona, że nie mogłem się na nią napatrzeć.

- Proszę wejść, proszę wejść — zawołałem. - *Bonjour, ęa va?* Nie musicie nic kupować, możecie się tylko porozglądać. Co za szczęście, że tak piękna *peri* była łaskawa zajrzeć w moje skromne progi! Ile sobie za nią życzysz? — zazartowałem. - *Qz coute combien?* Posiadam kasbę w Al-Qalaa M'Gouna, po wschodniej stronie gór; są tam piękne pokoje, stajnia i łaźnie. A jeśli wam się me spodoba, mogę was zabrać do Imilszil w Atlasie Środkowym na słynny targ oblubienic, gdzie dostaniesz za nią co najmniej pięćdziesiąt wielbłądów.

Możemy zamieszkać w namiocie w głębokiej dolinie, pomiędzy dwoma szmaragdowymi jeziorami — Isli, „narzeczony”, i Tisli, „narzeczona” — i celebrować jej zaręczyny z jakimś bogatym berberyjskim kaidem w wielkim stylu, tańcząc i ucztując, jak pewnie jeszcze nigdy dotąd nie miałeś okazji.

Młody mężczyzna uśmiechnął się tylko oschle i podniósł w górę lewą rękę swojej towarzyszki, aby pokazać mi ślubną obrączkę, raczej skromną, moim zdaniem, i nieliczącą z jej wielką urodą, ale nie podzieliłem się moimi przemyśleniami, ponieważ wyczułem, że mężczyzna nie byłby zadowolony.

— W takim razie — spytałem — czego szukacie, przyjaciele? Wszystko jest tutaj na sprzedaż. Mam amulety z Egiptu, złotą biżuterię z Timbaktu, srebrne bransolety z Nubii, a nawet ten oto antyczny naszyjnik z Sudanu, oszałamiającej piękności. Przyjrzyjcie się tym delikatnym kolczykom, prosto od złotników z dzielnicy żydowskiej, albo tym berberyjskim bransoletkom na kostki, ozdobionym dzwoneczkami i chwostami. Można je nosić o każdej porze, w domu i poza domem.

Ona była nastawiona bardziej przyjaźnie. Uśmiechnęła się do mnie i powoli przeszła przez cały sklep, łapczywie przyglądając się wszystkim przedmiotom. Cały czas była idealnie wyprostowana, niczym tancerka. Nie patrzyli na siebie. Postanowiłem dać im czas do namysłu i zapaliłem papierosa. W końcu się odezwała. W tonie jej głosu pobrzmiwał radosny śmiech. - Ile to kosztuje? - zapytała, wskazując amulet z bursztynu z zatopionym w środku złotym skarabeuszem.

- Ma pani doskonały gust, *madame*. Ten amulet pochodzi z Sahaty i nie jest zbyt drogi. Sprzedam go pani poniżej ceny, ponieważ jest pani radością dla moich oczu. Tylko i wyłącznie dla pani gotów jestem rozstać się z nim za ledwie siedemset dirhamów. Zwróciła się do swojego towarzysza. — Siedemdziesiąt dirhamów — powiedział z lekkim uśmiechem. Skłoniłem głowę, wiedząc, że oto gra się rozpoczęła. Targowaliśmy się zawzięcie, jak nakazuje kupiecki zwyczaj. Wspomniałem o mojej reputacji Berbera ze słynącego z uczciwości plemienia Ait Morghad. On udawał zainteresowanie srebrną dżebaną, naczyniem na kawę o wydłużonej szyjce, i grzebał w koszyku ze świecidełkami.

- Doprowadzi mnie pan do bankructwa, *monsieur* - powiedziałem z godnością i wymieniłem ostateczną cenę. - Po co się tak długo zastanawiać? - nalegałem. - To tylko błahostka dla pięknej oblubienicy. Jeden jej uśmiech wart jest znacznie więcej.

Ale on patrzył już na coś innego, i to z ogromnym zainteresowaniem. Po chwili odwrócił się do niej gwałtownie i coś wyszeptał. Podniosła brwi, pokiwała głową i spojrzała na mnie.

- Co to jest? - zapytała po francusku.

- To dżamur, *madame*, z kasby w ksarze, warownej wiosce w dolinie Draa niedaleko Tinzouline, skąd pochodzę. To bardzo stary i bardzo cenny obiekt. Dżamury zdobią kopuły dachów. Są wykonane, jak i ten, z polerowanego mosiądzu. Zwykle składają się z jednej do pięciu kul coraz to większych rozmiarów. Czasami wieńczy je nasze godło narodowe: gwiazda w półksiężycu. Najślawniejsze dżamury w Marrakeszu znajdują się na szczycie minaretu meczetu Kutubijja.

Przyglądali się dżamurowi przez dłuższą chwilę, po czym mężczyzna powiedział:

- Takim czymś można zabić.

Po raz pierwszy w życiu nie wiedziałem, co powiedzieć. Ku mojemu zaskoczeniu mężczyzna wyjął portfel, odliczył kilka banknotów i zapłacił ostatnią cenę, jakiej zażądałem za bursztynowy amulet.

- A co z dżamurem? - spytałem, ale on tylko machnął dłonią.

- To dobre dla kogoś, kto posiada dom, nie dla włóczęgi bez korzeni.

- W Maghrebie uważa się, że w pierwszej kolejności powinno się kupić dom i należy go sprzedać jako ostatni. Dom jest naszym grobowcem po tej stronie raju - odpowiedziałem.

- A jak się mają sprawy w twoim domu? - zapytał. - To tradycyjne pozdrowienie mieszkańców Maghrebu.

Uśmiechnąłem się, doceniając ten kurtuazyjny gest.

- Bardzo dobrze. Mój dom stoi tuż obok, za meczetem Muwassin. Kobieta przerwała naszą rozmowę i zaczęła mu dziękować za amulet, ale on odciągnął ją na bok i powiedział jej coś tak cicho, że nie byłem w stanie uchwycić jego słów.

- Jesteś dziś zbyt zmęczony - odparła.

- Czy mógłbyś polecić nam miejsce, skąd dobrze widać gwiazdy?
-zapytał.

- Każdy dach w medynie nada się do tego celu - powiedziałem zaskoczony.

Pokiwał poważnie głową, jakbym udzielił mu jakiejś ważnej informacji.

- Jeśli chcecie oglądać gwiazdy — poradziłem - polecałbym taras jednego z riadów poza obrębem medyny, gdzie dochodzi mniej światła z suków i ulicy i gdzie przez liście palm widać wędrówkę księżyca.

- Jesteś poetą - uśmiechnął się.

- Mam przyjaciela, który jest właścicielem takiego riadu. To Villa Qu-ieta, niedaleko Palmeraie. Jest dobrym gospodarzem i sprawiłoby mu przyjemność, gdyby mógł was gościć.

- A jeśli chodzi o Dżama al-Fna'? - nie ustępował. Roześmiałem się.

- Oczywiście, widać stamtąd niebo, ale dzieje się też wiele innych rzeczy, które odwrócą waszą uwagę.

- W takim razie pójdziemy na Dżama - stwierdził. Skonfundowany, wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

- Będę o was myślał wieczorem, patrząc na księżyc.

Mężczyzna przyklęknął, aby jeszcze raz przyjrzeć się dżamuwowi, a potem podniósł się i uściskał mi dłoń.

- Jak myślisz, przydałby się nam wieczorem na Dżama? - zapytał kobietę.

- Tylko w razie napadu, a to mało prawdopodobne. Komisariat policji jest tuż obok. Mają wszystko na oku.

Po tej enigmatycznej wymianie zdań wyszli ze sklepu, a ja, podobnie jak Abdullah, pomyślałem o moim domu, zadowolony, że mam dokąd wracać wieczorem. Pomyślałem o zimowym księżycu, który oświetla dachy domów i którego niebiesko-biała poświata przenika każde pomieszczenie po kolei. Czułem, że po tym spotkaniu całkiem inaczej będę postrzegał noc.

Samir przerwał i w zamyśleniu obracał w palcach wiązanie džellaby.

- Oczywiście - dodał - księżyc tej nocy wcale nie był niebiesko-biały. Nie było w nim nic uspokajającego. Był szkarłatny niczym przekrwione oko i napełnił mnie niepokojem.

PRAWDA

Samir westchnął i popatrzył w niebo, na którym nisko nad horyzontem zawisł księżyc — samotny i majestatyczny. Na jego twarzy malowały się melancholia i głęboki żal; wspomnienia przysłoniły jego rysy woalem smutku.

Odwrócił się i spojrział na mnie pytająco.

Wyprostowałem się.

- Z pewnością w domu jest bezpiecznie, ale jeszcze bezpieczniej jest w opowiadaniu, w którym wszystko się ze sobą wiąże. Nie można opowiedzieć naszej historii, gdyż nie możemy ustalić nawet najprostszych faktów, na przykład tego, jak wyglądała ta para wędrowców. Być może w trakcie zdawania relacji wszyscy chcemy być wierni prawdzie, ale polegamy także na pamięci, która pobudza w nas to, co my, bajarze z nienasyconym apetytem na szczegółowy opis tealiów, nazywamy wyobraźnią. Dlatego nawet jeśli wyzwolimy się z więzów czasu, to gubimy się w coraz delikatniejszych splotach wydarzeń, które sami tworzymy. Znowu wypada mi zadać pytanie, czym jest prawda. Czy to my mówimy prawdę, czy też rozmaite, czasem sprzeczne wersje nas samych tworzą różne prawdy? Szczególnie tutaj, na Dżama, gdzie w każdej chwili liczy się tylko to, co jest istotne. To, co przyciąga uwagę. To, co przekonuje. Teraz i przez następnych parę godzin czy lat. A przede wszystkim to, co jest piękne i powstaje z miłości, ponieważ prawda jest siostrą piękna. Tak jak promienna młoda kobieta z ciemnym i małomównym towarzyszem, tak prawda i piękno dopełniają się nawzajem.

DATURA

Dał się słyszeć inny głos:

- Zawsze się zastanawiałem, jak wyglądałby Anioł Śmierci, gdyby się objawił w ludzkiej postaci. Czy byłby podobny do tego Hindusa o zimnym, surowym profilu, pszenicznej cerze, niewiarygodnie prostym nosie i nieprzeniknionym spojrzeniu? Czy zechciałby ukazać się pewnego dnia

w sercu medyny w towarzystwie młodej kobiety, którą skazał na przedwczesną śmierć? Ilu z nas może potwierdzić, że istniał naprawdę, że nie była tu sama, że postać, z którą ją widzieliśmy, nie była tylko uosobieniem naszego własnego strachu przed śmiercią w obliczu piękna, jakiego jeszcze nie widzieliśmy na oczy? Doprawdy, ilu z nas miałoby odwagę wyznać, że powodowani właściwą ludzom małostkowością i zachłannością, pragnęliśmy ją posiąść, a wiedząc, że to niemożliwe, wymyśliliśmy jej mrocznego towarzysza, milczącego jak kamień, jak mury, którymi otaczamy nasze domy, spławiając, że stają się bardziej jak grób niż miejsce schronienia? Zadaję te pytania, ponieważ na moje nieszczęście ja też ujrzałem jej piękno, choć tylko przez mgnienie oka, i niespodzianie doznałem uczuć, których istnienia nawet nie podejrzewałem; uczuć, które przerodziły się w smutek, kiedy ta krótka chwila minęła, gdyż tak jak młody Tuateg, który opowiedział nam o szkarłatnym ibisie, wiedziałem, że lata mojej niewinności dobiegły końca. Mój jednonogi kuzyn Btahim, który wygłosił tę poważną i melancholijną przemowę, był nadzorcą w położonej obok suku medresie Alego ibn Jusufa. Brahim był kimś w rodzaju cudownego dziecka. Wszyscy w rodzinie wychwalali jego talent do kaligrafii, który doskonalił każdego dnia przez wiele godzin. Jego osiągnięcia zasługiwały na podziw, tym bardziej że cierpiał na chorobę, która powodowała bezustanne drżenie rąk. Moi popołudniowi słuchacze dobrze go znali i jego uczone wywody przydawały wiarygodności temu, co opowiadałem. W jego wibrującym głosie słyszałem rozmaite melodie, całą polifoniczną muzykę medresy, co dodawało mi otuchy, wydawało mi się wtedy bowiem, że to, co robię, ma boskie błogosławieństwo.

Najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał Brahim, był oprawiony w wielbłądzą skórę dziennik, w którym drobnym maczkiem zapisywał swoje postępy w sztuce kaligrafii. Kiedyś zapytałem go, co robi, kiedy dojdzie do ostatniej strony dziennika. Odparł, że pragnie, by ta chwila oznaczała, że osiągnął najwyższy kunszt w uprawianej przezeń sztuce.

- A potem? - nie ustępowałem. - Co stanie się potem? Jego oczy przybrały rozmarzony wyraz. — Chciałbym zacząć budować dom — odpowiedział. — Pokryłbym wszystkie ściany pismem kaligraficznym. Byłby to dom poezji. Najwspanialsze

wersy umieściłbym na samej górze, tak aby chcąc je przeczytać, trzeba było podnieść wzrok, jakby kontemplując niebo.

- A kiedy dom byłby już zbudowany i wszystkie ściany pokryte pismem? Jego śmiejące się oczy patrzyły na mnie z pobłażaniem.

- Wtedy, wujku, moje życie osiągnęłoby swój naturalny kres. Dokonałby się mój los, a ja z radością odrzuciłbym tę ziemską powłokę.

Poprosiłem więc teraz Brahima:

- Opowiedz nam o twoim spotkaniu z nieznajomymi. Opowiedz, jak to się stało, że straciłeś niewinność.

Nie trzeba go było długo prosić. Niemniej, choć zwykle był otwarty i bezpośredni, tym razem nie udzielił prostej odpowiedzi.

- Niektórzy utrzymują, że piękno zawiera ziarno trucizny i wszystko, co się z nim zetknie, zostaje skażone. Ja w to nie wierzę, ponieważ piękno, tak jak powiedziałeś, Hasanie, jest pokrewne prawdzie, a prawda jest energią, energia zaś jest w bezustannym ruchu. I nawet gdy przeklinam ten dzień, w którym ją ujrzałem, myślę, że piękno nie jest ani całkowicie dobre, ani złe; raczej, stając przed jego obliczem, reagujemy na nie w różny sposób, gdyż każdy z nas jest na innym etapie swojego życia.

Zamilkł, a jego twarz niespodziewanie posmutniała.

- Jak niektórzy z was wiedzą, oprócz tego, że studiuje religię i doskonalę się w sztuce kaligrafii, uprawiam też ogród na skrawku ziemi między meczetem a medresą. Kwiaty i kaligrafia mają ze sobą coś wspólnego: mówią tym samym językiem. Kiedy szukam natchnienia, przypatruję się krzewom róży i jaśminu, pomarańczom, bambusom i figom. Ale moim ulubieńcem jest datura. Zawsze zadziwia mnie świetlistość jej kwiatów. Są przezroczyste, jakby stworzone z księżycowej poświaty Każda spędzona z nimi chwila jest medytacją nad uprawianiem sztuki. Często wtedy myślę, że mój ogród jest równie czatujący jak wiekuisty taj opisany w Koranie. Jest to miejsce, gdzie znajduję najgłębszy spokój. Zapadło milczenie. Brahim złożył ręce na podołku i odwrócił od nas twarz, by spojrzeć w zamyśleniu na plac. Po chwili podjął równym, powściągliwym tonem: - Te go pamiętnego dnia o poranku pracowałem w ogrodzie, pielęgnując krzak datury. Nagle ujrzałem smukłą, młodą kobietę pijącą wodę z fontanny

na obrzeżach ogrodu. Miała na sobie tradycyjny strój: czarną chustę, żółtobrunatną dzellabę i brązowe sirwale. Gdyby nie towarzyszący jej mężczyzna z rudą brodą, nie przyszłoby mi do głowy, że są cudzoziemcami.

- Miał rudą brodę? - przerwałem, bo był to istotny szczegół. Brahim spojrział na mnie przeciągle.

- Istnieją rzeczy, których ton i odcień pozostawiają niezapomniane wrażenie. Ten mężczyzna miał pszeniczną cerę, skórę w kolorze piasku, ale jego broda była barwy szafranu.

- Barwy szafranu - uśmiechnąłem się. — Łatwo zapada w pamięć. Charakterystycznym dla siebie gestem Brahim przesunął ręką po czole.

Stał przez chwilę, patrząc prosto przed siebie, po czym odpowiedział:

- Minęło wiele lat, Hasanie. Szczegóły nie są ważne, dopóki mogę przywołać przebieg zdarzeń.

- Oczywiście - potwierdziłem, gdyż chciałem usłyszeć wszystko, co miał do powiedzenia. - Opowiadaj dalej, proszę.

Zwilżył wargi i zapatrzył się w dal. Choć miał zmarszczone czoło, to wydawał się dziwnie ukojony, gdy przyciszonym głosem przywoływał doznania tamtych chwil.

Najpierw zobaczyłem ją z profilu. Pochylała się nad fontanną. Z twarzą skłonioną w dół, była obrazem spokoju sprzyjającego medytacji. Patrzyłem na nią jak na wodospad, którego wody odwróciły swój bieg. Rozkoszowałem się zapachem unoszącym się nad ogrodem i czułem w pełni szczęśliwy. Trwałem w radosnym paraliżu, tak jakbym słyszał syreni śpiew, na który odpowiadały nawet kwiaty, wznosząc z ciemności gleby lśniące kielichy światła. Napawałem się tą chwilą, jej blaskiem. Nie wiem, jak długo to trwało.

Brahim pokręcił głową, zakasłał, a potem podjął opowiadanie głębokim głosem, jakby przytłumionym przez mrok.

Czasem świat zmienia się w mgnieniu oka. Słuchajcie. Kobieta wciąż była przy fontannie. Piła jak gazela u wodopoju, usta miała wilgotne, a na zwoje jej chusty przyskały krople wody.

Podniósł się i pochylił, aby zademonstrować, co ma na myśli. Patrzyliśmy na niego uważnie. Nagle się odwrócił i powstrzymując westchnienie, powiedział:

Kiedy zaspokoila pragnienie, wyprostowała się i spojrzała w moją stronę, a ja oniemiałem. Na moment zniknęły dla mnie wszystkie inne widoki i odgłosy. Czułem, że pogrążam się w otchłani, a kiedy oprzytomniałem, byłem wstrząśnięty, uświadomiłem sobie bowiem, że jej uroda wywróciła mój świat do góry nogami. Jej piękno przyćmiło wszystko, co kiedykolwiek widziałem i zrobiłem, a najgłębsza treść mojej duszy, źródło mojego bytu, moja największa miłość - ukochana sztuka, której poświęciłem niezliczone godziny, kontemplując abstrakcyjną perfekcję kaligrafii - na zawsze już pozostanie w cieniu tego wydarzenia. Byłem załamany.

Pchany jakąś zewnętrzną siłą, opuściłem ogród. Moja drewniana noga postukiwała o bruk, ale u ramion wyrosły mi skrzydła. Serce mi waliło, miałem przyspieszony oddech. Pobiegłem ku niej. Wtedy też zobaczyłem, że nachyla się do swojego brodatego towarzysza. Usłyszałem, jak ten powiedział do niej:

- Kocham cię.

Potem uśmiechnął się i odszedł, zostawiając ją ze mną.

- Na Boga! Jaki dzinn cię tu sprowadził? Na zawsze zniszczyłaś moje życie! - krzyknąłem, czując, jak zalewa mnie fala tkliwości i rozpacz.

Wystraszona, skrzyła szyję, zupełnie jak gazela, i popatrzyła na mnie. Chusta ześlizgnęła się jej z brązowych, lśniących jak złoto włosów.

Drżąc z podniecenia, uniosłem ręce w górę. Chciałem dotknąć jej twarzy. - Co robisz?! — zawołałem. - Ten mężczyzna nie jest cię wart. Ktokolwiek najpierw mówi „kocham”, a dopiero potem dodaje kogo, nie jest godny miłości i zadaje kłam swoim słowom. Ach, jesteś zauroczona! Ten, kto kocha, nie może stawiać siebie przed obiektem swoich uczuć! To nie miłość, lecz samouwielbienie. Rozumiesz? Ja powiedziałbym: Ciebie kocham! Ciebie kocham! Ciebie kocham! Nigdy: „Kocham cię”. Mój aniele! Błędnie odczytując moje zamiary, poblądła i cofnęła się. Z przerażeniem w oczach i okrzykiem na ustach rzuciła się do ucieczki. Chciałem ją dogonić, ale oczywiście była szybsza ode mnie. Mam tylko jedną nogę, zanim

więc dotarłem do fontanny, skryła się za rogiem i zniknęła mi z oczu. Biegałem wokół fontanny, szukałem jej dookoła meczetu, ale nigdzie jej nie było. Musiała uciec w jedną z wielu wąskich uliczek medyny.

Byłem zdruzgotany. Czułem, że los tym razem mnie zawiódł. W mych żyłach płynął palący żar słońca. Spragniony, napiłem się wody z tej samej fontanny, która wcześniej zaspokoiła jej pragnienie. Nie udało mi się jednak ugasić płonącego we mnie wewnętrznego pożaru. Woda przyniosła tylko trochę ulgi, nic więcej. Zrozpaczony, osunąłem się na ziemię obok fontanny.

Kiedy po chwili podniosłem wzrok, rudobrody mężczyzna stał nade mną. Był absolutnie obojętny, zimny i nieubłagany. Spojrzał na mnie z góry, a jego zaciśnięte usta nie wyrażały współczucia ani życzliwości. Patrzyliśmy na siebie nawzajem, aż w końcu przygnieciony ciężarem nieruchomych, jakby sennych oczu o ciężko opadających powiekach, spuściłem wzrok. Wyczułem nagły ruch i podniosłem rękę, aby zasłonić twarz. Obok mnie zadźwięczała moneta. Patrzyłem, jak toczy się do rynsztoka przy fontannie. Usłyszałem odgłos oddalających się kroków.

Tak wielka jest siła miłości, że pomimo doznanego upokorzenia postanowiłem go śledzić, pełen nadziei, że mnie do niej zaprowadzi. Przeszedł obok witryny sklepu, na której - oparte o krzesło - stało lustro. Spojrzałem w nie, kiedy mężczyzna je mijał. Ale nie dostrzegłem odbicia jego postaci. Tafla lustra była duża i miałem dość czasu, by się jej dobrze przyjrzeć.

Zdumiony, podążyłem wzrokiem za rudobrodym, ale ten zniknął. W jednej chwili tam był, a zaraz potem zostało po nim tylko coś w kształcie cienia, który wkrótce także się ulotnił. Czułem, że poruszam się w nieuchwytniej próżni, jakby realny świat stracił znaczenie.

Brahim uśmiechnął się smutno i odwrócił twarz.

- Czasem, kiedy siedzę w moim ciasnym pokoju i rozmyślam nad zdarzeniami tamtego dnia, ogarnia mnie strach. Staram się go przepędzić dobrymi myślami. Zajmuję się wtedy czymkolwiek. Unikam ogrodu. Modlę się o dat zapomnienia. Nazywam to stawianiem oporu śmierci. Ale ten strach jest czerwony jak ogień. Parzy jak smoła. Bardzo głośno dodał:

— Nie potrafię go opanować.

Postukał o ziemię drewnianą protezą. Jego strach był prawdziwy. Odwróciliśmy głowy.

Brahim znowu się uśmiechnął, ale dało się wyczuć jego rozpacz.

- Wszystko to zapisałem w dzienniku - zwrócił się do mnie. - Czy to sprawiedliwe, że zdarzenia, które opisywałem przez wiele dni, da się opowiedzieć w kilka minut? I nawet teraz to wszystko jest tak niepełne, przybliża zaledwie istotę rzeczy. Ale czyż w życiu nie jest tak samo? — dodał, zanim zdołałem odpowiedzieć. - Czyż nie jest? - powtórzył, patrząc na mnie, jakby szukał potwierdzenia.

Potem Brahim jakby zapadł się w siebie. Jego głos stał się tak cichy, że ledwo go było słychać. Przez chwilę dochodził do nas tylko jakiś sekretny szept. Parę razy próbował coś powiedzieć, ale odjęło mu mowę. W końcu, gdy byłem już gotów interweniować, Brahim otworzył szeroko usta, wciągając powietrze. Zafascynowani, wpatrywaliśmy się w tę ziejącą jamę. W jej głębi zdawał się mieścić cały Dżama.

Brahim wytarł usta wierzchem dłoni.

- Tamtej nocy, kiedy usłyszałem, że nieznajoma zniknęła, byłem zadowolony — powiedział z wyzywającym uśmiechem. — Czułem, że mojemu życiu została przywrócona równowaga. Otworzyłem szeroko okna w pokoju i wpuściłem świeże powietrze. Słyszałem bicie bębnów. Słyszałem syreny aut policyjnych na placu. Postanowiłem pójść do ogrodu, mojego sanktuarium. Patrzyłem, jak zgraja bezdomnych psów walczy o kość w pobliżu fontanny. Zasnąłem pod krzewem datury. Cóż? Mogłem z ulgą powrócić do mojej sztuki. Oto moje wyznanie.

HADIDŻA

- To dziecko musiało przyjść do mnie zaraz po spotkaniu z tobą. Biedactwo, była blada i trzęsła się jak liść. Przeraziłeś ją swoim zachowaniem. Skąd możesz wiedzieć, co to znaczy być kobietą i musieć zadawać się z takimi jak ty? Powinieneś się wstydzić!

Po raz pierwszy tego wieczoru usłyszeliśmy kobiecy głos. Był on tubalny i należał do potężnej Hadidży, jednej z najstarszych kobiet w wielkim, tajemniczym klanie wróżek z Dżama. Mówiła z przekąsem i było dla nas jasne, że traktuje tę raczej prowokacyjną „spowiedź” mojego kuzyna z wielką dezaprobatą. Dobrze, że Brahim nie odważył się jej odpowiedzieć, a jedynie skulił się pod jej karcącym spojrzeniem.

Hadidża pochodziła z berberyjskiego plemienia Sanhadża, żyjącego na zachodzie Sahary, w regionie zwanym Saquiat al-Hamra, Czerwonym Kanałem. Nazwa ta związana jest z tamtejszym szlakiem wodnym, który przez większą część roku jest tylko suchym korytem. Region ten jest także znany jako Ziemia Świętych, cel pielgrzymowania nomadów; od wieków słynie ze swej pobożności i bogatej wiedzy. Hadidża twierdziła, że jej przodkami byli wojowniczy mnisi, którzy za czasów dynastii Almorawidów zamieszkiwali Audaghust, obecnie podupadłą ruinę na przedmieściach Szinkitu. Dawniej było to warowne miasto, z którego Almorawidzi wyruszyli na zwycięski podbój znanego świata. To oni założyli też Marrakesz. Hadidża cieszyła się ogólnym szacunkiem, a nawet wzbudzała strach. Krążyły plotki, że swoimi przepowiedniami potrafi zmieniać ludzkie losy. Nikt nie wiedział, kiedy po raz pierwszy przybyła na Dżama al-Fna'. Wydawało się, że jest tam od zawsze. Niektórzy utrzymywali, że czas się jej nie ima, że żyła już w czasach niesławego paszy Marrakeszu Thami al-Glawiego, a nawet jeszcze wcześniej, ponad sto lat temu, kiedy to upadającym imperium rządili rozpustni władcy Mulaj Hasan i Mulaj Abdul Aziz. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że jest sędziwego wieku. Pod fałdami jej płaszcza skrywał się jednak mocny pień starego drzewa. Za dnia można ją było spotkać na ciasnym placu Rahba Kedima, w cieniu stoisk aptekarskich. W tym miejscu dobrze jej szła sprzedaż wywarów z roślin i zwierząt używanych w czarnej magii. Tutaj też przepowiadała przyszłość wędrownym handlarzom wełną i owcami z ich stwardniałych dłoni. Z nadejściem nocy przenosiła się na Dżama. Przed rozpoczęciem każdej nowej sesji wróżb wyjmowała swoje szklane oko. Niektórzy mówili, że było to oko prawe, inni zaś, że lewe; wszyscy usiłowali dowieść swoich racji, rozprawiając o jego metalicznym blasku, który - jak utrzymywali - zawdzięczało

wykonaniu z krzemowego szkła najwyższej jakości. Być może obie jej gałki

oczne były szklane albo żadna z nich nie była sztuczna. W każdym razie to między innymi za ich przyczyną otaczała ją aura tajemniczości i stały się one częścią mitologii Dżama. Podobnie jak wszyscy obawiałem się jej magicznych zdolności, ale myślę, że była mi przychylna jako bajarzowi, tym bardziej że w młodości znała mojego ojca i dziadka.

Teraz, z łatwością pokonawszy biednego Brahima, przyglądała się krytycznie głównie mojej widowni, złożonej przede wszystkim z mężczyzn. Każdy z nas odwrócił wzrok, rumieniąc się na znak skruchy.

To biedne dziecko było przerażone. Trzęsa się jak liść osiki, poprosiłam więc, żeby usiadła w cieniu mojego namiotu. Podałam jej wodę z dodatkiem esencji różanej i pocieszałam ją czułymi słowami. Kiedy poczułam, że ma się lepiej, zaoferowałam, że przepowiem jej przyszłość z dłoni, głównie po to, żeby ją rozerwać. Zgodziła się i zapytała, skąd jestem.

- Pochodzę z pustyni - odpowiedziałam. - Z krainy zwanej Saquiat al-Hamra, gdzie wydmy są tak niezgłębione jak dno oceanu i gdzie piaski zasypują karawany jak fale zalewające tratwę. A ty? - zapytałam. — Skąd pochodzisz?

- Jestem dzieckiem prerii - odpowiedziała skromnie. - Jeszcze nikt nie wróżył mi z dłoni. Pierwszy raz jestem w Marrakeszu.

- A więc witaj. Tutaj wszyscy są mile widziani. Ludzie przybywają do Marrakeszu ze wszystkich stron świata i są tak bardzo szczęśliwi, że nie chcą stąd wyjeżdżać. Wielu kupuje domy w medynie, inni wyruszają na pustynię i znikają. Z łaski Boga odczytywałam przyszłość z dłoni ludzi ze stu pięćdziesięciu sześciu krajów świata. Kiedy osiągnę magiczną liczbę, przejdę na emeryturę.

- A jaka jest ta magiczna liczba?

- Sto dziewięćdziesiąt dwa. To liczba krajów zrzeszonych w Organizacji Narodów Zjednoczonych - zaśmiałam się. — Demokracji i dyktatur. Niewiernych i wiernych. Kiedy ją osiągnę, zwinę namiot i powrócę do mojego domu na pustyni. Ale zanim to nastąpi, przyjdzie mi czytać z licznych dłoni. Wiele majątków zostanie zdobytych i utraconych. Odgadnę wiele zdarzeń szczęśliwych i nieszczęść, które się być może wydarzą.

Wyglądała na zainteresowaną.

- Ale na świecie istnieją sto dziewięćdziesiąt cztery państwa. Dlaczego chcesz pominąć te, które nie należą do Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Oślupiałam.

- Jesteś tego pewna, moje dziecko?

- Tak, całkiem pewna. Jeżeli będziesz się trzymać swojej magicznej liczby, pominiessz Tajwan i Watykan.

- *Bi-smillah ar-rahman ar-rahim!* - zakrzyknęłam. - W imię Boga Najłaskawszego, Najmiłosierniejszego! Moje zadanie będzie teraz jeszcze trudniejsze. Dwa kraje więcej! *In sha Allah*, jeśli taka jest wola Boga, niech się tak stanie.

- Przepraszam. Może nie powinnam ci o tym mówić, ale nie chciałam, żeby pominięte kraje ciążyły ci na sumieniu.

Wzruszyła mnie jej troska. Pochyliłam się i poklepałam ją po dłoni.

- Nie ma za co przepraszać. Wybacz, proszę, starej kobiecie Sahrawi jej ignorancję. Liczyłam dni według złej miary. Teraz, dzięki tobie, mogę być spokojna. Prawdziwa wiedza dodaje pewności, a pewność przynosi spokój. Jesteś posłańcem światła i dlatego nie wezmę od ciebie zapłaty za wróżbę.

Lekko się zarumieniła i wyciągnęła rękę przed siebie.

Wyjęłam szklane oko. Wyprostowałam jej dłoń. Jak zwykle, ta falująca równina wydawała się z początku niezmierną. Potarłam nadgarstek dziewczyny koniuszkami palców. Jej puls przyspieszył. Ucichł zgiełk świata. Pomiedzy linią życia i linią serca zobaczyłam drzewo figowe, magnetyt i wojenny galeon z rozwiniętymi żaglami. A także skrzydlaty cień przesuwający się nad pustynią porośniętą kaktusami. To były trudne znaki, postanowiłam więc, że najpierw postawię jej horoskop. Spytałam o to, co zwykle: datę, miejsce i czas urodzenia. Była spod znaku Raka. Odnotowałam wszystkie odpowiedzi, a potem po kolei wymieniłam jej atrybuty. - W chwili twojego urodzenia wschodził znak Strzelca. To znaczy, że jesteś towarzyska, śmiała, lubisz podróżować i posiadasz talenty poetyckie. Twój Jowisz jest w piątym domu. To znaczy, że jak pustynna jaszczurka, która buduje gniazdo pod pokrywą piasku, lubisz dzieci, rodzinę i jesteś wierna więzom plemiennym. Twój Jowisz znajduje się w znaku Byka.

To znaczy, że jak arabska klacz najczystszej krwi jesteś' uosobieniem wdzięku, przyciągasz bogactwo, jesteś przyzwyczajona do wygody i rozkwitasz w towarzystwie osób majątnych. Słońce, Merkury i Wenus są w siódmym domu, co wskazuje, że tak jak w przypadku niebiańskich ptaków mieszkających w raju twoje życie nie jest pełne bez partnera. Słońce i Wenus zamieszkują po znakiem Raka, co wskazuje, że jesteś jak bocian budujący gniazdo na szczycie minaretu: życie rodzinne jest ci niezbędne do szczęścia; potrzebujesz pomyślności i bezpieczeństwa, jakie ono zapewnia. Merkury jest pod wpływem Bliźniąt, co oznacza, że jak kwietny pył, który roznosi się daleko, jesteś inteligentna, wiele spraw cię ciekawi i z łatwością porozumiewasz się z ludźmi. Księżyc jest w ósmym domu i pod znakiem Lwa, co znaczy, że jak ogień, który wybucha i roznieca palenisko, twoje emocje zawsze są intensywne. Jesteś impulsywna, dumna i lubisz dramatyzować. Lubisz być podziwiana i często bywasz tam, gdzie możesz być w centrum uwagi.

Na koniec powiedziałam jej, że jest energiczna, posiada silną wolę i siły twórcze oraz że jest pewną siebie i namiętną kochanką, kobietą, która z łatwością zdobywa męskie serca. Ponadto jest wrażliwa na opinię innych ludzi. Jest szczerą, niczego nie udaje i lubi jasne sytuacje. Gra w otwarte karty, ale czasem nie liczy się z otoczeniem i może się wydawać mało dyskretna. Uparta, stanowcza i niezależna, docenia proste życie bez niepotrzebnych komplikacji. Domaga się wolności wyboru i uważa grzeczności towarzyskie za przeszkodę w komunikacji.

Kiedy odłożyłam notatki na bok, pokazując, że skończyłam stawianie horoskopu, ona uśmiechnęła się nieśmiało i wyciągnęła do mnie odkrytą dłoń, przypominając mi, że nie przepowiedziałam jej jeszcze przyszłości.

Wolałam tego uniknąć, ale obietnic trzeba dotrzymywać. Znów wygładziłam jej dłoń i nie zwracając uwagi na inne znaki, zdecydowałam się wyróżnić skrzydlaty cień, on bowiem niepokoił mnie bardziej niż pozostałe. - To znak Saturna - zaczęłam. — Musisz się go strzec. Pada na ciebie mrok. Przez następnych kilka dni nie wychodź z domu po zmroku. Staraj się nie chodzić po czarnej ziemi i czarnym piasku. Trzymaj się z daleka od powierzchni, które odbijają światło księżyca. Unikaj luster wyblakłych od słońca. Nie ufaj nikomu, chodź tylko po bezpiecznych drogach i miej baczenie na wszystko, co dzieje się wokół ciebie.

Powiedziałam jej tylko tyle i wypuściłam jej dłoń z ręki.

Pobladła. W jej oczach malowało się zmartwienie.

Starłam się ją pocieszyć, nie lekceważąc przy tym przepowiedni.

- Niedawno przydarzyło ci się coś przerażającego - dodałam poważnym głosem - ale zdołałaś uciec. Nie wiem dlaczego, ale zostałam wybrana, by przejść ciężką próbę. Widzę znaki. Jeśli znów powinie ci się noga, możesz stracić życie.

Po przywołaniu tej ponurej wyroczni Hadidża uczyniła znak w powietrzu, aby pokazać, że skończyła swoją przemowę. Zdziwieni, rozmyślaliśmy nad znakami i zastanawialiśmy się, co mogą oznaczać te, których nie wyjaśniła: drzewo figowe, magnetyt i galeon. Nie odważyliśmy się jednak jej o to pytać.

AZIZA

W tej chwili do naszego koła podjechał czarny motocykl. Siedział na nim wysoki mężczyzna, cały ubrany na czarno. Skórzaną kurtkę przepasał plecionką z wielbłądziego włosia. Biła od niego butna pewność siebie i nie było wątpliwości, że trzeba się mieć przed nim na baczności. Zaparkował motocykl i spokojnie się nam przyglądał.

W międzyczasie siedząca dotychczas wśród słuchaczy żebraczka, ośmielona odważnym wystąpieniem Hadidży, stanęła przed zgromadzonymi. Twarz miała zasłoniętą hidżabem, widać było tylko jej oczy. Wypchnęła przed siebie swoją małą córeczkę.

- Zlitujcie się nad moim dzieckiem - prosiła pokornie. - Jest trędowata. Jej ojciec wyrzucił nas na ulicę i nie mamy środków do życia. Cała nasza nadzieja w waszej dobrej woli. Proszę, zmiłujcie się nad nami, bracia i siostry. Jestem porządną kobietą, którą los wywiódł z domu w ciemną noc.

Podniosłem się i podszedłem do niej.

- Nie martw się, pomożemy ci w potrzebie - powiedziałem i zwróciłem się do słuchaczy: - Dajcie jej pieniądze, które mieliście mi zapłacić. Dziś

wieczór obowiązują inne reguły. Dziś wieczór nie przyjmę zapłaty za opowiadanie.

Mężczyzna na motorze skrzywił się i odpalił silnik. _ Stałeś się sentymentalny - powiedział.

- Nie jesteś tu mile widziany - odparłem.

Wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie, ale nie odjeżdżał. Puściłem wśród zebranych tackę na datki. Kiedy do mnie wróciła, bez słowa wręczyłem żebraczce zebraną kwotę.

Zacząła mi dziękować łamiącym się głosem, ale przerwała jej Hadidza.

- Opowiedz im swój sen - rozkazała. Poruszona kobieta z lękiem popatrzyła na Hadidzę.

- Skąd wiesz o moim śnie? - zapytała cicho.

- Jestem Hadidza i wiem wszystko - odpowiedziała groźna wieszczka.

- Ale nie sądzę, żeby ten sen miał jakieś znaczenie! Nawet go dobrze nie pamiętam.

- Nieważne, co sądzisz. Ten sen nie był przeznaczony dla ciebie. Nie masz prawa decydować o jego znaczeniu.

Żebraczka zwróciła się do mnie, licząc na moją pomoc.

- Kiedy śniłam, taka sama noc jak teraz przesłaniała nieboskłon. Po co jednak to przywoływać? Nie ma nic wspólnego ze zniknięciem, o którym opowiadasz. Nie niesie ze sobą żadnych znaczących treści.

Zamiast udzielić odpowiedzi, spytałem o jej imię.

- Nazywam się Aziza, a moja córka ma na imię Aisza. Mój ojciec, Abdul Aziz Kassem, jest szanowanym garncarzem w Safi.

Uśmiechnąłem się, chcąc ją ośmielić.

- Proszę, mów, Azizo, opowiedz nam swój sen. Być może zostanie włączony do opowieści, a może obejdzie się ona bez niego. Nie oczekujemy, że twój sen przyniesie nam oświecenie. Nie będziemy się w nim doszukiwać żadnych znaczeń.

- Mów już - nakazała ostro Hadidza.

DZIESIĘĆ TYSIĘCY JEŹDZCÓW

Aziza wsparła dłoń na ramieniu córki. Zamknęła oczy i zebrała myśli. Aby wyraźnie widzieć sceny ze snu, opowiadając, cały czas miała zamknięte oczy.

- Tej nocy księżyc był bardzo jasny — zaczęła nerwowo. — Takie noce łatwo zapamiętać. Nie dopuszczają do siebie mroku. Schroniliśmy się w samym środku suków, pod zasłoną sklepowej markizy. Aisza spała przy mnie głębokim snem. Światło księżycy przesączało się przez ażurowe listewki na dachach suku. Na naszych kocach odbijał się cień sunących po niebie chmur. Biała markiza lśniła jak alabaster. Na galeriach panowała cisza.

Aziza przerwała, by złapać oddech, a kiedy znów się odezwała, jej głos był mocniejszy.

- Tego dnia Aisza przygarnęła szczeniaka. Na początku nie chciałam się na to zgodzić, ale zmieniłam zdanie, kiedy zobaczyłam, jak wiele to dla niej znaczy. Bezradne, wychudzone stworzenie miało tylko kilka tygodni. Aisza zasnęła, trzymając psa przyciśniętego do piersi.

Wykonała gest obrazujący, jak spała jej córka. Już miała podjąć opowieść na nowo, kiedy powstrzymał ją brutalny głos:

- Dość już tych bredni o szczeniakach! Co z twoim snem? Aziza wzdrygnęła się, tracąc dopiero co nabytą pewność siebie.

- Mój sen był prosty, panie - powiedziała niepewnie. Po chwili zwróciła się do mnie, przygryzając wargi:

- Czy chcesz, żebym mówiła dalej?

- Nie przejmuj się krzykaczami - odpowiedziałem. - Po prostu opowiadaj.

- Na czym skończyłam? Przepraszam, ale zapomniałam...

- Byłaś na suku z Aiszą - podpowiedziałem.

- Może powinnam przejść od razu do snu? - ośmieliła się zapytać, po czym umilkła, czekając na moją zgodę.

Cóż mogę wam powiedzieć, łaskawi państwo? Wydawało mi się, że się właśnie przebudziłam. Nie byłam już na suku, ale na środku Dżama. Byłam sama, Aiszy przy mnie nie było. Dżama zmienił się w oświetlone księ-

życem puste pole. Wszystko wokół tonęło w ciszy. Nigdy przedtem medyna „je” wydawała mi się tak pusta; miałam wrażenie, że wyciekło z niej całe życie.

Zaniepokojona, ruszyłam powoli przed siebie. Chciałam się schronić w znajomym miejscu w sukach. Zostało mi do niego może sto kroków, kiedy na plac wmaszerowali szeregiem grabarze. Grudy ziemi spadały z ich łopat. Niektórzy usuwali je sobie z drogi kopniakami i spluwali, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z ich ust. Żaden nie zwrócił na mnie uwagi. Przerazona, patrzyłam, jak idą w kierunku Grobowców Sadytów; strach nie pozwalał mi ruszyć się z miejsca.

Po chwili długiej jak wieczność dziesięć tysięcy jeźdźców wjechało na Dżama. Przybyli od strony pałacu Ahmeda Zwycięskiego. Byli straszni i jednocześnie wspaniali. Ich sztandary łopotały skryte w cieniu, ich zbroje lśniły. Patrzyłam, jak okrążają plac, najpierw kłusem, z wielką pompą, potem rwącym galopem, aż w końcu stali się ruchomą, połyskującą ścianą czerni i stali.

Jeden za drugim wypuszczali w powietrze strzały płonące niczym pochodnie, które leciały w noc łukiem. Jedna z nich ugodziła mnie w pierś. Pociemniało mi w oczach, a Dżama ugiął się pode mną i przybrał kształt pięknej i władczej kobiety o dużych czarnych oczach obrysowanych kohlem i z koroną z wiatrów pustynnych na głowie. Postać wstała i odeszła, a kiedy wołałam za nią o pomoc, odwróciła się, wsadziła palce w moje oczy i mnie oślepiła. Wtedy już wiedziałam, że miałam do czynienia z džinnem, złym duchem. Obudziłam się nagle, ale strach nadal ścisnął moje gardło niczym sznur na szubienicy.

Aziza wzięła głęboki oddech i drżącą dłonią poprawiła fałdy burki. Przetoczyła oczami wzdłuż i wszerz placu, zanim znów przemówiła cichym głosem, prawie niedosłyszalnym pod przytłaczającym ją ciężarem wspomnień.

Łaskawi państwo, zaledwie dwa dni później ponownie miałam sen o jeźdźcach! Śniło mi się, że znów byłam na Dżama i ujrzałam rzecz przedziwną: ci przerażający wojownicy unosili się w powietrzu! Ukryta

w mroku, patrzyłam, jak cwałowali po niebie z powiewającymi sztandarami. Przesłoniли cały widnokrąg niczym wielkie góry. Dotrzymywałam im kroku, dopóki nie dotarli do mostu między zwałami chmur. Wiedziałam, że teraz muszę spuścić oczy i zostawić ich samych. Cieszyłam się ich szczęściem, bo któż z nas nie chciałby stanąć na progu raju?

Aziza przerwała i nie byłam pewien, czy już skończyła, czy też zamierza coś jeszcze powiedzieć. Stała samotna na środku, z zamkniętymi oczami i lekko uniesioną głową. Zdawało się, że zjednoczyła się ze swoim snem.

W końcu otworzyła oczy.

- To wszystko, co mam do powiedzenia - dodała trzęsącym się głosem. - Mam nadzieję, że was nie rozczarowałam, moi państwo.

Hadidza przerwała milczenie.

- Wprost przeciwnie, drogie dziecko — powiedziała głębokim, dźwięcznym głosem. — Znakomicie oddałaś rozległość swojego snu, wszystkie jego kształty, sceny i różnorodne wątki.

Aziza pochyliła głowę i chyba uśmiechnęła się smutno pod hidżabem. Spojrzałem na jej skromną, zakrytą od stóp do głowy postać i poruszony wstałem, aby powitać ją jako równą sobie.

- Pięknie opowiedziałaś swój sen. Byłaś naszym przewodnikiem przez tę najtrudniejszą noc. Przeprowadziłaś nas przez swój sen z gracją i godnością. Naprawdę dobrze się spisałaś.

- Hasanie, to ona powinna być bazarzem, nie ty - ktoś zażartował.

- Doprawdy, powinna - odparłem z uśmiechem. Zawstydzona, Aziza złapała się za głowę.

- Ale nie było mnie na placu tej nocy, kiedy zaginęli cudzoziemcy - powiedziała. - Nie było mnie tam — powtórzyła. - Wtedy wciąż jeszcze miałam życie, dom, męża, mały ogródek. Nie musiałam szukać schronienia w ciemną noc. Tamtej nocy nie było mnie na placu.

- Ale ja tam byłem — odezwał się męski głos.

HENDRIX

- Byłem tam tej nocy Byłem na placu.

Spojrzeliliśmy na mówcę. Był to muzyk *gnawa*, ubrany w biały, lśniący w ciemnościach paradny strój. Oparty o biodro bęben wydawał się częścią jego ciała. Muzyk siedział dumnie, nieruchomo, i wyróżniał się wśród nas niezwykłą elegancją i godnością. Pieścił palcami membranę bębna, jakby zbierał z niej tajemnicze treści, których znaczenie tylko on mógł odgadnąć.

Jego uniesiona w górę śniada twarz stapiała się z ciemnością nocy.

- Nazywam się Bilal. Grałem tego wieczoru, ale nie widziałem ani jego, ani jej. A mimo to śniłem o niej parę dni po tym, jak zniknęli. Nie wiem, dlaczego nawiedził mnie ten sen. Męczy mnie teraz tyle różnych pytań.

Roześmiał się, pokazując lśniące białe zęby.

- Jestem prostym człowiekiem i lubię proste życie. W przeciwieństwie do ciebie nie lubię trudnych pytań. Zarabiam na życie muzyką, bo to mnie uszczęśliwia. Co roku przyjeżdżamy tu całą grupą z Amizmizu, gdzie ćwiczymy przez dwanaście miesięcy w dużym sadzie przy funduku. To jedyny obszar pokryty zielenią w tym regionie wiecznej suszy. Gramy i gramy, gramy do upadłego, gramy, wyciskając siódme poty, i jesteśmy wtedy szczęśliwi. Tylko gtańcie ma w życiu sens, nic innego. Przy naszej muzyce zapomina się o upale, czas leci jak strzała, a stopy same rwą się do tańca.

Podniósł tęce w górę. Na dłoniach miał mnóstwo sporych odcisków.

- Chciałbym kiedyś zagrać z tym gościem, Hendtiksem. Był tu wiele lat temu i słyszałem, że teraz przyjeżdża od czasu do czasu. Chciałbym przywitać go jak brata i akompaniować jego gitarze na moim daffie. Bawilibyśmy się świetnie. Nie mielibyśmy przed sobą tajemnic. Odjechałby radosny. Jestem tego pewien.

Znów się roześmiał i spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

- Ale to zupełnie inna sprawa niż mój sen. A ten sen siedzi mi w głowie jak ptak w dziupli. Nie mogę go przepędzić, choć chcę się go pozbyć. Naprawdę bardzo tego chcę, bo dopóki to nie nastąpi, stale będzie mi przeszkadzał, kiedy gram.

Wystukał szybki takt na swoim daffie.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytałem.

Bilal położył bęben na kolanach i zastanowił się przez chwilę. Pochylił głowę i wbił wzrok w ziemię. Nagle z miłym, chłopięcym uśmiechem rozłożył szeroko ręce.

- Tylko tyle. Odpowiedz mi na pytanie, jak to się dzieje, że tęsknię za kobietą, której nigdy nawet nie spotkałem?

Spojrzałem na niego, rozbawiony. Ujęła mnie naiwność tego pytania.

- Nasze myśli na jawie odbijają się echem w snach - powiedziałem.

- Ale ja jej nawet nie znam!

- Słyszałeś o niej. Ludzie ciągle o niej mówią. Całe miasto było poruszone, kiedy rozeszła się wieść o jej zaginięciu. Legenda wystarczy, żeby zawrócić człowiekowi w głowie. Więc którejś nocy ci się przyśniła. To całkiem proste.

- Czy to dlatego sny umierają ostatnie?

- Sny to tylko szlaki - odparłem. - Drogowskazy, które trzeba odczytać.

- W takim razie dokąd zabrał mnie mój sen? Dokąd prowadzi ta droga? Powiedz mi, bo nic z tego nie rozumiem.

- Nie mogę ci wyjaśnić, dopóki się nie dowiem, co ci się śniło. Zanim odpowiedział, zwrócił się do dwóch muzyków ze swojej grupy, którzy dołączyli do naszego kręgu.

- Bracia, powinniśmy rozpaść ognisko, bo noc robi się zimna. Mężczyźni mieli ze sobą drewno na opał. Rozpaliliśmy ognisko. Bilal rozłożył ramiona, grzejąc się w jego ciepłe.

Wkrótce na całym placu zapłonęło wiele innych ognisk. Ich migotliwe światło było jakby lustrzanym odbiciem gwiazd. Jedynie lekki woal dymu dzielił Dżama od nieba.

Bilal z westchnieniem oparł głowę na rękach i zapatrzył się w ogień.

- Tam, skąd pochodzę, duch pustyni jest wszechobecny - powiedział. - Jest dla nas ojcem i matką. Przenika wszystko w kolo. Obmywa nam stopy jak fale oceanu. Barwi swym pyłem nasze oddechy.

Zdjął z nóg sandały i trzymał nad ogniskiem. Były powykęcane od żaru pustyni, wytarte od piasku.

W moim śnie podróżowałem z Tetuanu na targ wielbłądów w Kulmimie. Nie wiem, dlaczego jechałem akurat do Kulmimu. Nie interesują mnie wielbłądy. Nigdy też nie byłem w Tetuanie. Ale taka jest logika snów. Szedłem w karawanie niewolników. Podążając starym szlakiem, przeprawialiśmy się przez bezkresne wydmy, wędrowaliśmy od oazy do oazy. Nie miałem ze sobą instrumentu. Łańcuch okręcony wokół szyi łączył mnie ze współtowarzyszami niedoli. Plecy bolały od uderzeń bata. Znosiłem je bez słowa. Głód i pragnienie nie zostawiały miejsca na inne uczucia. W szczelnej ciemności piekła tamtych dni sił dodawała mi tylko nadzieja rychłej śmierci.

Pewnej nocy karawana zatrzymała się na brzegu niewyschniętego jeszcze koryta rzeki. Konie i wielbłądy brodziły w jego cienistej głębi. Powiew wiatru przyniósł wilgotny zapach i odgadłem, że jesteśmy blisko oceanu. Kiedy poczułem pierwsze krople na plecach, nie wiedziałem, co się dzieje. Nigdy przedtem nie doświadczyłem deszczu. Skuliłem się jak przerażone zwierzę. Myślałem, że znowu dostaję razy batem. Ale kiedy moje włosy były już całkiem mokre, a ubranie przemoczone, poczułem, nieznane mi dotąd, deliryczne szczęście. Wybuchnąłem śmiechem. Było mi tak, jakbym umiał i wstąpił do nieba. Nieco później - nie wiem, ile czasu minęło - poczułem dotyk jej rąk. Grata na moich plecach jak na bębnie. Napiąłem mięśnie i spróbowałem wstać, ale ona całym swoim ciężarem opierała się na moich biodrach i nie mogłem się ruszyć. Jeden, dwa, trzy, cztery — zacząłem oddychać w takt wybijanego przez nią rytmu. Szło jej naprawdę świetnie. Jej ręce przeskakiwały z jednego ramienia na drugie z lekkością i wprawą, jakiej nabiera się po latach grania. I przez cały ten czas nadgarstkami i koniuszkami palców wystukiwała kształty różnych roślin: duże, wilgotne bukiety pelargonii, mokre wiązki lilii, pokryte rosą kwiaty migdałowca - takie jakie zdobią najwspanialsze ogrody. Wiosenny deszcz w środku pustynnej zimy! Wkrótce zerwałem się do biegu, a deszcz nadal bębnił mi po plecach. Popędzała mnie krótkimi, ostrymi okrzykami. Szczęście dodało mi skrzydeł. Pokonywałem dalekie dystanse. Za mną czas się zatrzymał, przede mną był ocean wieczności. Pustynia skończyła się szybko, zasnuta obłokami kurzu, i w końcu została daleko w tyle. Wydałem triumfalny okrzyk. Jej ręce, wystukujące rytm, wyzwoliły mnie z niewoli.

Bilal spuścił w dół swoje ciemne oczy. Czekaliśmy w napięciu.

- A potem się zbudziłem - powiedział.

Wśród słuchaczy rozległo się głośne westchnienie, oznaka rozczarowania. Wzruszył ramionami, zaniepokojony naszą reakcją.

- Cóż mogę wam powiedzieć? Czułem się tak samo jak wy. Moje serce było lżejsze od głowy. Wciąż czułem wibracje na skórze pleców. Wyskoczyłem z łóżka. Za oknem pohukiwała sowa. Zataczała w locie kółka. Patrzyłem na nią przez chwilę, a potem odwróciłem wzrok. To nagłe przebudzenie ze snu było bolesne. Chciałbym przynajmniej móc się z nią pożegnać.

Z obrzeży kręgu odezwał się mój kuzyn Brahim.

- Czy coś ci powiedziała? - zapytał głosem, w którym dało się wyczuć sporo zazdrości.

- Na samym końcu. Powiedziała tylko: *To nieuchronne*.

- Skąd wiedziałeś, że to ona? - spytałem bardzo delikatnie.

- Po prostu wiedziałem. Jak to w snach.

- Ja w każdym razie muszę cię rozczarować — powiedziałem. - Nie wiem, co oznacza twój sen. Mogę ci jedynie powiedzieć, że na najbardziej elementarnym poziomie kobiety reprezentują siłę życia. Twój sen przekracza jednak moje możliwości interpretacji.

Bilal zdjął nakrycie głowy i wachlował się nim przez chwilę. Powiódł po nas wzrokiem i wydał wargi, kiedy nikt nie zaoferował mu pomocy w rozwiązaniu zagadki.

- Czy to wszystko? - zapytał ciężkim głosem.

- To wszystko - powiedziałem.

- To dlaczego mi się śniła? — dociekał. — Dlaczego przyszła do mnie, choć nigdy jej nawet nie spotkałem? Byłem tam tej nocy - powtórzył - grałem na placu. Pamiętam szkarłatny księżyc, długą czarną limuzynę, wieczorną poświatę. Wszędzie kręcili się policjanci. Chodziły plotki, że przyjechał arabski szejik. Ale nic o niej nie wiedziałem. Ani też nie widziałem jej na placu.

- A ja tak - przerwał mu męski głos. — Byłem na placu tamtej nocy i tam ją spotkałem.

CASABLANCA

Głos należał do szczupłego młodego mężczyzny w zniszczonym garniturze. Miał czerwoną różę w butonierce, a z szyi zwisał mu tani wełniany szalik.

- Widziałem ich oboje - powiedział chłodno, starannie wymawiając każdą głoskę. - Nawet spędziłem z nimi trochę czasu.

Przerwał, abyśmy mogli przetrwać jego słowa, i spoglądał na nas triumfalnie. Nie wiedzieliśmy, jak zareagować, więc po prostu milczeliśmy. Zastanawiałem się, skąd przybył. Nie przypominałem sobie, abym go kiedykolwiek widział na placu.

- Widzieliście film *Casablanca*? - zapytał. - Wyglądali jak aktorzy z tego filmu, Humphrey Bogart i Ingrid Bergman, tylko młodszy. On był bardzo elegancki, ubrany w brązowy garnitur i z kapeluszem na głowie; ona miała na sobie lekki płaszcz w kratę, a pod nim czerwoną sukienkę do kolan. Nie nazwałbym jej piękną, ale na pewno zwracała na siebie uwagę. Miała delikatne, ale wyraźne rysy twarzy. Smukłe ręce, długie nogi. Pozwoliła mu mówić za siebie. Wydawała się trochę wycofana, ale wyglądała na zadowoloną.

- Skąd tyle o nich wiesz? - zapytał ktoś.

- Miałem przyjemność namalować jej portret. On mnie wynajął. I zapłacił cenę, jaką podałem. Był to dla mnie zaszczyt.

Obrzuciłem go uważnym spojrzeniem.

- Skąd pochodzisz? - zapytałem. - I jak się nazywasz?

Mężczyzna zamilkł na chwilę i odpędził muchę, która przysiadła mu na czole.

- Nazywam się Taufik. Jestem studentem sztuki z Tangeru. Przyjeżdżam tu od czasu do czasu, bo lubię pracę na placu. Nie robię tego dla pieniędzy. Maluję jedynie portrety.

- Pretensjonalny kretyn. *Casablanca* nie była nawet kręcona w Maroku, tylko w hollywoodzkim studio filmowym - wymruczał ktoś za mną w szilha, miejscowym berberyjskim dialekcie.

Komentarz wzbudził śmiech, ale ja byłem ciekaw, co młody artysta ma do powiedzenia, zachęciłem go więc gestem, by kontynuował.

Zapalił papierosa, poprawił szalik, sprawdził stan paznokci. Uśmiechnął się pogardliwie i obrzucił nas badawczym spojrzeniem.

- Ach, nie wiem, czy powinienem sobie zawracać tym głowę — powiedział. - Chyba będzie lepiej, jak już pójdę.

- *Baraka alafik* — wyszeptał ten sam głos w szilha. — Pięknie dziękujemy i szerokiej drogi.

Ledwie udało mi się nie uśmiechnąć.

- Powiedz nam, co masz do powiedzenia, albo odejdz. Wybór należy do ciebie. Ale nie myśl nad tym, co zrobić, przez całą noc — powiedziałem mentorskim tonem.

- Więc to tak. Nie powinienem był w ogóle otwierać ust. Macie jakieś głupie teguły. Nie zamierzam tu zostać. Nie pozwolę, żeby mnie obrażano.

- Naprawdę? — odparłem. - Bardzo dobrze. Rób, jak uważasz.

Wyjął dużą chustkę i wyczyścił nos. Zaskoczył mnie widok łez w jego oczach. Bawił się papierosem, ale wcale nie zamierzał odejść, tak jak przewidywałem.

Rozłożyłem szeroko ręce na znak zgody.

- Nie chcę, żebyś czuł się poniżony. Nie postępujemy w ten sposób. Jeżeli masz nam coś do powiedzenia, to proszę, mów.

- Dobrze — odparł, przeczyszczając gardło. — Nawet jeśli powiem, to tylko dla uczczenia ich pamięci, zwłaszcza że wszystko inne, co tu dotychczas słyszałem, to tylko marne fanrazeje, urojenia zrodzone z niespełnionych marzeń. Chcecie prawdy? To ją wam dam, choć szczerze mówiąc, w ogóle na nią nie zasługujecie.

Przerwał i zaciągnął się głęboko papierosem. Wypuścił kilka kółek dymu i rozglądał się po placu, jakby widział go po raz pierwszy.

- To takie dziwne, jak się pomyśli, że stało się to właśnie tutaj. Na środku zatłoczonego placu. A ja prawdopodobnie byłem jednym z ostatnich, którzy ją widzieli.

- Chciałbyś, żeby tak było - wtrącił ktoś złośliwie.

- Nie gniewaj się za nasze grubiańskie zachowanie — wtrąciłem, aby dać mu trochę czasu do namysłu. - Jesteś artystą, osobą wrażliwą. Na placu niezbyt często spotykamy ludzi takich jak ty. Nie chcemy cię urazić. Dziś

wieczór przyświeca nam wspólny cel: chcemy podzielić się wrażeniami z niezwykłego przeżycia. Wspominając to wyjątkowe zdarzenie, wszystkie dramatyczne i wytrącające z równowagi wypadki, każdy z nas ukazuje, jak rzadko w naszym życiu gości wzniosłość. Gdyż piękno, tak samo jak wiara, jest pokarmem duszy. Sprawia, że stajemy się bardziej szlachetni. Chcemy je przy sobie zatrzymać, ponieważ powstrzymuje nas przed obraniem złego kursu w życiu. Piękno przeistacza pragnienie. Nie unicestwia go, ale czyni je bardziej wzniosłym. Cóż by znaczyła obietnica istnienia, jeśli nie moglibyśmy wyobrazić sobie siebie jako innych, niż jesteśmy? Piękno pozwala wyobrazić sobie życie na nowo, a kiedy to czynimy, stajemy się go bardziej godni.

PROFESOR

Ledwie zdążyłem zamknąć usta, kiedy łagodny, łysawy mężczyzna w okularach, z okrągłą twarzą i wystającym brzuszkiem, podniósł rękę jak uczeń w szkole.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął przeproszającym tonem - prawdopodobnie nie powinienem zabierać głosu. Nazywam się Larbi i jestem wykładowcą retoryki na Uniwersytecie al-Karawijjin. Zajmuję się tradycyjną sztuką opowiadania i twój krótki wykład na temat piękna przypomniał mi zdarzenie sprzed kilku lat, które wiąże się z osobą pewnego sławnego profesora naszej uczelni. Otóż profesor ten podczas wykładu otwartego na temat piękna poprosił zgromadzonych licznie słuchaczy, aby przekazali sobie z rąk do rąk kawałek ambry. Kiedy dotarł on w ręce ostatniej *osoby* w tyle ogromnej auli, prawie nic z niego nie zostało. Cała sala pachniała jednak ambrawą i wszyscy zebrani zaznali, czym jest jej esencja. Wtedy profesor skończył wykład stwierdzeniem, że nie ma już do dodania nic więcej, jeśli chodzi o istotę piękna.

Po chwili rzekł jeszcze, pocąc się obficie z nerwów:

- To wszystko, co mam do powiedzenia. Przepraszam, jeśli tylko wam przeszkodziłem. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Z dostojnością należnym tak świetnej osobistości, przybyłej z najstarszego uniwersytetu na świecie, złożyłem wyrazy uznania za jego wkład w dzisiejszy wieczór i podziękowałem mu za opowieść.

PORTRECISTA

Student sztuki, który słuchał w ciszy, spuścił głowę. Kiedy znów ją podniósł, był już gotów zwrócić się do wszystkich zgromadzonych.

- Wybaczcie, bracia — przemówił poważnym głosem - jeżeli wydałem się wam zadufany w siebie i uparty. Zachowałem się niewłaściwie. W rzeczywistości jestem bardzo nieśmiały, i próbuję to nadrobić arogancją. Pozwólcie, że jeszcze raz się przedstawię. Nazywam się Taufik Abu Abid. Pochodzę z Tangeru. Jestem dyplomowanym artystą malarzem i specjalizuję się w miniaturowych portretach w stylu perskim, na które trudno dziś znaleźć kupca. Moi koledzy malarze zarabiają pieniądze, zaopatrując bogatych klientów z Zachodu, którzy gustują w dużych płótnach w sztucznym stylu ludowym. Przyjeżdżam do Marrakeszu, bo wstydzę się nagabywać turystów na ulicach Tangeru po czterech latach nauki. Przybywam tu raz w miesiącu na dwa tygodnie i pracuję codziennie, choć nie zawsze na Dżama al-Fna'. Czasami siedzę tuż przed Grobowcami Sadytów, można mnie też spotkać w wąskiej alejce prowadzącej do ogrodu Majorelle, przy Dar Si Said albo Pałacu Królewskim. Nocuję u przyjaciela, przewodnika pracującego w hotelu La Mamounia. On mówi mi, gdzie danego dnia spodziewa się największego tłumu turystów, a ja idę w to miejsce ze sztalugami. Tak, prostytuuję się dla turystów. Myślę, że można to tak określić, ale niestety, tylko oni płacą za moje prace, a sztuka jest dla mnie najważniejsza w życiu i nigdy nie pójde na kompromis. Wolałbym raczej zginąć z głodu. Przez ostatnie dwa lata często jadłem tylko raz dziennie, bo nawet dziwki mają swoje zasady, a sztuka jest moim zbawieniem.

- Jesteś dobrym malarzem? — zapytał ktoś głośno.

Portrecista się zawahał. Spojrzał na zebranych, szukając właściciela głosu, a potem, z cieniem uśmiechu na ustach, odpowiedział:

- Jestem najlepszy.

Jego słowa wszystkich rozśmieszyły.

- To namaluj portret mojej najstarszej córki. Jest zaręczona i ma wyjść za mąż za trzy miesiące. Jeśli naprawdę jesteś tak dobry, jak twierdzisz, rozpowiem o tobie wszystkim znajomym i będziesz miał wielu klientów w Marrakeszu - powiedział mężczyzna, który zadał pytanie.

Artysta położył rękę na sercu.

- Postaram się nie zawieść twoich oczekiwań.

- Ile będę musiał zapłacić za twoje usługi?

- Dla ciebie zrobię to za darmo. Sam zaszczyt będzie dostateczną zapłatą.

- Może w zamian daj mu za żonę swoją średnią córkę, Fuad - zasugerował ktoś wśród wybuchów śmiechu.

- Jak duży będzie obraz? - zapytał stary Fuad podejrzliwie, gdyż jego przebiegłość w niczym nie ustępowała hojności.

- Pięć na pięć centymetrów, standardowy wymiar - odparł artysta i dodał, że portret będzie oprawiony w kwadratową cedrową ramkę o szerokości sześciu centymetrów, na której namaluje tradycyjny wzór *turiq* ze splecionych motywów kwiatów, liści i palm.

- To bardzo hojna oferta, Taufiku - powiedziałem z uśmiechem. — Jestem pewny, że Fuad będzie bardzo zadowolony. Teraz odpłać nam za gościnność i opowiedz, co zdarzyło się tamtej nocy na placu.

Artysta mocno się zarumienił, zakłopotany, jak myślę, w równej mierze z powodu mojej ciekawości, jak i bezpośredniości. W każdym razie, wywiązując się z zobowiązań, natychmiast zaczął swoją relację, na wstępie spiesznie oświadczając, że jeszcze nikomu nie mówił o spotkaniu z parą nieznajomych i po raz pierwszy przerywa milczenie. Gdy składał sprawozdanie z wypadków tamtej nocy, mówił bardzo wolno, często przerywał i ważył każde słowo, które wypowiadał. Wyraźnie starał się wiernie odtworzyć zdarzenie z przeszłości. Często spoglądał w dal, jakby chciał dojrzeć na wpół zapomniane szczegóły, a gdy mu się to udawało, jego duże, ciemne oczy otwierały się szeroko ze zdziwienia.

MINIATURA

Był zimowy wieczór, taki jak dziś. Z oddali miasto wydawało się zamazane. Gęsty dym z ognisk spowił plac. Ze straganów z jedzeniem unosiła się woń drewna z palenisk przemieszana z zapachem potraw. Przez otwarte okna Cafe de France wypływały na ulicę zielone obłoki papierosowego dymu. Goście zwrócili twarze w kierunku placu i spoglądali w ciemność z bezpiecznej odległości, jakby patrzyli na dżunglę. Wyraźnie się na coś zanosilo. W powietrzu wisiało przecucie niebezpieczeństwa, jakichś nagłych i niespodziewanych wypadków. Nad Dżama al-Fna' zapadła noc, i wszystko mogło się zdarzyć. Grupy bębniarzy rozsiadły się po całym placu i rozległ się głęboki, budzący niepokój łoskot, niby stale odbijany przez echo grzmot. Był to sygnał, że przebudziło się Zgromadzenie Umarłych i drapieżcy ruszyli na łowy. Ja zaś, z moimi pędzelkami i farbkami, wciąż tam siedziałem, choć dawno już powinienem skończyć pracę. Nie wiem, dlaczego akurat tej nocy tak zwlekałem. Czasem robimy coś z niezrozumiałych powodów.

Nie mam pojęcia, skąd nadeszli. Najpierw zobaczyłem mężczyznę, stał może dziesięć kroków ode mnie. Był niezwykle elegancki, przez co odcinał się ostro od tłumu na placu. Przypominał mi Caryego Granta, tyle że młodszego i o ciemniejszej skórze, który moim zdaniem powinien być partnerem Ingrid Bergman w *Casablance* zamiast Bogarta. Nosił nawet kapelusz, tak jakby przebywał w lobby luksusowego hotelu La Mamounia, a nie w najniebezpieczniejszym miejscu w Marrakeszu po zapadnięciu zmroku. Kiedy zauważył, że się mu przyglądam, podszedł do mnie z uśmiechem.

Odezwał się jednak do kogoś, kto stał za moimi plecami. Odwróciłem głowę i wtedy ją zobaczyłem. Patrzyła na zawieszane na sztalugach przykłady miniaturowych portretów. Była szczupła i wiotka. Miała długie kasztanowe włosy i talię tak wąską, że mógłbym ją objąć dłońmi. Wydawało się, że miniaturowe portrety ją zainteresowały, odważyłem się więc nawiązać rozmowę na temat uprawianego przeze mnie rodzaju sztuki. Wytłumaczyłem jej, że maluję portrety w stylu perskim, i pokazałem przykłady różnych szkół, takich jak Sziraz, Tebriz i Erat. Podkreśliłem, że większość moich

miniatur utrzymana jest w stylu perskim, który reprezentują znani malarze z piętnastego, szesnastego i siedemnastego wieku, tacy jak Behzad Kama-luddin, Reza Abbasi, Mirak Nakkasz i Szah Muzaffar. Słuchała uważnie moich słów i zauważyłem, że jej uwagę zwrócił zwłaszcza jeden z portretów. Była to kopia obrazu *Młoda księżniczka podziwiająca różę* autorstwa Mirzy Alego z Tebrizu. Obraz namalowany około tysiąc pięćset czterdziestego roku w odcieniach pomarańczy, błękitu i czerni, oprawiony był w niebieską ramkę, ozdobioną wersami poezji. Dziewczyna wzięła obraz do rąk i przyglądała mu się przez chwilę, po czym zwróciła się do towarzysza i wymieniła z nim kilka słów, których nie dosłyszałem. Wtedy on zwrócił się do mnie po angielsku z pytaniem, czy zechciałbym ją namalować w takim samym stylu, w jakim utrzymany jest portret perskiej księżniczki. Ponieważ nie znam angielskiego, nie rozumiałem jego słów i musiałem ją poprosić o tłumaczenie. Oczywiście, kiedy dowiedziałem się, o co chodzi, chętnie się zgodziłem. Ustaliliśmy cenę - na którą przystali bez wahania — i dziewczyna poddała się moim zabiegom. Posadziłem ją na składanym krzeselku i upozowałem jej ręce i stopy. Poprosiłem, aby spojrzała mi prosto w oczy. Kiedy na mnie popatrzyła, wystraszyłem się i niewiele brakowało, a odwróciłbym wzrok, tak przenikliwe było jej spojrzenie. Poczuliśmy się onieśmielony, a serce biło mi szybciej niż zwykle. Jednakże, pomny powziętego zobowiązania - moim zadaniem było uchwycić podobieństwo - zmusiłem się do obiektywnej analizy. Unikając jej wzroku, odnotowałem, że ma wysokie czoło, pociągły nos, delikatny podbródek i pełne usta. Miała też małą bliznę nad prawym okiem i pieprzyk na prawym policzku. Mimo iż obserwowałem ją długo i uważnie, pozostała dla mnie nieodgadniona. W końcu, mrużąc oczy, wyobraziłem ją sobie jako perską księżniczkę. Nie odrywając od niej oczu, wykonałem próbny szkic na kawałku papieru przytwierdzonym do deski rysowniczej, którą trzymałem na kolanach. Nie spieszyłem⁵¹ i już podczas pracy wprowadzałem jeszcze drobne zmiany w jej pozie. Kiedy skończyłem szkic, zapytała, czy może go zobaczyć. Wydawała się zadowolona z rezultatów. Przelatująca ćma wpadła do jednego ze słoiczków z farbą. Zajęło trochę czasu, zanim udało nam się ją oswobodzić, dzięki czemu mieliśmy

okazję bliżej się poznać. Poczęstowałem ją miętową herbatą. Arabska pieczęć, którą opatrzony jest mój dzbanek na herbatę, wzbudziła jej podziw, powiedziałem jej więc, gdzie można takie naczynie kupić. Potem wybrałem odpowiedni kawałek deski, chwyciłem za sztalugi i poprosiłem, aby utrzymała pozę możliwie jak najdłużej.

Malowałem prędko, spoglądając to na modelkę, to na powstający portret. Jakimś cudem przez cały ten czas echo roznosiło wokół donośny głos któregoś z bazarzy - może nawet twój. Dziewczyna poprosiła, abym jednocześnie malował i tłumaczył. Staralem się to zrobić jak najlepiej. Mistrz opowiadał o Lajli i Madźnunie, parze nieszczęśliwych arabskich kochanków. Nawet w moim nieudolnym tłumaczeniu ich historia tak bardzo ją wzruszyła, że w jej oczach pojawiły się Izy

- Nie ruszaj się - poprosiłem. - Staraj się pozostać zupełnie nieruchoma. Siedziała luźno na krześle, obrócona do mnie profilem. Patrzyła trochę

w bok, spoglądając na prawie już pustą szklankę miętowej herbaty, która zastępowała różę z obrazu. Dziewczyna okazała się znakomitą modelką, malowałem więc szybkimi pociągnięciami pędzla jak natchniony, dodając nawet drobne szczegóły, aby lepiej uchwycić jej podobieństwo do perskiej księżniczki.

W międzyczasie jej towarzysz stanął tuż obok mnie i zapytał, czy zawsze pracuję w tak szybkim tempie.

- Zawsze - odparłem. — Choć zauważyłem, że z wiekiem zwalniam. Chyba rozumiem coraz więcej.

- I to ma wpływ na twoją technikę?

- Sprawia, że poświęcam więcej czasu ekspresji i osobowości modeli. Wydawało się, że ta odpowiedź mu się spodobała, bo nie zadawał już więcej pytań, co przyjąłem z ulgą, jako że zawsze mi trudno jednocześnie malować i rozmawiać.

W końcu odłożyłem pędzle i sztalugi. Dziewczyna podziękowała mi, wyprostowała się i rozciągnęła ramiona. Cała sesja trwała nieco ponad czterdzieści minut. Pochwaliłem ją, mówiąc, że jest doskonałą modelką. Uśmiechnęła się na widok swojego portretu.

- Naprawdę jestem taka ładna? - zapytała.

- Jeszcze ładniejsza — odparł szarmancko jej towarzysz.

- Farba na świeżo namalowanym obrazie powinna schnąć przez całą noc - zaleciłem.

- Zabierzemy go zaraz do hotelu — zapewnił mnie.

- Przyślemy ci zdjęcie, jak tylko powiesimy go na ścianie - obiecała. Uśmiechnąłem się, ale nic nie odpowiedziałem. Wiele portretowanych przeze mnie osób składało takie same obietnice, ale nie otrzymałem jeszcze żadnego zdjęcia. Pewnie tak to już jest i nie mam o to do nikogo pretensji -obietnica to tylko gest powodowany dobrymi intencjami.

- Być może jutro wrócimy po drugi portret, tym razem mojego męża -powiedziała żartobliwie.

- Jestem do usług, *madame* - odparłem.

- Nie chciałbyś mieć portretu? - spytała mężczyznę. On w odpowiedzi pogładził tylko brodę.

Kiedy ostatecznie zamknęliśmy transakcję, uścisnęli mi ręce i odeszli. Było mi smutno, ale zawsze, kiedy muszę się rozstać ze swoim obrazem, ogarnia mnie melancholia. Tak to już jest. Odprowadziłem ich wzrokiem; szli w stronę Avenue Mohammed V, i nawet zrobiłem parę kroków w tamtym kierunku. Szybko jednak oprzytomniałem i powróciłem na swoje miejsce. Gdy składałem sztalugi i wkładałem farby do pudełka, kontemplowałem szkic, który uprzednio pospiesznie narysowałem. Byłem przy tym pełen radości.

Nie wstydzę się, wyznając to wszystko przed wami, i nie wiem, dlaczego miałoby być inaczej. Bardzo ich polubiłem i nie wierzyłem własnym uszom, kiedy następnego dnia dowiedziałem się, że zaginęli. Nie przestawałem o nich myśleć. Nie mogłem pracować. Ich twarze wciąż stawały mi przed oczami; ich oblicza przesłaniały pole widzenia. Od czasu do czasu ogarniało mnie szaleńcze pragnienie, aby rzucić wszystko i uciec dokądkolwiek, ale wtedy przypominałem sobie, dlaczego tu jestem. Nie mogłem sobie pozwolić na przerwanie pracy, zostałem więc i malowałem dalej.

Hadidża przywołała mnie do siebie, a gdy podszedłem, zaszeptała mi do ucha:

- Któryś z twoich słuchaczy ma coś na sumieniu. Rozejrzałem się dookoła.

- Wiem - odpowiedziałem.

Nagle odwróciła się w kierunku portrecisty.

- Powiedz mi, młody człowieku - zapytała - czy wśród obecnych tu osób jest ktoś, kogo widziałeś także tamtego wieczoru?

Artysta popatrzył na zebranych, wahał się przez moment, po czym wskazał na mężczyznę na motocyklu.

- On był wtedy na placu - powiedział zdecydowanie. Mężczyzna na motorze jak zwykle był bezpośredni:

- Bujasz, tak samo jak zmyśliłeś całe to głupie opowiadanie. Portrecista ruszył w jego kierunku, ale Hadidża powstrzymała go. władczym ruchem ręki.

- Zostaw go w spokoju, dla swojego własnego dobra.

- Kim on jest? - zapytał malarz, zatrzymując się w miejscu.

- To policyjny tajniak - odpowiedział ktoś. - Dżama al-Fna' to jego rewir. Mężczyzna na motorze uśmiechnął się kwaśno.

- Jutro punktualnie o dziewiątej zgłosisz się na pobliskim posterunku policji. Porozmawiamy o takiej błaździe jak pozwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej, panie Artysto z Tangeru.

Hadidża natychmiast postanowiła interweniować.

- Niepotrzebne są tak drastyczne posunięcia, sierżancie Mohtari. Chłopak po prostu odpowiedział na pytanie, które mu zadałam. Może się jakoś dogadacie?

Policjant skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Nie potrzebuję jego pieprzonych obrazków - powiedział, a potem zwrócił się do mnie: - Teraz już idę. Macie się rozejść o północy. Zrozumiano?

Odpalił motor. Patrzyliśmy w milczeniu, jak się oddala. Kiedy już zniknął z pola widzenia, portrecista westchnął głęboko.

- No to ładnie, jestem skończony - powiedział łamiącym się głosem.

- Nic ci się nie stanie - usłyszeliśmy zaskakującą odpowiedź Hadidży. -Biedaczysko... - dodała, spoglądając w kierunku, w którym pojechał policjant.

Wpatrywaliśmy się w nią z ciekawością, ale nie powiedziała nam nic więcej. Byłem już gotów zapytać ją o to wprost, ale zbyła mnie machnięciem ręki i zwróciła się do żebraczki Azizy.

- jak się wabi twój pies? - spytała nieco apodyktycznym tonem. Aziza, niespodziewanie znalazłszy się w centrum uwagi, zadrżała z niepokoju.

- Lucia - odpowiedziała łamiącym się głosem. - Lucia, to znaczy światło.

- Kto go tak nazwał? - wypytywała Hadidża. Aisza, córka Azizy, ubiegła matkę i odparła pogodnie:

- Cudzoziemiec podpowiedział mi to imię. Był młody. Miał ciemną skórę i był bardzo przystojny.

- Z brodą?

- Miał kręconą, czerwono-czarną brodę — powiedziała dziewczynka. — Obrastała mu twarz jak lwia grzywa.

- Był sam czy z kimś?

- Był z bardzo piękną panią, która miała ciepły, łagodny głos. On nie mówił w naszym języku, więc ona mu wszystko tłumaczyła. Wysłuchali naszej historii ze współczuciem.

- Teraz wiesz, co miałam na myśli? - zwróciła się do mnie Hadidża. Grubas siedzący obok nagle zaprotestował.

- Skąd wiesz, że dziecko mówi o tych samych osobach, których los nas interesuje? Dziesiątki brodatych cudzoziemców w towarzystwie atrakcyjnych kobiet przechodzą przez plac każdego dnia. Skąd wiesz, że to nie był ktoś zupełnie inny?

- Ja wiem — odparła Hadidża z przekonaniem. - Hasanie, jak miała na imię dziewczyna, która zaginęła? - zwróciła się do mnie z kolejnym pytaniem. W jej głosie wybrzmiewały triumfalne nuty.

- Lucia — odparłem z uśmiechem.

- A ty skąd to wiesz?! - zawołał ktoś z tłumu.

- Bo ją o to zapytałem - odpowiedziałem krótko.

AL-MAGHREB AL-AQSA

- Jest wiele sposobów relacjonowania zdarzeń - zaczęła Hadidża - ale niewiele dobrych opowieści. Nie potrzeba nam było dzisiaj Azizy ani jej

snu, ani też córki. Ale pies? Ten pies to zupełnie inna sprawa. Jego imię łączy się z naszą opowieścią.

- A co będzie teraz ze mną? - jęknął malarz. - Mogę utracić moje jedyne źródło utrzymania, a wszystko przez to, że starałem się odpowiedzieć na twoje pytanie.

Zamiast go pocieszać, Hadidża wyjęła garść ziemi ze sfatygowanego skórzanego woreczka i rozsypała przed sobą. Bilal, muzyk *gnawa*, pomrukiwał ponuro, gdy zastanawiała się nad powstałym wzorem. Pozostali, wiedząc, że Hadidża uprawia geomancję, sztukę przepowiadania przyszłości z kształtów utworzonych przypadkowo z rozsypanej ziemi, obserwowali ją w milczeniu.

Po chwili oderwała się od magicznych czynności i wbiła wzrok w portrecistę. W końcu przemówiła, zapewniając go, że nic mu nie grozi.

- Idź do domu i odpocznij - powiedziała. - Nie martw się o nic.

- Ale ja nie rozumiem, skąd możesz to wiedzieć — nalegał, zdziwiony. - Ufaj słowom Hadidży — wtrąciłem - i więcej się nad tym nie zastanawiaj. Ona się wszystkim zajmie.

Wtedy Hadidża zwróciła się z wymówką do artysty:

- Mam ci coś do zarzucenia i zaraz ci powiem co. Nie podoba mi się sposób, w jaki opisałeś nasz Dżama al-Fna'.

- Na Boga! - wykrzyknął ze strachem. - Cóż takiego powiedziałem? Uśmiechnęła się, aby pokazać, że nie musi się jej obawiać.

- Zarabiasz tu na życie, ale z twojego opisu wynika, że nie wiesz nic o swoim miejscu pracy. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Dżama jest naszą siostrą i naszą matką; troszczy się o nasze potrzeby i czuwa nad nami; jest życiodajnym źródłem, które nas karmi i poi. Jeśli przedstawiasz ją w innym świetle, to znaczy, że jej nie doceniasz. Musisz przywyknąć do jej wielu twarzy Czasem jest młoda, a czasem stara; czasem pełna energii, czasem zaś zmęczona. Nawet gdy pokazuje swoją najgorszą stronę, nie jest niebezpieczna. Bywa kapryśna, tak jak nasze społeczeństwo. Kiedy pokazuje się z najlepszej strony, jest pełna radości i celebryje życie, a ludzie tłumnie na nią przybywają, bo chcą uszczknąć kawałek tego szczęścia. Panująca tu gorączkowa atmosfera, na którą składa się wiele czynników, powstaje z naszych pragnień. Wszyscy razem kształtujemy magię Dżama

i to magia stanowi o jej istocie. Porywa nas w trans i nie puszcza, hipnotyzuje pierwotną żywotną siłą i pełną gamą uczuć. Tutaj wszystko się rozwija, harmonizuje, układa we wzór. Tak rodzi się piękno. Tak samo zmienia nas Dżama, przekształca wszystkich na swoje podobieństwo. Spójrz na nią oczami dziecka, a wtedy ty też doznasz przemiany. Dotyczy to duszy i zmysłów. Rozumiesz? Dżama to symbol, punkt, w którym krzyżują się drogi tych, którzy już przeminęli, i tych, którzy wciąż kroczą tą stroną świata. Jest wielkim plemieniem Maghrebu i Sahrawi, jest ludem śródziemnomorskim, arabskim, berberyjskim. Na jej wiatry składają się ruh, chamsin, samum, leveche i zefir. Jej muzyka wybrzmiewa wszystkimi melodiami świata. Posłuchaj jej: to mozaika wpływów i motywów afrykańskich, środkowowschodnich, żydowskich, andaluzyjskich, współczesnych i średniowiecznych. Tańcz w rytm tej muzyki, a dużo się o sobie dowiesz. Kiedy tu jesteś, kolejne wieki płyną wspólnym torem, a ty jesteś poza czasem. Kiedy tu jesteś, kultury splatają się w jedno i wynoszą cię ponad twoje korzenie. Taka jest magia Dżama al-Fna' - ciągnęła Hadidża. - To mikrokosmos naszego Maghrebu. Jest czymś więcej niż tylko miejscem spotkań, bo gdy powitasz ją wczesnym rankiem, kiedy pierwsze promienie słońca złocą jej skórę, doznasz ukojenia, jakiego nie znajdziesz nigdzie indziej na całym świecie. To rzadka przyjemność: stan błogości zabarwiony melancholią, źródło jej mistycznej aury.

- Postrzegasz Dżama jako kobietę? — zapytał ktoś.

- Postrzegam ją jako bardzo piękną kobietę - potwierdziła Hadidża.

- Może nawet tak piękną jak ta, która zaginęła - dodałem trochę prowokacyjnie.

- Dlaczego nie opowiesz nam o waszym spotkaniu? — spytał ten sam głos. Roześmiałem się, bo jego natarczywość wydała mi się zabawna.

- Dobrze, opowiem - powiedziałem. - Mimo że jesteś niecierpliwy, spełnię twoje życzenie, bo taka jest moja rola.

LUSTRO

Już miałem rozpocząć opowiadanie, kiedy ktoś mi przerwał.

- Mam coś do powiedzenia — odezwał się kobiecy głos. — Czy mogę? To może być ważne.

Wieśniaczka w średnim wieku zaczerwieniła się raptownie, kiedy na nią spojrzeliśmy. Była ubrana w obszerną, trochę spłowiałą *futach* - tradycyjną suknię w szkarłatno-białe paski, typową dla kobiet z gór Rifu. Zastanawiało mnie, co przywiodło ją na plac o tak późnej porze.

- Droga siostrze, jesteś bardzo daleko od domu. Co sprowadza cię na południe?

- Gorące łyzy dziecka. Mój syn i synowa mieszkają w Marrakeszu i oboje pracują. Przyjechałam tutaj, aby zaopiekować się ich pierworodnym synem, moim wnukiem. Ale to nie dlatego ośmieliłam się odezwać. Chciałabym podzielić się z wami własnymi przeżyciami z tamtej nieszczęsnej nocy na Dzama al-Fna'.

- Byłaś tam? — zapytałem zaskoczony.

- Tak, byłam. Pracowałam w hotelu naprzeciwko meczetu Kutubijja, w którym ci cudzoziemcy się zatrzymali.

Kobieta posługiwała się dialektem tatifit, językiem z górskiego regionu Rif. Mówiła z silnym prowincjonalnym akcentem, bardzo szybko, wyrzucając serie słów niczym salwy z karabinu, tak jakby chciała przekazać nam wszystkie szczegóły, zanim je zapomni.

Pracowałam wtedy jako pokojówka na nocnej zmianie. Cudzoziemcy zajmowali czternastkę na drugim piętrze, pokój z widokiem na bulwar. Zepsuł się u nich kran, więc kierownik wysłał mnie do nich z wiaderkiem wody. Zapukałam do drzwi. Poprosili, abym weszła. Młoda pani leżała na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę. Chyba nie czuła się dobrze. Wydaje mi się, że płakała. Starając się zachowywać jak najdyskretniej, wślizgnęłam się do łazienki z wiaderkiem. Na tym polega praca w hotelu: staramy się być niewidzialni, żeby nie narzucać gościom swojej obecności. Choć mówili przyciszonymi głosami, zdołałam uchwycić sedno ich rozmowy. O coś

się kłócili i domyśliłam się, że ona chciała wrócić wieczorem na Dżama, a on się temu sprzeciwiał. Każde z nich obstawało przy swoim, żadne nie było skłonne ustąpić.

Kiedy ponownie weszłam do pokoju, ona stała przed lustrem i ścierała z twarzy rozmazany tusz. Wyglądała na przygnębioną, ale zdecydowaną i odniosłam wrażenie, że nie przywykła, aby ktoś sprzeciwiał się jej życzeniom.

- Nie wiem, czego się boisz — powiedziała. — Nie słyszysz bębnow? Przywołują nas. Jeśli nie odpowiemy na ich wezwanie, to tak jakbyśmy nie odwzajemnili pocałunku. Ja idę, a ty sam zdecyduj, czy chcesz pójść ze mną. Jeżeli mi odmówisz, nie zasługujesz na miano dżentelmena.

Muszę przyznać, że mężczyzna był naprawdę dobrze wychowany. Dał mi dziesięć dirhamów napiwku, dużo więcej, niż mogłam się spodziewać za tak drobną przysługę, i otworzył przede mną drzwi, kiedy wychodziłam na korytarz.

Po wyjściu z ich pokoju ciągle wracałam myślami do tego dziwnego spotkania. Byli parą młodych, pełnych życia ludzi rozdartych pomiędzy miłością a rozpaczą. Powiedziałam to wszystko policjantom, kiedy następnego dnia przeprowadzali wizję lokalną. Przeszukali pokój, ale jak jeden z nich przyznał, sami nie wiedzieli, co chcieli w nim znaleźć. Pokój był już wtedy pusty od wielu godzin, jak kłęb kurzu, który wciąż unosi się nad horyzontem, choć karawana dawno już przeszła przez pustynię.

Domyśliłem się, że skończyła relację, więc podziękowałem jej za opowieść i zapytałem, czy będąc w pokoju, nie widziała przypadkiem portretu kobiety namalowanego przez naszego przyjaciela Taufika.

Pokiwała energicznie głową.

- Właśnie miałam o tym mówić. Gdy wychodziłam z pokoju, zauważyłam, że portret stał oparty o lustro. Dlatego pomyślałam, że musicie o tym wiedzieć, aby ustalić właściwą chronologię wydarzeń.

- Właściwą chronologię wydarzeń? - powtórzyłem nieco zaskoczony.
- To bardzo techniczne określenie. Czy policjanci wyrażali się w ten sposób, kiedy przyszli do hotelu?

~ Nie, nie mają z tym nic wspólnego - roześmiała się. - Oglądam

po prostu wszystkie programy kryminalne w telewizji, a w szczególności ten egipski serial, gdzie śledztwo prowadzi kobieta w średnim wieku. Za każdym razem odkrywa jakąś inną ludzką niegodziwość.

Patrzyłem na rozjaśnioną entuzjazmem twarz tej prostej berberyjskiej kobiety i muszę przyznać, że po raz pierwszy nie wiedziałem, co powiedzieć.

Z opałów wybawiło mnie zamieszanie na przeciwległym krańcu placu. Coś się stało przy bulwarze za placem Foucaulda, gdzie Rue Moulay Ismail przecina Avenue al-Mouahidine. Zastanawialiśmy się, co też się zdarzyło, kiedy nadbiegł stamtąd jakiś mężczyzna. Zatrzymaliśmy go i zapytaliśmy, co się stało.

- Zdarzył się wypadek - odpowiedział. - Autokar turystyczny zderzył się z motocyklem. Kierowca motocykla, policjant, zginął na miejscu.

- Wiesz, jak się nazywał?

- Mohtari. Był sierżantem. Patrołował rewir Dżama al-Fna. Straszny skurwysyn. Nie powinno się mówić źle o umarłych, ale handluję w sukach i on zamieniał nasze życie w piekło.

Ta wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Jak na komendę wszyscy odwróciliśmy się w stronę Hadidży, ale - czego należało się spodziewać - dawno jej już nie było. Miejsce, w którym siedziała, świeciło pustką.

PYTANIE AISZY

Mała Aisza, córka Azizy, przerwała nieprzyjemną ciszę, pytając byłą pokojówkę, czy wie, co się stało z obrazem Taufika.

Starsza kobieta odpowiedziała jej pospiesznie, z charakterystycznym entuzjazmem:

- Policja go zabrała, moje dziecko. Zapakowali portret tak pieczołowicie i tak triumfalnie, jakby znaleźli zaginioną osobę, a nie jej podobiznę. Kiedy wyszli, odsunęłam zasłony, żeby wpuścić do pokoju trochę światła. Życie na ulicy płynęło normalnym torem. Pamiętam wszystko tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Furgonetka wyładowana świeżymi bochenkami

chleba zajechała przed pobliską piekarnię. O mało nie potrąciła człowieka, który przechodził przez ulicę. Muezzin z meczetu Kutubijja nawoływał wiernych do modlitwy.

Zamilkła na chwilę i spojrzała na Aiszę z uśmiechem w oczach.

— Czy dobrze odpowiedziałam na twoje pytanie?

Aisza energicznie pokiwała głową, szczerząc zęby w kipiącym radością uśmiechu, a ja podszedłem do niej, zmierzwiłem jej włosy i zwróciłem się do słuchaczy.

ZELLIDŹ

Mój średni brat, Ahmed, jest muallimem, artystą rzemieślnikiem, twórcą zellidżu — wspaniałych mozaik z ręcznie wyrabianych emaliowanych płytek. Jego rzemiosło wymaga dyscypliny, którą pod wieloma względami można porównać do tej wymaganej od bazarzy. Może dlatego zawsze staje mi przed oczami, kiedy opowiadam moje historie. Gdy przyglądam się jego pracy, zadziwia mnie, że choć wszystkie wzory składają się z tych samych trzech motywów - geometrycznych, epigraficznych i roślinnych - to różnorodność dekoracji jest ogromna. Osiąga się ją, układając płytki na rozmaite sposoby. Prostokątne tworzą szachownice, a okrągłe i półokrągłe koronkowe rozety i arabeski. W tym rzemiośle liczy się symetria i powtarzalność, a głównym celem jest zachowanie matematycznej spójności motywu. Ahmed porównuje je do harmonii ciała i duszy, jaką osiąga się poprzez pewne rodzaje sufickiej medytacji. W takt głębokich, rytmicznych oddechów Ahmed rozcina płytki stalowym młotkiem. Czasem wystarcza mu tylko jedno, ostre i precyzyjne, uderzenie.

Ahmed jest jedynym pragmatykiem w naszej rodzinie. Jest ostrożny, ale uparcie dąży do celu. Bardzo wcześnie zdecydował, że nie pójdzie w ślady ojca. Kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział, nie mogłem w to uwierzyć. Miałem wtedy czternaście lat, a on dwanaście. Był jasny, słoneczny dzień, przepełniony śpiewem ptaków i szumem wartkich górskich potoków. Topniały wiosenne śniegi. Wyprawiliśmy się w odwiedziny do naszego

przyjaciela Dżalala, który wypasał owce na wysokich zboczach doliny. Zanim jeszcze dotarliśmy na miejsce, zabrakło nam tchu. Zatrzymaliśmy się na chwilę, podziwiając zagajnik krzewów laurowych pokrytych bujnym różowym kwieciem. Zachwycony Ahmed położył się na wilgotnej trawie z twarzą zwróconą w niebo. Patrząc w słońce zmrużonymi oczami, powiedział mi, że nie chce zostać bazarzem, że wolałby być kimś zupełnie innym.

- Ale kim? - zapytałem.

- Tego jeszcze nie wiem! - zniecierpliwiał się. — Po prostu nie chcę opowiadać historii. Wiesz, że nie lubię dużo gadać. W tym fachu będę żałosny i nieszczęśliwy.

- Jesteś jeszcze za młody, żeby wybiegać myślą tak daleko naprzód - zbyłem go. - Myślę, że powinniśmy przełożyć tę rozmowę na przyszły rok.

Ahmed odwrócił się na bok i przypatrywał otaczającej nas różowo-zielonej szachownicy.

- Czyż tu nie jest pięknie? - zapytał. - Taki uporządkowany wzór, prawdziwy odpoczynek dla oczu. Czy nie przypomina ci płytek zellidżu?

- Bardzo tu ładnie - przytaknąłem.

- Myślisz, że można zarobić na zellidżu?

- Jako muallim?

- Tak.

- Na pewno. To szanowany fach.

Ahmed wydawał się na chwilę zapomnieć o mojej obecności, po czym usiadł, podniecony.

- Już wiem! - zakrzyknął. - Wiem, kim chcę zostać! Nauczę się układać zellidż.

- To wymaga długich lat nauki - napomknąłem. Zmrużył oczy i spojrzał na swoje ręce.

- Hasanie, myślisz, że dałbym radę? Ze byłbym dobry w tym fachu? Jak byłem w Marrakeszu, podsłuchałem, jak muallimowie rozprawiają o swoim zawodzie. Mają nazwy na różne wzory: odwrócona łza, kurza stopka, samie oczy. Zupełnie jak w poezji, tylko jeszcze lepiej. - Patrząc na polichromatyczną mozaikę płatków, powiedział zadumany: — Cokolwiek to będzie, chcę żyć z pracy rąk.

Spojrzałem na Ahmeda, poruszony jego entuzjazmem, ale nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

Przeprowadziliśmy podobną rozmowę sześć lat później, kiedy stawiając czoło uporczywym naleganiom Ahmeda, razem z ojcem musieliśmy mu przypomnieć, że należymy do berberyjskiego plemienia z gór Atlasu, gdzie nie ma lokalnej tradycji wyrobu zellidzu. To arystokratyczne rękodzieło, zdobiące wielkie pałace na północy. Osobiście mozaiki wydawały mi się zbyt natrętne, zbyt ozdobne. A poza tym - co starałem się podkreślić - nie należały do naszej kultury. Nawet w tak wielkim mieście jak Marrakesz do zdobienia budynków częściej stosowano prostsze dekoracje natynkowe na bazie wapna, czy to nakładanego w formie bardziej chropowatej, zwanego *dess*, czy też gładzonego tadelaktem, spotykanego w wystawnych rezydencjach. Innymi słowy, jeżeli Ahmed naprawdę chciał zostać muallimem, musiał wyjechać z wioski i pojechać na północ, do Fezu, prawdziwej stolicy tego rzemiosła.

Słuchał mnie, siedząc z bosymi stopami. Naokoło słoneczny upał odbijał się od bielonych wapnem podłóg i ścian. Wychwalałem zalety tego rodzaju prostoty, ale Ahmed wysłuchał tego, co miałem do powiedzenia, nie przywiązując zbytnej wagi do moich słów.

- W takim razie pojedę do Fezu - powiedział, i na tym się skończyło. Ojciec o mało nie dostał apopleksji.

- Chcesz jechać i żyć wśród tych nowobogackich Arabów?! Im chodzi tylko o pieniądze! Nie dbają o kulturę! Ahmed się roześmiał.

- Mają więcej kultury, niż ci się śniło, ojcze.

Wrócił do swojego pokoju, zwinął rzeczy w węzełek, pożegnał się i wyszedł z domu. Kilka kroków za nim biegł jego mały, chudy pies.

Tej nocy matka gorzko płakała z żalu. Ojciec przez parę dni chodził z kamienną twarzą. Wieczorem podkręcał głośność starego radia w drewnianej obudowie, ale oprócz sporadycznych reportaży o ćwiczeniach wojsk na poligonie wydobywały się z niego głównie trzaski. Postawiłem dzbanuszek górskich stokrotek w pokoju Ahmeda, ale kwiaty wkrótce zwiędły ze względu na brak odpowiedniego światła.

Kiedy Ahmed odwiedził nas po kilku miesiącach, zapytałem go o psa. Lubiłem to zwierzę i było mi smutno, jak za nim odszedł.

- Pies? - spytał ponuro. - Uciekł gdzieś po drodze do Fezu. Ale wkrótce postaram się o następnego, tym razem czystej rasy.

Wiele lat później, gdy byliśmy już starsi i mieliśmy ułożone życie, nadal prowadziliśmy dysputy na temat uprawianych zawodów. Przez ten czas Ahmed zdołał nie tylko wzbić się na wyżyny swojego rzemiosła i zasłynąć jako znakomity muallim, ale otrzymał nawet nagrodę za wspaniałą kompozycję zdobiącą fontannę przy wielkim meczecie imienia Jego Królewskiej Mości w Casablance. Byliśmy z niego bardzo dumni, ale nadal nie rozumiałem, dlaczego wciąż musi udowadniać, że jego rzemiosło przewyższa moje.

W jednym z listów napisał:

Opowiadanie jest okrutnym talentem, bazarze nawiedzani są przez duchy i widziadła. Chciałbym robić w życiu coś innego, coś bardziej realistycznego i pożytecznego.

Odpisałem mu:

Odrzucam twoją krytykę, bo tylko miłość może pojąć i sprawiedliwie ocenić jakąkolwiek formę sztuki. A sprawiedliwie ocenić można tylko po zadaniu sobie trudu zrozumienia danej sztuki bez wydawania sądów.

Natychmiast otrzymałem długi telegram:

Chciałbym zostawić po sobie jakiś trwały ślad. Ludzie odwiedzają miejsca, gdzie kładłem zellidż, i podziwiają moje rękodzieło. Wiem, że będzie cieszyć oczy przez całe wieki. Nigdy nie mógłbym opowiadać historii i patrzeć, jak słowa rozplywają się w powietrzu niczym dym. Jakaż w tym satysfakcja? Gdzie w tym znaleźć nieodzowny zapach ognia, rozżarzonego pieca i wypalanej gliny? Gdzie chwałą zwycięskiej walki z materią? Pusta przestrzeń tego nie zastąpi. Echa przeszłości również na nic się nie przydadzą. To kwestia różnicy między światem rzeczywistym a symulowanym. Twoja praca jest mirażem. Taka jest gorzka prawda. Kiedy człowiek poświęca życie na opowiadanie

historii, zatracą poczucie rzeczywistości, a jej miejsce zajmuje coś innego: zbiór przypadkowych szczegółów przetworzonych przez wyobraźnię.

Musiałem oprzeć się pokusie telegraficznej odpowiedzi, głównie dlatego, że nie mogłem sobie na to pozwolić. Ale w liście, który mi wysłałem, napisałem:

Twoja praca też jest fikcją, drogi bracie. Dostrzegłbyś to, gdybyś tylko miał na tyle pokory, aby to przyznać.

W odpowiedzi zapytał:

Gdzie jest fikcja w mojej pracy?

Wyjaśniłem mu:

W wierze, że jest trwała. Następnym razem, jak przyjedziesz do Marrakeszu, odwiedź gruzy pałacu Al-Badi, niegdyś uważanego za budowlę niedoścignioną, jedyną w swoim rodzaju, i przypomnij sobie, co powiedział ówczesnemu sułtanowi nadworny błazen: „Panie, będą z niego piękne ruiny”.

Długo czekałem na odpowiedź. Musiało minąć kilka miesięcy, zanim ponownie nawiązaliśmy korespondencję. W międzyczasie Ahmed przeprowadził się z Fezu do Meknes i założył tam własną firmę. Jako pierwsza osoba z naszej rodziny mieszkał w domu zbudowanym z cegieł. Rodzice pojechali do niego w odwiedziny, a po powrocie ojciec stwierdził ironicznie: *Dobrobyt pokonał mojego syna.*

W następnym liście, do którego dołączył fotografie swojego domu, Ahmed napisał:

Czy pamiętasz, co dawno temu powiedziałem o sztuce zellidżu? Porównałem ją do poezji, a nawet stwierdziłem, że ją przewyższa. Hasanie, nadal tak uważam.

W odpowiedzi napisałem:

Po co je porównywać, bracie? Poezją jest wszystko to, co uznajemy za wzniosie. A wzniosie jest to, co sprawia przyjemność. Cała reszta to tylko przelotne uczucia. Ciesz się swoją sztuką, jak ja moją, i dzielmy się radością z naszego szczęścia.

Zgadzam się z tobą całym sercem — przyznał w kolejnym liście, ale musiał dodać: - Właśnie dobudowałem w domu trzecie piętro. Oczywiście, podłogi i ściany są wyłożone zellidżem do wysokości ramion. Nie powinienem tego mówić, ale to jedna z moich najlepszych prac. W niektórych miejscach geometria płytek tworzy niesamowite optyczne złudzenia. Mój przyjaciel, który uczy matematyki, porównuje ją do zbioru podobnych fraktali, choć nie mam pojęcia, co to znaczy. Amina, moja żona, narzeka, że dostaje od nich bólu głowy, ale i tak chwali się wszystkim znajomym. Hasanie, czujemy się tak, jakbyśmy mieszkali w pałacu. Powinieneś nas kiedyś odwiedzić.

Jako postscriptum dodał:

Proszę, pozdrów naszego brata Mustafę. Czy wiesz, co zamierza robić? W Uście do mnie ojciec narzekał, że brak mu kierunku. Powiedz Mustafie, że w mojej firmie zawsze czeka na niego miejsce, jeśli tylko zechce do mnie dołączyć.

LEW ATLASU

W książkach pisze się, że wielkie stada lwów wyginęły jeszcze w czasach rzymskich, zredukowane do roli nędznych, zagłodzonych niewolników na gladiatorских arenach. Ahmed powiedział mi kiedyś, że podobno w miasteczku Volubilis niedaleko Meknes, kompleksie starożytnych ruin z czasów rzymskich, nocą wciąż rozbrzmiewają ryki drapieżników, które padły ofiarą krwiożerczej żądzy jakiegoś oszalałego od władzy prokonsula.

Mówił, że po zmroku miejscowi unikają tego miejsca jak zarazy. Inne źródła odnotowują, że ostatni lew Atlasu, wspaniały osobnik z rudoczną grzywą, zginął w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. Ale zarówno Abdul Haled, jak i Fath Allah, pasterze z naszej wioski, twierdzą, że nocą zdarza im się słyszeć ryki lwów, poszukujących żeru na zboczach gór. To wiarygodni ludzie, nie ma więc powodu, by wątpić w ich słowa. Zresztą nie tylko oni o tym mówią. W okolicznych wioskach i na pastwiskach w regionie Dżabal Sahra często słyszy się o bydle porywanym w nocy przez grasujące lwy.

Grupa zainteresowanych tymi pogłoskami zoologów z Rabatu spędziła kilka miesięcy w naszej dolinie, przesłuchując pasterzy i próbując wytropić domniemane ślady zwierząt. Rząd poparł ich wysiłki, obiecując sowitą nagrodę w zamian za namacalne dowody: części ciała, czaszki, kości, odlewy odcisków łap i fotografie. Wywołało to spore podniecenie we wsiach. Ludzie znosili różne przedmioty, mające być owymi dowodami. Handlarz z doliny Dades pokazał wspaniałe zakonserwowaną skórę, ale okazało się, że ukradł ją kaidowi, który z kolei kupił ją w mauretańskim karawanseraju. Ktoś z doliny Todra przedstawił komplet kłów, ale okazało się, że miały one grubo ponad sto lat. Zoolodzy z Rabatu musieli wreszcie zakończyć poszukiwania, ponieważ nie udało im się nic konkretnego wykazać, ale rząd nadal oferuje nagrodę za przedstawienie dowodów rzeczowych.

Mój jedenastoletni brat Mustafa usłyszał o nagrodzie - dużej sumie pieniędzy- od grupy przedstawicieli rządowych przejeżdżających przez naszą wieś. Jeden z nich rozmawiał w tej sprawie z moim ojcem. Mustafa natychmiast się tym zainteresował.

- Co to za zwierzę, lew Atlasu? - spytał.

- To jedyny duży dziki drapieżnik, jaki uchował się w naszych górach. Inne zostały wytrzebione - roześmiał się ojciec.

- A co z niedźwiedziem i lampartem?

- Wybito je dawno temu, jeszcze przed lwem — odparł ojciec.

- Po czym poznać lwa Atlasu? - zapytał Mustafa.

Ojciec pokazał nam ilustracje w broszurce, którą zostawili urzędnicy.

- Spójrz, jaką ma bujną grzywę. Jest ciemnobrązowa, prawie czarna.

Wokół pyska zaś grzywa staje się jasna, tworząc obramowanie, które dalej ciągnie się wzdłuż brzucha aż pod tylne łapy. To największy lew w Afryce -dodał z dumą. - Najbliżej z nim spokrewnione zwierzęta żyją w Indiach, ale nasze są większe w kłębie, mają masywniejsze czaszki i bujniejsze grzywy. To naprawdę wspaniałe zwierzęta. Rzymianie przetrzymywali je setkami. Wykorzystywali je potem, by zabijały nazarejczyków.

Mustafa ucichł, zamyślony. Ojciec rozmawiał ze mną trochę dłużej, a potem zajął się naszym zbliżającym się wyjazdem do Marrakeszu. Mustafa nie brał udziału w tej rozmowie. Ojciec puścił do mnie oko i pogładził swoje siwe wąsy. Zostawiliśmy Mustafę samego, z podbródkiem wspartym na dłoni, zapatrzonego najpierw na rysunek lwa Atlasu, a potem w dal, gdzie góry marszczyły równinę horyzontu.

Tej nocy Mustafa wyznał mi, że lwy wdarły się do jego duszy.

- Hasanie, czuję się, jakbym był pijany - powiedział szeptem, żeby nie zbudzić rodziców. — Dziś po południu, kiedy rozmawiałeś z ojcem, miałem widzenie. Zobaczyłem lwa z grzywą z płomieni zamiast futra i kiedy na niego patrzyłem, zmienił się w człowieka.

- Poznałeś go? - spytałem zainteresowany.

- Nie, ale jestem pewny, że lwy istnieją. Muszę je znaleźć, albo przynajmniej ich ślady.

- To zwierzęta leśne — ostrzegłem. — Ukrywają się w cieniu i wychodzą tylko po zapadnięciu zmroku. Wielu już próbowało je znaleźć, bez powodzenia. Niełatwo jest je wytropić.

- Ja je znajdę - oświadczył Mustafa. - A kiedy to nastąpi, zabiję największego samca i zgłoszę się po nagrodę. Uściśnij moją dłoń, Hasanie, i życz mi powodzenia. Jutro wyruszam na poszukiwania lwa Atlasu. - W porządku - odpowiedziałem sennie, nie wierząc mu ani trochę. -A teraz już śpij. Wyruszył następnego dnia o świcie, zanim ktokolwiek z nas otworzył oczy. Mama jako pierwsza zauważyła jego nieobecność. Musiałem zdobyć się na odwagę i opowiedzieć rodzicom o planach brata. Cała wioska wyruszyła na poszukiwania Mustafy. Właściwie czuliśmy się trochę tak, jakbyśmy byli na pikniku, nikt więc nie narzekał, że dogonienie mojego zagubionego brata zajęło nam aż dwa dni. A kiedy już

go odnaleźliśmy na wysokich zboczach niedaleko *tizi*, który wybiegał z naszej doliny, był tak załamany, że nie mieliśmy serca go skarcić. W zamian uśmiechaliśmy się pobłaźliwie, podziwiając przedmioty, które zgromadził w czasie swojego polowania na lwy: powyginaną miedzianą manierkę; złożony w kostkę i spłowiały od słońca czerwony proporczyk; wysuszone ciało ryjkonosa, tego dziwnego myszowatego gryzonia z wydłużonym pyszczkiem; wyrzeźbioną przez wiatr na kształt dzidy dębową gałązkę; stary zapalnik dynamitu; duży płaski kamień z wyraźnymi białymi pręgami, które - jak utrzymywał Mustafa - były pozostałością po ostrzających pazury lwach.

Aby ratować honor mojego brata, uczepiłem się tego właśnie przedmiotu jako ostatniego możliwego dowodu istnienia lwów w naszej dolinie, ale nie okazał się on wystarczający. W drodze powrotnej jakiś żartowniś nazwał Mustafę Lwem Atlasu i wszyscy, włącznie z ojcem, wybuchli śmiechem.

Nieco później Mustafa opowiedział mi o małym szarym ptaszku, który spadł z nieba i umarł u jego stóp, kiedy wyruszał na tę odyseję.

- To był zły omen - westchnął ciężko. - Powinienem był przewidzieć, że poszukiwania spełzną na niczym.

- Ważne jest marzenie, nie nagroda - próbował go podnieść na duchu ojciec.

Ale Mustafa pozostał niepocieszony.

Ojciec był przekonany, że to związane z tą historią uczucie poniżenia stało się głównym powodem, dla którego Mustafa wyjechał z doliny i nigdy już do niej nie powrócił. Ja jednak znałem prawdziwy powód jego decyzji - Mustafa sam mi go zdradził. Popchnęło go do tego wydarzenie, które miało miejsce kilka lat później niż przygoda z lwem i nieodwracalnie zmieniło tor naszego życia na gorszy. Mustafa nie mógł sobie poradzić z poczuciem bezradności, które towarzyszyło mu, odkąd przy porodzie zmarła moja młoda, piękna żona. Mój brat ją uwielbiał, podobnie zresztą jak wszyscy członkowie naszej rodziny.

NASIB

Zahra została nazwana na cześć Wenus, porannej gwiazdy. Zawsze pachniała lawendą. Jej śmiech był zaraźliwy. Była wybranką mojego serca, miłością mojego życia...

Takie myśli krążyły mi po głowie w wieczór, kiedy pochowaliśmy ją razem z naszym martwym, nowo narodzonym synkiem na zboczu wzgórza za domem. Nigdy nie zdołam pozbyć się wspomnień z tego dnia; na zawsze zapamiętam kurz unoszący się nad podwójnym grobem, beznadzieję malującą się na twarzach żałobników, moje własne przytłaczające poczucie pustki i noc, która — na nic nie zważając - rozjarzyła niebo gwiazdami. I tę jedną jasną gwiazdę, która nagle zgasła, jakby niewidzialna ręka stłumiła jej blask.

W tamtą noc spałem mywanym snem. Pantofle Zahry stały jak zwykle przy łóżku. Tak jak zwykle rozłożyłem koc. Wdychałem pozostały na poduszce zapach lawendy. Raz za razem powtarzałem bezgłośnie jej imię, jakby to było zaklęcie, którym mógłbym przywrócić ją do życia.

Wczesnym rankiem następnego dnia powiedziałem ojcu, że idę na spacer.

Wyszedłem z domu i odwróciwszy się od doliny, ruszyłem w stronę gór. Pozostawione daleko w tyle domy zmalały do rozmiarów świerszczy.

Minął dzień. Nadeszła noc, wstał świt. Potem minął kolejny dzień i kolejna noc. Straciłem poczucie czasu. Mijały kolejne beznadziejne dni i bezsenne noce. Nade mną świeciły gwiazdy, białe i niebieskie. Chmury przesuwały się nad ziemią jak dym. Promienie słońca przeczesywały korony drzew. Obserwowałem kołującego wysoko orła. Wschodni wiatr, posłaniec miłości, poruszał uschłe liście i wzbijał kurz.

Młoda dziewczyna pasła owce; życie toczyło się zwykłym biegiem.

W położonej w sąsiedniej dolinie wiosce świętowano drugie zaślubiny handlarza warzywami. Głosy kobiet wzbijały się w górę radosną pieśnią. Dachy i ściany domów trzęsły się od tętniących bębnow. Za wsią kamienna ścieżka jaśniała bielą w pełnym słońcu. Wokoło rozciągały się łąki, gęste i bezkresne, które nie sięgały tylko najwyższych szczytów urwistych skał. Gdzieś przerwały je splątane korony drzew. Nagle podmuchy wia-

tru przynosiły orzeźwienie. W powietrzu czuć było jesień. Połowa pastwisk już pożółkła.

Wspiąłem się na strome zbocze. Trawy łąk ustąpiły miejsca wyboistej drodze, otoczonej przez drzewa i krzewy. Szedłem alejką karłowatych sosen. Kiedy wynurzyłem się ze skupiska cedrów, stałem na wąskiej półce zawieszanej nad przepaścią. Nagie ściany skał wokół lśniły przezroczystym chłodnym blaskiem. W dole dostrzegłem strumień, a w oddali jaśniała śnieżna korona Dżabal Tubkal.

Usiadłem. Słońce świeciło mi prosto w twarz. Oparłem się o głaz i odpoczywałem w cieniu. Siedziałem bez ruchu i czułem, jak stygnie żar mojego życia. Dopiero wtedy w pełni odczułem pustkę, jaka nastąpiła po śmierci Zahry.

Kiedy zapadł wieczór, mgła przetoczyła się nad krawędziami gór. Moją skalną grzędę pokryła wilgoć. Zesztywniały z zimna, patrzyłem, jak lawendowa poświata zalewa niebo i nasąca kolorem ciemne zwały gór. Przez moment przeniknęła je na wskroś i zabawiła wszystko. Po chwili zapadła noc, kładąc na cały świat skrzydła cienia.

Gwiazdy zajaśniały na niebie i sierp księżycy wzniósł się nad ziemią. Zza wysokiego żlebu nadpłynęła gęsta szara chmura i oblepiła wystającą krawędź, na której siedziałem, całkowicie przesłaniając mi widok. Gwiazdy pociemniały, księżyc szerniał. I zostałem sam tej nocy, zupełnie sam. Wyjąłem z kieszeni pantofle Zahry i rzuciłem je w przepaść. Podążyłem za nimi wzrokiem, wyobrażając sobie, jakbym się czuł, gdyby to moje ciało roztrzaskało się o kamienie. Długo trzymałem się tej myśli, oddając się poczuciu pełnego wyobcowania i bezmiernego oddalenia od świata.

Odgłos przyspieszonego oddechu wdarł się w moją samotnię.

Odwróciłem głowę i ujrzałem zaczajonego we mgle Mustafę. Patrzył w moją stronę. Jego twarz była szara i wynędzniała; zdawał się bardziej zropaczony niż kiedykolwiek wcześniej. W tym momencie poczułem, że ogarnia mnie niesamowity spokój. Gestem ręki zaprosiłem go, by przy mnie usiadł, i wycofałem się znad krawędzi przepaści.

- Jak mnie tu znalazłeś? - zapytałem.

- Siedzę cię, odkąd wyszedłeś z domu - powiedział ochrypłym głosem.

— Hasanie, nie było cię przez trzy dni!

- Aż tak długo? - zapytałem.
Zarzucił mi ramiona na szyję i wybuchł płaczem.

MANIJJA

Po powrocie zauważyłem, że przez tych kilka dni rodzice znacznie się zestarzeni.

Matka pochwyciła mnie w objęcia, cała roztrzęsiona. Wąska, ciemna twarz ojca wychudła z napięcia i z bezsenności. Oznajmił, że nie może już dłużej opowiadać historii, stracił do tego zajęcia serce.

- Zahra nie należy już do naszego świata, ale jej duch zawsze będzie z nami — powiedział.

- Tak, ojczy — odparłem.

- Ale co będzie z tobą, synu? Patrzymy na ciebie jak z oddali, bezradni. Twój smutek kładzie się cieniem na naszych sercach.

- Nie martw się o mnie.

- Wszystko jest w rękach przeznaczenia, Hasanie, a śmierć jest zapisana w naszym losie.

- Wiem, ojczy.

- Zahra jest teraz w dużo lepszym świecie. Na ten była za dobra - dodała mama. — Martwimy się o ciebie. Nie wiemy, co począć.

- Dajcie mi trochę czasu, mamó.

- Musimy zdać się na łaskę Boga. Niech się spełni Jego wola. Nic nie zdarza się bez przyczyny ani bez celu.

- A mój urodzony, ale martwy syn, ojczy? Opuścił głowę i milczał.

BAJARZ Z MARRAKESZU

Dziesięć dni po śmierci Zahry zapytałem ojca, czy mogę przywdziać jego płaszcz i zająć się sztuką opowiadania, skoro on sam postanowił ją porzucić. Przekonanie go o mojej gotowości do roli bazarza zajęło mi dużo czasu. Zrozumiał, o co mi chodzi, dopiero wtedy, kiedy mu powiedziałem, że muszę się zatracić w innym świecie. Odtąd nie czynił mi już żadnych przeszkód.

- Chodź ze mną - powiedział, biorąc do rąk torbę z kijkami narracyjnymi. Poszliśmy do jaskini, gdzie każdego ranka bez wyjątku ćwiczył swoje

umiejętności. Po drodze zatrzymał się i powiedział:

- Nigdy nie czułem się tak zmęczony jak teraz. Myślę, że starość nadchodzi, kiedy zaczynamy postrzegać upływający czas jako niepotrzebny balast.

- Nie jesteś jeszcze taki stary, ojcze. To minie.

- Nie wiem, Hasanie, ale mam nadzieję, że masz rację.

Weszliśmy do jaskini i usiedliśmy na chłodnych szarych kamieniach. Przez pewien czas ojciec w ogóle się nie odzywał, tylko rozglądał dokoła, jakby widział to miejsce pierwszy raz. W końcu wziął głęboki oddech i powiedział: - To miejsce jest dla mnie drugim domem.

- A nie Dżama?

- Kiedy jestem na Dżama, wyobrażam sobie, że jestem tutaj. Dobrze mi tu. Czuję się tu bezpiecznie — odparł i się uśmiechnął.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Na jego twarzy malowała się radość zmieszana z żalem.

- Mój ojciec przyprowadził mnie tutaj, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Miałem trzy, może cztery lata, nie pamiętam. Nic się tu od tamtej pory nie zmieniło. Całe pokolenia bazarzy z naszej rodziny doskonaliły swój kunszt w tej skromnej jamie - powiedział z blaskiem w oczach. - W tych kamieniach żyją setki opowieści. Były one świadkami niezliczonych wzlotów na skrzydłach wyobraźni. Niezliczonych. Kiedy byłem mały, często przyciskałem uszy do ścian i nadśluchiwałem, co mają do powiedzenia. - Będę o tym pamiętał na Dżama al-Fna' - powiedziałem łagodnie. Pokiwał głową.

- Nie martw się, nie będę wspominał bez końca. Wiem, że przyszliśmy tutaj w określonym celu.

Splótł ręce, jakby mu było zimno.

- Nie martwię się, ojciec. Mam dużo czasu.

- Ale powinniśmy zacząć, bo inaczej tylko ja będę mówił. Już czas. Otwierając szeroko ramiona, wykonał gest, jakby chciał objąć jaskinię.

- Wyobraź sobie, że już nas tu nie ma, że jesteśmy w Marrakeszu, na Dżama. - Wyciągnął przed siebie wyprostowaną rękę, a drugą skrzyżował i przyłożył pod kątem prostym. - To jest Dżama - powiedział, wskazując na rękę ułożoną poziomo - a ta druga reprezentuje minaret meczetu Kutu-bijja. Teraz opowiedz mi, co widzisz.

Przez moment zobaczyłem siebie oczami ojca i nagle pojąłem, że wejście w jego rolę będzie dla mnie niewyobrażalnie trudne. Patrzyłem na jego ręce; nie chciałem go zawieść, ale nie byłem też pewien, co powinienem powiedzieć.

- Widzę słońce - przemówiłem w końcu. - Widzę jasne słońce na markizach i stragany, z których dobiega zapach potraw. Nad nimi unosi się niebieska mgiełka dymu z kominów. Wokół słychać nawoływania sprzedawców. Pomarańcze pachną dziś tak mocno, że czuję w ustach ich soczysty miąższ. Powietrze jest czyste i w oddali widać góry. Po drugiej stronie gór, w żyznej, zielonej dolinie nawadnianej przez chłodne strumienie, we wnętrzu jaskini, pewien ojciec sprawdza, czy jego syn zda egzamin ze sztuki opowiadania. W powietrzu widać odciski stóp syna; ślady, które pozostawił, podróżując między placem Dżama a jaskinią. Wieje też jednak mocny wiatr i ślady nad horyzontem stają się coraz mniej wyraźne. W jaskini jest lustro, które sięga aż do podłogi. Stoi przed nim ojciec, sam mistrz opowieści z Marrakeszu. Przez taflę lustra spogląda na Dżama i codzienne zbiegowisko na placu, ale zamiast siebie przemawiającego w kręgu słuchaczy widzi swego syna, Hasana, który wymyśla tę opowieść: nazywa, opisuje i podwaja świat tak samo, jak zrobiłby to ojciec, stojąc na swym dawnym miejscu.

Ojciec uśmiechnął się prawie poufale, jak do równego rangą.

- Dobrze, w takim razie przejdziemy do opowiadania. Ja wybiorę temat, ty wybierzesz miejsce akcji i zaczniemy jak zwykle — powiedział.

Wyjął z torby kijki narracyjne i już miał któryś wybrać, kiedy mu przeszkodziłem.

- Ojczy, czy to naprawdę konieczne? - zapytałem łagodnie.

- Co masz na myśli? - spytał, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

- Dopiero co straciłem żonę.

- Jak inaczej mam się dowiedzieć, czy jesteś dość dobrze przygotowany? - Uwierz we mnie. Jeździłem z tobą do Marrakeszu przez ponad czternaście lat. Wiem, co robię. Zanim dotrę na Dżama, będę już w innym nastroju. Nie zawiodę cię.

Pochylił głowę. Widziałem, że nie jest zadowolony, i miał ku temu powody, dlatego kiedy wyraził zgodę, jakkolwiek niechętnie, wiedziałem, że robi to z miłości do mnie.

- Jest jednak coś, w czym możesz mi pomóc - dorzuciłem.

- Co takiego?

- Możesz dać mi radę. Podpowiedzieć, jak mogę sobie ułatwić pracę.

- Chcesz poznać sztuczki bazarzy? - uśmiechnął się blado.

- Tak.

Zamyślił się przez chwilę.

- A więc słuchaj. Po pierwsze, pamiętaj, że opowiadanie albo zawiera miłość i tajemnicę, albo jest pustą gadaniną. Po drugie, choć to kijki narracyjne wyznaczają szerokie, główne tematy opowieści, to cała sztuka polega na umiejętnym rozwijaniu wątków i powiązaniu wszystkich ich nici z osnową. Po trzecie, zakończenie opowiadania nie może być jednoznaczne. Dzięki temu słuchacze będą ciekawi, co tak naprawdę się wydarzyło, i wrócą po dalszy ciąg. Na koniec, i to jest najważniejsze, nasze rzemiosło wymaga dyscypliny i ciężkiej pracy. Bujna wyobraźnia nie wystarczy -zakończył uroczyście.

Po chwili milczenia dodał jeszcze:

- Wkrótce zaczniesz wykonywać zaszczytny zawód, Hasanie. Pamiętaj zawsze, że bazarzy łączą silne więzy braterstwa, silniejsze niż rodzinne powinowactwo. Jeżeli któryś z braci będzie potrzebował twojej pomocy, musisz mu jej udzielić bez zastrzeżeń i bez względu na konsekwencje. Zrozumiałeś?

- Tak, ojczy.

- W takim razie... - przerwał nagle. Wydawał się zmęczony i zadyszany. -Co jeszcze mogę dodać? - zastanawiał się. - Co jeszcze? O tak, jest jeszcze coś. Nigdy nie zapomnij, że więź pomiędzy bajarzem a słuchaczami jest budowana na fundamencie dobrego smaku, wzajemnego szacunku i dobrych manier. Nigdy nie zaniedbuj wymogów etykiety, Hasanie. Wspominam o tym, bo Dżama potrafi być niebezpieczna. Jeżeli zaczepią cię chuligani, bądź stanowczy, broń swego, nie daj się zastraszyć.

- Nie martw się, ojciec. Uczyłem się, obserwując ciebie. Pokiwał głową i się wyprostował.

- To chyba wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Być może później coś mi się jeszcze przypomni.

- Dziękuję, ojciec.

Wykonał ruch, jakby chciał powstać. Zamierzałem zrobić to samo, gdy nagle bezgłośnie dał mi do zrozumienia, że właśnie coś mu się przypomniało. Spoglądając na mnie z przechyloną głową, dziwnie onieśmielony, westchnął.

- Teraz chcę porozmawiać o czymś, co dotyczy cię osobiście, albo raczej twojego życia prywatnego. I choć może ci się to wydawać przedwczesne, nasz wspólny czas kiedyś się skończy i nie mam innego wyjścia, jak wspomnieć o tym teraz. Mama podziela moje zdanie.

- O czym chcesz porozmawiać, ojciec?

- Jak już wszyscy otrząśniemy się po śmierci Zahry, poszukam ci żony. Zamilkł, po czym dorzucił delikatnie:

- Drugiej żony.

Nie odpowiedziałem; wpatrywałem się tylko uporczywie w otwór jaskini. Niebo było czyste, jasnoniebieskie. Po chwili poczułem jego rękę na ramieniu.

- Co się dzieje?

- Nie chcę się więcej żenić, ojciec.

- Któż da nam więc wnuki? Kto podtrzyma nasz ród?

Spojrzałem na niego ze spokojem. Nie czułem bólu ani złości z powodu zadanych pytań, tylko głęboki smutek.

- Dlaczego się tym martwisz? Masz jeszcze dwóch innych synów.

- Nie o to chodzi. Matka i ja chcemy, żebyś był szczęśliwy.

- Zapewniam cię, że z czasem ułożę sobie życie. Pochylił się i patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem.

- Być może nie wyraziłem się dość jasno. Pragniemy twojego małżeństwa. To część naszej tradycji, naszej wiary. Słuchając rodziców, wypełniasz przykazania Boga. Nawet jeśli się mylą, islam nakazuje dzieciom słuchać poleceń ich rodziców. Nie wolno pozwolić, by drzewa ginęły, jeśli ma przetrwać las.

Darzyłem ojca tak wielkim szacunkiem, że trudno mi było odpowiedzieć. Czułem się jednak do tego zobowiązany. Położyłem mu rękę na nadgarstku.

- Wiesz, jak bardzo cię poważam, ojcze, ale w tej kwestii nie mogę być ci posłuszny.

Zanim jeszcze skończyłem mówić, dostrzegłem, jak bardzo zaszokowały go moje słowa. Zawstydzony, natychmiast odwróciłem wzrok. Zdjął moją rękę ze swego nadgarstka. Dopiero po chwili odważyłem się ponownie na niego spojrzeć.

- Hasanie...

W jego głosie nie słychać było niezadowolenia ani rozczarowania, jedynie obawę.

- Zamykasz się za murami więzienia, które sam budujesz - powiedział.

- Można tak na to spojrzeć. Ale można też uznać, że wypełniam małżeńską przysięgę.

- Życie nie rządzi się aż tak sztywnymi regułami. Masz dopiero dziewiętnaście lat. Całe życie przed sobą. Nie zaprzepaszczaj swojej przyszłości, podejmując decyzję podyktowaną obecną sytuacją. Nie należy zużywać sił witalnych na dożywotne rozpamiętywanie bólu.

Patrzyłem na bruzdy na jego czole i słuchałem, co mówił, ale myślami byłem w zupełnie innym miejscu.

- Ojcze, czy musimy teraz o tym rozmawiać? - zdobyłem się na odpowiedź.

Zadrżał i przymknął oczy. Ręce wspierał na chudych, spiczastych kolanach.

- Zimno tutaj. Jestem stary i wciąż jest mi zimno. Spojrzałem na niego z czułością i współczuciem.

Otworzył oczy i powoli rozprostował nogi. Był wyraźnie wyczerpany i żal przeszył mi serce, jakby ktoś rozkrawał je tępym narzędziem. Podniosłem się.

- Nie chcę cię zawieść, ojcze.

Spojrzał na mnie przelotnie, smutny i zrezygnowany.

- Wiem o tym, Hasanie. Jesteś dobrym synem i zawsze czułem, że łączy nas głęboka więź, nawet gdy się ze sobą nie zgadzaliśmy. Można nawet powiedzieć, że wtedy była ona najmocniejsza.

Uśmiechnął się, ale był to rodzaj uśmiechu, który łamie serce. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

- Boję się jednak o Mustafę - dodał po chwili. - Nie o Ahmeda, ale o Mustafę. Ahmed sobie poradzi, on zna świat. Ale Mustafa bezustannie wzbudza nasz, mój i mamy, niepokój. Jest zbyt porywczy i zbyt pewny siebie.

- Zbyt pewny siebie? Zgoda. Jest też bardzo gwałtowny w uczuciach, ale tylko w sensie lirycznym. Na twoim miejscu nie martwiłbym się o niego. Mustafa umie o siebie zadbać.

- Mam nadzieję, że masz rację. Jest bardziej inteligentny od Ahmeda i ma ciekawszy charakter. Ale go nie rozumiem. Czasem zachowuje się jak nierozważne dziecko.

Zastanowił się przez chwilę.

- Kiedy zamierzasz wyjechać do Marrakeszu?

- Za dwa albo trzy dni — odpowiedziałem, a potem, uświadomiwszy sobie, że nie dałem mu możliwości wyrażenia opinii, szybko dorzuciłem: -kiedy uznasz to za stosowne.

- Niechaj Bóg w swojej mądrości czuwa nad tobą, Hasanie.

- I duch naszych przodków, ojcze - powiedziałem z uśmiechem.

- Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, módl się do Boga, bo On czuwa nad tymi, którzy w Niego wierzą, i jest pełen miłosierdzia i przebaczenia dla tych, którzy zblądzili.

- Tak uczynię, ojcze.

- A jak ci się nie powiedzie w mieście, wracaj do nas. Nie wahaj się. Wiedz, że tu zawsze jest twój dom.

- Wiem, ojcze.

CZARNE SŁOŃCE

Tak oto wiele lat temu wyjechałem do miasta otoczonego murami z czerwonej cegły i zająłem miejsce ojca. Ahmed też wkrótce wyjechał do Fezu i z czasem zaczęło mu się tam dobrze powodzić, tak jak przepowiedziałem. Ale droga Mustafy wiodła w przeciwnym kierunku. Potwierdziły się najgorsze obawy ojca. Mój brat zmienił się nie do poznania po śmierci Zahry i naszego dziecka. Jego żywiołowość i dobry humor zastąpiły długie i częste wybuchy gniewu, cecha zupełnie nieznaną w naszej rodzinie, której poddawał się jednak tak długo, aż stała się cechą jego osobowości. Ahmed, na którym Mustafa bardzo często wyładowywał swój gniew, przyznał kiedyś, że ubolewa, iż nasz brat stał się zupełnie obcą osobą.

Podczas jednego z rodzinnych spotkań w domu wujka Mohanda w Marrakeszu Mustafa odezwał się do Ahmeda tak ostro, że ojciec poczuł się zmuszony zareagować.

- Nie pozwolę, żeby to spotkanie zamieniło się w wojnę. Ahmed jest od ciebie starszy i winien mu jesteś szacunek. Albo w tej chwili go przeprosisz, albo natychmiast stąd wyjdź.

- Dlaczego mam go szanować? - zapytał Mustafa.

Ojciec aż pobladł ze złości. Opanował się z trudem i powiedział powoli, równym głosem:

- Dlatego, że zasługuje na szacunek. Dlatego, że jest to twój obowiązek. Dlatego, że robi coś sensownego ze swoim życiem. Dlatego, że ja ci tak każę.

- Nie przeproszę go — uparł się Mustafa i wstał, gotów odejść w każdej chwili. Wtedy do rozmowy wtrącił się wujek, wyraźnie poirytowany. - Nic już nie ma dla ciebie znaczenia, chłopcze? Bądź posłuszny ojcu i skończmy z tym - powiedział szybko.

Wtedy Mustafa wyszedł, nie oglądając się za siebie.

- Ten chłopak urodził się pod czarnym słońcem - podsumował mój ojciec, zrozpaczony, spoglądając na otwarte drzwi.

Później dowiedzieliśmy się, że wściekły Mustafa przeszedł piechotą całą drogę do stacji autobusów Supratours, bez namysłu kupił bilet i pojechał

do As-Sawiry. Dopiero po czterech miesiącach dostaliśmy od niego jakąkolwiek wiadomość i to tylko dlatego, że ojciec napisał do wspólnego znajomego z pytaniem, czy wie, gdzie Mustafa się podziewa.

IMDIJAZN

Spojrzałem na moich słuchaczy ze smutkiem, którego źródłem było wspomnienie brata. Nie szczędziłem wysiłków, chciałem, by poznali wszystkie szczegóły, gdyż tylko w ten sposób mogli zrozumieć, dlaczego Mustafa tak bardzo się zmienił. Nie zdradziłem im jednak wszystkiego - nie chciałem, by popadli w nadmierne przygnębienie. Co więcej, sam także nie chciałem się w nim pogryźć. Zmieniłem więc temat - powróciłem do załączka mojej opowieści, do placu Dżama al-Fna'.

Zwróciłem ich uwagę na północną część placu, gdzie stały stragany ze świeżo wyciśniętym sokiem z owoców cytrusowych. Są one w moim odczuciu esencją Dżama; każdy nowy dzień na placu witany jest bukietem owocowych aromatów. Zmieniająca się kompozycja zapachów tworzy niezapomnianą aurę i nadaje każdej porze dnia niepowtarzalną woń, od rześkiej poezji wczesnego poranka po obezwładniająco słodkie piżmo nocy. Między nimi mieści się wiele odcieni szczęścia. Kiedy Mustafa miał cztery lata i po raz pierwszy odwiedził Dżama, naliczył sześć różnych zapachów i każdy połączył z innym kolorem. Z zamkniętymi oczami i nosem zadartym w górę wyśpiewywał całą litanię: jasnozłoty - świeżo obrane pomarańcze o piątej rano; złoto-pomarańczowy — pierwsze dzbany soku o siódmej; brązowożółty - owocowy miąższ zaczyna się kwasić o drugiej; glonowo-brązowy - sok zaczyna fermentować o piątej; wodorosty i sól - zepsuty sok wylewany o siódmej.

Za dnia Dżama jest jednocześnie placem zabaw, miejscem spotkań i targowiskiem. Dawniej wcześniej rano handlowano tu towarami, które nie zostały sprzedane na sukach. W jednej części placu sprzedawano bydło, w drugiej warzywa i owoce, a w jeszcze innej wielbłądy. Dziś nikt już nie sprawuje kontroli nad tym, co można tu kupić i sprzedać, ale — jak mówi

przysłowie - jeśli nie możesz czegoś dostać na Dżama, to nie warto tego posiadać. Około południa rozbrzmiewa muzyka. Pośród świszczących i brzęczących, coraz to innych tonów naj, lotaru, rababu, nakusu rozlega się dźwięk wieczności, ale i tak w drżącym od upału powietrzu najlepiej słycać ciszę. Choć w tle zawsze gra muzyka, do mnie dociera tylko kakofonia dźwięków - cóż, jak na rdzennego Berbera mam dość dziwny gust i najbardziej podobają mi się wyciszone, rwane nuty sprzyjających medytacji pieśni andaluzyjskich. Pod tym względem jestem wyjątkiem. Wszyscy inni uważają tętniący rytm bębnów za podstawowy element atmosfery na placu Dżama. Kiedy zaczynają bić bębny, wszystko inne - małe lusterka odbijające promienie słońca, niebo drżące do taktu, strzępy chmur trzepoczące jak papierowe dekoracje na stołach, stragany z towarem tańczące na bruku, konne dorożki czekające na placu — podchwytuje ich rytm. Po południu plac zamienia się w miejsce rozrywki. Leniwe węże i smutnookie małpki starają się przyciągnąć uwagę przesyconego wrażeniami tłumu. Wiele zwierząt ginie od zbyt mozolnych starań. Właściciele pozbywają się ich truchel bez ceregieli. Na Dżama nie ma miejsca na sentymenty. Pomiedzy czerwoną ziemią i niebieskim niebem, pomiedzy małpką a węzem czai się śmierć. Nie wydaje się jednak, by dotyczyło to także ludzi. Wózki ciągnięte przez osły i motorowery przemieszczają się beztrudnie w tłumie pieszych. W tym bezustannym ruchu aż prosi się o wypadek, ale Dżama ma swój własny rytm i prawie nigdy nie dochodzi do nieszczęścia. Po zachodzie słońca plac ponownie zmienia charakter. Muzycy, akrobaci, artyści trapezu, znachorzy, nosiciele wody pitnej, mistrzowie tatuazu, sprzedawcy soku, zaklinacze węży, tancerki brzucha, połykacze szkła, kuglarze i bazarze przyjmują widmową postać, teatralną i poza czasem. Istnieją niezmiennie przez setki lat, są symbolami Dżama al-Fna', widoczną oznaką trwania pośród zawirowań świata. Księżyc też się pojawia: opalizujące, białe smugi światła przeskakują wśród straganów ze stolika na stolik, oświetlając twarze, pozostawiając ślady. Krążą pośród radosnego zgiełku jak bezszelestni tancerze.

Tutaj przyjezdni mogą zobaczyć na własne oczy, że to, co niezgłębione, naprawdę istnieje i objawia się w formach życia kontynuowanych przez

wieki - to właśnie pokazuje Dżama. Po pierwszej spędzonej tu chwili, która dla wielu staje się duchowym objawieniem, liczy się tylko jedno: relacja placu i jednostki. Jak mawiał mój ojciec, widok Dżama budzi podobne uczucia jak przepelniony miłością uśmiech ukochanej osoby. W tym królestwie gwałtownych pasji i nieopanowanych pokus, gdzie zmysłowość jest najwyższą formą ekspresji, istnieje szczególna harmonia natury i sumienia. Porządek rzeczy wynika ze spontaniczności i zaufania. Na Dżama nie szuka się prawdy, ale pokarmu dla duszy.

BĘBNY TĘTNIĄCE NOCĄ

Narastające bicie bębnów ogłasza nadejście nocy. Ich czarny dźwięk, przypominający trzepot niespokojnych skrzydeł, niesie się w promieniu kilku kilometrów od placu. Wije się on wężowym torem, a na jego obrzeżach gęstnieje mrok. Na Dżama otwierają się wtedy dotychczas niewidzialne drzwi, oznaczając nowy początek. Zakazy odchodzą w niepamięć w rytach przejścia, które obywają się bez słów. Odpinane są klamry u pasków i guziki, uśmiechy pojawiają się i znikają. Zamiera niewinny śmiech, jakby niespodzianie przecięty nożem i zaskoczony nagłym zamachem. Księżyc opada na środek placu. Dym z palenisk toczy się po bruku, wije, połyskuje, tężeje w mgłę. Każdej nocy bendity, guedry i daffy łączą się i tworzą spójną mozaikę mrocznych dźwięków, których rytm pobudza bicie serca i ogarnia duszę. Nic nie brzmi tak jak one i nie da się oprzeć ich uwodzicielskiej sile.

Na niezbyt odległej pustyni wieje silny wiatr. Szaleje nad szczytami Atlasu i przelatuje nad kamienistymi wyspami u wybrzeży Atlantyku. Ale na Dżama al-Fna' nawet on kapituluje w obliczu nocnego tętentu bębnów.

KAWOWA ROZKOSZ

Na Avenue Mohammed V, obok hotelu Isane, naprzeciwko meczetu Kutu-bijja, w miejscu, gdzie teraz mieści się jasna, przestronna księgarnia z Koranami, była dawniej przeszklona lodziarnia w zachodnim stylu. Niektórzy zapewne ją pamiętają. Była ona jedną z niefortunnych innowacji, wprowadzanych, by osiągnąć szybki zysk na turystach kręcących się w okolicach Dżama. Nazywała się La Bes i była otwarta przez całą noc. Pracował tam Mahi, najmłodszy syn mojego przyjaciela Mahmuda, który pochodzi z tej samej wioski co ja, ale wiele lat temu osiedlił się w Marrakeszu. Mahi urodził się tu i wychowywał. To cwany młody chłopak; nie wiem nawet, czy kiedykolwiek odwiedził rodzinną wioskę swojego ojca.

Tamtej nocy, kiedy mój brat Mustafa poszedł szukać pary cudzoziemców, Mahi miał nocną zmianę. Jego współpracownik skaleczył się w rękę i poszedł wcześniej do domu, więc Mahi został sam. Kiedy porzuciłem wszystkie swoje wieczorne plany i poszedłem szukać Mustafy, na placu natknąłem się na Mahiego. Opowiedział mi wtedy o swoim spotkaniu z Mustafą. Było wcześniej rano i Mahi wracał właśnie po pracy do domu.

Powiedział, że para cudzoziemców weszła do lodziarni około dziesiątej wieczorem. Rozmawiali przyciszonymi głosami i Mahiemu zdawało się, że o coś się spierali. Mężczyzna wydawał się zmęczony i roztargniony i nawet nie spojrzał na Mahiego. Kobieta długo się zastanawiała, zanim dokonała wyboru, i w końcu zamówiła dwie gałki lodów o smaku „kawowa rozkosz”. - Czy dosłyszałeś coś z ich rozmowy? — zapytałem. - Tylko niektóre jej uwagi i tylko wtedy, kiedy mówiła po francusku. Raz usłyszałem, jak mówi: *Mam mnóstwo energii*. I jeszcze: *Rozpacz to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić*.

- Rozpacz? - powtórzyłem zdziwiony. - Nie strach? Jesteś pewny?

- Tak - odparł Mahi. - Płacił mężczyzna. Ona kazała mu dać mi napiwek, mimo że nie podawałem do stołu. Stali przy ladzie przez cały czas. - A potem wyszli? — spytałem rozczerowany.

- Nie, ona wciąż jadła lody, kiedy wszedł twój brat.

- Mój brat Mustafa?

- Tak.

- I co było potem?

- Twój brat spojrział na tę kobietę i zatrzymał się w pół kroku, jakby przeszyty strzałą. Ręce mu opadły i zrobił się tak blady, jakby zaraz miał stracić przytomność. Ale doszedł jakoś do lady i poprosił o wodę. *Mahi* -powiedział głosem, który był zarazem donośny i słaby — *daj mi wody, szybko.*

Kiedy podałem mu szklankę wody, wypił połowę jednym haustem, a resztę wylał sobie na twarz. Jeżeli tym gestem chciał przyciągnąć ich uwagę, to mu się udało, bo od razu na niego spojrzeli. Długo nie czekając, Mustafa wytarł twarz i do nich podszedł. Zwrócił się bezpośrednio do kobiety, pytając ją po kolei, jak się nazywa, skąd pochodzi i jak długo zamierza zostać w Marrakeszu. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o obecności jej męża, ten zaś przyglądał się temu wszystkiemu z ironicznym uśmiechem, jakby przyzwyczał się już do tego, że obcy mężczyźni natychmiast zakochują się w jego żonie. Po krótkiej uprzejmej rozmowie kobieta zamierzała odejść, ale Mustafa nagle pochwycił ją za rękę i spojrział w jej szeroko otwarte oczy z takim zachwytem, jakby doznał objawienia.

- *La bes?* — zapytał szybko. - Jesteś szczęśliwa?

Niezupełnie zrozumiawszy pytanie, kobieta odsunęła rękę i powiedziała nieśmiało:

- *Al-hamdu lil-llah*, dzięki Bogu, jestem szczęśliwa.

- Mówisz po arabsku?

- Uczę się. Chcę być tłumaczem w oenzenie.

- Wspaniale! Naprawdę wspaniale! - wykrzyknął Mustafa. Potem po raz pierwszy zwrócił się do jej męża.

- *As-salamu alejkum* - powiedział niskim, rozgorączkowanym głosem.

-Towarzyszy ci piękna kobieta. Tak piękna jak młoda gazela. Ma oczy jak dwa jeziora! To oazy, w których ugaszę swoje pragnienie.

W tym momencie Mahi wykonał szeroki ruch ręką, naśladując gest mojego brata. Nie ukrywając entuzjazmu, powtórzył następne pytanie Mustafy: *Ile za nią chcesz?*

- Nie miałem wątpliwości - powiedział Małii - że Mustafa był śmiertelnie poważny, ale kobieta, która jako jedyna zrozumiała jego złożoną po arabsku propozycję, roześmiała się głośno, widocznie uznając ją za absurdalny żart.

Wciąż się śmiejąc, przetłumaczyła pytanie Mustafy mężowi, a twój brat przysłuchiwał się temu z szeroko otwartymi oczyma, spijając każde słowo z jej ust. Wtedy z kolei mężczyzna wybuchnął śmiechem. Choć był tak samo grzeczny jak ona, odezwał się do Mustafy z wyższością, protekcjonalnie, jakby rozmawiał z powodującym drobną irytację ulicznym nagabywaczem, którego trzeba się pozbyć.

— Dziękuję - powiedział - ale nie skorzystam z propozycji.

Mustafa oblał się rumieńcem, a oczy rozbłysły mu jak rozżarzone węgle.

— Mam w As-Sawirze sklep z lampami - powiedział z naciskiem. — Mam udziały w hotelu nad brzegiem oceanu. Dam ci to wszystko w zamian za nią. Nie pożałujesz. Oba interesy przynoszą dobry zysk.

Kobieta zarumieniła się, tłumacząc te słowa mężowi, który objął ją ramieniem, jakby chciał ją ochronić.

— To naprawdę niesłychane! — powiedział ostrzejszym tonem. — Było nam miło, ale nie jesteśmy zainteresowani. Proszę nas zostawić w spokoju. Dobranoc.

Kiedy już siedział w więzieniu, Mustafa powiedział mi, że patrzył na tego mężczyznę z zazdrością, zastanawiając się, skąd bierze się u niego to naturalne poczucie wyższości i czy sam mógłby kiedykolwiek przyjąć podobną postawę niewymuszonej elegancji - on, który w każdym słowie, każdym geście i uścisku dłoni doszukiwał się prowokacji i pogardy

Próbowałem mu wytłumaczyć, że nie ma powodu do zazdrości, gdyż sam pochodzi ze starego berberyjskiego rodu, ale on tylko pogardliwie machnął ręką.

- Gdybyś tylko dostrzegł, jak swobodnie zachowywał się jej mąż i jak wytworne miał maniery, zrozumiałbyś, dlaczego natychmiast zawstydzilem się własnego nędznego pochodzenia.

- Dlaczego zawsze porównujesz się do ludzi z Zachodu? - spytałem

z bólem. - Dlaczego nie jesteś dumny z własnego dziedzictwa? Jesteśmy Berbetami, *imaziren*, wolnym ludem szlachetnej rasy, nie musimy przed nikim chylić czoła. Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy czuć się gorsi.

Na twarzy Mustafy malował się ogromny wysiłek - wyraźnie starał się opanować.

— Jesteśmy Berberami - odparł z przekąsem - a to znaczy tylko tyle, że nasz świat jest tak mały, że aż śmiać się chce. Otwórz oczy, Hasanie. Czy kiedykolwiek wyjeżdżałeś poza Maghreb? Granice twojego życia określa długość i szerokość Dżama. Ach, brak mi słów.

— Brak ci słów? - zapytałem.

— Tak, jestem pozbawiony mowy i walczę o oddech. Na Dżama zawsze widzi się te same twarze, te same beznadziejne, prowincjonalne gęby. Ciebie to może inspiruje, ale mnie przygniata.

Sprzeciwiłem się jego słowom. Starałem się dowieść, że Dżama jest tygłem ludzi i idei. Wystarczy otworzyć oczy, aby zrozumieć, że ten plac jest mikrokosmosem świata i zawiera wszystko to, co najlepsze.

— Trzymaj się swoich złudzeń, jak ci z nimi dobrze - powiedział cierpko Mustafa. — A teraz już odejdz i zostaw mnie w spokoju.

Ze smutkiem spełniłem jego życzenie, ale gdy wychodziłem z więzienia, przypomniałem sobie dawną rozmowę z Mahim. Powiedział mi wtedy, że kiedy mężczyzna po raz pierwszy poprosił Mustafę, aby odszedł, mój brat odmówił, głuchy i ślepy na wszystko poza urokiem, jaki rzuciła na niego ta kobieta.

— To był bardzo niezręczny moment — opowiadał Mahi. — Bałem się, że Mustafa zrobi coś nieobliczalnego. Ale mężczyzna zasłonił swoją żonę własnym ciałem i mimo że Mustafa próbował go ominąć, ten stał nieporuszony i zachował zimną krew.

Czułem się upokorzony tą relacją i współczułem nieznajomemu mężczyźnie, że znalazł się w tak niezręcznej sytuacji. Pełen podziwu dla opanowania, jakim się wykazał, zapytałem Mahiego, co takiego cudzoziemiec powiedział Mustafie, że w końcu skłonił go do odejścia.

Mahi myślał przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Potem wcielił się w mężczyznę i odegrał jego rolę. Cofnął się trochę, wyprostował plecy i grubym, stanowczym głosem powiedział:

— Proszę tu nie stać i nie wpatrywać się tak w moją żonę. To nie jest dla niej przyjemne. Proszę odejść i zostawić nas w spokoju. *Ma as-salama*, żegnam.

Według relacji Mahiego mój brat, urażony tą odprawą, wybiegł z lodziarni, ale przedtem jeszcze raz rzucił tęskne spojrzenie na kobietę, którą z takim podziwem porównał do gazeli.

Podziękowałem wtedy Mahiemu i czując gorycz w ustach, podjąłem przerwane na chwilę poszukiwania brata. Wstydzilem się za Mustafę -wstydzilem się przede wszystkim tego, że nie znał żadnych granic.

Wiele miesięcy później, kiedy podczas kolejnych odwiedzin znowu poruszyłem ten temat, Mustafa zareagował z oburzeniem i zaskoczeniem. W każdej nucie jego głosu słyszałem zranioną dumę, wręcz nieodłączną cechę jego charakteru. Zdawało się, że stracił też rozeznanie, co jest jeszcze rzeczywiste, a co już nie.

- Hasanie, ona była stworzona do miłości - upierał się. - I nie była z nim szczęśliwa... Wyraźnie niezaspokojona. Widać to było w jej oczach. Może niezbyt jasno, ale mi wystarczył nawet taki słaby cień aluzji.

- Była mężatką - przypomniałem.

— Tego dowiedziałem się dopiero potem. Podczas pierwszego spotkania niczego nie zauważyłem. Uwierz mi, Hasanie, naprawdę nie kłamię. Nie nosiła obrączki, to wiem na pewno, bo trzymałem ją za rękę.

Słuchając go, oparłem się łokciem o krzesło. Byłem już zmęczony jego uporem. A teraz, wstydząc się za niego, pochyliłem głowę. Chciałem mu powiedzieć - jasno i wyraźnie, tak żeby nie miał już żadnych wątpliwości - że widziałem jej ślubną obrączkę: dwa złote, splecione ze sobą węże. Ale nie miałem serca zaprzeczać twierdzeniom mojego biednego, gnijącego w więzieniu brata, który posiadał już tylko złudzenia. Nie powiedziałem więc ani słowa.

CHANDRA

Zrobiłem przerwę w narracji i przesunąłem dłonią po brodzie, podkreślając tym gestem wagę chwili. Wciąż rozmyślając o Mustafie, bacznie

przyglądałem się słuchaczom. Jedni patrzyli mi prosto w oczy; drudzy, wyraźnie zażenowani, odwrócili wzrok. Niektórzy mieli ciekawe rysy twarzy, inni mniej wyraziste, przyćmione, i trudno było ich zapamiętać. Naturalnie, byłem bardziej zainteresowany tą drugą grupą, ponieważ stanowiła dla mnie prawdziwe wyzwanie. Dlatego wpatrywałem się w twarze tak długo, aż dostrzegłem w nich coś charakterystycznego. Ale pod koniec tej uważnej obserwacji doszedłem do prostego wniosku: żaden ze słuchaczy nie przypominał Mustafy, ani nawet nie mógłby się z nim porównać. Mustafa był wyjątkowy pod każdym względem, jedyny w swoim rodzaju.

Ktoś ze słuchaczy przerwał moje zamyślenie.

- Nie czas na sen, Hasanie. Mów dalej, jest za zimno na długie przerwy. Podziękowałem mu uśmiechem i podjąłem na nowo trud zamiany myśli na słowa. Starłem się opowiadać tak, aby moje wspomnienia stanęły im przed oczami. Zrobiłem nawet więcej — zdołałem wyrazić zdumienie, którym zawsze napawała mnie nieskończona inność i niemożność zrozumienia mojego brata.

Mój brat Mustafa jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znam. Jak na Berbera ma niezwykle jasną karnację, jest wysoki, szeroki w ramionach, ma kędzierzawe włosy i jasne, przenikliwe spojrzenie. Wszyscy mężczyźni w naszej wiosce mu zazdrościli. Nawet jak jeszcze był dzieckiem, krążyły legendy o jego urodzie. Gdy tylko pojawiał się w miejscach publicznych, zwracały się ku niemu wszystkie oczy. Kiedyś, gdy miał około sześciu lat, ojciec natknął się na niego, jak przebrany za pogańskiego boga jechał na wózku, który ciągnęło osiem dziewczynek ustrojonych w białe szaty. Czasem stawał na środku skweru w centrum wsi i przybierał pozę posągu, stając się obiektem powszechnego podziwu kobiet i ironicznych prześmiewek mężczyzn. Kiedy wszedł w okres dojrzewania, poświęcał tak dużo czasu swoim słowom, minom i gestom, że jego zachowanie stało się przedmiotem żartów w całej rodzinie. Ale gdy któregoś dnia przyłapałem go, jak podziwiał się w lustrze, paląc pierwszego papierosa, ojciec postanowił coś z tym zrobić. Poprosił, abym pojechał razem z nimi do Marrakeszu, na Dżama, gdzie miał przebywać wędrowny znachor z Sahelu, który mógł wyleczyć mojego brata z próżności.

Człowiek ten miał na imię Bassu i był ogromny, zwałisty i całkiem łysy. Siedział na kilimie nieruchomo jak pomnik, paląc fajkę wodną. Po wymianie tradycyjnych powitań z ojcem, zmierzył Mustafę wzrokiem. Zwracając się do obu, powiedział:

- W powietrzu unoszą się wyziewy, które zawierają nieczystości, a nasze ciała przyciągają i absorbują toksyny jak lep muchy. Moi przodkowie nazywali te wyziewy dżinnami i rozprawiali się z nimi w stosowny sposób. Ale ja mam bardziej naukowe podejście i wierzę w najnowsze metody diagnostyczne. Od razu mogę ci powiedzieć, że twojego syna dręczy wiele kompleksów, które powodują, że próbuje ukryć poczucie niższości pod maską przesadnej próżności. Za twoim pozwoleniem, chciałbym mu przepisać kąpiel stóp, która całkowicie i bezboleśnie oczyści go z tej, nazwijmy ją, choroby. Kąpiel przeczyści mu narządy, gruczoły, arterie, nerwy, mięśnie, tkanki i ścięgna i w ten sposób usunie wszystkie toksyny z organizmu. Dokona tego, wzniecając walkę pomiędzy dobrymi a złymi duchami, podczas której siły światła pokonają siły ciemności; przyłączą się do nich i wydalą je przez pory w stopach. Nazywam to osmozą. Jest to termin naukowy, używany w najlepszych szpitalach i klinikach. Po zakończeniu kuracji twój syn będzie miał lepsze samopoczucie, co objawi się zdrowym stosunkiem do życia i większą energią.

Po tej imponującej przemowie Bassu rozwinął zwój papieru, na którym naklejono świadectwa skuteczności osmozy. Pochodziły one od wdzięcznych pacjentów z całego Maghrebu. Przeczytałem kilka z nich ojcu, który był niepiśmienny.

Egzema na szyi i piersiach zniknęła po czterech kąpielach.

Po wielu latach jeżdżenia na wielbłądach tak bolało mnie krocze, że płakałem co noc. Teraz, po dziesięciu kąpielach, znów mogę być mężczyzną.

Moja dziewięćdziesięciosześcioletnia matka cierpiała na artretyzm w obu nogach i stała się inwalidką. Teraz, po jedenastu kąpielach, jakie jej przepisałeś, znów może gotować i zajmować się domem.

Mojemu dziesięcioletniemu synowi o wiele lepiej idzie praca, odkąd rozpoczął kurację. Nie jest już tak ponury, częściej się uśmiecha i nie narzeka, kiedy musi wstawać o świcie, żeby pomóc mi w gospodarstwie.

Po dwóch sesjach moja żona nie mówi już o ucieczce z domu. Jesteśmy teraz szczęśliwą rodziną i przyprowadzę ją znów do ciebie, kiedy będę chciał, by zaszła w ciążę.

- Przekonany? - zapytał Bassu z uśmiechem.

- Przekonany - odpowiedział ojciec, wyraźnie będąc pod wrażeniem świadectw od tylu pacjentów.

- To będzie dwadzieścia dirhamów za półgodzinny zabieg. Zwykle liczę czterdzieści, ale za leczenie twojego syna, przyjaciela, wezmę tylko połowę ceny.

Ojciec dał mu pieniądze i usiedliśmy w kącie, a uzdrowiciel zabrał się do pracy. Najpierw kazał Mustafie umyć nogi w pobliskiej fontannie.

- Wyszoruj je dobrze - polecił. - Mają być czyste jak łąza.

Trochę nadąsany, Mustafa wykonał polecenie, a kiedy wrócił, Bassu umieścił jego stopy w białej emaliowanej miednicy z wodą.

- Ta woda ma specjalne właściwości oczyszczające - powiedział. - Pochodzi z dziewiczych górskich źródeł ze szczytu Dżabal Tubkał. Gromadzę jej zapasy, kiedy topnieją zimowe śniegi. Nie ma nic lepszego.

Przyglądał się uważnie stopom Mustafy, a kiedy pojawiły się na nich stębrzyste bąbelki, wyraźnie zadowolony, nakrył miednicę ciężką, posmarowaną smołą tkaniną i zajął się innymi pacjentami czekającymi w kolejce.

Powtórzył dokładnie pół godziny później i teatralnym gestem zdjął smolistą zasłonę. Kazał nam spojrzeć na wodę w miednicy. Wyciągnęliśmy szyje i zdumieni zobaczyliśmy, że stała się ona brudnozielona...

- Twój syn — powiedział Bassu do ojca — ma chandrę i nadczynność śledziony. Zieleń to kolor żółci. Wędruje ona po całym jego organizmie, zamiast siedzieć w woreczku żółciowym. Tłumaczy to jego złe humory. Jeśli nie będzie się leczył, stanie się pozerem i ekshibicjonistą. To dość rzadkie schorzenie, ale coraz częściej obserwuję je u młodzieży. Pewnie ma to coś wspólnego z ogólnym zepsuciem. Wpływ telewizji, zachodnich filmów i tak

dalej. Nasypię ci trochę soli mineralnych do woreczka. Użyj ich w czterech kąpielach, a twój syn będzie uzdrowiony. Potem zwrócił się do mojego brata:

- Zaraz po zabiegu będziesz odczuwał pragnienie i głód. Będziesz miał zawroty głowy, może cię nawet lekko boleć. Musisz odpocząć. Przez parę dni możesz też mieć rozwolnienie. Nie ma powodu do obaw, to wszystko jest normalne po detoksykacji. Pamiętaj, zrelaksuj się, dobrze się odżywiaj, pij dużo wody i szanuj rodziców. Zrozumiałeś?

Przerwał i patrzył na mojego brata z dobrodusznym uśmiechem. Jakby w odpowiedzi Mustafa, który dotychczas wpatrywał się w zieloną wodę pod nogami, nagle się zgiął i zwymiotował wprost do miednicy.

- *Merde!* - zawołał uzdrowiciel po francusku, zapominając na chwilę o godności, i odskoczył od miednicy z niebywałą wręcz szybkością.

- Sła-a-abo mi - wymamrotał Mustafa.

GUEDRA

Kilka lat później, kiedy odwiedziłem brata w As-Sawitze, na wspomnienie tego zdarzenia wybuchliśmy gromkim śmiechem. W tym czasie Mustafa mieszkał w wynajętym pokoju w robotniczej dzielnicy Chbanat, koło prowadzącej do medyny Bab Dukalla. Było to małe pomieszczenie bez okien. Drzwi otwierały się na ponure podwórko. Pokój umeblowany był po spartańsku. Łóżko zapadało się na środku, pościel była sprana i połatana. Z tego, co widziałem, Mustafa posiadał tylko dwie rzeczy: narzędzia do obróbki skóry - właśnie zaczynał wyrabiać latarenki i lampy, które w przyszłości miał sprzedawać we własnym sklepie - i ręcznie wykonany bendir. Odwrócona drewniana skrzynka koło łóżka służyła mu jako stół do pracy.

Któregoś wieczoru Mustafa postanowił przedstawić mi swoich przyjaciół bębniarzy. Ich sesje odbywały się w małym sklepiku z bębnami poniżej fortyfikacji Sqala de la Ville - basrionu armatniego strzegącego wybrzeży Atlantyku. Był już późny wieczór, kiedy tam dotarliśmy. Mustafa przedstawił mi wszystkich po kolei: Saada, Abdul, Farida, Mubaraka,

Hałda, Lahkana, Buszaiba, Abdul Dżalila. Byli to głównie mężczyźni w jego wieku. Wyjątek stanowił Omar, właściciel sklepu i ich *rais*. Pokoik o powierzchni może dziewięciu metrów kwadratowych wypełniony był po brzegi imponującą kolekcją instrumentów perkusyjnych, za którymi zasiadali chłopcy. Były tam dżembe i tam-tamy, bendity, dumbeka, dar-buki, taye, taridże, guedry z Kulmimu i daffy używane przez muzyków *gnawa*. Dźwięczne nazwy, piękne dźwięki. Z haków na zawilgotniałych ścianach zwisały metalowe kastaniety, karkabaty, różne rodzaje cymbałów i metalowych pałeczek. Siedziałem w ścisiku na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami i zaskoczony patrzyłem, jak Mustafa ustawia między swoimi udami masywny, głęboko brzmiący dżembe i kiedy *rais* daje sygnał, zaczyna grać pierwszy utwór. Kilka minut później przybył jakiś cudzoziemiec; kiedy opadł kaptur jego dżellaby, okazało się, że była to kobieta. Spojrzałem na nią zgorszony, ale ponieważ byli w środku utworu, stwierdziłem, że niegrzecznie byłoby im przeszkadzać, mimo że kobieta usiadła tuż obok mnie i musiałem się od niej odsunąć tak daleko, na ile to było możliwe. Jeszcze się z tego dobrze nie otrząsałem, kiedy do pomieszczenia weszły dwie inne cudzoziemki, ubrane w zachodnim stylu. Na końcu ukazała się postawna blondynka w dżinsach i podniszczonym kożuszką i przyłączyła się do zespołu, czym wprawiła mnie w jeszcze większe zakłopotanie. Z jednej strony trudno mi było oprzeć się hipnotycznym rytmom uderzeń, z drugiej zaś nie mogłem się skupić, gdy co chwila przybywało kobiet, na dodatek cudzoziemek. Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem czegoś podobnego. Niestety, muzycy nie robili przerw między kolejnymi utworami i nie mogłem porozmawiać z Mustafą. Siedziałem jak przykuty do swojego miejsca. Po trzeciej piosence zaczęły grać kobiety: dziewczyna, która przyszła jako pierwsza - miała na imię Xaviera i jak się później dowiedziałem, była Francuzką - i blondynka w dżinsach, Holenderka. Muszę przyznać, że szło im to równie dobrze jak mężczyznom. Szczególnie blondynce. Podwinęła gandurę, a gdy jej ręce wznosiły się w górę i opadały w dół, zauważyłem, że są czerwone i pełne odcisków od wielu lat grania. Nawet nie spostrzegła, że się jej przyglądam. Tak jak wszyscy, pochylała głowę i waliła w bęben jak opętana. Ściany pomieszczenia drżały w rytm muzyki.

Gdy na chwilę przerwali grę, udało mi się pochwycić spojrzenie brata. Wyszliśmy na zewnątrz, na dziedziniec spowity nadchodzącą od morza mgłą. Powietrze miało orzeźwiający, słony zapach i smak.

- Co się dzieje, Hasanie? - zapytał Mustafa. - Tam palą skręty, a my się nie załapiemy. Najlepszej jakości kif; Omar kupuje go bezpośrednio od Hiszpanów z Melilli.

Aż mnie zatkało.

- Nie mam zamiaru palić kifu ani tam wracać! Oszalałeś? Te kobiety rozbierają się prawie do bielizny! Pokazują nagie ramiona, cuchną potem jak świnie. Jak im nie wstyd? Jak tobie nie wstyd?! Jak mogłeś mnie tutaj przyprowadzić?

- Hasanie, one grają z takim zapamiętaniem, że teraz istnieje dla nich tylko muzyka. Ubranie jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślą. Sam powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. Nie powiesz przecież, że nie znasz tego rodzaju zatracenia.

- O niczym takim nie wiem - odparłem. - Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym się rozbierał, kiedy pracuję? Jeszcze nigdy nie słyszałem nic tak głupiego!

Mustafa cofnął się o dwa kroki i zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem. Moje zażenowanie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Patrzyliśmy na siebie ostro w milczeniu, aż w końcu Mustafa przemówił podejrzanym miękkim głosem.

- Mój ty biedny purytański prowincjuszu - mówił z politowaniem. -Przejrzyj na oczy! Już najwyższy czas!

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- Co przez to rozumiesz? — zapytałem.

- To znaczy: witaj w nowym świecie.

- Jakim świecie? Nie wiem, o co ci chodzi.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy, po czym Mustafa wyraźnie stracił cierpliwość.

- Niech ci będzie, rób jak chcesz. Okazuje się, że jesteś zatwardziałym wrogiem kobiet; nie rozumiesz ich ani głową, ani sercem. Możesz mi wierzyć albo nie, ale te dziewczyny przychodzą tu po to, żeby pograć; naprawdę interesuje je tylko muzyka. Ale powiem ci to, co chcesz usłyszeć.

Są zupełnie inne od dziewczyn ze wsi, to się rzuca w oczy. Przychodzą tutaj z wyboru, jako osoby, jak to określają, dorosłe i odpowiedzialne za swoje czyny. Krótko mówiąc, wiedzą, co robią. A ja nie jestem obojętny na ich uroki. Na przykład te dwie Amerykanki, Shania i Johanna, są siostrami i obie chcą się ze mną przespać; ta Francuzka, Xaviera, chce, żebym się z nią ożenił; a ta blondynka z Amsterdamu jeszcze sama nie wie, czego chce. Która ci się podoba? Powiedz tylko słowo, a was umówię.

Nagle zrobiło mi się niedobrze i aż się zatoczyłem z obrzydzenia. Wpadłem na przymknięte drzwi, na których przypięto kolorowy plakat z jakimś czarnym chudzielcem, którego włosy były całe w kołtunach. Próbując złapać równowagę, chwyciłem za róg plakatu i przedarłem go na pół.

- Mój Boże - wyszeptał Mustafa, patrząc z przerażeniem na dokonane przeze mnie dzieło zniszczenia. - Coś ty zrobił?

- A co? - spytałem bezlitośnie. - Czy to twój nowy idol? Jakies bóstwo czczone przez hippisów? Zapomniałeś, że jesteś muzułmaninem?

- Ty idioto! Religia nie ma z tym nic wspólnego. To Bob Matley, król reggae. Omar go uwielbia. Teraz obedrze mnie ze skóry!

Prostacki język, jakim się do mnie zwracał, po prostu mnie rozzłościł. Straciłem głowę.

- Jak śmiesz nazywać mnie idiotą?! Czyżbyś zapomniał, że jestem twoim starszym bratem i należy mi się szacunek? Gdzie się podziały twoje maniery? A może o nich zapomniałeś w tym chlewie pełnym dziwek z zagranicy?

- Odpieprz się, Hasan! Dość już mam bezustannych pouczeń! Jak ci się nie podoba mój styl życia, to wracaj, skąd przyszedłeś!

Patrzyliśmy na siebie ze wstrętem, choć u mnie mieszał się on z rozpaczą. Chciałem uderzyć Mustafę w twarz, ale powstrzymałem się, świadomy, że pogorszyłoby to tylko sytuację. Obaj kręciliśmy się więc po dziedzińcu, aż w końcu Mustafa wzruszył ramionami i ruszył z powrotem do pomieszczenia. Odprowadziłem go wzrokiem. Czułem gorycz w ustach. Spuściłem oczy, było mi ciężko na sercu. Już chciałem odejść, kiedy Mustafa wybiegł, by dać mi klucz do pokoju.

SKOK

Takie myśli krążyły mi po głowie tamtej przeklętej nocy, kiedy wznowiłem poszukiwania brata. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się skrócić sesję opowiadania, ale czułem, że nie mam innego wyboru. Roztargnienie przerodziło się w stan podniecenia, które nie pozwalało mi się skupić. Kilka razy musiałem przerywać opowiadanie, ponieważ nie mogłem sobie przypomnieć, który wątek mam podjąć i dlaczego. Przeklinając Mustafę pod nosem, starałem się ze wszystkich sił zachować spokój i nie wybuchnąć gniewem, bo z gniewu nie można się oczyścić - jest jak rdza, która zżera nas od wewnątrz. Podświadomie czułem, że tej nocy zdrowy rozsądek i hart ducha będą mi jeszcze potrzebne.

ASTARA

Na placu panowała gorączkowa atmosfera. Plotki na temat pary cudzoziemców, szczególnie te dotyczące niebywalej, olśniewającej urody kobiety, wywołały nastrój niezwykłego - nawet jak na tętniący życiem Dżama - podniecenia. Szybko obszedłem cały plac, ale nie trafiłem nigdzie na mojego brata. Niepokoiłem się coraz bardziej. Postanowiłem poszukać mojej przyjaciółki Dunii, artystki tatuaży z henny, która wspierana przez swoich osiem córek, wie lepiej niż ktokolwiek, co się dzieje na placu.

Znalazłem Dunie w jej stałym miejscu, przy stoiskach z palonymi orzeszkami na północnym krańcu Dżama. Była to doskonała lokalizacja - Dunia mogła pracować w świetle ogromnych rozżarzonych koksowników ustawionych przy wejściu do sąsiedniego suku garncarzy. Po powitaniu poczęstowała mnie mocną miętową herbatą, ale prawie natychmiast odgadła, że czymś się martwię. Kiedy wytłumaczyłem, że szukam brata, jedna z jej córek natychmiast skierowała mnie do meczetu Al-Qasba. Twierdziła, że właśnie tam wszedł Mustafa jakieś dwadzieścia minut wcześniej.

- Mój brat wszedł do meczetu? - spytałem, nie dowierzając własnym uszom.

- Jak tylko wybiegł z cukierni Mahiego, prosto tam poleciał! - wykrzyknęła. — Słyszałam, że u Mahiego wdał się w awanturę z parą cudzoziemców.

- Skąd o tym wiesz? — spytałem zdziwiony.

- Bo chwilę później malowała henną rękę tej dziewczyny - zaśmiała się któraś z pozostałych córek Dunii.

- Tak, tak, namalowałam jej rybę na lewej ręce i oko na prawej, żeby odegnać złe duchy. Rozpoznasz moje dzieło. Kobieta była piękna i bardzo miła. Rozmawialiśmy przez chwilę i powiedziała mi, co się stało w Labes. Ach, ten twój brat! Chyba już całkiem oszalał.

- No, czyż te moje córki nie są cudowne? - powiedziała z dumą Dunia. - Przybywajcie do nas po wiadomości ze świata. Wszędzie mamy oczy i uszy.

- Muszę już iść, muszę go znaleźć — powiedziałem, wstając z miejsca. - Pozdrów go ode mnie - usłyszałem na odchodnym. - I powiedz mu, żeby się opamiętał. Istnieje granica między niewiernymi a ludźmi wiary, której nie wolno przekroczyć. Poza tym to niekorzystne dla interesów. Skinąłem ręką na znak, że zgadzam się z nią całkowicie.

Wejście do meczetu było kilka kroków od stoiska Dunii. Zdjąłem obuwie i wszedłem do środka. Niepokoiła mnie perspektywa jeszcze jednej kłótni z moim upartym bratem, zwłaszcza w świątyni, ale mimo że nie przywiodły mnie tu sprawy duchowe, odmówiłem po cichu modlitwę, rozglądając się jednocześnie dookoła. Natychmiast poczułem się spokojniejszy. Niestety, w meczecie nie było mego brata. Rozczarowany, ale i z uczuciem ulgi, wymknąłem się stamtąd i postanowiłem zastanowić się chwilę nad sytuacją. Usiadłem na ławce przy wąskiej uliczce za meczetem. Z lewej strony dobiegał mnie zapach mięsa gotowanego na straganach. Oświetlone lampami acetonowymi, rzucały długie cienie, ja jednak pozostawałem poza ich zasięgiem. Z prawej strony uliczka była pusta i nie rozbrzmiewała już gwarem handlarzy i rzemieślników. Rzuciłem tam okiem i spostrzegłem Mustafę idącego w kierunku placu. Szedł na sam środek Dżama, gdzie zespół muzyków *rwai* z doliny Sus właśnie rozpoczynał koncert przy

ognisku. Usłyszałem pierwsze zwawe dźwięki tradycyjnego rababu. *Rais* przywoływał słuchaczy wysokim, piskliwym i zaskakująco donośnym głosem. Zbiegło się mnóstwo ludzi.

Dźwięki rababu ogłosiły *astara*, instrumentalne preludium.

AMARG

Zanim dotarłem do zespołu, *rais* zaczął już wyśpiewywać *amarg*, poemat będący tematem całego występu. Błądziłem oczami w poszukiwaniu brata, kiedy nagle mój wzrok spoczął na parze stojącej naprzeciwko, w żółtoczerwonym blasku ogniska. Nie trzeba było mi ich przedstawiać. Wiedziałem, kim są. Nie mogłem oderwać oczu od kobiety. Niewątpliwie była bardzo piękna: wyższa, niż przypuszczałem na podstawie opowiadań, z czystą porcelanową skórą i ciemną falą włosów. Biły od niej powaga i dostojeństwo, ale wyczuwało się w niej także kruchość i naiwność, która mnie zaskoczyła. Ta niewinność dziecka uśpionego w kobiecie zrobiła na mnie niezatarte wrażenie. Stała nieruchomo, patrząc prosto przed siebie, jakby wszystko poza muzykami znikło z jej pola widzenia.

Zebtani dookoła zaczęli tańczyć w takt zaraźliwych rytmów *rwai*.

Wkrótce byłem tuż przy niej. Uśmiechnęła się do mnie i znów skierowała wzrok na muzyków. Jeden z nich zaproponował, by usiadła na krzeselku, ale odmówiła. Rozległ się dźwięk piszczałek, a potem zadudniły bębny.

Gdy na chwilę zapadła cisza, odwróciła się do mnie i zapytała po arabsku, czy mógłbym jej powiedzieć, o czym śpiewają.

- Nie rozumiem ich języka. To pewnie mowa berberyjska.

- Tak jest - odpowiedziałem. - Śpiewają w *szilha*, dialekcie berberyjskim. Piosenka mówi o *Isli* i *Tisli*, parze legendarnych kochanków, którzy po tym, jak ich rozdzielił los, wypłakali dwa jeziora łez. Te jeziora istnieją naprawdę - dodałem - na równinie na północny wschód od *Imilszilu*, wysoko w górach *Atlasu*. Każdego roku odbywa się tam sławny targ ślubny. Musisz tam kiedyś pojechać.

- Już jestem mężatką - odparła i roześmiała się. — Ale dziękuję za sugestię. Wspomnę o tym mężowi.

- Czy mogę zapytać, jak się pani nazywa?

- Lucia — odpowiedziała, a zanim zdołała dodać nazwisko, znów zabrzmiała muzyka. Krąg gapiów się przesunął i nas rozdzielił.

Wkrótce znalazłem się obok jej męża. Obserwowałem go uważnie kątem oka. Jakby wyczuwając, że ktoś mu się przygląda, odwrócił się do mnie i skinął mi głową. Wydawał się całkiem miły i niegroźny, i zastanawiało mnie, dlaczego zrobił aż takie wrażenie na Mustafie. Wtedy zatrzymał spojrzenie na żonie i jego oczy rozjaśnił tak niesamowity blask, że sam z lekka się przestraszyłem. Przyszło mi do głowy, że wcale nie potrzebuje okularów, ale zakłada je, by ukryć naturalną żywość niespokojnego ducha za fasadą *osoby dostojnej* i poważnej.

Kolejna przerwa w muzyce pozwoliła mi wciągnąć go w rozmowę; chciałem usłyszeć, jak brzmi jego głos.

- Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli zapytam, czy jest pan muzułmaninem - powiedziałem po angielsku.

- Dlaczego pan pyta? Czy z powodu mojej brody? - odparł wymijająco. - Niezupełnie. Jak pan pewnie zauważył, w Maroku mężczyźni zazwyczaj nie zapuszczają brody, choć jesteśmy narodem muzułmańskim.

- Nie wyznaję żadnej religii - odparł krótko. - Jestem pisarzem.

- Doprawdy? - roześmiałem się. - Tak samo jak ja. Też zarabiam na życie, opowiadając historie.

To zwróciło jego uwagę. Odwrócił się, aby przyjrzeć mi się bliżej. Na chwilę nasze spojrzenia się skrzyżowały, po czym skierował wzrok w stronę żony i uśmiechnął się tajemniczo.

A wtedy znów zagrała muzyka, uniemożliwiając dalszą rozmowę.

Wkrótce stał naprzeciwko, dzięki czemu mogłem się mu dokładniej przypatrzeć. Wszystko w nim wydawało się wyciszone. Ubrany był prosto, ale gustownie. Skromność stroju jedynie podkreślała jego elegancję. Zacząłem się zastanawiać, czy to właśnie dlatego, że nic w nim nie rzucało się w oczy, tak trudno było go określić. Równocześnie zdałem sobie sprawę, że ktoś taki jak on musi być całkowicie nieświadomy, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nich na Dżama.

Kiedy znów staliśmy blisko siebie, pochwyciłem go za ramię. Mówiłem szybko i żarliwie, i nawet nie zauważyłem, że przerzuciłem się na arabski.

- *Monsieur*, ani pan, ani pańska żona nie powinniście przychodzić wieczorem na plac. Jak magnes przyciągacie najgorszy element. Proszę, odejdźcie stąd, zanim wydarzy się coś złego. Boję się o was.

Uwolnił się z mojego uścisku i odsunął się, wzruszając ramionami. Wtedy uświadomiłem sobie, że mówiłem w języku, którego nie rozumiał. Podszedł do żony i stanął obok niej. Widziałem, że kobieta spogląda na niego z pytaniem w oczach. Delikatnie puknął się w głowę, dwa razy.

To, co stało się potem, można było z łatwością przewidzieć, ale wszystko działo się tak szybko, że nawet ja byłem zaskoczony. Grupa groźnie wyglądających mężczyzn odepchnęła cudzoziemca na bok i otoczyła jego żonę. Zanim któreś z nich mogło zareagować, pochwycił ją las wyciągniętych rąk. Widziałem, jak prześlizgują się po jej piersiach, ściskają ją za biodra, gładzą jej uda. Zamarła, zaszokowana i przerażona; oczy miała szeroko otwarte. Po chwili zdołała się im wyrwać i uciekła do męża. To była chwila wstydu. W końcu oboje opuścili napierający tłum.

WSTYD

Czy można zetrzeć wstyd? Czy można się go pozbyć? Czy też jego wspomnienie pali nas przez resztę życia?

Zadałem te pytania Nabilowi, mojemu najlepszemu przyjacielowi. Wówczas był on kierownikiem sali w Arganie, sławnej restauracji z widokiem na cały plac. Nabil jest Berberem. Pochodzi z Tafilalt w dolinie Wadi Ziz, przez wielu uważanej za najpiękniejszą oazę północnej Sahary. Co przywiodło go do Marrakeszu, opowiem innym razem. Na razie przytoczę naszą rozmowę.

- Hasanie, co czujesz, kiedy widzisz Dzama? Nie czujesz się podekscytowany? Podniecony? Powiedz szczerze, nie wstydz się. Mówiąc krótko, Dzama We wszystkich roznieca cielesną zmysłowość. Posunę się nawet dalej: moim

zdaniem Dżama, szczególnie nocą, staje się siedliskiem nieokiełzanych zmysłów. Taki jest charakter tego miejsca. Po co wplątywać w to wstyd?

- Nie sądzę, żeby to było takie proste, jak ci się wydaje - zaprzeczyłem.

- Oczywiście, tobie musi się to wydawać bardziej skomplikowane — odparł Nabil z uśmiechem. - Jesteś przecież mistrzem opowieści. Tworzysz mitologie, którymi złocisz szarą rzeczywistość.

- Mitologie?

- Tak, tak, mitologie. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, skąd się biorą twoje historie? Są niczym innym jak produktem twoich fascynacji, obsesji i fanazji. - Będę musiał to przemyśleć - odparłem, marszcząc czoło. - Myśl, ile tylko chcesz. Osobiście nie wydaje mi się, aby w tej sprawie można było dać jednoznaczną odpowiedź, ale dobrze rozumiem, dlaczego tak bardzo fascynuje cię ta para cudzoziemców. Sam jeszcze nie pozbyłem się wyrzutów sumienia po tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

RESTAURACJA ARGANA

Gdy tylko weszli, od razu wiedziałem, że coś się stało. Zamknęliśmy restaurację jakieś dwadzieścia minut wcześniej, ale w środku wciąż paliły się światła i drzwi były otwarte, więc skąd mogli o tym wiedzieć? W dodatku dwóch pomocników kuchennych właśnie przepychało beczkę z oliwą w stronę wejścia. Musieli się przesunąć, aby im zrobić przejście.

Podbiegłem, wyczytawszy z ich pobladłych twarzy, że potrzebują schronienia. Nawet wówczas mężczyzna zachowywał się bardzo poprawnie. Chyba się zorientował, że restauracja jest już zamknięta, bo gotów był odejść, gdybym ich o to poprosił. Ja jednak zaprosiłem ich do środka. - Czy w takim razie możemy poprosić o stolik jak najdalej od placu? Zaprowadziłem ich na tyły restauracji, gdzie nikt nie mógł ich dostrzec. Wybrałem przytulne miejsce, zaciszne i kojące. Odsunąłem dla niej krzesło i zauważyłem, że strasznie trzęsą się jej ręce. Odwróciłem wzrok, aby jej nie spieszyć, i zająłem się nalewaniem wody do szklanek. Napiała się, wylewając

trochę wody na obrus. To on przeprosił. Wyczułem, że minie jeszcze sporo czasu, zanim kobieta będzie w stanie sama zważać na drobne uprzejmości. Siedziała bez słowa, zmartwiona. Zostawiłem ich samych.

Podszedłem do frontowych drzwi i spojrzałem na Dżama. W powietrzu unosił się zapach palonych liści. Na środku placu paliło się ogromne ognisko. Wijący dym przybrał kształt wideł tańczących na wietrze. Zdawały się ucieleśniać złą siłę, miotającą długim ogonem i gotową zaatakować zgromadzony tłum.

Daleko na zachodzie, poza ławicą szkarłatnych chmur, zajaśniała czerwona błyskawica. Kramy rzucały cienie na bruk placu niczym grzmoty. W pobliżu rozległ się pijany śmiech. Jakiś mężczyzna załatwiał się na wprost Argany. Kazałem mu się wynieść. Uderzył się kilka razy dłońmi o uda i zaniósł się śmiechem. Czerwone chmury, czerwony księżyc, czerwony śmiech. Zdumiony tysiącem obliczy Dżama, zarygłowałem drzwi do restauracji.

Gdy wróciłem do stolika cudzoziemców, mężczyzna wstał i podziękował mi za to, że pozwoliłem im zostać.

- To naprawdę miło, że zrobiłeś dla nas wyjątek. Pewnie o tej porze restauracja jest już zamknięta.

- Tutaj, na Dżama, otwieramy i zamykamy wtedy, kiedy nam się podoba. To nie Paryż ani Londyn, nie trzymamy się ustalonych godzin. Dżama żyje własnym rytmem, a on zmienia się każdego dnia. Tutaj nic nie jest pewne i wszystko podlega negocjacji. W przeciwnym wypadku po co byłoby tu przyjeżdżać? Witajcie w Afganii. Mam nadzieję, że uda nam się zatrzeć złe wrażenia, jakie odnieśliście na placu.

Zdawało mi się, że kobieta zareagowała na moje słowa. Dotychczas nieruchoma, przechyliła głowę w bok i długo wpatrywała się we mnie, nic nie mówiąc. Spojrzenie jej szarych jak dym oczu było niesamowicie przenikliwe. Poczuję się nieswojo i odwróciłem wzrok.

Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był tak niski, że musiałem poprosić, aby powtórzyła.

- Spodziewałam się czegoś więcej po rycerskiej chwale Maghrebu, jeśli me po jego słynnej gościnności - powiedziała.

Ta uwaga mnie zabolęła i oblałem się gorącym rumieńcem.

- *Madame*, na placu jest dużo desperatów. Dlatego zachowują się tak, jakby nie mieli wstydu. Mam nadzieję, że nie uważa ich pani za przedstawicieli naszej kultury, bo ta opiera się na całkiem innych wartościach.

Patrzyła na mnie uważnie. Wiedziałem, że zastanawia się, czy może mi wierzyć.

- Co sprawia, że stają się desperatami? - spytała po chwili.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, postanowiłem więc mówić wprost, bez ogródek, chciałem bowiem, aby zrozumiała, dlaczego przytrafiła jej się ta przygoda i jak ustrzec się przed tego rodzaju zdarzeniami w przyszłości.

- Pani uroda wybija ich z równowagi. Stanowi dla nich pokusę, ale też ich przeraża.

- Przeraża?

- Tak, przeraża swoją pełnią, doskonałością. Proszę wybaczyć mi bezpośredniość, ale w mroku nocy jest pani jak *arjana*, naga i jasna jak słońce, i ci, którzy żyją w ciemności, ciągną do pani nawet wbrew sobie.

Cudzoziemka posmutniała, a potem jej twarz stwardniała w grymasie goryczy. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Ładnie powiedziane, ale nie usprawiedliwia tego, co stało się dziś wieczorem. Ani setek pat oczu wycelowanych w nas jak karabiny, śledzących każdy nasz ruch, gdy przechodzimy przez plac.

Przerwała, a po chwili nieco łagodniejszym głosem spytała:

- Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć?

- Nie, *madame*, już nic. Chciałbym tylko cię ostrzec: nie przychodź na Dżama tak późno w nocy. Wróć tutaj za dnia. Na oblanym słońcem placu przemówią do pani głosy przeszłości, dostrzeżesz magię tego miejsca, jego prostotę i odwieczną wzniosłość. Ale nie jak zapadnie zmierzch, nigdy po zmierzchu. Przez chwilę siedziała w milczeniu. Potem spokojnie przeszła mnie wzrokiem i się wyprostowała.

- Niestety — powiedziała — zamierzam tam jeszcze wrócić. Ta muzyka mnie porusza i chcę ją usłyszeć na żywo. Po to tu jesteśmy. Nic podobnego nie dzieje się za dnia. Mimo wszystko wracamy z powrotem na plac.

Spuściłem wzrok i odwróciłem głowę. Bałem się o nią i na pewno było to po mnie widać. Zastanawiałem się, czy wyczuła, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie jej uroda. Po raz pierwszy w życiu przeklinałem pokrętną naturę Dżama, jego podwójną twarz.

Jej mąż poruszył się na krześle, patrząc ponad nami w kierunku placu. Skierowałem oczy w tę samą stronę. Cienie postaci przemknęły szybko za oknem. Dżama był upstrzony światłem z ognisk i płonących pochodni.

W restauracji panowała cisza. Z zewnątrz dobiegały dźwięki bębnów i odgłosy nawoływań, oklasków i śmiechów.

Mężczyzna odwrócił wzrok od okna.

- Czasem nowy problem odwraca uwagę od tego, który zaprzęta nam myśli i nie daje spokoju - powiedział jakby do siebie.

Nie byłem pewien, czy oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Już miałem go o to zapytać, kiedy wyciągnął rękę nad stołem i pochwycił dłoń żony. Powoli głaskał jej długie palce, dłoń i nadgarstek.

- Kiedy poważne sprawy wymykają się spod naszej kontroli, wówczas te drobne nabierają wielkiego znaczenia — powiedział, wyraźnie zwracając się do niej.

Patrzyła na niego długo i uważnie. Choć siedziała bokiem do mnie, widziałem, że łzy wisały jej na rzęsach.

- Musimy tam wrócić - dosłyszałem.

Przyciągnął ją do siebie i dalej pieścił jej dłoń. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, bez ruchu, opierając głowę na jego ramieniu. Oboje patrzyli prosto przed siebie, w mrok panujący na placu. Tak bardzo byli zaabsorbowani sobą nawzajem, że chyba zapomnieli o mojej obecności.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Jak daleko jest stąd na pustynię? - spytała.

- Niedaleko, kochanie. Ona zawsze tu jest - powiedział.

- Niektórzy mówią, że jest tak niezgłębiona jak dno oceanu.

- Najpiękniejsze na świecie wschody i zachody słońca zdarzają się na pustyni, gdy szkarłatne światło obmywa wydmy i zarysy białych skał... Przynajmniej tak słyszałem.

Patrzyła w niego jak zaczarowana. ~ Czyż nie jest to pokusa?

Skinął głową, jakby przyznawał jej rację.

- Może z czasem stajemy się częścią pustyni. Wtapiamy się w nią i stajemy się tylko bezcielesnym cieniem.

Wciąż spoglądali w dal. Odwrócił jej nadgarstek i kątem oka dostrzegłem krzywy uśmiech blizny po przecięciu żył.

W końcu przypomniało mu się, że nie są sami. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się przepaszająco.

— To miło, że troszczysz się o nasz los - powiedział. - Ale nie martw się, umiemy o siebie zadbać. Zaraz sobie pójdziemy.

Zrozumiałem, że nie jestem im już potrzebny Skinąłem więc głową i odszedłem zasmucony. Ostatnie, co zostało mi w pamięci, to widok ich obojga siedzących przy stole nie jak dwie odrębne istoty, ale jak pata zamieniona w jedność.

NABIŁ

Spojrzałem na Nabiła z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że pozwoliłeś jej wrócić na plac po tym wszystkim, co się stało, i nawet mąż jej przed tym nie powstrzymał?

- Tak, drogi mistrzu, wróciła. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć? Wyraziła takie życzenie i doprawdy, wydaje mi się, że ani ja, ani on nie zdołalibyśmy przemówić jej do rozsądku. Poszłaby tam tak czy owak, bez względu na rady. Wydaje mi się, że jej mąż wiedział, że to nieuniknione, i nie chciał wdawać się w sprzeczkę.

Nie ukrywałem, że nie mogę się z tym pogodzić.

- A co w tym dziwnego? - zapytał Nabił. — Kobiety zawsze pożądamy zakazanego owocu.

- Nie - zaprzeczyłem uparcie. - To nieprawda. Nie zgadzam się z tą opinią.

- No pewnie, że się nie zgadzasz; jesteś beznadziejnym romantykiem. Nabił spojrzał na mnie zaniepokojony.

- Tu rodzi się następne pytanie - powiedział. — Było w nich coś, zwłaszcza w nim, co przypominało mi ciebie. Macie jedną wspólną cechę.

- Naprawdę? Jaka?
- Często zadawałem sobie to pytanie, Hasanie, ale nie znam jeszcze odpowiedzi. Być może chodzi o to, że obaj należycie do tego samego gatunku: jesteście opowiadaczami. A może chodzi o coś innego, znacznie bardziej skomplikowanego.
- Skomplikowanego? Co masz na myśli?
- Często o tym myślałem - odparł zadumany - i odrzuciłem jako bezpodstawne pytanie, które pierwsze przyszło mi do głowy.
- Jakie pytanie?
- Miałem nadzieję, że nigdy o to nie zapytasz.
- Ale już zapytałem.
- Cóż, gdy je wypowiem, od razu zrozumiesz, dlaczego uznałem je za bezpodstawne. I wtedy zawstydzę się tak samo jak ty.
- Nieważne. Mów, o co chodzi.
- Dobrze. Czy tamtej nocy byłeś ich sprzymierzeńcem czy przeciwnikiem? Roześmiałem się.
- Masz rację. To nie ma sensu.
- Uprzedzałem.
- Zresztą i tak bym ci na to nie odpowiedział. Nigdy ich nie zdradzę.

KOWAL

- Nadszedł chyba czas, abym wam opowiedział co nieco o moim przyjacielu Nabilu, który jest mi bliższy niż ktokolwiek inny. Za waszym pozwoleniem, drodzy słuchacze, tak właśnie uczynię.

Cokolwiek niespodzianie dobiegły mnie pomruki niezadowolenia, przerwałem więc, zaskoczony. Usłyszałem grubiański głos. Należał do mężczyzny wyglądającego jak kowal. Miał ogorzałą skórę, twardą jak chitynowy pancerz, i krzaczaste brwi.

- Dość tych dygresji! - zawołał. - Co nas obchodzi twój przyjaciel Nabil? Chcemy się dowiedzieć, co się stało z tą cudzoziemką i jej mężem. Przejdź wreszcie do sedna.

Odpowiadałem, usiłując kontrolować ton głosu:

- Mój przyjaciel Nabil jest dzisiaj wśród nas, a ponieważ był bliżej odkrycia prawdy niż ktokolwiek, muszę uznać jego zasługi i opowiedzieć, jaką rolę odegrał w tej historii. Tak nakazuje lokalny obyczaj.

- Powiesz nam wreszcie prawdę? - domagał się kowal.

- Jak zdobędziesz się na chwilę cierpliwości - odparłem cierpko - to może zbliżysz się do niej bardziej niż teraz, gdy mi przerywasz.

- Pozwalasz sobie na zupełnie niepotrzebne dygresje! - nalegał. Rozłożyłem ręce ze zdziwienia.

- A czego się spodziewałeś? W końcu jestem bajarzem, i to bardzo tradycyjnym. Jeśli pragniesz szybkiej rozrywki, udaj się do najbliższego kina i tam baw się, ile dusza zapagnie. Cierpliwość jest nie tylko obowiązkiem słuchacza; jest także ćwiczeniem wolności w obliczu pośpiechu i licznych zobowiązań. Wysłuchanie opowieści bez zgłaszania sprzeciwu, bez drażącej potrzeby zrozumienia, tylko po to, aby się z nią zaznajomić - to powinno ci wystarczyć. Opowieść jest dziełem, które powstaje w trudzie kontemplacji, i musisz wziąć na siebie tę odpowiedzialność przynajmniej na tyle, na ile twoja uwaga dodaje historii animuszu i sprawia, że staje się żywa.

Trochę bardziej ugodowo dodałem:

- Gdyby istniały tylko odpowiedzi na pytania, nie byłoby o czym opowiadać. Jeżeli bajarz tylko udziela odpowiedzi, to w rzeczywistości nie ma do zaoferowania nic prawdziwego. Jego sztuka żyje tak długo, jak długo kryje się w niej tajemnica. Dlatego inteligentny słuchacz obserwuje, odkrywa, ale nie oczekuje jednoznacznych odpowiedzi. Części składowe historii nie stanowią oderwanych całości, są tylko stacją na drodze, środkiem wiodącym do celu.

- A co jest celem? - dopytywał uporczywie kowal.

Wpatrywałem się w jego twarz i nie spieszyłem z odpowiedzią. Po chwili, tak grzecznie, jak pozwalały na to okoliczności, powiedziałem:

- Prawo opowieści do snucia się i umykania.

To zamknęło mu usta. Nie słyszałem już więcej zniechęconych pomruków. Zaplotłem dłonie, odczekałem chwilę, po czym znów przemówiłem, spokojnie podejmując wątek tam, gdzie przerwałem.

FANRAZJA

- Podobnie jak ja - zacząłem - mój przyjaciel Nabil jest tradycjonalistą. Być może wynika to stąd, że pochodzi z jednej z najstarszych rodzin w dolinie Wadi Ziz, gdzie jego dziadek posiadał kiedyś wspaniałą plantację palm daktylowych, powszechnie znaną w regionie Tafilalt. W pewnym sensie Nabil jest dla mnie wzorem. Po pierwsze, chciałbym żyć tak jak on, aczkolwiek nie wskutek równie tragicznych okoliczności. Kilka lat temu Nabil stracił wzrok, czyszcząc antyczną strzelbę dziadka. Po wypadku podjął wszystkie oszczędności i przeniósł się do At-Tawus, wioski przy Hammadat Kir, kamienistym, jałowym pustkowiu na skraju Sahary, gdzie szaleją najgorsze burze piaskowe. Mieszka tam odizolowany od świata z żoną Isabelle, Francuzką, którą poznał w Marrakeszu i która przeszła na islam i przywdziała hidżab. Nie miałem przyjemności jej poznać, Nabil wszak strzeże jej życia prywatnego, ale słyszałem, że jest bardzo piękna i stanowi źródło pociechy dla mego przyjaciela. Może dlatego Nabil jest tak zadowolony z życia na pustyni. Tylko raz do roku, w sezonie zimowym, opuszcza swoją siedzibę i przyjeżdża do Marrakeszu. Jego wizyta zbiega się w czasie z moim pobytem na Dżama. Zawsze też przyjeżdża wtedy, kiedy opowiadam historię tajemniczego zaginięcia pary nieznajomych, bo tak jak i mnie nadal fascynuje go ta zagadka.

Przerwałem i ująłem Nabila serdecznie pod ramię.

- Jak mi idzie? - zapytałem.

Nabil uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową; zawsze czuł się onieśmielony, kiedy znalazł się w centrum uwagi.

Dałem mu chwilę, by mógł zareagować, ale ponieważ nie odezwał się ani słowem, kontynuowałem opowieść.

Dziadek Nabila odziedziczył majątek ziemski i patał się trochę uprawą daktyli, ale jego pasją było sokolnictwo. Nabil często opowiada, że dziadek miał czasem aż trzydzieści sokołów i nawet kiedy był już bardzo stary, sam się nimi zajmował i sam je układał. W tamtych czasach rodzinne plantacje daktyli przynosiły wielkie zyski. Natura była szczodra i palmy rodziły

obficie. Nie wymagały też, by specjalnie o nie dbać; wystarczyło zebrać plony w październiku. Ale któregoś roku niespodzianie zaatakowała drzewa straszliwa zaraza zwana *bajud* i w przeciągu zaledwie dwunastu miesięcy zniszczyła aż dwa tysiące urodzajnych drzew. Zaraza zbierała swoje żniwo przez następnych parę lat i w końcu sędziwy dziadek Nabiła, nie mogąc sobie poradzić z rozmiarem zniszczeń, wycofał się do swojego kсарu i zapadł w mrok stopniowo postępującego szaleństwa. Według relacji Nabiła domownikom zabrakło trochę czasu, zanim - przyzwyczajeni do ślepego posłuszeństwa głowie rodziny - zdali sobie sprawę, że czcigodny starzec nie włada już pełnią zmysłów. Nawet wtedy jednak obawa przed wyrażeniem sprzeciwu okazała się nie do pokonania. Ojca Nabiła, jedynego syna i spadkobiercy, nie było w domu, gdyż studiował elektrotechnikę w Rabacie, a przerażone kobiety nie miały odwagi kwestionować coraz bardziej dziwnego zachowania starca. Aż do dnia, kiedy wczesnym rankiem, usłyszawszy odgłosy trzydziestu wystrzałów, odważyły się wyjść ze swojej kwatery i znalazły ciepłe jeszcze ciała ukochanych sokołów osiemdziesięciolatka, każdy z przestreloną głową. Każdy pocisk trafił tak celnie, że jedynym świadectwem gwałtownej śmierci ptaków było parę kropel krwi na dziobie. Wtedy dopiero zdały sobie sprawę z ogromu nieszczęścia, jakie dotknęło ich rodzinę. Było już jednak za późno. Starzec, osiodławszy ulubionego konia, czarnego jak smoła mieszańca krwi arabskiej z lśniąca grzywą, pojechał do pobliskiego Ar-fudu, aby wziąć udział w *mawsim*, który jest ukoronowaniem trwającego tam przez trzy dni święta daktyli. W samo południe, kiedy słońce stanęło w zenicie, uczestniczył w Fanrazji i jak co roku jeździł razem z przedstawicielami okolicznej starszyny w paradnej szarzy przy akompaniamencie bębnów i oklasków. Pod koniec parady, kiedy szarżujący jeźdźcy wystrzelili salwę z posrebrzanych gwintówek, osunął się z końskiego grzbietu i spadł martwy na ziemię. Nabił stracił wzrok, czyszcząc tę samą przeklętą strzelbę, ale jest tak dumny z rodowodu przodków, że strzelba wciąż wisi na honorowym miejscu nad kominkiem w jego skromnej lepiance z pise na skraju pustyni. Ojciec Nabiła z kolei, człowiek na wskroś nowoczesny, nie chciał mieć nic wspólnego z tragicznym i kłopotliwym dziedzictwem. Przybył na

krótko na ojcowiznę, aby za marne grosze pozbyć się resztek daktylowych plantacji, i zaraz potem wrócił do Rabaru, gdzie czekała go kariera kierownika w państwowej elektrociepłowni. Tam nadzorował zwieńczony sukcesem projekt przeciągania kabli wzdłuż stromych przełęczy Tizi n-Tast i Tizi n-Tiszka, prowadzących przez góry Atlasu Wysokiego. Kiedy znalazł się u szczytu kariery i miał objąć ważną pozycję w ministerstwie, zmarł nagle w wieku zaledwie czterdziestu lat. Poraził go prąd, kiedy we własnym domu budował miniaturową kolejkę elektryczną dla synka.

Jeśli wierzyć Nabilowi, pospieszny powrót jego ojca do Rabatu i zupełny brak zainteresowania dziedzictwem można wytłumaczyć jedynie tym, że nie potrafił się on pogodzić z okolicznościami śmierci dziadka. Jest to jednak czysta spekulacja, gdyż jak przyznaje Nabil, być może decyzja jego ojca była podyktowana właśnie chęcią przejścia do porządku dziennego nad tym, co zaszło. W tym czasie Nabil radził sobie ze skutkami własnej ślepoty ze swoistym stoicyzmem, który podziwiali wszyscy jego znajomi. Cieszymy się, że każdego roku, kiedy opuszcza na chwilę swoją samotnię i odważa się wejść między ludzi, *możemy* go powitać w Marrakeszu.

LABIRYNTY

Przez cały czas Nabil słuchał mnie z twarzą ukrytą w cieniu kaptura dzellaby. Teraz, na moje zaproszenie, wystąpił z kręgu, uśmiechając się nieśmiało, ale ponieważ nadal skromnie pochylał głowę pod trójkątem brązowej tkaniny, trudno mi było stwierdzić, czy stara się ukryć swoje emocje, czy też chce je w ten sposób podkreślić. Przyglądałem mu się wyczekująco. Po chwili wstał i wyprostował się, lekko zarumieniony, jego pokryte bielmem oczy wydawały się zamyślane.

- Dziękuję ci, mój drogi Hasanie - powiedział swoim charakterystycznym, słodkim jak miód głosem. - Po części rozpoznaję siebie w twojej przemowie, reszta mi schlebia. Czym dla księcia są dobre maniere, tym dla przyjaciela jest potrzeba idealizowania, zwłaszcza gdy, tak jak w tym Przypadku, przyjaciel ten, choć lojalny jak książę, jest przecież bajazem.

Powoli przebił się przez pierścień gapiów, podszedł i stanął obok mnie. Poczulem zapach jego pokrytego pustynnym kurzem płaszcza i ogarnęły mnie wzruszenie i troska, gdy spoglądałem na jego wyprostowaną sylwetkę. Z właściwym sobie dystansem i poczuciem humoru, towarzyszącym mu stale od wypadku, zwrócił się do mnie z wyczuwalną nutą ironii w głosie:

- W jakim kierunku jesteście zwrócenii, Hasanie?

- Stoisz twarzą do suku, a meczet Kutubijja jest za tobą - odparłem.

- Kutubijja - powtórzył i uśmiechnął się. - Czy minaret nadal wznosi się jak smuga złotej farby nakreślona pędzlem w powietrzu i trzy wielkie miedziane kule wciąż zdobią jego wierzchołek?

- Tak, drogi przyjacielu.

- To dobrze — powiedział żartobliwie. — Jesteśmy więc naprzeciwko Argany, gdzie kiedyś pracowałem. Tam, na tarasie, widziałem raz cień konia unoszącego jeźdźca w stalowej zbroi.

Nabil odwrócił się do słuchaczy, a jego wychudzona twarz przybrała lekko ironiczny wyraz. - Jak Hasan zdążył już wam powiedzieć, przyjeżdżam do Marrakeszu raz do roku i staram się zawsze, aby czas mojego pobytu zbiegł się z nocą, kiedy mówi o zniknięciu pary cudzoziemców. Wciąż intryguje mnie to zdarzenie i z przyjemnością przysłuchuję się relacjom Hasana. Zauważyłem, że za każdym razem, badając nowe poszlaki i rozważając coraz to inne alternatywy, wprowadza drobne, prawie niezauważalne zmiany. To taka gra, w której tylko on i ja wiemy, kim są jej uczestnicy i jaka jest stawka. Eksplorujemy pamięć, albo raczej coś bardzo do niej zbliżonego. Zadajemy sobie nawzajem pytania i próbujemy sprostać wyzwaniu zrekonstruowania mocą wyobraźni tego, co mogło się wydarzyć tamtej nocy. Możecie nazwać tę fascynację fanaberią ślepcy, jeśli chcecie, ale przez cały rok z utęsknieniem oczekuję tego wieczoru opowiadań.

- Czy naprawdę jest to tylko fanaberia, Nabilu? - wtrąciłem.

- Ależ tak, oczywiście. Zamilkł na chwilę, po czym podjął:

- Choć, Hasanie, być może masz rację, nie jest to tylko intelektualna rozrywka — poprawił się. - Zdziwiałem się, że za każdym razem, kiedy przysłuchuję się tej historii, jestem na nowo wzruszony. Wydarzenia tamtej nocy nadal

mnie poruszają. Przypomina mi to, że wciąż żyję, co samo w sobie jest swoistym cudem.

Ochłodziło się, więc Nabil zamilkł, by poprawić zarzucone na ramiona okrycie z owczej skóry. Kaptur ześlizgnął mu się z głowy. Księżyc oświetlił jego pokryte bielmem oczy. Kiedy tak stał z uniesioną głową, miałem wrażenie, że widzi niebo. Podeszedłem więc do niego, wziąłem go pod rękę i staliśmy obaj, ramię przy ramieniu, patrząc w gwiazdy.

Po kilku minutach spuścił głowę i zwrócił się do mnie miękkim barytonem: - Jak myślisz, Hasanie, dlaczego tu przyjechali? Dlaczego przyjechali do Maghrebu, do Marrakeszu, po co przybyli na Dżama? Szukali zapomnienia? Czuję, że chcą o czymś zapomnieć. Ale o czym?

- Może o świecie, z którego przybyli? - podsunąłem możliwą odpowiedź. — o nowoczesności? Zachodzie? Przypuszczam, że akurat tego nigdy się nie dowiemy, bo w tych sprawach nie ma jasnych odpowiedzi.

- Ciekawe — odparł, z wolna potrząsając głową. Nie potrafiłem jednak odgadnąć, czy przytakiwał, czy zaprzeczał. Widocznie uznał, że za odpowiedź wystarczy ten dwuznaczny znak.

- Cóż innego mogłoby to być? - nalegałem. - Ludzie Zachodu tracą przeświadczenie, że są zdolni kształtować swoją przyszłość, i powoli napływają ich tutaj całe tłumy. Poszukują wyjścia ze ślepego zaułka, w którym się znaleźli. Widzimy to każdego dnia. Ich świat roznosi swoją bezduszną jak zarazę. Nie potrafią się z niej oczyścić, ponieważ jej źródłem jest prawo, które nimi rządzi. Zastąpili wartości duchowe materialnym śmieciem, i w rezultacie zapanowała u nich nicość. Ich świat nie jest ani światem wiary, ani sceptycyzmu. To świat złej wiary, dogmatów podtrzymywanych pod nieobecność prawdziwych przekonań.

- Hasanie, rozumiem, co chcesz powiedzieć, i przyznaję, że masz trochę racji, ale wydaje mi się, że ich ten kryzys nie dotyczył. Sądzę, że to było coś innego.

- Cóż zatem?

Zwrócił się w moim kierunku i pogładził szczeciniaste wąsy. Tak jak i ty, myślałem nad tym długo i głęboko, i domniemywam, że odpowiedzi, jeśli takowa istnieje, trzeba szukać we wrażeniu, jakie

wywarł na nich Dżama. Jestem przekonany, że w jakiś sposób, kiedy byli tutaj i w okolicach, doświadczyli powolnego, ale prawdziwego i głębokiego oświecenia. Potrzebowali sporo czasu, żeby się z tym uporać, ale potem ich życie całkowicie się odmieniło. Wydaje mi się, że byłem tego świadkiem, choć wtedy o tym nie wiedziałem. Myślę, że zrozumieli to wówczas, kiedy przyszli do Argany. Zapytasz pewnie, co to było. Nazwę to po prostu wyzwoleniem, stanem pogodzenia z nieogarnioną dysproporcją między rzeczywistością ich istnienia a bezmiarem kosmosu. Ci dwoje uświadomili sobie, że w życiu nie ma nic pewnego poza tym, że to, co wiemy, jest prawie niczym w porównaniu z ogromem niewiedzy, a jednak jest to jedyna rzecz, która ma znaczenie. Myślę, że ta prawda zdominowała każdą inną w ich życiu.

- Jak byś ją nazwał?

- Powiedziałbym, że to los; inni zwą ją przeznaczeniem. To moment, kiedy na nowo odkrywamy że życiem rządzi to, co niewiadome i czego nie można poznać. Człowiek jest częścią wiecznie płynącej i nieuchwytej całości. Wielkim błędem jest szukanie prawdy w zjawiskach czasowych, ponieważ czas upływa i nigdy się nie cofa. A im głębiej szukamy w pamięci, czyli poszukujemy pewności w czasie, tym bardziej narażeni jesteśmy na działanie przypadku. Czy teraz rozumiesz, dlaczego w przeciwieństwie do ciebie przywiązuję mniejszą wagę do szczegółów ich życia niż do tego, co doprowadziło ich do spotkania z przeznaczeniem? - Chyba tak - odpowiedziałem.

Nabil wydał się zadowolony, a także wyraźnie zmęczony.

- Pogubiłem się. Powiedz mi jeszcze raz, Hasanie, w którą stronę patrzemy? - zapytał cichym głosem.

- Patrzysz na meczet Kutubijja.

- Znakomicie — powiedział z uśmiechem. - Odkąd ociemniałem, często przeglądam książki wystawione na straganach przed wejściem.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Ależ Nabilu, przestano sprzedawać tam rękopisy, zanim się urodziłem.

- Tak, wiem - odparł niefrasobliwie. - Dlatego jeszcze lepiej mi się tam buszuje. Widzisz, to jedna z osobliwych korzyści, jakie płyną z mojego stanu: mogę mieszkać na skraju pustyni i wciąż przebywać w pobliżu

Dżama. Zresztą, czyż to miejsce nie jest jedną wielką biblioteką, gdzie każdy człowiek jest jak książka do przeczytania? Przechadzam się po placu i zbieram materiał do przemyśleń, a kiedy wracam do domu, mogę przez cały rok czytać to, co zgromadziłem.

- Czy mnie też potrafisz odczytać? - spytałem zaintrygowany. Zwrócił na mnie białe łuski oczu.

- Cały czas cię czytam. Widzę lampę twojego ciała, widzę wiele innych lamp w ciemności. Widzę, że umarli stale są wśród nas i dają o sobie znać na wiele wymownych, choć trudno dostrzegalnych sposobów. Dlatego coraz mocniej wierzę w to, że ważna jest nie ta rzeczywistość, którą każdy widzi, ale ta druga.

- Boisz się tego, co widzisz?

- Dlaczego miałbym się bać? Strach to zmarnowana chwila samotności. Rodzi się ze zbytnej obawy przed śmiercią, a od niej dawno już się uwolniłem.

To, co powiedział, skłoniło mnie do refleksji. Zastanawiałem się też nad kwestią, która od dawna zaprzętała mój umysł.

- Nabilu, dlaczego odizolowałeś się od wszystkich na pustyni? Jakie demony cię tam wypędziły? — rzuciłem gnębiące mnie pytanie.

Uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

- Czy to nie jest jasne? Nie ma żadnych demonów. Po prostu nareszcie znalazłem swoje miejsce.

- I towarzyszkę życia?

- To też - powiedział, pochylając głowę.

AMJADAZ

Wtedy odezwał się najwyraźniej zakłopotany, ale niestrudzony kowal.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego tych dwoje wróciło tamtej nocy na plac. Po co kusić los?

Nabil spojrzał na niego z błogim i niewzruszonym uśmiechem. Potem zwrócił się w stronę Kutubijji.

- Być może musieli - odpowiedział trochę posmutniały. Zapadła cisza. Nabil długo wpatrywał się w meczet.

W końcu zapytałem, o czym myśli.

- Uważam, że najważniejszą rzeczą na świecie jest godna śmierć. W ostatecznym rozrachunku nic więcej się nie liczy.

- Co przez to rozumiesz? Zastanowił się przez chwilę.

- Weźmy na przykład mojego dziadka. Wszyscy twierdzą, że niewiele osiągnął w swoim życiu, a jednak, w moim przekonaniu, zrehabilitował się tym, jak umarł.

Po chwili dodał głosem ciężkim od smutku:

- Pewnie dlatego przypomniałem sobie także mój stary dom w dolinie Wadi Ziz. Myślałem o palmach daktylowych, których gałęzie rozwiewa wiatr znad pustyni. Opuściłem dom, gdy miałem osiem lat. Było to miejsce pełne miłości i radości.

Ponieważ w dalszym ciągu wpatrywał się w meczet, zapytałem:

- Cóż tam widzisz, przyjacielu?

- Upalne dni. Złote kłosa zboża dojrzewającego w cieniu palm. Najwyższe z nich mają ponad trzydzieści metrów. Region Tafilalt jest niezwykle żyzny. Nie bez powodu nazywają go Mezopotamią Afryki Północnej, Rozciąga się na pustyni jak zaczarowany ogród.

- Chciałbym tam kiedyś z tobą pojechać - powiedziałem z uśmiechem.

- Chciałbym zobaczyć twój rodzinny dom i porozmawiać o życiu dziadka.

- Nic tam już nie ma, Hasanie. Dwa lata temu zawalił się dach. Stropy gniją pomiędzy ścianami z czerwonego pise, które dzień i noc kruszy wiatr. Okiennice trójkątnych okien wiszą na złamanych zawiasach; przedsionki barwione indygo obróciły się w proch. Przez dziurę w dachu wsypuje się piasek. Fontannę na dziedzińcu wypełnia błoto i porasta dzikie pnącze. Ten dom upadł. Jest martwy. I to ja jestem temu winien. Powinienem był poświęcić swoje życie, aby uratować to dziedzictwo, ale zamiast tego poszedłem w ślady ojca i uciekłem do Tafilalt. Spędziłem większość mojego życia daleko, w Marrakeszu, a w tym czasie dom moich przodków niszczał.

- Nikt nie jest temu winien - powiedziałem z naciskiem. - Ty miałeś własne życie, podążałeś za swoimi marzeniami.

Nabił pochylił się i jego twarz zajaśniała w świetle ognia.

- Dobry z ciebie przyjaciel — powiedział — ale nawet ty nie możesz mnie rozgrzeszyć z grzechów przeszłości. To kwestia losu i przeznaczenia. Tak to już jest. Ślepotą jest moim błogosławieństwem; dzięki niej mogę być jednocześnie i tu, i tam, i gdziekolwiek indziej.

Wyprostował się, zapatrzony w przestrzeń.

- Moje dzieciństwo było darem. Patrzę wstecz z wdzięcznością. Może to dlatego lubię tam wracać oczyma wyobraźni. Przedtem nie zauważałem wielu szczegółów. Teraz odbywam poranne spacerunki w towarzystwie wiatru. Schodzimy nad obrosniętą łąką brzegi Wadi Ziz. Wilgotna gleba paruje od słońca. Idziemy przez zarośniętą wysoką trawą pola naokoło domu. Wśród gajów pomarańczy rosną granaty i figi. Muły machają ogonami, opędzając się od roju czarnych much. Po długich, brunatnych łądogach datury wspina się procesja mrówek. Kropelki wody sączą się przez ściany z czerwonej gliny. Słuchamy echa porannej mgły.

Westchnął ciężko i zamrugał oczami, tak jakby spojrzał prosto w słońce. - Wieczorem kładzie się gęsty i cichy cień. Spiekota dnia szuka odpoczynku nad brzegiem rzeki. W półmroku czuć ciężki zapach wody i mokrej ziemi. Powietrze staje się chłodne i przejrzyste. Na niebie pojawiają się gwiazdy. W ciemności nocy zarysowują się kształty najwyższych palm.

Uśmiechnął się i przesunął językiem po ustach, jakby kosztował przepojonego wilgocią powietrza. Wargi miał jednak suche i popękane.

- To tylko niektóre rzeczy, których wcześniej nie zauważałem - powiedział. - Lubię się skupiać na szczegółach. Z najprostszych odkryć można czerpać tyle radości.

- A wszystko to zrozumiałeś, wpatrując się w meczet?

- Istnieje prawda w modlitwie i sens w mistyce. Przynajmniej tak mówią rzeka, góra, ocean i wiatr, najwspanialszy poeci uosabiający przyrodę. - Całkowicie się z tobą zgadzam - odparłem.

- To dobrze, bo często się zastanawiałem, czy tworzysz swoje historie tak samo, jak ja śnię o kamieniach wzdłuż drżącego obwodu świata.

- Tak, dokładnie tak je wymyślałem - odparłem.

- Rozumiem. I czyż nie jest to piękne? Wszystko istnieje takie, jakie jest, aby cieszyć oczy.

Uklęknął przed ogniskiem.

- Czy wspominałem ci o orle, który wpadł do mojego pokoju, kiedy byłem jeszcze dzieckiem? To był olbrzymi ptak, o rozpiętości skrzydeł większej niż zasięg ramion dziadka. Ścigał gołębia, który umknął mu w ostatniej chwili. Orzeł leżał nieruchomo na podłodze. Poruszał tylko oczami. Mieniły się wszystkimi kolorami świata.

Rozprostował ramiona i zaczął nimi poruszać. Stał się orłem.

- Patrzyliśmy, jak staje na nogi i rozcapierza szpony. Powoli, spokojnie rozpostarł skrzydła, a potem wzbił się w górę i wyleciał przez okno. Słuchajcie, co mówi wiatr! - zawołał, unosząc rękę do góry.

- Co mówi, Nabilu?

- Cicho! Mów szeptem! Wiatr robi dziurę w niebie, i przez tę dziurę lata płyną do tyłu. Teraz dni nie są już ściśnięte razem, ale każdy z nich ma osobny kształt, tak jak chmury, i wiatr musi przemieszczać się między nimi, aby stać się lśniącym, gładkim ostrzem czasu.

ŚWIADEK POEZJI

Wybiła północ. O tej porze na Dżama zatrzymuje się czas.

Szesnastowieczny mistrz opowieści Hasan al-Mansur w swej wspaniale obrazującej epokę kronice *Opowiadki z Dżama al-Fna'tak* oto opisuje północ na placu:

Cienie drzew jak włócznie przeszywały Dżama. Powietrze było mroźne; od gór wiał lekki wiatr. Niebo było czyste, księżyc był jasny. Chmury rozstały się i odsłoniły miliony gwiazd. Między nimi polował Orion z Wielkim Psem, Bliźniętami, Rakiem i Lwem. Przez ich serca przepływała rzeka nieba - Droga Mleczna. Rozgrzewała im skórę i łądzwie. Ich krew krążyła w takt muzyki Dżama. Całe niebo drżało od niosących się echem werbli. Czuliśmy, jak niebo i ziemia łączą się i pulsują wspólnym tętnem życia. Plac zawiro-

wał. Przechylił się w górę, w kierunku gwiazd. Dachy domów w medynie osunęły się w dół. Dżama wzniósł się wysoko nad czarne konary gór. Minął Saturn, Jowisz i wszystkie zewnętrzne planety. Siedem gwiazd wpięło go we właściwym mu miejscu na nieboskłonie. Potem, nagle i niespodziewanie, zapadł się w przestrzeń wielkości ziarnka piasku.

KRONIKA ZAGINIĘCIA

- To ciekawe, że wspomniałeś Hasana al-Mansura - rozległ się zamyślony głos.

Chwilę później okazało się, że należy do chudego śniadego mężczyzny z potarganą brodą.

- A co jeszcze ciekawsze - dodał po krótkiej przerwie — choć to przypadek przywiódł mnie do Marrakeszu, jestem w tym niezwykłym miejscu akurat teraz, i to w chwili, kiedy wspominasz dzieło al-Mansura. Jestem Faruk. Badam historię naszego narodu, jestem pracownikiem Biblioteki Narodowej w Rabacie. Zastanawiam się, czy jako jedyny z obecnych czytałem także napisaną przez al-Mansura *Kronikę zaginięcia*. Choć nie była częścią o wiele bardziej popularnych *Opowiastek*, to powinna szczególnie was zainteresować, ponieważ dotyczy zdarzenia niesamowicie podobnego do tego, które jest przedmiotem dzisiejszych rozważań. Tyle że działo się to prawie czterysta lat temu; mężczyzna był tureckim szlachcicem, kobieta zaś księżniczką z pomniejszego rodu włoskich książąt z Salerno. Uciekła ze swoim kochankiem i szukała na królewskim dworze w Maroku schronienia przed gniewem własnych krewnych i niezadowoleniem Wysokiej Porty, z którą mężczyzna był związany. Wspominam o tym - dodał grzecznie -ponieważ uderza mnie podobieństwo tych dwóch zdarzeń.

- Prawdopodobnie o tym nie wiesz - odparłem - i nawet nie mógłbyś przypuszczać, ale al-Mansur był moim przodkiem. Przekonany o łączących nas więzach krwi, ojciec nazwał mnie na jego cześć, ale ja wcale nie jestem tego pewien. Po pierwsze, nie znamy berberyjskich przodków ojca. Po drugie, podobno w Bibliotece al-Karawijjin w Fezie jest jego biografia,

spisana przez autora, który ustalił ponad wszelką wątpliwość, że al-Mansur przybył z Andaluzji, urodził się i wychował w Kordobie, i dopiero jako dorosły mężczyzna przeniósł się na cesarski dwór w Marrakeszu. Aby jednak pewnego dnia przedstawić rzetelnie tę sprawę ojcu, ku jego wielkiej satysfakcji, musiałbym najpierw zapytać mojego brata Ahmeda, czy zdoła uzyskać pozwolenie władz na zbadanie manuskryptu. W każdym razie wiem o istnieniu tej kroniki i jestem mile zaskoczony, że ty też ją znasz. Dotychczas byłem przekonany, że istniała tylko jedna kopia w archiwum al-Gławiego, paszy Marrakeszu, z której przyjaciel mego ojca dowiedział się o tym wydarzeniu. Kiedy zaginęła, spisano ją na straty. - Cóż, może i zniknęła ze zbiorów paszy al-Gławiego — odparł z uśmiechem uczony - ale parę lat temu przywędrowała do Rabatu i została oddana na przechowanie. Nadał znajduje się w kolekcji, do której ją wówczas dołączono.

- Jak się skończyła tamta historia? - spytał ktoś. - Czy odnaleziono parę kochanków?

- Niestety nie - odparł uczony. - Nigdy też nie odnaleziono al-Mansura. - jak to? - spytałem ze zdziwieniem. Bibliotekarz podniósł się i stanął przed słuchaczami. - Czy pozwolisz?... — zapytał.

- Ależ oczywiście - odparłem, zaintrygowany równie mocno jak pozostali. - Otóż udało mi się ustalić, że historia opisana w *Kronice zaginięcia* al-Mansura wydarzyła się naprawdę. Co więcej, w tekście umieszczono nie-bezpodstawne sugestie, że w całą tę aferę zamieszana była osoba z cesarskiego dworu. W rezultacie al-Mansur stał się zbyt niebezpieczny. Kiedy sułtan Abu Jusuf Jakub al-Mansur postanowił wysłać czterotysięczną armię i zaatakować twierdze Songhaju: Gao, Timbaktu i Dzenne, leżące na samym skraju Sahary, twój przodek został chcąc nie chcąc włączony do wojska najeźdźców, choć nie posiadał żadnego doświadczenia wojennego. Jak wiadomo, Songhaj został zniszczony, dzięki czemu marokański skarbiec się wypełnił, a sułtan przybrał tytuł Złotego Sułtana. O al-Mansurze słuch jednak zaginął. Prawdopodobnie zginął podczas podróży przez bezlitosne piaski pustyni, choć w innym źródle jest intrygująca wzmianka, jakoby został otruty, a jego ciało spoczęło w nieoznakowanym grobie. Nadmieniam, że tym źródłem nie jest

oficjalna biografia z Biblioteki al-Karawijjin, bo na własne oczy widziałem, że nie zawiera żadnych informacji na temat ostatnich lat jego życia. Nigdy nie znaleziono jego szczątków.

- Nie miałem o tym pojęcia! — wykrzyknąłem. — To ci dopiero opowieść szkatułkowa!

- A nawet opowieść szkatułkowa zawarta w innej opowieści szkatułkowej. Fantastyczny róg obfitości - zauważył chytrze uczony.

Nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć na tę aluzję, ale z radością mu przytaknąłem. Byłem zupełnie zaskoczony kierunkiem, w którym podążała opowieść.

- Kto by pomyślał, że natknę się na tę historię w trakcie badań naukowych - stwierdził mężczyzna z uśmiechem.

- Jestem pełen podziwu, że tak wyraźnie zapamiętałeś wszystkie fakty.

- Taka jest moja praca - roześmiał się, wyraźnie zadowolony z pochwały. -A co z parą cudzoziemców, których nasze opowiadanie dotyczy w pierwszej kolejności? - zwrócił się do Nabiła, który słuchał wszystkiego z uwagą. -Zostawiliśmy ich w restauracji Argana, jak stojąc ramię w ramię, spoglądali w mrok placu przez zamglone okna.

Nabił podjął opowieść.

Życzyłem sobie, by odeszli. Tak się jednak nie stało. Wiedziałem, że nadszedł ich czas. Wstali od stołu i jej mąż położył trochę drobnych obok dzbanka z wodą. Odprowadziłem ich wzrokiem. Widziałem, że wahali się jeszcze przez chwilę, zanim opuścili progi Argany.

- Chodź — powiedział mężczyzna i wziął ją za rękę. — Już czas. Wyszła za nim i ruszyli naprzód, opanowani i poważni. On szła powoli, opierała głowę na jego ramieniu. On uważnie rozglądał się po placu. Ich postacie rzucały wydłużone cienie.

- Chcę, żebyś wiedział - powiedziała cicho — że będę cię kochać tak mocno jak teraz aż do śmierci. Kocham cię. Kocham. - Jej głos był przepojony czułością. - Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa jak dziś.

- Wszystko wydaje się jak ze snu - potwierdził. - Kochanie, mógłbym tu z tobą być każdej nocy i nigdy by mi się nie znudziło.

Spojrzał na nią, a jego oddech przyspieszył.

- Wolni? - zapytał.

- Tak.

Jakieś cienie, jeden po drugim, wyłoniły się z mroku i powoli ruszyły w ich kierunku.

CZARNA RÓŻA

W tym momencie wystąpiłem na środek kręgu. Nie spuszczać oka z słuchaczy, zająłem miejsce przed ogniskiem. Patrzyłem w dal ponad ich głowami, mówiąc:

- Szukałem ich wzrokiem po całym placu, a kiedy dostrzegłem, jak wychodzą z Afgany, zaprowadziłem ich z powrotem do kręgu wokół muzyków *rwai*. Wydawali się zaskoczeni, ale zadowoleni, że znów się tam znaleźli.

Przerwałem i uśmiechnąłem się w odpowiedzi na westchnienia ulgi moich słuchaczy.

- Żeby historia była jeszcze lepsza - powiedziałem - postawię ich blisko siebie i będą się mocno trzymać za ręce.

Kiedy chciałem podjąć dalsze opowiadanie, przerwał mi nowy głos:

- Hasanie, ale zanim się tam znaleźli, ofiarowałem jej bukiet róż. Zapomniałeś o tym wspomnieć, a może nie zwróciłeś na to uwagi. Ale to ważne, jeśli opowieść ma być zgodna z prawdą. W końcu musiała to być jedna z ich ostatnich wizyt na Dżama.

Wypowiedziawszy te słowa, z kręgu wystąpił szczupły, otulony obszernym burnusem mężczyzna i odtworzył przed nami tamto spotkanie. Był to Marwan, kuglarz, który zasłynął na Dżama sztuką utrzymywania piłek w powietrzu.

To było tak. Ona szła tam, a ja stałem tu. Przeciąłem im drogę i wyjąłem różę.

Odsunął swój *hanbel* i wyprostował rękę, naśladując gest wręczania bukietu.

- Te kwiaty są dla ciebie - powiedziałem moim szkolnym angielskim.
- Na pamiątkę pobytu w naszym pięknym Marrakeszu. Nazywają go Miastem Róż.

- Ale ja nic nie chcę - powiedziała zaskoczona.

- *Madame*, zerwałem je dla ciebie w Ogrodach Agdal. Rano pachnie tam słońcem, a w nocy różami. Przyjmij je, proszę. Są wyrazem hołdu dla twojej urody. My, muzułmanie, wiemy, że takie piękno jak twoje można znaleźć tylko w raju.

- Kim jesteś? - zapytał podejrzliwie jej mąż, stając pomiędzy nami.

- Nie musisz się mnie obawiać. Nazywam się Marwan. Jestem kuglarzem. Występuję na placu. Obserwuję was od wczesnego tana. Poruszyła mnie uroda twojej żony, poszedłem więc do Ogródów Agdal i zebrałem ten bukiet. Mowa kwiatów jest powszechnie zrozumiała. Proszę, przyjmij je. To drobnostka. Naprawdę nic wielkiego.

- A jednak znaczy tak wiele - powiedział, biorąc bukiet z moich rąk i wręczając go żonie.

- Są takie piękne - westchnęła z uśmiechem.

- Niech cieszą twoje oczy.

- Nawet nie wiesz, ile to dla nas znaczy - dodała, wtulając twarz w kwiaty. - Bardzo dziękuję. Przyniosłeś nam szczęście.

- Twoje szczęście jest moim szczęściem.

- Zmieniłeś nasz stosunek do placu - powiedział ciepło mąż - i za to też jesteśmy ci wdzięczni. Wcześniej przydarzyło nam się tutaj coś nieprzyjemnego.

- Czy mogę przeprosić za moich rodaków? Kręci się tu sporo godnych pożałowania desperatów. Żyją w kokonach, wewnątrz rozdarci. Ten stan sprowadza ich na złą drogę.

- Dajesz nam nadzieję - rzekł mężczyzna i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu ofiarował mi zdjęty z ręki zegarek. - To dla ciebie - powiedział. - W zamian za róże. Możesz odkręcić dekiel i włożyć do środka zdjęcie ukochanej.

Natychmiast oddałem mu zegarek.

- Nie, nie, *monsieur* Nie mogę przyjąć tego zegarka! Jest zbyt cenny! Taki dar za kilka zwykłych róż!

Mężczyzna jednak nalegał, abym przyjął podarunek, wciskając mi go do ręki.

- Zegarek nie jest mi już potrzebny - powiedział.

- Jak to? Nie musi pan już wiedzieć, która godzina? Roześmiał się.

- A ty możesz nam powiedzieć, który to dzień? Wczoraj, dziś czy jutro? Widzisz? Nie wiesz. Poza tym, jakie to ma znaczenie?

- Aaa, więc pan jest filozofem. Przypomina mi pan mojego nieboszczyka ojca, który został hadżdżim, odbył pielgrzymkę do Mekki. Niech jego dusza zazna wiecznego odpoczynku w niebie.

Wtedy ona dotknęła jego ramienia.

- Musimy już iść - powiedziała i uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. - Jeszcze raz dziękuję za piękne róże.

- Dokąd idziecie, *madame*?

- Chcemy posłuchać występu *rwai*. Byliśmy tam już wcześniej. Muzycy są naprawdę wspaniali, mają w sobie tyle życia!

- *Rwai* jest jak ogień, a dobra piosenka rozpala serca. Skoro chcecie tam pójść, odprowadzę was, a potem się rozstaniemy. Może spotkamy się jutro? Musicie przyjść na mój występ.

AMMUSSU

Matwan się zawahał. Patrząc w zamyśleniu w ogień, podrapał się po podbródku. Potem obrzucił nas uważnym spojrzeniem, przyłożył rękę do serca i podjął:

I wtedy sprawy przybrały dziwny obrót, moi bracia. Eskortowałem ich do kręgu otaczającego *rwai*. Właśnie rozpoczęła się *ammussu*, uwertura choreograficzna. Para cudzoziemców zaczęła się przepychać do przodu i rozdzielił nas tłum. Rozglądałem się dokoła, ale nie zauważyłem żadnej znajomej twarzy. Było coś niepokojącego w tym zbiorowisku nieznajomych. Muzyka stawała się coraz gorętsza, hipnotyczna, dałem się jej

porwać. Postanowiłem zostać przez chwilę. Spojrzałem na moich niedawnych towarzyszy, ale byli całkowicie pochłonięci występem. Młody mężczyzna otoczył żonę troskliwie ramionami i rozglądał się badawczo po placu. Snujący się w powietrzu dym z ogniska nabrał koloru żarzących się polan i pokrył jej twarz złotoczerwoną patyną. Wyglądała bardzo młodo - smukła i lekka.

Tematem *ammussu* była prawdziwa miłość, która - zważywszy na jej naturę - skazana jest na niespełnienie. *Rais* wkładał w pieśń całą swoją duszę, przywołując piękne i melancholijne sceny. Śpiewał o miłości wielkiej i czystej, płomiennej jak słońce i niemożliwej w prawdziwym życiu jak wodospady na pustyni. Oplakiwał kruchość tego najwznioślejszego z uczuć. Słowa jego pieśni sprawiły, że w moich oczach zakręciły się łzy. Spojrzałem na parę cudzoziemców. Kobieta wyraźnie rozumiała, o czym śpiewał *rais*. Oblała się rumieńcem, przybrała poważny wyraz twarzy i jej usta zadrżały. Trudno było pozostać obojętnym na jej cierpienie. Nagle *Dżama* wydał mi się chłodny i oziębły. Zadygotałem, gdy wróciło do mnie zrodzone wcześniej przecucie. Chciałem do nich podejść i poradzić mu, aby ją stamtąd zabrał, ale tego nie zrobiłem. Pieśń nieco przycichła. *Rais* wyrażał tęsknotę głosem brzmiącym jak dzwonek z kryształu. Jeden z muzyków podał dziewczynie krzeselko; podziękowała i przysiadła ze skrzyżowanymi nogami, patrząc ze smutkiem w ogień. Jej mąż przyklęknął obok, z oczyma utkwionymi w jej twarzy. Głos pieśniarza zniżył się do szeptu. W najbardziej podniosłej chwili, kiedy dźwięk lutni rozbrzmiewał w ciszy jak dzwon, na skraju kręgu pojawiły się jakieś ciemne typy. Ich głosy — nieokrzeseane, gardłowe, hałaśliwe — wdarły się do pieśni, natychmiast burząc nastrój. Ich głowy osłaniały kaptury, a twarze skrywały się za ciemnym materiałem. Zastanawiałem się, kim są. W ich ciężkich ruchach czaiły się wrogie zamiary i muzycy widocznie wyczuli niebezpieczeństwo, bo przestali grać i patrzyli na nich bezradnie. Usiłując zachować pozory spokoju, *rais* zaczął coś mówić, ale zagłuszył go prześmiewczy gwizd z tyłu. Wtedy zobaczyłem, jak para cieni atakuje dziewczynę. Jej mąż natychmiast rzucił się, by jej bronić, ale ktoś z tyłu podłożył mu nogę i mężczyzna runął jak długi. Ludzie zebrani wokół muzyków rozpierzchli się w jednej chwili.

Pandemonium! Muzycy usunęli się pospiesznie, starając się ocalić instrumenty. Słyszałem wrzaski i krzyki. Światło ogniska wydobyło z mroku twarze. Ludzie rzucili się do ucieczki. Chciałem pobiec za dziewczyną, ale ciężka ręka chwyciła mnie za ramię. Wywijałem ramionami, chcąc się bronić, ale cios w głowę pozbawił mnie przytomności.

Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem już tylko walające się dookoła resztki wygasłego ogniska. Pierścień wozów policyjnych z migoczącymi światłami rozświetlił plac i zaroilo się od funkcjonariuszy. Obok mnie leżał nieprzytomny człowiek, na rękach i ramionach miał siniaki i zadrapania. Podniosłem się z trudem i zostałem natychmiast otoczony przez policjantów, którzy zasypali mnie pytaniami. Dostrzegłem męża kobiety, opartego o karetkę. Z jego ubrania zostały tylko łachmany. Opiekował się nim pielęgniarz, bo szlochał jak oszalały. Odwróciłem wzrok i odpowiedziałem na pytania policjanta najlepiej, jak umiałem. Kiedy już wszystko mu opowiedziałem, zapisał sobie mój adres. Później pozwolił mi odejść.

Gdy następnego dnia przyszedłem na Dżama, część placu była odgradzona. Niektóre stragany działały, ale ogólnie panował ponury nastrój. Podeszedłem do miejsca, gdzie grał zespół *rwai*, i znalazłem porzuconą różę. Szerniała, a kilka jej płatków było wyraźnie przypalonych. Podniosłem ją, zastanawiając się, czy pochodzi z mojego bukietu. Niestety, czuć ją było tylko spalenizną, odrzuciłem ją więc gestem pełnym rozpacz

Matwan przerwał na chwilę i pochylił się nad ogniskiem. Potem odwrócił twarz od ognia i spojrzał na każdego z nas po kolei. Oczy miał smutne i puste. - Tak właśnie pamiętam tamten przeklęty wieczór, drodzy bracia i siostry - powiedział niskim głosem. - Setce mi pękło na widok męża tej kobiety. Widziałem go wiele razy od tamtego czasu, tak jak z pewnością wielu z was, błakającego się po placu w szaleńczym zapamiętaniu, szukającego śladu ukochanej w każdej twarzy. Mówią, że nie mogąc przeboleć straty, porzucił pracę i dom i mieszka teraz gdzieś w Marrakeszu. Mówią, że gada sam do siebie, a twarz wykrzywają mu nerwowe tiki i dziwne grymasy. Ale nie wiem tego na pewno. Nigdy za to nie zapomnę jego twarzy. Obym

już nigdy nie był świadkiem takiego nieszczęścia. Wystarczy jedno takie zdarzenie, żeby zburzyć człowiekowi spokój na całe życie. Po chwili dodał: - Taka jest prawda.

ABERDAG

- To wcale nie jest prawda! To zniekształcenie prawdy!

Z kręgu słuchaczy wystąpił wysoki, chudy mężczyzna z wystającymi kośćmi policzkowymi i ustami wykrzywionymi smutkiem. Szalem zasłaniał podbródek.

- Nie tak zapamiętałem zdarzenia tamtej nocy - stwierdził dobitnie. W jego głosie wyczuwało się gorycz, tak jakby niewiele się po nas spodziewał.

- Pokaż nam swoją twarz, przyjacielu — powiedziałem. — Niegrzecznie jest zasłaniać oblicze w towarzystwie.

Gwałtownym ruchem zdjął szal, a ja pobrałem z przerażenia. Jego szczeka była przeżarta i zdeformowana. Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Pracowałem jako strażnik w więzieniu. Jeden z więźniów oblał mnie kwasem - wyjaśnił.

Na powrót zawinął szal wokół twarzy, tak że widać było tylko jego oczy. Błysnęły i pociemniały. Sztywny i wyprężony, mierzył nas wzrokiem jak rekrutów.

- Nazywam się Walid. Kiedyś byłem wojskowym. Teraz mieszkam w Kasbie, jestem kawalerem. Tej nocy byłem na Dżama, oglądałem występ *rwai*. Poszedłem tam posłuchać muzyki, bo sam czasem gram na lotarze. To trudny instrument, wymaga dyscypliny. Nie interesowali mnie cudzoziemcy.

Spojrzał na nas zaczepnie, jakby licząc na to, że zechcemy się sprzeciwić. Nikt jednak nie śmiał się odezwać.

- *Rwai*, którzy grali tamtej nocy, byli Berberami z plemienia Chleuch z wioski niedaleko Tarudant. Duży zespół: dwa rababy, dwa lotaty, cymbały i cała bateria bendirów. Ich *rais* nie był może najlepszy, ale miał dużo energii i wiedział, jak przyciągnąć tłum. Jego głos unosił się w powietrzu, a muzyka kształtowała za nim obrazy. Obrazy rzek, łąk, gwiazdzistych nasion, przeoranej ziemi. Pieśni były radosne i przywoływały na myśl wspomnienia obfitych zniw. Każdy nowy utwór przyciągał więcej publiczności.

Były wojskowy wyliczał pieśni na palcach. Kiedy skończył, z wielką satysfakcją podniósł palce do góry i oświadczył:

Wykonali już cztery albo pięć pieśni, kiedy pojawiła się ta pata cudzoziemców. Od samego początku zachowywali się niegrzecznie. Wepchnęli się na sam przód i stanęli tuż obok mnie. Ta kobieta od samego początku mi się nie podobała. Miała błędne oczy. Zaczęła do mnie mówić o jakimś czerwonym księżycu. Nie lubię, gdy zaczepiają mnie obce kobiety, więc nie odpowiedziałem. Uznałem samą jej obecność na Dzama o tej porze za skandal. Wcale nie byłem zdziwiony, gdy skierowały się na nią wszystkie spojrzenia.

Po chwili zaczęła się ruszać w rytm muzyki. Cofnąłem się o parę kroków z niesmakiem, gdy zauważyłem, że kołysze biodrami. Moim zdaniem nie było w niej ani krzty skromności. Jej ruchy były niestosowne, nie było w nich kobiecości. Ta dziwka otwarcie nas prowokowała, jak większość ludzi z Zachodu. A jej mąż stał tam jak kołek i nie reagował. Nie kiwnął nawet palcem, mimo że robiła z siebie bezwstydną widowisko.

Gdy patrzyłem, jak kręci tyłkiem, uderzyło mnie to, jak mało szacunku cudzoziemcy mają dla naszej kultury. Zachowują się tak, jakby byli u siebie, obnoszą się ze swoimi zachodnimi obyczajami. Uważają nas za jakieś egzotyczne stwory, traktują jak wielką niewiadomą, czystą tablicę, na której wypisują własne fanrajze. A my jeszcze ich do tego zachęcamy, ściągając na siebie wieczną hańbę i wstyd.

Co się dzieje, kiedy kobieta myśli, że może się w ten sposób zachowywać? Męskie mózgi twardnieją. Przychodzą im do głowy prymitywne myśli. Zapominają o słowach, które niesie pieśń; czują tylko pulsujące

tętno uderzeń. Potem nawet to przeradza się w coś innego — w tępy, piekący ból. Czują ukłucie w sercu, a twarze czernieją im od spiekoty i złości.

Nie można winić mężczyzn za to, co stało się na Dżama tamtej nocy. Takich kobiet nikt nie szanuje. Miotła się w tańcu niczym zwierzę, wokół unosiły się tumany kurzu. Wdarła się na sam środek koła. Kilka razy przystawała przed niektórymi mężczyznami, jakby wyzywając ich na pojedynek. Stale dolewała oliwy do ognia, jakby czekała, aż buchnie płomień. Ale oni pozostali niewzruszeni. Patrzyli na czerwony księżyc. W powietrzu unosił się gorzki zapach, chyba żywicy. *Rais* wykrzykiwał na wszystkie strony, ale słabo go było słychać. Wtedy zsunęła buty i rozpuściła włosy. Słyszeliśmy szuranie bosych stóp po ziemi. Niektóre zwierzęta tak robią, gdy idą nocą do wodopoju na pustyni. To odgłos wyzwalający prymitywne instynkty, więc nie trzeba było długo czekać na rezultaty. Jakiś mężczyzna wyrwał do przodu w dwóch szybkich ruchach i uniósł ją w górę. Był to wyplatacz koszyków z Asmary; chwilę później dołączył do nich jeszcze ktoś. Zaczęli tańczyć jak niedźwiedzie, unosząc ją ponad głowami. Jej mąż głośno zaprotestował, ale zignorowali go i odwrócili się do niego plecami. Kiedy usiłował ją uwolnić, rozpętała się awantura. Zobaczyłem jakiś błysk w ciemności. Ktoś przyłożył mężczyźnie metalowym hakiem i rozłożył go na łopatki. Czołgał się na rękach i kolanach, a ludzie walili go po głowie, szyi, barkach i ramionach. Wtedy ona zaczęła wrzeszczeć i ci dwaj mężczyźni ją puścili. Kiedy uderzyła o ziemię, nie wydała już z siebie żadnego dźwięku. Miała zaciśnięte zęby i ślinę na ustach. Myślałem, że zemdleje. Nagle rozległ się ostry gwizd. Zauważyłem, że ze wszystkich stron nadbiegają jacyś ludzie. Zanim zdążyliśmy się zorientować, co się dzieje, otoczył nas kordon policji. Niektórzy próbowali uciec, ale nie mieli szans. Wszyscy biegali w tę i we w tę, aż w końcu zapanował spokój. Ja sam nie zamierzałem nigdzie odchodzić; stałem z boku i przyglądałem się temu widowisku. Mrok sprzyja złu. A potem czerwona mgła spowiła plac i powietrze stało się ciężkie i zimne.

Wtedy też dał się słyszeć mrozący krew w żyłach krzyk. Przeszył ciszę jak głos ryczącego z bólu dzikiego zwierzęcia. To była ta kobieta. Krzyczała, zrozpaczona:

- Co wyście z nim zrobili, skurwysyny?!

Wszyscy to usłyszeli. Nastąpiła cisza. Policjanci gdzieś przepadli. Nikt nie wiedział ani co powiedzieć, ani co zrobić. Nie mogliśmy jej dostrzec. Dżama spowiły szare kłęby gęstej mgły. Wszędzie czuć było smród strachu. Nastąpiła ołowiana noc.

Znaleźli ją siedzącą na ziemi. Na czole miała siniaka, jej koszula była rozerwana, a na ustach widniały ślady krwi. Jeden z funkcjonariuszy podał jej chustkę, ale odrzuciła ją ze wstrętem.

Zaczęli szukać jej męża, ale nigdzie nie mogli go znaleźć. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Przeszukali cały plac, suki, qajsarijje. Czas naglił. Mgła jednak skutecznie przeszkadzała w poszukiwaniach.

Ostatni raz widziałem ją, jak leżała na ziemi i płakała. Oficer klęczał tuż przy niej, prosząc, żeby wstała. Od czasu do czasu otwierała szeroko usta, jakby chciała, ale nie miała już sił krzyczeć. W końcu przestała płakać i pozwoliła się wyprowadzić. Wyglądała wtedy jak owca prowadzona na rzeź. Miała taki sam wyraz oczu, roztaczała wokół siebie ten sam zapach. Powinienem jej współczuć, ale nie czułem żalu. Niczego nie czułem. No a czego się spodziewała?

Były żołnierz przerwał i odsunął się na bok. Mówił tak szybko, że wreszcie musiał odsapnąć. Zapalił papierosa i milczał przez chwilę. Na jego rozgoryczonej, pooranej twarzy pojawiły się oznaki zmęczenia. Zanim ponownie się odezwał, spojrzał na mnie przeciągle i twardo.

- Słyszałem, że przez pierwszych parę lat po jego zniknięciu przyjeżdżała każdej zimy do Marrakeszu, licząc na to, że czegoś się dowie, że go odnajdzie. Mój znajomy widział ją raz na placu i mówił, że wydawała się całkiem normalna. Paradowała w jakimś, jak zwykle nieodpowiednim, zachodnim stroju. A potem przestała przyjeżdżać i o ile wiem, słuch o niej zaginął-Przypuszczam, że wróciła tam, skąd przybyła.

Łamiąc zasady, podziękowałem mu za opowieść prawie niegrzecznie, spoglądając na niego z niesmakiem.

- Tak właśnie było. Nie moja to wina, że się wam nie podoba — powiedział, a złowieszczą marsową kreską pomiędzy jego brwiami zarysowała się jeszcze wyraźniej.

- Wcale tak nie było — zaproponowałem twardo — i dobrze o tym wiesz. Moje słowa tak go rozzłościły, że zaczął powtarzać swoje zarzuty, ale

nie dopuściłem go już do głosu, a pozostali słuchacze mnie w tym poparli. Widząc, że zgromadzeni wyraźnie zwrócili się przeciwko niemu, powiedział głosem bardziej lodowatym od jego słów:

- Widzę, że nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy.

- To nie miałyby sensu - odparłem. - Nie widzę też potrzeby wdawania się z tobą w dyskusję. Nie będę próbował cię przekonać.

- Doprawdy? - zapytał, marszcząc brwi. Pionowa zmarszczka stała się głęboka jak blizna. - Więc to tak? Jesteś po stronie cudzoziemców!

- Nie będę się z tobą wdawał w żadne spory. Musisz się leczyć.

- Zapamiętam cię sobie! Nie zapomnę ci tego.

- To ostrzeżenie czy pogrożka?

- Ani jedno, ani drugie. Nie grożę ci, wyrażam tylko swoją pogardę. Tak jak twój brat Mustafa, zaprzedałeś duszę.

Odsunął szal i splunął na ziemię. Nie czekając na odpowiedź, rzucił mi lodowate spojrzenie, sztywno się skłonił i opuścił krąg. Po przejściu może dwunastu kroków zatrzymał się i spojrzał na mnie przez ramię. Napotkał mój twardy, przenikliwy wzrok i aż go odrzuciło. Patrzyłem, jak niknie w mroku, i wkrótce całkiem straciłem go z oczu.

Poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Poskoczyłem i odwróciłem głowę, aby zobaczyć kto to. Wtedy sobie uświadomiłem, że przez cały czas miałem zaciśnięte pięści.

TAMSSUST

Stał za mną młody mężczyzna. Chwiał się niepewnie na nogach. Miał rozszerzone źrenice i oddech przesycony zapachem kifu. Ubrany był w brudną brązową dzellabę z odsuniętym kapturem; był blady i piegowaty, a jego szarżółte oczy sugerowały domieszkę obcej krwi.

- *La bes* - powitał mnie w szilħa. *La bes* - odpowiedziałem.

- Cała relacja, którą właśnie usłyszeliście, to wierutne kłamstwo -wycodził, - Byłem na Dżama tamtej nocy. To było okropne przeżycie, ale zdarzyło się coś całkiem innego niż to, co opisywał ten człowiek.

- Masz lepszą wersję? — spytałem oschle.

- To długa historia.

- Posłuchajmy.

- No więc... - zaczął i od razu zamilkł.

Miał ciężkie, zaspane oczy. Uniósł dłoń i spojrzał przez rozwarte palce na ogień.

Opanowałem zniecierpliwienie i spytałem, co się z nim dzieje.

- Nic - odpowiedział.

- Złe się czujesz?

- Nie.

- To co ci jest?

- Bóg wie, że jestem ostatnią osobą, która powinna oceniać, co jest prawdą, a co nie - powiedział, wskazując na środek placu. - Szczerze mówiąc, nie jestem nawet pewien, czy wiem, co to znaczy. Ale mam kilka przypuszczeń. Może tylko jeden wątek dzieli nas od prawdy, a może cały zwój tkaniny, ale będziemy mogli to ocenić, tylko patrząc na cały materiał.

- Kim jesteś? - zapytałem spokojnie.

- Nazywam się Raszid. Sprzedaję wirujące bączki na placu. Może mnie tam widziałeś. Dawniej handlowałem kasetami koło Cafe de France, ale nic z tego nie wyszło.

- Bączki?

- Tak. Robię je własnoręcznie z drewna tujowego. Najlepsza i najtrwalsza zabawka na świecie.

- Wierzę ci na słowo.

- Patrzysz na mnie, jakbym oszalał, ale jestem przy zdrowych zmysłach. Wypaliłem trochę kifu, to wszystko. Tak samo jak tamtej nocy, nie będę zaprzeczał.

- Trochę?

- Tak, tylko trochę — powiedział, biorąc głęboki oddech. — Bez kifu" mam zamęt w głowie i nie mógłbym jasno się wyrażać. Przyznaję, nie

jestem być może najbardziej wiarygodnym świadkiem, ale w poprzednich dwóch relacjach było tyle sprzeczności, że uznałem, iż muszę zabrać głos.

- Co masz na myśli, mówiąc o sprzecznościach?

- Dokładnie to.

- Uważasz, że oni kłamali?

- Tego nie powiedziałem. Choć to, co zmyślili, łatwo jest rozpoznać.

- To dlaczego nie powiesz nam, jak to było naprawdę, raz a porządnie?

- Masz papierosa?

- Nie palę - odpowiedziałem, ale któryś słuchacz podał mu gitane'a. Zapalił i twarz mu się rozjaśniła. Zaciągając się, na nikogo nie patrzył i trzymał papierosa w drżącej dłoni. Wreszcie zaczął mówić. Cicho, często przerywając. Wiedziałem, że nie powinienem mu przerywać.

- Tamtego wieczoru miała na głowie czerwony beret — powiedział.

-Pamiętam, bo tydzień później znalazłem go w rynsztoku na suku garncarzy i przekazałem policji.

Zaciągnął się dymem z papierosa.

- Tak jak innym, mnie też nie podobał się tej nocy czerwony księżyc. Kiedy jego tarcza wyrosła naprzeciwko zachodzącego słońca, wydawało się, że oto otworzyły się dwie rany. Gdziekolwiek spojrzeć, z nieba lała się krew. Niesamowite zjawisko. Zaciągnął się znowu i pokręcił parę razy głową. Z każdą chwilą nabierał pewności siebie. Przechylił głowę w bok, wbił wzrok w dal i wydawał się coraz bardziej zamyślony.

- Nie, księżyc tamtego wieczoru ani trochę mi się nie podobał -powtórzył. - I nie tylko mnie. Przypominam sobie, że ktoś na środku placu krzyczał: *Nadszedł koniec świata! Nadszedł koniec świata!* Jego słowa dudniły w powietrzu jak zapowiedź wybuchu. To był jakiś roztrzęsiony stary Żyd z dzielnicy Mellah, na wpół oszalały. Zaraz zwinęła go policja, ale gdy patrzyłem na to niebo, miałem wrażenie, że w jego słowach było ziarno prawdy. Potem zapaliły się światła przy straganach. Dżama al-Fna' nocą. Wszystko w ruchu. Tańczące niedźwiedzie, muzyka, akrobaci, lśniące mosiężne instrumenty muzyków *gnawa*. Plac Foucaulda wypełniły długie czarne cienie i jarzące się w mroku ogniki papierosów. Rowerzyści i motocykliści ścigali się wzdłuż Avenue Mohammed V.

W mroku oświetlone okna Cafe de France i restauracji Argana wyglądały jak wyszczerzone zęby.

Uśmiechnął się na to wspomnienie i zaczął tańczyć z wolna wokół ogniska.

- Witajcie w cyrku — zawołał śpiewnym głosem - gdzie wszystko jest iluzją! Skreślił w bok, odwrócił się i położył rękę na sercu.

- Jestem dzieckiem morza - powiedział. - Pochodzę z zachodniego wybrzeża, z Ahfanir, i tamtej nocy, przynajmniej w moich oczach, Dżama przypominała wzburzony ocean. Światła i ich refleksy wyglądały jak łodzie, skały i fale. Dym był rozpryskiem wzbierającej fali.

Przysiadłem za którymś ze straganów z jedzeniem i posilałem się rybimi oczami. Był to dar od mojego przyjaciela Nur ad-Dina, który także pochodzi z wybrzeża. Sześć, osiem, dziesięć, cały półmisek smakowitych oczu, a na koniec wszystko popite gorącą, mocną herbatą - tyle wystarczy, żeby w człowieku odrodziła się siła do życia.

Nasycony i szczęśliwy, wyciągnąłem się na ławce i - czemuż miałbym się nie przyznać? — starannie zrolowałem skręta i podzieliłem się nim z Nur ad-Dinem. Leżeliśmy jeden obok drugiego, paląc w milczeniu, a potem mój przyjaciel gdzieś się ulotnił, zostawiając po sobie tylko złoty pył. Niebo było pełne spadających gwiazd i czarnych dziur. Niekiedy pojawiały się też na nim światełka samolotów, migające jak błędne ogniki z dziecięcej bajki. Z placu dobiegały dźwięki orkiestry *rwai*, więc podśpiewywałem sobie do taktu. Ssałem cytrynę, którą przybrane były rybnie oczy, i zacząłem się zastanawiać, czy tego roku uda mi się wygrać los na loterii. Przelatywało mi przez głowę mnóstwo myśli, ale wszystkie były wesole i pogodne jak śmiech. Przenikała je cudowna mgiełka, oświetlając je wszystkimi kolorami tęczy. Zatopiony w tej mgle, usłyszałem, jak ktoś mówi do mnie „dobry wieczór” po francusku, i odpowiedziałem na powitanie. To był kobiecy głos, ale nie zwróciłem na to zbytnej uwagi. Na Dżama wszyscy wszystkich znają.

- Dzień dobry, dobry wieczór, jak ci pasuje - odpowiedziałem. Potem usiadłem.

Niewiarygodnie piękna kobieta stała obok mojej ławki. Myślałem, że śnię, i zajęło mi dobrą chwilę, zanim sobie uświadomiłem, że jest cudzoziemką.

Była ubrana jak tutejsze kobiety, w sirwale, kaftan, a na głowie miała pasiasty serdak Światło ze straganów z jedzeniem mieniło się w wianuszkach cekinów na jej chuście. Chciałem powiedzieć coś szarmanckiego i poetyckiego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Postanowiłem więc ograniczyć się tylko do *bonjour*. Wtedy poczułem, że zamiast mówić, otwieram i zamykam usta jak ryba. Zadrżała mi ręka, w której trzymałem skręta. Spuściłem wzrok.

- Co palisz? - zapytała z uśmiechem.

Kiedy jej odpowiedziałem, poprosiła, bym się z nią podzielił.

Usiadła przy mnie i zapaliliśmy. Rozłożyła się leniwie i puszczała piękne, okrągłe kółka z dymu. Chciałem zapytać, skąd pochodzi, co przywiodło ją na Dżama, jak długo zamierza tu zostać, różne takie. Sparaliżowany jednak przez nieśmiałość, nie zebrałem się nawet na odwagę, aby zapytać ją, jak ma na imię. Po prostu siedziałem jak otępiały.

Gdy się nad tym teraz zastanawiam, wciąż nie rozumiem, co się wtedy ze mną stało. Długo nad tym myślałem. Zwykle nie jestem nieśmiały. Siedzieliśmy tuż obok siebie, patrzyliśmy razem na gwiazdy, ale ona równie dobrze mogła pochodzić z innej planety. Nie potrafię tego wyjaśnić ani usprawiedliwić. Zawiodłem się na sobie.

W końcu wstała i podziękowała mi za towarzystwo. Więcej nawet: podziękowała mi za to, że siedziałem cicho i nie zwracałem jej głowy niepotrzebnymi pytaniami.

- Najwspanialsza ze wszystkich umiejętności to wiedzieć, kiedy siedzieć cicho - powiedziała.

Udając, że rozumiem, wyjąkałem coś w odpowiedzi. Udało mi się poprosić ją o sidzarę, choć mój zdrewniały od kifu język zaplatał się wokół słowa. Popatrzyła na mnie skonsternowana.

- Sidzara - wymamrotałem. - Możesz mnie poczęstować sidzarą? Patrzyła przez dłuższą chwilę, aż w końcu zrozumiała. Pokręciła głową z uśmiechem.

- Przykro mi, nie palę papierosów.

Na odchodnym życzyła mi jeszcze udanej nocy i dużo dobrego w nadchodzącym roku.

„Nie opuszczaj mnie jeszcze!” - wołałem bez słów. „Nic o tobie nie wiem. Nazywam się Raszid. Za wcześnie na pożegnanie”.

Spojrzałem w górę, na spadającą gwiazdę, która zmierzała prosto na minaret Kutubijja.

Leciała bardzo szybko i była taka jasna. Gdy spuściłem wzrok, dziewczyny już nie było.

Oczywiście od razu odzyskałem głos. Coś we mnie pękło i utonąłem w powodzi własnych słów. - W porządku - usłyszałem sam siebie - wystarczy już tej głupiej zabawy w ciszę nazywam się Raszid, a ty jak masz na imię sprzedaję wirujące bączki a co ty robisz skąd pochodzisz mam trzy siostry mój ojciec ma dziesięć owiec czy za mnie wyjdiesz czy możemy pomówić o raju zbuduję dla ciebie dom z ogródkiem i będziemy mieli dużo dzieci czy jest mi do twarzy z wąsem czy mogę dotknąć twego serca wyhodujemy tyle kifu ile serce zapragnie... I tak dalej, i dalej... i dalej. A przez cały ten czas na środku placu *rwai* krzesali iskry swoimi pieśniami. Zrobiło się duszno. Rozpiąłem koszulę. Położyłem się, usiadłem, położyłem się, znowu usiadłem. *Rwai* śpiewali, bębnilo, śpiewali, przycichli, znowu zaśpiewali. Nie mogłem uciszyć serca i w końcu dałem za wygraną. Postanowiłem podejść i dołączyć do kręgu przyglądających się występowi. Tak naprawdę to nie za bardzo chciało mi się tam iść, ale sami wiecie, jak to jest. Nogi same człowieka niosą i co najwyżej można dotrzymywać im kroku. Wstałem z ławki i ruszyłem w stronę muzyków, ale stali dalej, niż mi się wydawało. Zgubiłem drogę i nagle znalazłem się po przeciwnej stronie placu. Ludzkie twarze pojawiały się i znikwały jak liście niesione wiatrem. Minąłem linoskoczka z otwartą parasolką. Mężczyznę, który rzucał nożami tuż obok chłopca sprzedającego owoce z malowanej gliny, piętrzące się w koszyku. Pólnagi olbrzym z utlenionymi włosami podnosił masywny pień drzewa. Jego żona krążyła wokół z drewnianą miseczką na datki. Zrobiłem unik, gdy szła w moją stronę, i zbliżyłem się do *rwai*. Tłum zaczął gęstnieć, dobiegały mnie urywki rozmów.

- .. jest piękna jak czerwona róża.

- .. nawet ogień przy niej blednie.

- .. oczy ma kryształowo niebieskie, głębokie jak ocean.

- .. musiałem odejść, bo nie byłem w stanie tego więcej wytrzymać;

za-

parło mi dech. Założę się, że jeden jej pocałunek nauczyłby cię wszystkiego o miłości.

Nie musiałem zgadywać, o kim mówili. Przyspieszyłem kroku i biegiem dotarłem do *rwai*.

Zespół właśnie zaczął *tamssust*, skoczną pieśń o miłości. *Rais* śpiewał najgłośniej, jak umiał, jakby mógł w ten sposób uratować ginący świat, a widzowie klaskali do taktu i zagrzewali go do wysiłku. Rozejrzałem się wokół, szukając jej wzrokiem w tłumie, i wkrótce się uspokoilem. Siedziała na niskim krzeselku wśród muzyków. Za nią stał szczupły śniady chłopak i opierał dłonie na jej ramionach. Zsunęła się jej chusta z głowy; przewiązała ją wokół szyi jak apaszkę. Teraz miała na głowie jaskrawoczerwony beret. Zmierzyłem wzrokiem jej chłopaka i zrobiło mi się ciężko na sercu. Sposób, w jaki ją obejmował, świadczył wyraźnie o tym, że należała do niego. Patrzyłem na nich z rozpaczą, a *rais* wyśpiewywał moje myśli:

Ognista dziewczyno Ognista dziewczyno

Stworzona dla mnie . Stworzona na życzenie Czekałem na ciebie

Czekałem tak długo

Teraz wszystko stracone

Teraz wszystko przepadło.

Przyjaciele, bracia, to były najgorsze chwile mojego życia. Czarne chmury zgromadziły się nad moją głową. W powietrzu czuć było woń rozpaczy. Przekląłem kif, który pozbawił mnie głosu. Chciałem natychmiast uciec z tego miejsca i schować się w jakiejś dziurze. Lepiej odejść, pomyślałem, a potem pomyślałem, że lepiej nie odchodzić. Przekonałem samego siebie, by zostać na placu, by jeszcze parę minut cieszyć oczy jej obecnością.

Nie wiem, jak długo to trwało... Byłem jak sparaliżowany. Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić moją mękę. Zastanawiałem się, czy zostawić jej wirującego bączka na pamiątkę. Wyjąłem już nawet jednego z torby, ale upadł mi na ziemię. Bracia, jak ja cierpiałem! Z całych sił

próbowałem zebrać się na odwagę, wiedząc, że nigdy więcej jej już nie zobaczę.

Raszid zarumienił się, poruszony wspomnieniem i zakłopotany własną nieśmiałością i tęsknotą. Wydawał się zrezygnowany. Mówił wolno i mechanicznie:

A potem, w mgnieniu oka, zaszła jakaś zmiana, jakby odzwierciedlając stan mojego własnego serca. Wszyscy wlepili w nią oczy. Zmienił się nastrój publiczności. Wszyscy rozbieraliśmy ją wzrokiem. Muzycy także poddali się temu nastrojowi - dudnienie bębnów odbijało się teraz złowróżbnym echem. Mogło to mieć związek z grupą zakapturzonych, zamaskowanych mężczyzn, którzy nagle się pojawili, jakby znikąd. A może powodem były słowa, jakimi *rais* zakończył piosenkę:

*Teraz przez ciebie cierpię Teraz jestem zrujnowany Co mi zostało?
Tylko jedno Wbić sztylet w twoje serce!*

Odwróciłem się niezdecydowanie i zacząłem się wycofywać. Zawód miłosny musiał być wypisany na mojej twarzy, bo ktoś dał mi kuksańca i zaśmiał się szyderczo. Nie byłem w nastroju do żartów i próbowałem się precyzyjnie przez tłum, ale zagrodzono mi drogę.

- Och - usłyszałem jakiś głos - oto następna ofiara hurysy.

Obrażony i wściekły, podniosłem rękę i już miałem odepchnąć tego człowieka, kiedy rozpętało się piekło. Ostry gwizd przedarł się przez dźwięki muzyki. Ktoś zaczął krzyczeć jak szalony, rozległ się dziki wrzask. Próbowałem się odwrócić i zobaczyć, co się dzieje, ale potknąłem się i upadłem na głowę. Leżąc na ziemi, czułem, jak tratuja mnie pędzący w popłochu ludzie. Próbowałem się podnieść, ale znów upadłem. Otoczyła mnie ciemność, podniosłem więc ręce, aby ją odpędzić. Poczulem, że staczam się w zimną, mroczną otchłań. Ostatnią rzeczą, którą widziałem, był rąbek sukienki, a potem straciłem przytomność.

Kiedy oprzytomniałem, leżałem w łóżku zasłanym czystą białą pościelą w pokoju z widokiem na ogród. Byłem w szpitalu. Spędziłem tam cały

dzień, a potem mnie wypisali. Kazali mi zgłosić się następnego dnia rano na posterunku policji na Dżama.

Tam przesłuchiwało mnie dwóch inspektorów i sierżant. Powiedzieli mi, że para cudzoziemców zagubiła się po awanturze podczas koncertu *rwai*. Odpowiadałem na ich pytania, jak umiałem najlepiej, ale nie wydawali się zbyt zainteresowani i po niespełna godzinie pozwolili mi odejść. Zgubiłem torbę z bączkami i zgłosiłem w tej sprawie zażalenie, ale policjanci uprzedzili, żebym nie liczył na jej odnalezienie.

Kiedy znów wkroczyłem na Dżama, świeciło słońce i wszystko, co zdarzyło się w ostatnich dniach, wydawało się halucynacją. Wróciłem w miejsce, gdzie słuchałem *rwai*. Teraz siedział tam bazarz. Opowiadał historię pary przeklętych kochanków z pustyni, Lajli i Madżnuna. Przysłuchiwałem mu się przez chwilę, ale wszystko, co mówił, wydawało mi się tak nierealne, że odszedłem rozgoryczony. Postanowiłem opuścić plac i pójść do domu. Po drodze podniosłem z ziemi różę, ale kwiat zranił mi kciuk. Na widok krwi łzy napłynęły mi do oczu. Tego ranka nawet kwiaty raniły.

Raszid stał przez chwilę nieruchomo, zapatrzony w mrok. W kręgu zapanowała cisza, którą zakłócał tylko trzaskający ogień. Nikt nawet nie drgnął.

Raszid zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Kiedy w końcu znalazł ten przedmiot, wyjął go i przyłożył do twarzy. Był to talizman, filigranowa ręka Fatimy na srebrnym łańcuszku. Przycisnął ją do ust, po czym włożył z powrotem do kieszeni.

- Wciąż mnie męczy to, że się nie dowiedziałem, jak miała na imię — powiedział. - Imiona to klucze.

- Musiało cię tu nie być, kiedy ujawniłem jej imię. Nazywała się Lucia. To słowo oznacza światło.

- Światło - powtórzył i cień uśmiechu przemknął mu po twarzy. -Bardzo do niej pasuje.

Po czym bez słowa wrócił na swoje miejsce w kręgu i upadł na kolana. Klęczał przez chwilę, a w końcu położył się na boku i zwinął w kłębek, wtulając głowę w ramiona.

- Przykryjcie go kocem - poradziłem. - Wiele wycierpiał. Ktoś okrył go hanbelem.

FENIKS

Księżyc przesunął się pod chmurami na zachodzie. Zgasły światła na sukach. Ogrody za meczetem Kutubijja spały mocnym snem. Pod krzewem róż pomarańczowy kot lizał łapy. Gdzieś w głębi Mellah, w cichym, ciemnym pokoju, jednooki poeta po raz ostatni wygładzał pieśń o smutku. Pierwszy wers brzmiał:

Czymże jest życie jak nie grą przelotna?

Księżyc, kot, poeta, ten krąg słuchaczy - zatrzymaliśmy się wszyscy na tej samej stronie. Między złożeniem ust a talizmanem, gardłem a głosem, sercem a nadzieją coś zawsze się kołacze, coś zawsze żyje i umiera. Czy to nadzieja? Szaleństwo? Morze?

To miłość.

Popatrz, oto ona: bezszelestna, drżąca, parę nieśmiałych spojrzeń, ulotny gest, wiersz o kifie, delirium na cały wieczór, a potem nic.

To jest miłość. Ma pięć zmysłów, siedem tonów, dziewięć twarzy, jedenaście złudzeń.

Jest miękka. Jest kwiatem rosnącym w najgłębszych oceanach. Jest migoczącą świecą, znakiem w śnieżycy, pięknym krajem, kurzem pustyni. To powołanie i przekleństwo i długa przeciągła litania wznoszona każdego wieczoru. To fotografia, lament, kronika, obraz. Jest w puszczy Pandory, w słonecznym parku, we Wronim Drzewie. To uniesienie, zagubienie, samotność, strata, sen. To miłość.

To ten najpiękniejszy ze wszystkich ptak.

HETTARA

Istniały poważne różnice w raportach o tym, co się wydarzyło. Nie było nawet jasne, kto zaginął. W niektórych gazetach ukazały się ogłosze-

nia o zaginionej kobiecie; w innych o zaginionym mężczyźnie; niektóre twierdziły, że oboje zaginęli. Pisano, że nieukojonny w żalu mąż nachodził policję i sprawiał kłopoty; mówiono, że żona zaczęła nocować na schodach komisariatu, zrozpaczona po utracie męża; mówiono, że kilka zagranicznych konsulatów wywierało naciski, by wyjaśnić, co właściwie stało się z ich zaginionymi obywatelami. Oficjalne sprawozdania były równie sprzeczne. Najpierw usłyszeliśmy, że para została odnaleziona na Bananowej Plaży, raj dla miłośników surfingu niedaleko Taghazut, ale tamta kobieta okazała się Holenderką, a jej partner był pochodzenia syryjskiego, i po tygodniu wyczerpujących przesłuchań zostali wypuszczeni. Inne wieści głosiły, że widziano ich w Tangerze, Szafszawanie, Paradise Valley, Immuzerze i w kinie Rialto przy Avenue des FAR w Agadirze. Zatrzymano pewną liczbę cudzoziemców, głównie na podstawie podobieństwa do zaginionej pary, choć przypadek siedemdziesięcioletniego szwedzkiego architekta i jego nastoletniej kochanki był dość kontrowersyjny. Potem, po upływie kilku dni, wiadomości o wypadku całkiem ucichły. Chodziły plotki, że wpływowe stowarzyszenia rzemieślników z Dżama naciskały na lokalne władze, aby wyciszyły całą sprawę, bo wywierała zły wpływ na sprzedawców i turystów. Wkrótce przestaliśmy cokolwiek słyszeć na ten temat i wydawało się, że ten wypadek stanie się jedną z wielu, aczkolwiek niezwykle tajemniczą, legend Dżama. Mimo to pozostały pytania, które domagały się odpowiedzi. Wokół sprawy powstało tak wiele teorii, jak wiele było w niej zagadkowych aspektów. Dlaczego, na przykład, nikt nie zajął się mercedesem, który odjechał z placu z piskiem opon podczas awantury? Mówiono, że należy do arabskiego szejka. Kim był, skąd pochodził, co się z nim stało? A co z tą tajemniczą grupą ludzi z zasłoniętymi twarzami? Ze wszystkich relacji wynika, że bez wątpienia byli groźni, że zalaływało od nich korupcją i kryminałem. Kim byli, czy zostali przesłuchani przez policję, jak się tłumaczyli? Niektórzy mówili, że słyszeli wzmianki o bardzo ważnych osobistościach zamieszanych w to zdarzenie; inni, że pewne odpowiedzialne, ale bliżej nieokreślone instytucje kwestionują nawet istnienie tej pary. Co mówią papiery w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Biurze Kontroli Paszportowej, Departamencie do Spraw Obcokrajowców, w wojsku?

Wielu artystów twierdziło, że czują ponurą energię emanującą z placu od czasu wydarzeń tamtego wieczoru i niektórzy z tego powodu zdecydowali się opuścić Dżama - wyjechali do Meknes, Fezu albo Tangeru. Niektórzy posunęli się jeszcze dalej i odbyli niebezpieczną podróż przez Cieśninę Gibraltarską do Europy - na przykład trupa akrobatów z doliny Ameln niedaleko Tighmi występuje teraz w cyrku w Madrycie.

Jak się później dowiedziałem od kuzyna, który pracuje na posterunku policji przy Dżama, przez pierwsze trzy tygodnie po zaginięciu pary cudzoziemców mieli pełne ręce roboty. Funkcjonariusze w sposób metodyczny podzielili medynę na kwadratowe sekcje i przeszukali dokładnie każdą z nich. Nie szczędzono starań, nie pominięto żadnego miejsca i wszyscy, tak mieszkańcy Marrakeszu, jak i cudzoziemcy, musieli -zgodnie z nakazem - poddać się przeszukaniu. Policjanci zaglądali do prywatnych domów, sprawdzali urzędy, riady i hotele, burdele i pałace. Wysłano ekipy poszukujących do ąajsarijji, suku, kasby, Mellah i farbiarni. Mówiono mi, że przeszukiwano nawet medresy, hammamy i antyczne podziemne hettaty, które stały nieużywane od wieków. W końcu jednak, mimo największych starań i nakładów ludzkiej pracy i pieniędzy, niczego nie odnaleziono. Wyglądało na to, że cały ten epizod był wytworem zbiorowej wyobraźni.

A potem, pod koniec trzeciego tygodnia poszukiwań, w pogodny i słoneczny poranek, mój brat Mustafa wszedł do komisariatu na Dżama i oddał się w ręce policji.

WIELBICIEL

Oto, jak przebiegały wypadki w komisariacie, gdy minęło pierwsze zaskoczenie. Sierżanci będący tego dnia na służbie rzucili się na mojego brata i zabrali mu wszystkie rzeczy osobiste. Każdy przedmiot został opatrzony nalepką i umieszczony w czarnej plastikowej torbie, którą Mustafa nosił w tym czasie ze sobą. Kiedy dowiedziałem się o aresztowaniu i przybiegłem na posterunek, wręczono mi tę siatkę bez żadnych wyjaśnień. Oszołomiony, wysypałem jej

zawartość na kolana i znalazłem, między innymi, używany przez pisarzy mały kałamarz w kształcie lwa, wyrzeźbiony z miękkiego czerwonego kamienia. Siedziałem, czekając na widzenie z Mustafą, i ściskałem w garści tego małego lwa. Zaschło mi ustach; w głowie miałem pustkę. Obracałem kałamarz w dłoni, rozmyślając nad tym, jak dziwne jest życie, gdy wszystko dobiegnie już końca. Wydaje nam się, że najważniejsze są wspomnienia, kroniki, sytuacje, zeznania, zrozumienie i ostateczne wnioski, a jednak, na samym końcu, wcale nie jesteśmy mądrzejsi.

„O Boże!” - myślałem w cichej wściekłości. „Co to wszystko znaczy? Czy życie jest tylko złudzeniem?”

Spojrzałem na lwa z poczuciem bezradności i poczułem, że łzy napłynęły mi do oczu.

Funkcjonariusz pełniący służbę spoglądał na mnie z ciekawością, ale i ze współczuciem.

- A to co? - zapytał, wskazując na lwa.

- Kałamarz - odparłem.

Bardziej dla zabicia czasu niż z jakiegokolwiek innego powodu postanowiłem opowiedzieć policjantowi o pochodzeniu tego kałamarza.

- Poczekaj chwilę — odparł, zaskakując mnie niespodziewanym uśmiechem. - Pozwól, że najpierw przyniosę ci szklankę miętowej herbaty, abyś zwilżył gardło. Niech nie mówią, że policja jest pozbawiona ogłady i zapomina o tradycyjnej gościnności.

Herbata była za gorąca i - jak na mój gust - przesłodzona, ale podziękowałem mu grzecznie za poczęstunek. Usiadł naprzeciwko mnie, skrzyżował nogi i czekał niecierpliwie. Jako bazarz cieszę się bowiem powszechnym uznaniem, a sam policjant, jak później mi wyznał, był moim wielbicielem.

SAHARA

Kiedy ja i moi bracia byliśmy jeszcze dziećmi, ojciec zabrał nas na naszą pierwszą wyprawę na Saharę. Pojechaliśmy na Hammadat Dara, straszliwie suchą, kamienistą równinę, która biegnie wzdłuż najbardziej na południe

wysuniętego krańca Maroka i stanowi granicę z Algierią. Ojciec miał tam przyjaciela, który też był bazarzem. Mieszkał on w wiosce Mahamid al-Ghizlan niedaleko 'Irk al-Yehudi, Żydowskiej Wydmy, na skraju Ham-madat. Bractwo bazarzy jest nieliczne i mocno zżyte; przyjaciel ojca pożyczył nam nawet swoje wielbłądy, abyśmy mogli dotrzeć do Chigagi, gdzie znajdują się najwyższe i najokazalsze wydmy w całej okolicy.

Nie posiadaliśmy się z radości, że w końcu wyruszamy na spotkanie z pustynią. Słyszałem, że niektórzy porównują emocje towarzyszące jej spotkaniu z tym, co czuje księżę, kiedy dziedziczy królestwo. Jak mawia ojciec, Sahata jest jak złoty wąż, który krąży w naszej krwi.

Nadal pamiętam tę niekończącą się ucztę, którą Tajib, przyjaciel ojca, wydał w wieczór naszego wyjazdu. Na otwartym dziedzińcu domu, pod gwiaździstym niebem, płonęło wielkie ognisko z gałęzi jałowca, które stanowiło doskonałą oprawę, jeśli można tak powiedzieć, dla całej serii dań: pysznych kebabów z jagnięciny i kurczaka, potrawy z kuropatwy, kuskusu z najlżejszej semoliny, pieczonych gołąbków w cieście, koziego seta, daktyli, fig oraz lokalnego przysmaku - dobrze przyrządzonego sorbetu z arbuzów. Ahmed, który ma oko do takich rzeczy, mruknął do nas pod nosem, że Tajibowi nieźle się powodzi jak na bazarza. Niestety, nasz ojciec usłyszał ten komentarz. Pochylił się nad swym średnim synem i powiedział mu, też pod nosem, żeby się zamknął, jeżeli chce skorzystać z przywileju towarzyszenia nam w wyprawie. Ahmed już miał odparować, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, pustynia przyzywała go bowiem jak kusząca wizja nieznanego. Zaspokoiwszy głód, rozłożyliśmy się na przygotowanych uprzednio posłaniach i słuchaliśmy szeptów wiatru wśród liści palm daktylowych. Otuliła nas kasztanowata poświata dopalającego się ogniska i ukołysał kojący nastrój wieczoru. Podróżowaliśmy nocą, aby uniknąć skwaru. Z przodu szedł ojciec i prowadził wielbłądy. Nasz trójka dosiadała ich na zmianę. Po drodze minęliśmy pogrążony w ciemnościach dom sąsiada Tajiba. Cała jego rodzina była w żałobie z powodu świeżo poślubionej żony najmłodszego syna, która uciekła po urodzeniu nieżywego dziecka. Pochodziła z Tafilalt i wychowała się wśród żyznych, zielonych dolin, chodziły więc słuchy, że nie przyzwyczała się do ogromu pustynnej pustki. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale ojciec odparł, że to nie moja sprawa.

Moi bracia zajmowali się w tym czasie innymi, mniej przygnębiającymi sprawami. Obu fascynowały pióropusze kurzu unoszące się spod kopyt wielbłądów przemierzających rozległe piaski. Mustafa porównywał je do białoskrzydłych ciem; Ahmed powiedział, że przypominają mu białe pierze, którym drozdy moszczą gniazda na naszym dziedzińcu. Wtedy Mustafa stwierdził, że są jak piana pozostawiana na plaży przez powracające fale; Ahmed z kolei uznał, że wyglądają bardziej jak para uchodząca z garnka, kiedy matka gotuje ryż. W końcu zaczęli się sprzeczać, czyje analogie są trafniejsze. Mustafa oskarżył brata, że jest beznadziejnie banalny. Nasze języki plątały się między zębami, gdyż wielbłądy potykały się na wertepach, przygotowując nas o całkiem niezłe zawroty głowy. Dotarliśmy do Chigagi w środku nocy i rozbiliśmy namioty w cieniu olbrzymiej góry piaskowej. Konary księżycowego światła oświetlały piach. Świat był biały, ziemia zdawała się jaśniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek widzieliśmy. Wydmy wznosiły się przez nieskończenie falującą przestrzeń, tak gładką i majestatyczną jak lot orła. Powietrze było kryształowo czyste, ale kiedy powiew wiatru mierzwił piach, unoszący się w górę kurz niby dym przesłaniał oblicze nocy. Kiedy rozbiliśmy namioty, ojciec pozwolił mi na krótki spacer. Skręciłem za najbliższą wydmę i zsunąłem się po jej stoku na sam dół, aż do wąskiego, osłoniętego od wiatru zagłębienia u jej podnóża. Mojej drodze towarzyszył szept miniaturowej kaskady piaskowych ziarenek. Powietrze było słodkie i nieruchome. Uklęknałem i przycisnąłem dłonie do ziemi, nad słuchując opuszkami palców głosu pustyni. Był to prastary głos, bardziej stanowczy od głosu gór i mocniejszy od głosu oceanu. To mnie zaskoczyło - nie spodziewałem się takiej siły. Zrozumiałem, że będę musiał zrewidować swoje wyobrażenie o porządku świata natury. Przypomniały mi się słowa ojca, które wypowiedział, zanim wyruszyliśmy na wyprawę: *Dopóki nie ujrzysz Sahary, niczego nie widziałeś*. Spacerowałem wzdłuż podnóża wydmy tak długo, aż ujrzałem jej korzenie wyłaniające się ze skalnego podłoża. Pchany impulsem, położyłem się na brzuchu i dotykałem czule tych korzeni dłońmi. Czułem, że mówią do mnie w języku dziwnie bliskim i jednocześnie tak bezmiernie odległym jak noc na pustyni. Natychmiast zrozumiałem ten język i nabrałem pokory.

Zagubiony w myślach, zacząłem kreślić linie na piasku, prowadząc je śladem falujących dźwięków, których echo odbijało się w mojej głowie. Wiał lekki wiatr i po moich znakach wiły się małe spirale kurzu, przypadkowo unosząc tu i ówdzie ziarenka piasku i przerywając wyłobienia miniaturowymi żlebami i kraterami. Nieświadomy jego znaczenia, przyglądałem się temu zjawisku przez chwilę, jakbym patrzył na twarz przyjaciela. Mierzwiiony wiatrem piach sunął po powierzchni jak sieć przeciągana w wodzie i wkrótce zatarł wszystkie wersy mojej pieśni. Trochę zirytowany, zastanawiałem się, czy powinienem nadal obcować z pustynią, i wtedy ze szczytu wydmy doszło mnie wołanie.

- Ha-sa-nie! - usłyszałem.

To był Mustafa. Jego głos rozbrzmiewał donośnie.

- Zmienił się kierunek wiatru - zawołał. - Ojciec mówi, że musimy wracać! Zanim jego słowa wybrzmiały, Mustafa był już przy moim boku. Położył mi rękę na ramieniu, ledwo dysząc z wysiłku.

„Co za głupota!” - pomyślałem. „Dopiero co tu dotarliśmy. Nic nam nie zagraża. Nie jestem jeszcze gotów do powrotu”.

Mustafa zauważył, że się waham i wskazał na wschód.

- Nadciąga z tamtej strony i zaraz do nas dotrze. Posłuchaj! Przyłożył dłoń do ucha i zamarł w bezruchu.

Znad horyzontu dochodził tak przenikliwy dźwięk, że aż zjeżyły mi się włoski na karku. Całe niebo zamieniło się w groźbę. W powietrzu unosiła się ostra siarczana woń.

- Pustynia się poruszyła — powiedział Mustafa. — Nie ma czasu do stracenia.

- Nie wiem, jak mogłem tak się zagapić - mruknąłem pod nosem, zły nie tylko na samego siebie, ale też dlatego, że mój ośmioletni brat miał czelność mi rozkazywać.

- Weź mnie za rękę.

- Chyba żartujesz - obruszyłem się. — Sam znajdę drogę z powrotem-Odczep się.

Spojrzał na mnie niepewnym wzrokiem.

- Co jest? - zapytałem.

- Dlaczego jesteś odwrócony w tamtą stronę?

- Bo stamtąd przyszedłem!

- Nie, Hasanie. Nasz obóz jest w przeciwnym kierunku.

Zerwał się wiatr i widzieliśmy, jak cwałuje na białych podkowach przez piaski.

- To jak? - naglił Mustafa. - Idziemy?

- Chodźmy - powiedziałem. - W tym kierunku.

- W przeciwnym kierunku — nalegał Mustafa. - Hasanie, jesteś obrócony w złą stronę.

Ruszyłem w stronę, z której przyszedłem, ale gdy tylko zrobiłem kilka kroków, poczułem, że piasek wiruje wokół moich nóg. Zbocze wydmy zaczęło się marszczyć, jakby ożyło.

- Spójrz na horyzont, jak mi nie wierzysz! - krzyknął Mustafa.

Ale horyzont już znikł. To był przerażający widok. Zamiast czystej białej linii na tle nocy widziałem tylko kłęb brązowej mgły.

Uklucia piasku niesionego przez wiatr sprawiły, że oczy zasły mi łzami.

Mustafa podbiegł do mnie. Oczy miał wybałuszone z niepokoju, a może ze strachu.

- Słuchaj, co ci mówię! - krzyknął. - Znam drogę!

- Nie ma już na to czasu! — odkrzyknąłem, łapiąc go kurczowo za rękę. - Musimy wydostać się z tego zagłębienia i schować za ten głąz, tam, trochę nad nami. Widzisz go? Dzieli nas od niego może dziesięć kroków w prawo. Podkasaliśmy dzellaby, i rzuciliśmy się w kierunku głązu. Powierzchnia pustyni zaczęła się łuszczyć jak wężowa skóra. Wzniosła się wielką falą i nadciągała w naszym kierunku. Pierwsze ostre ziarenka piasku uderzyły w nas akurat w chwili, gdy dotarliśmy do głązu. W powietrzu unosiły się chmury kurzu i nie dało się złapać oddechu.

- Chowaj się za gładem! - zawołałem. - Zakryj twarz i trzymaj się ze wszystkich sił!

Nasunęliśmy kaptury. Zerwałem z siebie płaszcz i okręciłem nas nim rak mocno, jak mogłem. Usłyszałem szelest przypominający bicie gradu, a potem burza piaskowa przeleciała przez wydmy z ogłuszającym sykiem i rozszalała się wokół nas. Posuwała się z zadziwiającą szybkością. Zakodowała w powietrzu i na ziemi i atakowała ze wszystkich stron. Uczepiam się brata i trzymałem go mocno w pasie. Wsadziliśmy głowy między

kolana i przywarliśmy do głazu. Piasek przesypywał się przez nasze ubrania i przenikał do każdej szczeliny między naszymi ciałami. Czułem, jak tysiące igiełek zdziera mi skórę z szyi. Oczy zaczęły mnie piec i łzawić. Mustafa dyszał i kaszłał przy moim boku. W uszach huczał nam przeciągły, przytłumiony tyk. Zacząłem się dusić i poczułem, że Mustafa zwisa bezwładnie. Jego ręce zsunęły się z mojego pasa. Już myślałem, że będzie po nas, ale burza nagle ucichła. Piasek przestał nas smagać przez ubranie. Powietrze zrobiło się trochę lżejsze. Rozjaśniło się. Wystawiłem ostrożnie rękę w otaczające nas ciemności i nie poczułem żadnego uderzenia. Przeżyliśmy furię Sahary.

Byliśmy zakopani w piasku po pas. Podniosłem się niepewnie i zdarłem kaptur dzellaby. Moją twarz pokrywała gruba warstwa kurzu. Wypluwałem piasek z ust. Mustafa wymiotował u moich stóp, pochyliłem się więc i podniosłem go z ziemi. Miał skorupę piasku na twarzy; wyglądał, jakby założył białą maskę. Otworzył z wysiłkiem usta i spękane wargi pokryły się krwią. Poklepałem go delikatnie, zbyt wstrząśnięty, żeby coś powiedzieć. - Mamo! - zawołał płaczącym tonem.

Krajobraz wokół nas zmienił się nie do poznania. Wydm nie było już w ich dawnych miejscach, tak jakby burza przeniosła nas gdzie indziej. Rozglądaliśmy się wokół i zdaliśmy sobie sprawę, że żaden z nas nie ma pojęcia, w którą stronę powinniśmy iść, żeby wrócić do naszego obozu. Niebo wciąż przesłaniały tumany kurzu, więc nie mogliśmy szukać ratunku w gwiazdach. Pomyślałem o tych wszystkich nieszczęśnikach, którzy zginęli na Saharze, i zdjął mnie przejmujący strach. Potem pomyślałem o ojcu i Ah-medzie, którzy być może już nie żyli. Upadłem na kolana i wtuliłem głowę w ramiona. Ogarniająca mnie fala rozpaczki mieszała się z niepewnością i przytłaczającym poczuciem bezradności, ale najdotkliwszym uczuciem, zaćmiewającym wszystkie inne, było poczucie winy. Do dziś jestem święcie przekonany, że to ja wywołałem burzę, przekraczając nieświadomie granicę natury, kiedy obcowałem z duchem pustyni. W wersach tej pieśni musiało być znacznie więcej, niż nawet mógłbym się domyślać.

Oczywiście, wtedy zatrzymałem te rozterki tylko dla siebie. Z uwagi na jego młody wiek, nie można się było spodziewać, że Mustafa coś z tego zrozumie.

Jakby odgadując moje myśli, Mustafa przerwał ciszę.

- Hasan...-odezwał się słabym głosem.

- Co?

- Zgubiliśmy się.

Byłem mu wdzięczny za to, że odważył się powiedzieć to głośno.

- Pozwolisz, że pomyślę przez chwilę? - odburknąłem.

Miałem garść migdałów w kieszeni dzellaby i dałem mu na przegryzkę. Zwróciłem też uwagę, że nie słychać już było szumu wiatru.

- Mieliliśmy szczęście, że burza była dość mała - powiedziałem z pewnością siebie, którą maskowałem swoją całkowitą niewiedzę w tym temacie. -Gdyby była większa - ciągnąłem swój wywód — bylibyśmy teraz głęboko zakopani w piachu. Więc bądź wdzięczny, że udało się nam przeżyć i podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie.

- Której?

- Jak to której?

- Której gwiazdzie mam podziękować? - spytał żałośnie. - Kazałeś mi dziękować gwiazdzie, ale nie wiem, która z nich jest moja. Poza tym żadnej nie widzę w tej kurzawie.

Położyłem mu swoją opiekuńczą dłoń na ramieniu.

- Musisz cierpliwie poczekać, aż opadnie kurz - poradziłem. - Tymczasem zaś przestań gadać. Muszę zdecydować, co robić.

Nagle Mustafa zatrząsł się, jakby zrobiło mu się zimno.

- Jak tu cicho... - wyszeptał. — Hasan, boję się.

- Nie ma się czego bać - odparłem. - Chodź, wejdziemy na szczyt tej wydmy. Może i pustynia jest duża, ale wspólnymi siłami znajdziemy jakieś wyjście.

- Dobrze - przytaknął, wyraźnie zadowolony, że może podjąć jakiegokolwiek działanie. - Jestem z tobą. Nie zgubimy się.

Kiedy dotarliśmy na grzbiet wydmy, pełna ciszy noc stała przed nami otworem. Wszędzie unosił się kurz i w powietrzu czuć było gorzki i ostry zapach, jakby przypalonego gipsu. Z oddali dochodziły nas odgłosy wciąż gdzieś szalejącej burzy. Ale u nas było już cicho i spokojnie. Jak to później stwierdził Mustafa, na pustyni nie rozlega się żaden dźwięk, ale cisza ma tam bardzo głębokie brzmienie.

- Nie podoba mi się tutaj i nie chcę tu zostać - powiedział.
- Nie martw się, nie zostaniemy. Ruszamy stąd.
- Hasan, jestem strasznie zmęczony.
- Wiem, ale musimy iść w nocy. Za dnia wykończy nas słońce.
- Nie, jeśli wyruszymy wcześniej, przed wschodem słońca.
- Nie kłóć się ze mną! Wiem, co robię.

Przez chwilę wpatrywałem się w horyzont, po czym podjąłem decyzję, w którą stronę się udać. Powiadomiłem o tym Mustafę i ulżyło mi znacznie, kiedy nie oponował. Szliśmy równym krokiem, dość szybko posuwając się do przodu. Mimo że nie padał deszcz, piasek zbił się w grudki. Zastanawiałem się, czy mogły powstać tylko pod wpływem siły wiatru.

W którymś momencie Mustafa powiedział:

- Nie musisz udawać.
- Czego udawać? - odparłem, nie zwalniając kroku.
- Że wiesz, dokąd idziesz.

Stałem jak wryty i spojrzałem na niego ze złością.

- Naprawdę myślisz, że chciałoby mi się wędrować po nocy tylko dla zabawy? Westchnął głęboko.

- Przemawia przez ciebie duma - odpowiedział. - Bądź rozsądny, Hasanie. Musimy odpocząć. Nie możemy kręcić się w kółko. Powinniśmy poczekać do wschodu słońca. Albo przynajmniej do czasu, gdy opadnie kurz i będzie widać gwiazdy.

Chcąc nie chcąc, musiałem przyznać mu rację. Poczulem jednak wtedy irytację, zażenowanie i... wyraźną ulgę. Mustafa spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Nie przejmuj się - powiedział beztrąsko. - Cały czas wiedziałem, że się pogubiłeś. Jutro się stąd wydostaniemy. Tak jak powiedziałeś, razem coś wymyślimy. Czy teraz możemy się trochę przespać?

Chciałem zapytać, jak w naszej sytuacji może myśleć o spaniu, ale odpuściłem. Zamiast tego rozejrzałem się uważnie dookoła i zasugerowałem, by zatrzymać się po zawiętrznej stronie wydmy, na której byliśmy.

Wykopaliśmy dołek w piasku i ułożyliśmy się na jego dnie. Wokół hulał lodowaty wiatr. Uświadomiłem sobie powagę naszej sytuacji. Prze

trzymaliśmy nawałnicę, ale teraz musieliśmy odeprzeć nowego i równie złośliwego wroga - chłód pustynnej nocy. Zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy jednak szli dalej - przynajmniej byłoby nam ciepło. Gdy tak rozmyślałem nad naszym losem, zacząłem szcząkać zębami.

Spojrzałem w niebo i zobaczyłem, że się przejaśniało. Mogłem już wyróżnić pierwsze gwiazdozbiory tuż nad nami. Wreszcie mieliśmy potrzebną mapę! Odwróciłem się do Mustafy, żeby mu to powiedzieć, ale on nawet się nie poruszył. Spał głębokim snem. Postanowiłem go nie budzić i owinałem nas moim płaszczem. Natychmiast poczułem, jak ciepło jego ciała otula mnie niczym miękkim kocem. „Cóż za wyjątkowe powitanie z pustynią” - zdążyłem pomyśleć, zanim wygrało ze mną zmęczenie i zmorzył mnie sen.

Tej nocy śniło mi się, że jestem owinięty w długie białe prześcieradła. Wizja ta wydawała się równie egzotyczna, co znajoma, i później często zastanawiałem się nad jej znaczeniem. Czy białe prześcieradła symbolizowały pustynny chłód? Czy może pogrzebowy całun, jak później zasugerował ojciec, znak, że byłem bliski śmierci? Ale we śnie nie czułem strachu ani zagrożenia. Raczej leniwe uczucie największego luksusu i rozkoszy, jakich nigdy więcej miałem nie zaznać. Jakbym nagle był bohaterem *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Cokolwiek jest prawdą — jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak prawda w snach - do dziś nie czuję się bardziej oświecony i nie wiem nic więcej niż wtedy.

Zbudził nas śpiew jakiegoś pustynnego ptaka. Nie widzieliśmy go, ale jego nawoływanie było natarczywe i pełne życia. Mustafa, który kocha ptaki, powiedział, że to stepówka. Ćwierknął do niej i ku mojemu zaskoczeniu i radości ptaszek mu odpowiedział. Przetarliśmy oczy ze snu i powitaliśmy różowy świt. Noc dobiegała kresu. Brzask poranka odsuwał jej czarne zasłony. Błady księżyc ześlizgnął się z nieba i znikła ostatnia gwiazda. W szarym świetle dnia lepiej było widać szkody, jakie wyrządziła nam burza. Obaj byliśmy posiniaczeni i poobijani. Mustafa powiedział, że mam dużą ranę na prawym policzku. Przypomniałem mu wtedy, że przeżyliśmy, i tylko to się liczy.

- Tak, oczywiście - powiedział ze śmiechem. - Będzie o czym opowiadać!

- No, sam widzisz - odpowiedziałem łagodnie - jak ważne jest pozytywne podejście. Z odpowiednim nastawieniem podbijemy cały świat.

Czułem, jak rośnie mi gula w gardle, gdy myślałem nad tym, co przyniesie dzień. Starłem się oszacować nasze szanse przeżycia. Najbardziej bałem się, że znajdziemy się w pełnym żarze słońca bez ochrony, ale te obawy zatrzymałem dla siebie. Skinąłem tylko na mojego brata i ruszyliśmy w kierunku czerwonej poświaty na horyzoncie. Karmelowe wydmy dziwnie przypominały fale oceanu.

- Wiesz, że ojciec mojego przyjaciela Salaha zgubił się na pustyni? -zapytał Mustafa po paru krokach.

- Nie - odpowiedziałem krótko. - Nie miałem o tym pojęcia.

- To nie było tutaj, tylko bardziej na wschód, niedaleko Marzuki. To było podczas wyścigu Paryż-Dakar. Ojciec Salaha był mechanikiem samochodowym i pojechał tam pomagać jednej z drużyn. Nie znam szczegółów, ale pisali o tym w gazetach. Szukali go dniem i nocą, ale w końcu dali za wygraną. No, ale i tak matka Salaha dostała dyplom od organizatorów wyścigu w dowód uczestnictwa.

Rzuciłem mu miazdzące spojrzenie.

- Masz jeszcze jakieś inne historyjki o ludziach zagubionych na pustyni? Czekałem na odpowiedź, ale Mustafa wyraźnie nie pojął mojej ironii. Pomyślał przez chwilę i przyznał, że zna tylko tę jedną.

- Całe szczęście - odparłem.

- A tamta ci się nie podobała? — spytał szczerze zdziwiony.

- Być może spodobałaby mi się bardziej, gdyby go odnaleźli. Zrobił głupią minę.

- No tak - przyznał - rzeczywiście, to dość ważny szczegół. Chyba wiem, o co ci chodzi.

Już otworzył usta, żeby dodać coś jeszcze, ale zamiast tego zatrzymał się w pół kroku.

- Popatrz - powiedział miękko. - Ktoś tam przed nami jest. - Gdzie?

- Tam, nie widzisz? Przy tym ogromnym kamieniu w kształcie strzałki. „Pustynia go omamiła”, pomyślałem, wbijając wzrok we wskazanym kierunku. Zobaczyłem kamień, ale nie widziałem tam nic więcej.

Za to Mustafa ruszył już biegiem w tamtym kierunku, wzbijając piętami wirujące chmury pyłu. Poszedłem za nim.

- Halo! Możesz nam pomóc? Zgubiliśmy się - zawołał.

Zwolnił dopiero w pobliżu kamienia. Wtedy udało mi się go dogonić. Odwrócił się do mnie. Miał pobladłą twarz i oczy zwężone w szparki ze strachu. Nagle, bez słowa, przesunął się w bok. Z wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że coś było nie w porządku.

- Hasan - wyszeptał cicho - chodź tu prędko.

- Dobrze - powiedziałem i niechętnie się zbliżyłem.

Poczułem zapach zgnilizny i zauważyłem kłębiące się roje much. Nawet powietrze było jakby cięższe w cieniu rzucanym przez wielki kamień. Mustafa wyczuł mój niepokój.

- Co to jest? - wyszeptałem, a on wyciągniętą ręką wskazał, gdzie mam zwrócić oczy. Ktoś siedział bardzo spokojnie po drugiej stronie głazu. Była to smukła młoda kobieta, ubrana w szkarłatną, haftowaną złotem suknię. Nieruchoma i wyzuta z życia, opierała swoje kruche ciało o gład. Twarz miała zasuszoną i szerniałą, wybielałe oczy patrzyły prosto w słońce. W tym pierwotnie czystym spojrzeniu malowało się głębokie i ostateczne pogodzenie z losem.

- Mustafa — szepnąłem — chyba znaleźliśmy tę zbiegłą żonę. Ku mojemu przerażeniu Mustafa podszedł i dotknął jej twarzy.

- Odejdź stamtąd! - powiedziałem wzburzony.

- Jak myślisz, długo już nie żyje?

- Nie wiem. Odejdź stamtąd.

- Poczekaj!

Delikatnie pociągnął za srebrne ozdoby w jej włosach.

- Pewnie długo się namyślała, które założyć - westchnął i byłem zdumiony czułością w jego głosie.

Przypatrywał się badawczo jej twarzy.

- Jakie to smutne - powiedział przyciszonym głosem. - Jak myślisz, co jej się przydarzyło? - Nie mam pojęcia.

- Może umarła, bo ktoś jej złamał serce?

- Może.

- Nie chciałbym, aby nam przytrafiło się coś podobnego.

Pochylił się, aby dotknąć jej ręki. Z początku myślałem, że chciał złapać białego motyla, który uleciał, w chwili gdy musnął jej palce. Ale on go zignorował i w zamian wydobył coś, co trzymała w kurczowo zaciśniętej dłoni. Wyglądało to na zaokrąglony czerwony kamień, ale okazało się kałamarzem w kształcie lwa. Wpatrując się niego, mój brat powiedział dziwnie poważnym głosem:

- Kocham cię, Hasanie. Jak będziesz kiedyś w tarapatach, oddam swoje życie, żeby uratować twoje.

- Nawzajem będziemy sobie ratować życie - poprawiłem go.

- Tak, ale to ja najpierw uratuję twoje.

- Dziękuję - powiedziałem, wzruszony jego naleganiem. - Będę o tym pamiętał.

Ku mojemu zaskoczeniu Mustafa ucałował lwa i wsadził go sobie do kieszeni. Uznałem jego gest za niedopuszczalny.

- Co ty wyrabiasz?! - zawołałem oburzony. — To jej własność!

- Ona nie żyje.

- Odłóż to na miejsce i nie sprzeczasz się. Nie jesteśmy złodziejami.

- Teraz jest mój - powiedział.

Zaciśnięte szczęki przybrały znajomy twarde zarys.

- Kto znajduje, ten zatrzymuje. Tak już jest na tym świecie.

Nie miałem zamiaru wdawać się z nim w dyskusję o zasadach, jakimi rządzi się świat. Skoro tak bardzo pragnął tego kałamarza, mógł go sobie zatrzymać. Ja chciałem tylko znaleźć ojca i Ahmeda, zanim słońce stanie w zenicie.

- W porządku - powiedziałem krótko. - Jeżeli ten kałamarz aż tyle dla ciebie znaczy, to proszę bardzo, okradaj trupy! Dobrze, że nie jesteś przesądny.

- Ten kałamarz do mnie przemawia. Przyniesie mi szczęście.

- Jej na wiele się nie przydał - prychnąłem szyderczo. - Chodź już, idziemy.

Nie czułem się zbyt pewnie na nogach, kiedy znów wyruszyliśmy w drogę. - Stopy zapadały nam się w piach z każdym krokiem, ale maszerowaliśmy

wytrwale w kierunku, który wskazywało nam słońce. Choć nie świeciło jeszcze z całą mocą, to już teraz bezlitośnie prażyło. Nasze cienie zaczęły topnieć. Nawet zwały chmur na horyzoncie były zbyt białe. Z czasem zaskorupiały nam oczy i zaschło w gardle. Piach palił nas w stopy. Do najbliższego zacienionego miejsca mieliśmy całe kilometry drogi. Kiedy Mustafa poskarżył się, że zaczyna mu się mienić w oczach od słońca, obawiałem się najgorszego. Pochyliłem się nad nim, złapałem go za rękę i pociągnąłem za sobą. Kiedy już nie mogłem wytrzymać upału, usłyszałem, że ktoś woła nas po imieniu.

- Hasan! Mustafa!

Unieśliśmy twarze i nadstawiliśmy uszu. Szeroko otwierając oczy, zlokalizowaliśmy źródło nawoływań. Na szczycie dość odległej wydmy stał ojciec z Ahmedem i każdy z nich powiewał jaskrawoczerwonym kocem. Pomimo wszystkich przeciwności losu udało nam się ich odnaleźć. Mustafa ruszył w ich stronę w podskokach, piszcząc z radości. Jeśli chodzi o mnie, po prostu zamknąłem oczy i padłem z ulgą na kolana.

KAMIENNY LEW

Funkcjonariusz policji, moja jednoosobowa publiczność, poruszył się, gdy skończyłem mówić.

- Doprawdy, z Saharą nie ma żartów — stwierdził poważnie. - Nie jestem Berberem, ale domyślam się, że pustynia ma wielki wpływ na wasze życie.

Przerwał i przyglądał się przez chwilę musze, która przysiadła na suficie.

- Ten sen, który miałeś, był naprawdę dziwny - orzekł cokolwiek niespodzianie. - Często miewasz sny?

- Czasami.

- A ja nie. Gdybym śnił, zostałbym bajaranem, tak jak ty. A tak tkwię w tym pudle z różnymi przestępcami - powiedział rozżalony. - Robię to tylko dla pieniędzy. Mam liczną rodzinę na utrzymaniu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ciężko jest utrzymać sześcioro dzieci.

Mucha na suficie zdawała się przykuwać całą jego uwagę.

- To była naprawdę ciekawa opowieść - powiedział po chwili i podkreślił, że z gałązki orzecha włoskiego, którą miał w zębach, gdy mnie słuchał, zostały tylko drobne drzazgi.

- To mi się jeszcze nigdy nie przytrafiło — wyznał, odchrząkując i wypluwając resztki do metalowego wiadra. - Czy zgłosiliście odnalezienie zaginionej panny młodej? - zapytał.

- Tak, ale nie znaleźli jej.

- Następne zaginięcie w niewyjaśnionych okolicznościach?

- Tak przypuszczam.

- Jakiś dziki zwierz musiał ją porwać - zasugerował.

- Możliwe.

- Co za straszna śmierć. W dodatku w tak młodym wieku. Nagle przerwał i rozejrzał się wokół z niedowierzaniem.

- A skąd wziął się tutaj ten piasek? Przysięgłbym, że woźny zamiatał dwie godziny temu. Dziwne.

Zaszurał o podłogę czubkiem buta i zapytał nieśmiało, czy mógłby zobaczyć kałamarz.

- Więc to on? — Przyglądał mu się podejrzliwie. — Zdaje się, że twojemu bratu też nie przyniósł szczęścia. Powinieneś być nalegać, żeby go zostawił. Na twoim miejscu pozbyłbym się go, i to szybko.

- A co z moim bratem? - zapytałem.

Spojrzał na zegarek i aż podskoczył. Potem przeprosił mnie i wyszedł, by się dowiedzieć, co zatrzymało Mustafę.

- Osobiście go do ciebie przyprowadzę. To nie potrwa długo. Dotrzymał słowa - po pat u minutach wrócił z Mustafą. Spojrzałem na brata z przerażeniem. Aż mnie ścisnęło w gardle, kiedy

zobaczyłem go w więziennych łańcach i łańcuchach. Miał pomarszczoną i zmęczoną twarz; na jego czole widniał duży fioletowy siniak. Wyglądał, jakby przez jedną noc postarzał się o co najmniej dwadzieścia lat. Mimo wszystko jednak bił od niego niezwykły spokój. Usiadł na stołku i patrzył na mnie cierpliwie przez żelazne kraty. Popatrzyłem na niego z wyrzutem i troską, nie mogąc się pogodzić z tak drastyczną zmianą, jaka nastąpiła w jego życiu.

- Oj, Mustafa, Mustafa! - wybuchłem, zrozpaczony. - Coś ty zrobił?

- Cześć, Hasanie - przywitał się. - *Sabah al-heir*. Dzień dobry. Mówił cichym głosem i nie okazywał żadnych emocji. Wydał mi się bardzo powściągliwy, ale złożyłem to na karb sytuacji, w jakiej się znalazł.

- Bili cię? - zapytałem, wskazując siniaka na jego czole.

- Taki mają zwyczaj - wzruszył ramionami.

Rzuciłem stróżowi porządku publicznego wściekle spojrzenie i wskazałem palcem twarz mego brata. Zaczerwienił się i od tej pory unikał mojego wzroku. Mustafa nawet nie drgnął. Dopiero po chwili zauważył, że trzymam w ręku jego plastikową torbę.

- Widzę, że oddali ci moje rzeczy. To dobrze.

- Skąd go masz? - zapytałem, pokazując mu kamiennego lwa.

- Powiem ci za chwilę. - Spojrzał znacząco w kierunku funkcjonariusza.

- Nigdy wcześniej ci tego nie mówiłem, ale muszę przyznać, że ta kradzież bardzo ciążyła mi wtedy na sumieniu. A teraz nie mogę przestać myśleć, że przyniosła nam pecha. Potrząsnął głową.

- Mój nieuleczalnie przesądny bracie, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz? - zapytał i lekkim ruchem przesunął ręką po włosach. — To nie jest bardzo ważne, ale skoro już poruszyliśmy temat rzeczy, to proszę cię, daj moją kolekcję kaset, szczególnie te z Khaledem, Chebem Mamim i DJ Da Coolem, mojemu przyjacielowi Omarowi z As-Sawiry. Wiesz, gdzie go znaleźć. Parę lat temu byliśmy razem w jego sklepie z bębniami.

- Tak, oczywiście - odparłem, zastanawiając się, dlaczego rozmawiamy o jakichś starych kasetach akurat teraz.

Musiał intuicyjnie przejrzeć moje myśli, bo uśmiechnął się blado, jakby chciał powiedzieć: „Wybacz, wiem, że dla ciebie nic nie znaczą, ale w moim świecie mają wielką wartość”.

- Co zamierzasz teraz robić? — zapytałem, czując się głupio już podczas zadawania pytania. Ale jego odpowiedź sprawiła, że zaniemówiłem. - Zamierzam spędzić resztę życia w samotności i spokoju - odparł opanowanym głosem. - Po tylu latach łajdaczenia się mam nadzieję odnaleźć ukojenie w więzieniu. Zgodnie z założeniami naszej wiaty, według której przestrzeń meczetu jest przedsionkiem nieba, mam zamiar przeistoczyć

moją celę w modlitewne sanktuarium. Nie będzie to trudne. W końcu nie ma religii tak eleganckiej w swojej prostocie jak islam. Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że stałeś się religijny? - wykrztusiłem zbity z tropu. Własny głos musiał mnie zdradzić, ponieważ Mustafa się uśmiechnął. - Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

- Sam nie wiem. To wszystko stało się tak nagle.

- Pogodzisz się z tym, Hasanie, tak jak i ja się pogodziłem. Daj sobie trochę czasu.

- Myślałem, że przez całe życie chciałeś zostać eleganckim kosmopolitą.

- To się zmieniło w chwili, gdy ją ujrzałem.

Wbiłem w niego wzrok, zastanawiając się, co mu odpowiedzieć. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Dałem więc za wygraną i powiedziałem mu tylko, że nie rozumiem motywów, jakie nim kierowały.

- Dlaczego jest to dla ciebie niezrozumiałe?

- Co cię doprowadziło w to miejsce? Zawód miłosny?

- Raczej bym tego tak nie nazwał. Czuję się spełniony i pogodzony z sobą samym. Tylko prawdziwa miłość usprawiedliwia ofiarę, a ja poświęciłem się dla największej miłości ze wszystkich: takiej, która na pewno nie zostanie odwzajemniona. Widzisz, pokochałem ją z całego serca, a jak się kogoś tak bardzo kocha, jest się gotowym do wyrzeczeń.

- Ale ona nigdy nie należała do ciebie! - zaprotestowałem.

- To nieistotne - odpowiedział tak beznamietnym głosem, że zacząłem żywić pewne obawy co do jego zdrowia psychicznego. Uśmiechnął się przelotnie i kontynuował swe wywody: - Każdy z nas podróżuje samotnie do miłości, wiary i śmierci, ale czasem zdarza się nam piękna chwila, która jest przedsiódką nieba. Ujrzałem wieczność w czasie, który z nią spędziłem. Czy można coś porównać do tych chwil czystego czucia? Chcę je zatrzymać. To wszystko, czego pragnę.

- Więc zamierzasz odwrócić się od świata? - zapytałem, usiłując zachować spokój.

- Zamierzam żyć z dnia na dzień. Nie będę się zastanawiał nad przyszłością. Nie będę się zastanawiał nad przeszłością. Liczy się tylko obecna

chwila i będę ją przeżywał w królestwie ducha, gdzie nie ma nic oprócz spokoju i ciszy.

Nie mogłem opanować zniecierpliwienia.

- Dobrze, cieszę się, że znalazłeś spokój. Ale czy pomyślałeś o nas? Co mam, na przykład, powiedzieć rodzicom? Albo Ahmedowi i jego żonie? Czy mam im powiedzieć, że przez jedną noc zmieniłeś się z sybaryty w mistyka? I że stało się to, kiedy siedziałeś w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełniłeś? Czy to ma jakiś sens? Proszę, oświeć mnie, bo ja się gubię.

- Nie wiem, Hasanie, co ci powiedzieć. Nie znam odpowiedzi na te pytania. To są twoje pytania, nie moje. Wiem tylko, że moje życie się zmieniło, że znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Może trudno to ogarnąć z perspektywy świata, w którym żyjesz, ale proszę, postaraj się zrozumieć, że ja zostawiłem ten świat za sobą.

Poczułem przyływ rozpacz, stojąc twarzą w twarz z tym nieodgadnionym dla mnie nieznanym - moim własnym białym. Próbowałem mu o tym powiedzieć, ale nie znalazłem właściwych słów. Czy ludzie, w których żyłach płynie ta sama krew, mogą stać się sobie tak bardzo obcy?

- Mustafa - zacząłem - mój świat się rozpada.

Coś w moim głosie musiało go poruszyć, bo przysunął się do prętów i przycisnął do nich twarz. Jego oczy wydały mi się jeszcze bardziej tajemnicze, pełne współczucia i zamyślenia.

- Powiedz mi, jak ci pomóc - powiedział — a postaram się to zrobić.

- Słuchaj, ani na chwilę nie uwierzę, że miałeś coś wspólnego z wydarzeniami na placu. Powiedz mi chociaż to, co zeznałeś policji. Co to za historia? Coś ty im naopowiadał, że wsadzili cię za kraty?

- Hasanie, nie martw się — powiedział z uśmiechem. — Potrafię tak samo dobrze opowiadać jak wszyscy w naszej rodzinie.

- Ale dlaczego to zrobiłeś? Przecież jesteś niewinny!

- Pamiętasz, co powiedziałem ci na pustyni, jak minęła burza piaskowa? Ze oddam życie, aby ratować twoje?

- Tak, tak, oczywiście, że pamiętam. Ale co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- A pamiętasz, jak mi zawsze powtarzałeś: *Wszystkie wielkie akty twórcze są gestami sprzeciwu!* No, to masz. Uczyniłem ten gest za ciebie. Posłuchaj mojego opowiadania i powiedz mi, co o nim myślisz.

PIASEK

- Poczekaj moment - powiedziałem.

Następnie zwróciłem się do mojego jeszcze przed chwilą przyjaciela, funkcjonariusza policji, który siedział w kącie i bacznie się nam przyglądał. Zapytałem, ile mam czasu na spotkanie z bratem.

- Około pół godziny - odpowiedział.

- A czy możesz nas zostawić samych? Obrzucił mnie tępym spojrzeniem.

- Nie wolno mi tego robić.

Podszedłem do niego i wręczyłem mu spory banknot, który przyniosłem specjalnie w tym celu. Żaden z nas się nie odezwał, kiedy policjant włożył pieniądze do kieszeni. Ku mojemu zaskoczeniu jednak funkcjonariusz ani nie ruszył się z miejsca. Uświadomiłem sobie, że będę potrzebował innych, silniejszych argumentów. Zastanawiałem się przez chwilę, podczas gdy on nie spuszczał mnie z oka. Potem zrobiłem krok do tyłu i zwróciłem mu uwagę na piasek rozsypany na podłodze.

- Ten piasek, który zauważyłeś wcześniej — powiedziałem cicho - pochodzi z Sahary.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

- Głupie żarty!

Pochyliłem się nad nim i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Mówię całkiem poważnie. Przeniknął do pokoju, kiedy opowiadałem ci tę historię. Jak inaczej by się tutaj pojawił?

Już chciał zaprzeczyć, ale powstrzymałem go, unosząc rękę.

- A tak na marginesie - powiedziałem zdawkowo - może sprawdzisz, co masz w kieszeniach?

Spojrzał na mnie niepewnie, ale wsadził dłonie do kieszeni spodni. Grzebał w nich jak opętany, by po chwili wyciągnąć pełne garście piasku.

- Jak to możliwe? - wyszeptał, patrząc na mnie podszyty strachem.

- Mam taką moc - powiedziałem. - A teraz proszę, zostaw nas samych. Odniosłem wrażenie, że policjant z zadowoleniem opuścił pokój. Kiedy odwróciłem się do mojego brata, zobaczyłem, że ten przygląda mi się rozbawiony

- Dobra robota - powiedział i uśmiechnął się. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od mojego przyjaciela Akrama, który jest magikiem. To naprawdę nic trudnego.

Mustafa spojrzał na mnie uważnie.

- Żałuję, że cię w to wplątałem. Wiem, że cię to nie bawi. Ale jestem wdzięczny, że tu jesteś.

- Ile ja się muszę przy tobie natrudzić... - powiedziałem oschle. -Do rzeczy jednak, co chciałeś mi powiedzieć?

Odchylił głowę i przymknął oczy.

A potem zdradził mi coś, co wprowadziło mnie w osłupienie.

- Co chciałem ci powiedzieć? Tylko to, że spotkałem ją tamtej nocy raz jeszcze, już po koncercie.

Przerwał, aby się upewnić, że jego słowa odniosły efekt, jakiego się spodziewał. Wiedziałem, że nie spuszcza ze mnie oczu.

- Naprawdę? Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- A dlaczego nie?

OPOWIEŚĆ MUSTAFY

Ponieważ nie odpowiedziałem mu na pytanie, Mustafa pochylił się i zaczął mówić bardzo cicho, prawie szeptem, jakby się obawiał, że choć policjant wyszedł z pokoju, to wciąż nadstawia uszu. Z oddali dochodziły odgłosy ruchu ulicznego i głośne rozmowy przechodniów. Niekiedy musiałem się nawet nachylić, żeby go lepiej słyszeć. Przyszło mi do głowy, że musimy

wyglądać dość osobliwie — dwóch mężczyzn z twarzami przyciśniętymi do prętów celi.

Najpierw musisz zrozumieć, że zanim doszło do tragicznych wydarzeń tamtego wieczoru, był to najlepszy dzień w moim życiu. Będę żył tymi wspomnieniami po moje ostatnie dni. Mówię to zupełnie poważnie. Oczywiście, na początku wcale się na to nie zapowiadało. Najpierw miało miejsce to niefortunne spotkanie w łodziach, po którym szukałem jej po całym placu. Później moją uwagę zwróciła rozróżba przy *rwai*, i wtedy znów się na nich natknąłem. Ty też tam byłeś, więc znasz szczegóły. Powiem ci tylko, że cała ta bijatyka dość mocno mnie przeraziła. Odkąd zauważyłem tę cudzoziemkę, oczywiście szalałem z radości. Kiedy jednak zrozumiałem grozę sytuacji, wkroczyłem do akcji. Uznałem, że to doskonała okazja: mogłem się wykazać, ratując ją z rąk tych opryszków. Jestem pewien, że mieli oni złe zamiary. Jeden z nich, wyjątkowo obrzydliwy typ, ogolony do łysa, zarzucał jej już na głowę parciany worek, ale wtedy walnąłem go w szczękę. Od razu padł na ziemię, wydając z siebie przeraźliwy gwizd. Próbowałem uwolnić ją z worka i wtedy chyba mnie rozpoznała.

- Mój mąż! - wykrztusiła. — Ratuj go, proszę!

Cóż mam ci powiedzieć, Hasanie? Nie ma słów, którymi można by opisać, co wtedy czułem. Robiło mi się na przemian zimno i gorąco. Jej słowa zaboląły mnie bardziej, niż gdyby uderzyła mnie w twarz. To ten brodaty młody człowiek jest jej mężem? Dumnie odrzuciłem głowę w tył, ale tak naprawdę byłem załamany. Chciałem ją mieć tylko dla siebie, chciałem go zostawić bez pomocy. W końcu jednak pobiegłem z nią tam, gdzie jej mąż walczył z napastnikami.

- Chodź ze mną! — krzyknąłem po angielsku, ciągnąc go za rękę.
-Pomogę ci!

Nawet na mnie nie spojrział.

- Ratuj moją żonę! — zawołał. — Mogę zatrzymać ich jeszcze przez chwilę, tylko ją stąd zabierz!

- Jest bezpieczna - zawołałem.

Wyciągałem go z tłumu, trzymając ją za rękę. Poganiałem ich, by biegli do przodu, i wtedy ona spojrziała na mnie z wdzięcznością.

- Na suk! - zawołałem zdyszczanym głosem. - Szybko!

Spojrzeni po sobie, jakby nie byli pewni, czy mogą mi ufać. Pokazałem im wtedy kilku ciemnych typów, którzy biegli w naszym kierunku.

- Uciekacie ze mną albo nie, decydujcie się. Byle szybko, na miłość boską! Ci faceci nie żartują!

- Strasznie się boję - wyszeptała.

Czułem, że jest przerażona, i znów zawładnęła mną miłość. Usiłując zachować pozory spokoju, zwróciłem się do jej męża.

- Więc jak? - zapytałem.

Spojrzał na mnie przez ramię, zaciskając usta.

- Chodźmy! — zawołał.

Biegliśmy jak szaleni. Za nami rozlegały się odgłosy pogoni.

Pędziliśmy szybko jak wiatr. Ktoś za nami nawoływał, ale my nie zwalnialiśmy. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie biegłem. Minęliśmy zamknięte stragany z sokami i jedzeniem, Cafe de France, meczet Al-Qasba, aż w końcu wpadliśmy w labirynt alejek rozchodzących się po suku.

Mustafa przerwał na chwilę i zapytał, czy pamiętam zabawę, którą wymyślił nasz ojciec, by zająć nas, gdy towarzyszyliśmy mu na Dżama.

- Pamiętasz? Kazał nam udawać, że jesteśmy niewidzialnym okiem, które wędruje po placu. Powiem ci, że tej nocy byłem mu za to bardzo wdzięczny. Poznaliśmy wtedy topografię Dżama i okolic. Wiedziałem dokładnie, dokąd iść i jak znaleźć drogę w ciemności.

Weszliśmy do warsztatu mojego przyjaciela Karima, który jest szewcem. Wiedziałem, że na tyłach sklepu jest mały pokój, gdzie przechowuje podróbki butów z najnowszych kolekcji z Mediolanu i Paryża. Znalazłem klucze - Karim chował je pod obluzowaną cegłą - i parę minut później byliśmy już w środku. Zamknąłem drzwi. Staliśmy w ciemnym pokoju, starając się złapać oddech, i nasłuchiwalismy odgłosów pogoni, które niosły się echem po galerijkach, raz bliskie, raz dalekie.

- Czego oni od nas chcą? - wyszeptała przerażona.

- Chcą ciebie — odparłem krótko.

Wyczułem, że *mężczyzna* obejmuje ją opiekuńczym gestem.

— On ma rację. To całkiem oczywiste — powiedział. Ujął jej twarz w swoje ręce i słyszałem, jak się całują.

— Co teraz? — zwrócił się do mnie. - Myślisz, że powinniśmy tu przeczekać? Kiedy będzie na tyle bezpiecznie, żebyśmy mogli wrócić do naszego hotelu? A może powinienem zapytać, czy w ogóle będziemy bezpieczni w hotelu?

— Szczerze mówiąc, nie wiem - odparłem. - Interesują się wami bardzo niebezpieczni ludzie. Z pewnością są zdeterminowani i mają kupę szmalu. Wynajęcie zbirów, którzy odważą się dokonać porwania w miejscu publicznym, sporo kosztuje. Taka akcja wymaga dobrego planu, a wydawało się, że oni go mają. Myślę więc, że najlepiej byłoby odczekać tutaj dobrą chwilę. Jeśli chodzi o hotel, radziłbym tam nie wracać przed świtem. Miejmy nadzieję, że do rana przestaną was szukać. W międzyczasie odpocznijcie trochę, a ja przyniosę parę dzellab, żebyście mogli się przebrać.

Nawet w ciemności wyczułem, że oboje patrzą na mnie ze zdziwieniem.

— Po co mielibyśmy się przebierać? - zapytał mężczyzna.

— Bo nie chcesz stracić żony. Wiadomości błyskawicznie roznoszą się po medynie, a faceci, którzy chcieli ją porwać, nie pogodzą się łatwo z przegraną. Poczuję, że chwyta go za rękę. Mimochodem musnęła palcami mój rękaw. Jej bliskość sprawiała, że serce biło mi jak szalone. Oparłem czoło o drzwi, starając się ukryć swoje uczucia. Całym sercem pragnąłem, aby jej gibkie ciało zwróciło się bezwiednie w moją stronę. Musiała wyczuć rozgrywającą się we mnie walkę, bo schowała się w najciemniejszym kącie pokoju. Słyszałem, jak wzdycha i osuwa się na podłogę. Oczywiście, jej mąż zaraz był przy niej i znowu głośno się pocałowali, jak to mają w zwyczaju ludzie z Zachodu. W pokoju było zimno. Czułem, jak chłód przenika moje serce. Odwróciłem się i siłą woli powstrzymałem od podglądania. Nie czułem bólu, jedynie namiastkę tego, co i tak było dla mnie niedostępne. „Mój Boże - myślałem - jakże tajemnicze jest życie, jak kompletnie niezrozumiałe”. Była moją nieśmiertelną oblubienicą i powinna należeć do mnie, ale to niemożliwe. Mógłbym być taki jak jej mąż albo - jeszcze lepiej - mógłbym być jej mę-

zem, jednak los chciał inaczej. Jesteśmy razem w jednym pokoju, a ona na moich oczach całuje się z kimś innym. Jakież to absurdalne i beznadziejne!

Co gorsza, po całej tej gonitwie zaczęło mi dokuczać kolano — to samo, które ucierpiało, kiedy rzuciłem się w przepaść. Opierając się o drzwi, rozprostowałem nogę i pogodziłem się z nieuniknionym: musiałem porzucić nadzieję, że kiedykolwiek ją zdobędę. To była ponura myśl. Zerknąłem na nich i znów poczułem się bardzo samotny. Zdawali się mnie nie dostrzegać. Chciałem stamtąd odejść i zostawić ich na pastwę losu. Czułem się jednak za nich odpowiedzialny, a jestem człowiekiem honoru.

Nawet zatopiony w myślach, słyszałem, jak szepcze mu do ucha czułe słówka. Wyczułem, że potrzebują teraz czasu dla siebie, opuściłem więc moje miejsce przy drzwiach i postanowiłem wyjść.

- Idę po dzellaby - powiedziałem. - To nie potrwa długo. Jak wrócę, zdecydujecie, co robić dalej. Mąż podszedł do mnie i mocno uścisnął mi dłoń. - Nawet nie zdążyliśmy ci podziękować.

- Jeszcze za wcześnie na podziękowania. Nadal jesteście w niebezpieczeństwie. *In sza' Allah*, noc się wkrótce skończy i będziecie mogli stąd wyjść, przez nikogo nie niepokojeni. Tymczasem trzeba być dobrej myśli.

- *In sza' Allah* - odpowiedział.

Usłyszałem, że i ona powtarza słowa podziękowania w głębi pokoju. Podniosłem uspokajająco dłoń, uchyliłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz, aby się upewnić, że okolica jest spokojna. Potem wyslizgnąłem się z pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Biegłem wzdłuż ciemnej alejki, nie wiedząc, że wtedy widziałem ich po raz ostatni.

GRAWERUNEK

Mustafa przerwał, a ja wstrzymałem oddech; w oczach mojego brata zdawał się tlić ciemny płomień. Skrzywił się z bólu i wyprostował. Otarł ręką czoło, uniósł się gwałtownie i chodził nerwowo od krzesła do ściany i z powrotem. Jego oczy błędziły po pokoju z niskim sufitem, nie zatrzymując się

na niczym. Po paru minutach stanął, odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie przenikliwie. W jego oczach płonęły iskry. Myślałem, że wróci na swoje miejsce, ale on tylko wymamrotał:

- Hasanie, cóż mogę ci powiedzieć o tym, co stało się później? Niewiele tego, naprawdę. Kiedy wróciłem po chwili z džellabami, tak jak obiecałem, zobaczyłem, że drzwi są uchylone. Od razu wiedziałem, że coś się stało. Wpadłem do pokoju gotowy do walki, ale pokój był pusty. Moje oczy napotkały tylko majaczące cienie. Zapaliłem światło, żeby się upewnić, że to nie gra wyobraźni. Nie było ich tam jednak, a ja nie miałem pojęcia, co ich spotkało. Znalazłem za to jedną rzecz.

Podszedł do swojego stołka, nie spuszczając mnie z oczu.

- Co to było? - zapytałem, zbity z tropu.

Zauważyłem, że zarówno w wyrazie twarzy mojego brata, jak i w całym jego stosunku do mnie nastąpiła subtelna zmiana.

Mustafa przechylił głowę i patrząc bardziej na pręty pomiędzy nami niż na mnie, odpowiedział tonem, który wydawał się całkiem nie na miejscu.

- To był mały kałamarz w kształcie lwa, wyrzeźbiony w miękkim kamieniu i pomalowany na czerwono. Ktoś upuścił go przypadkiem w alejce przed warsztatem Karima, a ja natychmiast go rozpoznałem. Rozpoznałbym go nawet z zamkniętymi oczyma. Widzisz, dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, znalazłem ten kałamarz na Saharze. Zabrałem go zmarłej kobiecie. Należał do mnie przez wiele lat, aż w końcu podarowałem go mojemu ukochanemu starszemu bratu z okazji jego trzydziestych urodzin. Mój brat jest bajarzem, który lubi pisać wiecznym piórem w dzienniku oprawionym w owczą skórę. Pomyślałem więc, że jemu bardziej się przyda.

W miarę jak wybrzmiewały słowa Mustafy, zmieniał się nastrój w pokoju. Teraz mój brat patrzył na mnie niepewnie, nawet nieśmiało, z bólem w oczach i smętną miną.

- Na pewno pamiętasz, na spodzie wygrawerowane jest twoje imię. Nie ma mowy o pomyłce, Hasanie. To ten sam kałamarz, który dostałeś ode mnie.

Przerwał i prawie przepaszająco spojrzał na przedmiot, który trzymałem w dłoni.

MASZRABIJA

Drodzy przyjaciele, wybuchłbym szyderczym śmiechem, gdyby oskarżył mnie ktokolwiek inny. Ale to był mój własny brat! Byłem przede wszystkim zdumiony. Byliśmy zrodzeni z tej samej krwi, potrafiłem patrzeć na świat jego oczyma. Tym razem jednak nie wiedziałem, co dzieje się w jego sercu ani co myśli.

Nie zrozumiał, dlaczego milczałem, i próbował odświeżyć moją pamięć.

- Chyba sobie przypominasz, kiedy ci go dałem? To było wieczorem, w domu, w ogrodzie. Wszyscy staliśmy naokoło. Ahmed właśnie skończył grać na flecie. Ojciec wyrecytował wiersz.

Nie byłem pewien, czy nie zawiedzie mnie głos, musiałem mu jednak odpowiedzieć.

- Mustafu, to było ledwie dwa lata temu. Jeszcze tego nie zapomniałem.

- Co masz więc do powiedzenia?

Zaskoczony takim obrotem spraw i niedorzecznością oskarżeń, musiałem się uśmiechnąć.

- Czyś ty oszalał? - zapytałem.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Mustafa, czerwieniąc się jak burak. - To może jesteś w delirium?

- Nie.

- Więc jak mogło ci nawet przyjść do głowy, że miałem cokolwiek wspólnego z ich zniknięciem?

Próbowałem się bronić, ale mu przerwałem.

- Poszukujemy prawdy w tym, co namacalne, broniąc się przed wielką niewiadomą, jaką jest życie — zauważyłem.

Wydawał się urażony.

- Nie wierzysz mi? Myślisz, że to wszystko zmyśliłem? - zapytał.

- Ależ skąd, wierzę ci. Nie zapominaj, że jestem bajarzem. Dla mnie wszystko, co powstaje w wyobraźni, z założenia dąży do odwzorowywania świata rzeczywistego. Mimo to... - przerwałem, aby starannie dobrać słowa. - Powiem tak: jak mawia ojciec, trzeba czegoś więcej niż tylko bogatej wyobraźni, żeby zostać dobrym bajarzem.

— Ja sobie tego nie wymyśliłem. To jest prawda.

— To nie jest prawda. I to nie może być prawda. Brakuje kluczowego elementu.

Zapadła cisza.

Wydawało się, że Mustafa stracił rezon. Po chwili oblizał wargi.

— Nie wiem, do czego zmierzasz. Co, twoim zdaniem, uczyniłoby moje opowiadanie bardziej wiarygodnym? Czego mu brak?

— Dowodu.

— Czego?

— Dowodu, choćby tylko jednego. Tej nocy poszedłem cię tam szukać. Byłem we wszystkich miejscach w medynie, gdzie zwykle przesiadujesz. Chciałem ci uświadomić, że podążasz w złym kierunku.

— Poszedłeś do warsztatu Karima?

— Tak. I do Dunii i jej córek, i do meczetu Al-Qasba, bo widziały, jak tam wchodzisz, i do wielu innych miejsc. Widocznie kałamarz musiał mi wypaść z kieszeni, kiedy stałem przed zamkniętym warsztatem Karima. Miałem nadzieję, że Karim będzie jeszcze pracował, że ty tam będziesz i że razem przemówimy ci do rozsądku.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Skróciłeś sesję opowiadania na Dżama?

— I poprosiłem słuchaczy, żeby się rozeszli. Po raz pierwszy w życiu.

— Hasanie, nie miałem o tym pojęcia!

— Cóż, byłeś zbyt pochłonięty własnym szaleństwem. Mustafo, łączy nas serce tej samej matki. Jeżeli masz wątpliwości co do tego, czy byłem zamieszany w tę aferę, to osobiście zgłoszę twoje podejrzenia na policji.

Mój brat wpatrywał się to w kałamarz, to we mnie, kompletnie skołowany. Na jego twarzy malowały się wszelkie możliwe emocje. Po chwili usiadł z powrotem na stołku, całkiem ogłupiały.

— Jak widzisz — ciągnąłem — wyszło z tego całkiem niezłe opowiadanie, ale zbyt ubogie, jak na mój gust. Mógłbyś do niego dodać więcej powagi, a także spotęgować napięcie. Na przykład ta bijatyka na Dżama; z tego, co pamiętam, była ostra, ale ty wcale jej tak nie opisałeś. Poza tym opowiedziałeś pospiesznie najlepsze partie, popełniając błąd w utrzymaniu stosownego tempa, co przytrafia się większości amatorów. Mniej zadyszany

głos sprawiłby, że opowiadanie wydawałoby się bardziej dojrzałe, mniej powierzchowne i na pewno nie tak bardzo podobne do drugorzędного filmu. Ale i tak wyszło niezłe jak na pierwszy raz. A może wcale nie był pierwszy?

Uświadomiwszy sobie nagle, że nie wiem, co Mustafa powiedział policji, aż poskoczyłem do przodu i przeszyłem go wzrokiem.

- Mustafo — zapytałem - zdradziłeś swoje podejrzenia policji?

- Oczywiście, że nie - zarumienił się.

Cień ironii, tak przelotny, że tylko moje oczy mogły go zauważyć, błąkał się w kąciakach jego ust. W odpowiedzi na moje wyczekujące spojrzenie powiedział:

- Czasem należy coś trzymać w tajemnicy, a czasem coś ujawnić. Powiedziałem ci, żebyś się nie martwił.

- Tak - stwierdziłem ironicznie. - Mówiłeś mi dużo rzeczy. Znów się zarumienił i wpatrywał we mnie ze skruchą.

- Hasanie, jesteś mi bardzo bliski. Ogromnie bliski. Zawsze byłeś. Nigdy o tym nie zapomnij.

- Dziękuję. Ale nie zmienia to faktu, że jesteś idiotą i szaleńcem. W dodatku nieodpowiedzialnym, a to już niebezpieczne.

Zmarszczył czoło, ale nie odezwał się ani słowem. Na jego twarzy wciąż można było dostrzec pozostałości zdumienia, jakie go ogarnęło, gdy obaliłem jego teorię o kałamarnicy. Teraz wyraźnie wolał dyskrecję od bohaterstwa.

Ćwicząc umiejętność samokontroli, złożyłem dłonie i przypatrywałem mu się z wyrozumiałością.

- Widzisz już teraz, że zadziałałeś pochopnie i zupełnie niesłusznie? Postąpiłeś jak istny dureń.

Zwiesił głowę bez słowa.

- I co ty na to? - ponagliłem.

Rozluźnił się i zamknął oczy. Na jego przystojnej, zmęczonej i posiniaczonej twarzy pojawił się wyraz bezradności. Z zaskoczeniem zauważyłem, że jest bliski łez.

Od razu pojąłem, że byłem dla niego zbyt surowy, próbowałem więc Przyjąć pojednawczy ton głosu.

- Mustafa, przepraszam za te wyzwiska i za to, że tak surowo oceniłem twoje opowiadanie. Niemniej przynajmniej w tym drugim wypadku mam wysokie wymagania.

- Dobrze o tym wiem - odpowiedział.

Otworzył oczy i zbliżył swoją twarz do mojej. Chyba ogarnął go wstyd i z trudem tamował napływające łzy. Długo mi się przyglądał, a potem się odwrócił i przebiegł spojrzeniem po pokoju z dziwnie niejednoznacznym wyrazem twarzy.

- Czy mogę spróbować jeszcze raz? Dasz mi jeszcze jedną szansę? - spytał chrapliwym głosem.

Popatrzyłem na mojego brata z ciężkim sercem. Powietrze w pokoju było zatechłe i gęste.

- Tylko jeżeli powiesz mi, co naprawdę stało się tamtego wieczoru. Zasługuję na to jako twój brat - odpowiedziałem.

Na piętrze ponad nami załaskotał upuszczony na podłogę cynowy kubek. Ani ja, ani Mustafa nie zwróciliśmy na to uwagi. Mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, nie odrywając od siebie oczu nawet na chwilę. W końcu Mustafa się poruszył. Jego zmęczona twarz wydawała się teraz jeszcze bardziej zmizerniała.

- Dobrze. Opowiem ci, co się stało.

- Dziękuję. Zgodzisz się chyba, że tak będzie najlepiej. Obserwowałem, jak przygotowuje się do opowiadania. Jego twarz lekko się zaczerwieniła, zakasłał dwa razy, nabrał oddechu, a potem ochryplym, zdartym głosem opowiedział mi historię o miłości — o tym, jak się zakochał w zupełnie obcej kobiecie, i o tym, jak się dla niej poświęcił.

PERFUMY

Zacznę od chwili, gdy wróciłem do warsztatu Karima z dzellabami. Zdziwiłem się, kiedy wszedłem do pokoju - dziewczyna była sama. Ucieszyłem się, widząc, że nadal tam jest, i spytałem, co się stało z jej mężem. Zamiast odpowiedzieć, zapytała:

- Och, czemu tak szybko wróciłeś?

Spojrzałem na nią zaskoczony, usiłując zrozumieć, o co jej chodzi. Może bała się zostać w ciemnym pokoju z nieznajomym? Pocieszałem się, że przynajmniej nie gniewa się na mnie za to, że wróciłem, starałem się więc rozproszyć jej obawy.

- Wszystko dobrze - powiedziałem łagodnie - nic się nie martw. Ze mną jesteś bezpieczna. Gdzie jest twój mąż?

- Poszedł sobie — odpowiedziała po dłuższej chwili.

- Poszedł sobie? Ale jak się stąd wydostał? Myślałem, że zamknąłem drzwi.

- Znalazł sposób - powiedziała.

W jej głosie dało się wyczuć napięcie; ona sama też zdawała się być w rozsypce.

Spojrzałem na nią zdziwiony, ale się nie odezwałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć; to wszystko nie miało sensu. Gdzie on mógł pójść o tej porze? I dlaczego zostawił ją samą? Im dłużej o tym myślałem, tym mniej rozumiałem, aż w końcu przyszła mi do głowy zupełnie inna możliwość. Zacząłem się zastanawiać, czy jej mąż ją porzucił. Choć trudno mi było w to uwierzyć, to poinformowała mnie o jego odejściu w sposób, który nie wskazywał na jedynie chwilową nieobecność. Może się pokłócili i ją zostawił? Różne rzeczy się zdarzają. A jeśli tak było, to teraz mógłbym ją mieć dla siebie! Skoro on odszedł, to ona może pójść ze mną! Może być moja! Nigdy już nie musielibyśmy się rozstawać.

Podczas gdy takie myśli kotłowały się w mojej głowie, ona stała w mrocznym kącie pokoju jak skamieniała. W końcu jednak się poruszyła i niskim, nerwowym tonem zapytała:

- Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Na to pytanie nie potrafiłem znaleźć właściwej odpowiedzi. Nie dosłyszałem jej słów, a poza tym i tak chyba straciłem głos. Pragnąłem zobaczyć jej twarz, ale tak naprawdę nie było to konieczne - doskonale ją zapamiętałem. Wiedziałem dokładnie, gdzie na twarzy ma pieprzyk, bliznę i dołeczek. Czułem, jak obrysowuję jej ramiona, kształtuję łokcie, otaczam nadgarstki. Patrząc na jej postać, czułem straszliwe pragnienie, które tylko ona mogła zaspokoić.

Zaczęło mi walić serce, ciało przeszył dreszcz, ja...

- Posłuchaj - wyrwała mnie z zamyślenia - dziwnie się czuję, kiedy tak stoisz i wpatrujesz się we mnie.

Otrząsnąłem się z marzeń. Uświadomiłem sobie, że jej mąż może wkrótce wrócić i muszę jak najlepiej wykorzystać darowany nam czas. Takie okazje nie zdarzają się dwa razy i nigdy bym sobie nie darował, gdybym nie wyznał jej swoich uczuć. Postanowiłem ujawnić prawdę; ukrywanie jej nie miało żadnego sensu.

- Zakochałem się w tobie — wyznałem odważnie.

Czułem, że patrzy na mnie z wahaniem. Zrobiła krok w tył i podziękowała mi, ale bez przekonania.

- To miło z twojej strony - powiedziała - ale zapominasz, że jestem mężatką i bardzo kocham mojego męża, który za chwilę wróci.

- To nie ma znaczenia - powiedziałem pewny siebie. - Moja miłość odmieni twoje uczucia. Miłość rodzi miłość, tęsknota tęsknotę i to samo można powiedzieć o pożądaniu. Nauczysz się mnie kochać.

- Ale ja kocham kogoś innego! Mój mąż jest całym moim światem. Jest dla mnie wszystkim.

Musiałem ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć o nim czegoś niemiłego. - Może i tak, ale w całym wszechświecie nie ma niczego, co znaczyłoby tyle, ile ty znaczysz dla mnie. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. We wszystkim, co robisz, i we wszystkim, co mówisz, jesteś moją wymarzoną kobietą. Patrząc na ciebie, wiem, że jesteś tam, gdzie ja chcę być. Chcę pisać pieśni na cześć twoich oczu. Chcę pływać w twoim sercu; jesteś moim oceanem i moją modlitwą. Posłuchaj! - dodałem zadyszany, nie dopuszczając jej do głosu. — Czy pływałaś kiedyś z delfinami?

Zapadła cisza — wyraźnie udało mi się ją zaskoczyć.

- Z delfinami? Nie, nigdy — odparła po chwili niepewnie.

- A z rybą piłą? - drążyłem.

- Nie - powiedziała i czułem, że się zastanawia, czy całkiem oszalałem. - Więc zabiorę cię w takie miejsce koło wyspy Mogador, gdzie gdy płyniesz, wyskakują z wody tuż obok.

- Ooo? Ale dlaczego to robią?

- Żeby ci zrobić przyjemność. Jako hołd dla twojej urody.

Wyczułem, choć było ciemno, że na jej ustach błąka się uśmiech.

- Kłamczuch.

- Nie kłamię o takich rzeczach. Mieszkam w nadmorskiej As-Sawirze. Oddaję cześć morskim bogom. Ocean jest moim ogrodem.

- Czy nie wydaje ci się, że mieszasz to, co święte, z rzeczami zupełnie przyziemnymi?

Teraz nie wydawała się już wystraszona, ale rozbawiona. Po raz kolejny ogarnęło mnie dziwnie uczucie błogości i bezgranicznego zaufania. Przepęłniała mnie niezachwiana pewnością własnych odczuć.

- Kocham cię. Nigdy wcześniej nie powiedziałem tego żadnej kobiecie.

- Jesteś bardzo bezpośredni - odparła trochę zagniewana. Wiedziałem jednak, że sprawiłem jej tym wyznaniem przyjemność.

Słuchała mnie, to oczywiste, i ośmielił mnie jej spokój.

- Tak, jestem bezpośredni - przyznałem. — Dlatego że jestem młody, tak jak ty. Działamy szybko, jak ogień.

- Ogień pali. Kiedyś byłem w płonącym pokoju. Przerażające przeżycie.

- Ale mnie się chyba nie boisz? ;,

- Nie.

- To dobrze, bo mówię prosto z serca. Nie odpowiedziała.

- Jesteś moją modlitwą! - dodałem żarliwie. — Gdybyś tylko mogła spojrzeć na siebie moimi oczyma! Twoje setce jest dla mnie wszechświatem, twoja dusza zaspokaja moje potrzeby.

- Przecież nic o mnie nie wiesz - zaprotestowała.

- Wprost przeciwnie. Nie tylko doskonale cię znam, ale czekałem na ciebie przez całe życie.

- Jesteś bardzo wygadany.

- Jestem szczery.

- W takim razie sam się oszukujesz.

- Serce mówi mi coś innego. Jesteś moim zbawieniem, ocaleniem i obietnicą.

- Mówisz o zbawieniu - posmutniała - ale mogę ci powiedzieć z własnego doświadczenia, że każde zbawienie jest czymś okupione.

- Zapłacę każdą cenę.

- Czy ty rozumiesz, o co się dopraszasz?
- Proszę o twoje serce w zamian za moje. Będziemy mieszkać nad brzegiem oceanu. Będę piaskiem, który cię otoczy, ziarenkiem i plażą. Będziesz powietrzem, którym oddycham.
- Nie mów tak do mnie! Za dużo sobie pozwalasz.
- Nie pytam o zgodę — powiedziałem wesoło — bo z miłości do ciebie kręci mi się w głowie i odrzucam wszystkie zwykłe formy grzeczności, które i tak są moim zdaniem przeżytkiem.
- Jesteś jak łakomy dzieciuch, który nie potrafi nad sobą panować.
- Jestem jak ocean ozłocony twoim zachodem słońca.
- Jesteś niepoprawny.
- To prawda. Ale przyznam się do tego, jeśli zechcesz być moim światłem w ciemności, moją złotą nicią, kompasem mego świata.
- Jesteś poetą? - zapytała i wyczułem, że znów się uśmiecha.
- Nie, ale ty mnie inspirujesz.
- Powinieneś pisać wiersze.
- To domena mego ojca i brata. Ja jestem tylko skromnym rzemieślnikiem. Wyrabiam latarenki z wielbłądziej i owczej skóry. Czasem trochę maluję. Ale to cała moja artystyczna działalność.
- Malujesz obrazy słowami.
- Jesteś zbyt szczodra, ale przyjmę twój komplement. Chcę także, żebyś wiedziała, że jestem gotów poprzeć moje słowa czynami.
- O tak, co do tego nie mam wątpliwości - powiedziała pospiesznie.
- Więc pobłogosław moje uczucia, odwzajemniając je.
- Dobrze wiesz, że nie mogę.
- Czemu nie, na miłość boską?
- Z powodów, o których już ci mówiłam - tłumaczyła cierpliwie.
- Jesteś okrutna, nie masz serca. Nigdy jeszcze nie czułem się tak bezradny! Czy nie czujesz mojej rozpacz?
- Przykro mi, ale nie jestem odpowiedzialna za twoje złudzenia.
- Złudzenia? Te, jak je nazywasz, złudzenia stały się całą treścią mojego życia.
- Nic na to nie poradzę.
- Pocałuj mnie, proszę. Tylko jeden raz, z litości.

- Nie, nie mogę. Nie chcę cię ranić, ale zrozum, że nie sprzeniewierzę się przysiędze małżeńskiej.

Zwiesiłem głowę.

- To chociaż pooddychaj ze mną przez chwilę. Pomieszczenie wypełniła cisza.

- Oddychać z tobą? Co masz na myśli? - spytała po chwili stłumionym głosem.

- Chcę poczuć, jak strumień twojego oddechu rozbrzmiewa w mojej duszy - powiedziałem namiętnie. - Chcę zatrzymać to uczucie do końca życia.

Podeszła lekko i szybko i pocałowała mnie w policzek. Widziałem, jak jej oczy lśnią w ciemności. Własne uczucia wprawiły mnie w osłupienie i minęła długa chwila, zanim do mnie dotarło, co mówi.

- Zawsze będę z tobą. Ale teraz musisz już iść. Zaskoczyła mnie stanowczość w jej głosie.

- Nawet nie wiem, jak masz na imię.

- Imiona nie są ważne. A teraz już odejdz, proszę. Patrzyłem na nią i czułem, jak opuszcza mnie pewność siebie.

- Czy możemy o tym porozmawiać? - spytałem, nagle całkiem osowiały. Odwróciła się ode mnie szybkim, płynnym ruchem.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz - powiedziała niskim głosem - zrobisz to, o co proszę. Nie mogę cię do tego zmusić, ale liczę na to, że uczynisz to ze względu na swoje uczucie. Nie żądaj wyjaśnień, proszę.

- Nie martw się - mruknąłem. - Odejdę.

- Dziękuję.

Przeszedłem bezradnie przez pokój. Kiedy już zbliżałem się do drzwi, wezbrały we mnie bezsilność, czysta rozpacz, a potem bunt. Zatrzymałem się w pół kroku i odwróciłem.

Starając się zapanować nad rozdrażnieniem, powiedziałem:

- Dlaczego tak usilnie chcesz się mnie pozbyć? Kocham cię, a miłość to odpowiedzialność. Akceptuję to, że masz męża. Pogodzę się z tym, że kochasz innego. Nie będę z tym walczył, daję słowo. Dlaczego więc zmuszasz mnie, abym odszedł już teraz? Każda spędzona z tobą chwila będzie mi dawać siłę do końca moich dni. Pozwól mi przynajmniej poczekać, aż wróci twój mąż. Potem odejdę.

- Nie - powiedziała z dziwnym uporem. - Nie możesz tu zostać. Proszę, nie kłóć się ze mną.

Mówiła tak pospiesznie, że nie miałem wątpliwości, czego chciała. Sprawy nie szły jednak po mojej myśli i wciąż się wahałem. Jej niezgoda, nawet zniecierpliwienie, zamiast mnie powstrzymywać, wręcz mnie prowokowały.

- Niebezpiecznie zostawić cię samą.

- Musisz się kłócić? To naprawdę przykre. Zaufałam twojej dobrej woli, a ty teraz się wycofujesz.

Miałem nadzieję, że nie wyczuje bólu w moim głosie.

- Ty mówisz o dobrej woli? Czy dobra wola nie powinna być obopólna? Ratuję cię z placu. Przyprawiam w bezpieczne miejsce. Idę po ubrania dla was. Ale po powrocie widzę, że twój mąż znikł w niewyjaśniony sposób, a ty nie możesz się doczekać, kiedy odejdę. Powiedz mi, czy tak wygląda dobra wola? Może mam ci jeszcze przypomnieć, że jesteśmy w warsztacie mojego przyjaciela? Nazywa się Karim. Jesteś tu dzięki mnie.

Staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. Wiedziałem, że przestała się już uśmiechać. Usta wciąż miała jednak lekko rozchylone. Czułem zapach jej perfum i musiałem użyć całej siły woli, żeby nad sobą zapanować.

Patrzyłem na jej twarz i wyczerpany tyradą, milczałem.

Ona nadal stała sztywna, wyprostowana, ale pochyliła głowę. Zaczęła mówić, z przerwami, ale wyraźnie, cichym i miękkim tonem głosu:

- Oboje jesteśmy ci bardzo wdzięczni za to, co dla nas zrobiłeś. Żaden przyjaciel nie zrobiłby więcej. Zachowałeś się wspaniale i jestem wzruszona twoją troską o moje bezpieczeństwo. Bardzo wiele to dla mnie znaczy. Wiem, że trudno ci zaakceptować moje naleganie, żebyś odszedł. Ale musisz zrozumieć, że jestem do tego zmuszona. Wiem, że to niczego nie wyjaśnia, ale nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Proszę więc, żebyś to zaakceptował i mi wybaczył. Chciałem jej odpłacić pięknym za nadobne, ale się powstrzymałem. - To prawda - odpowiedziałem chłodno - nic z tego nie rozumiem. Jeżeli nie wiesz, jak się stąd wydostać, mogę ci pomóc. Znam suk jak własną kieszeń.

- Już nam ktoś pomaga.

- Ooo? A kto to taki?

- Pewien człowiek.

- Człowiek? Niewiele mi to mówi. To wasz przyjaciel? Mieszka tutaj?

Pochodzi stąd?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

Wyprostowałem się. Targały mną sprzeczne uczucia. Mówiliśmy szeptem, nachylając się do siebie, i mogłem się dokładnie przyjrzeć jej pięknej, bladej twarzy, poszarzałej ze zmęczenia. Sam też byłem zmieszany i wyczerpany.

- Im więcej mówisz, tym mniej rozumiem — powiedziałem z wahaniem.

- Dlatego nie ma sensu, żebym zdradziła ci więcej.

Po czym zamilkła, a ja już nie naciskałem. Zbierałem się do wyjścia, kiedy nagle poprosiła:

- Opowiedz mi jeszcze raz o delfinach.

- Ach - powiedziałem, zatrzymując się w pół kroku - już nie będą podskakiwać. - Dlaczego?

- Bo dowiedzą się o moim smutku.

- Pytałeś, jak mam na imię. Lucia.

- Mustafa.

Wyciągnęła do mnie dłoń, którą od razu ująłem.

- To wzruszające, że jesteś tak blisko morskich bogów, Mustafo. Ostatni raz obdarzyły mnie błogosławieństwem w Meksyku, w Kalifornii Dolnej. To bardzo daleko stąd. Przeżyłam tam wiele radości i doznałam ogromnego spokoju. Tam też spotkałam mojego ukochanego. Pewnej nocy spaliśmy na plaży, pod rozgwieżdżonym niebem. Na pewno wiesz, o czym mówię. Powietrze było wilgotne i słone, fale wydawały się w mroku białoczarne. Pomyślałam, że to najpiękniejsza noc w moim życiu. Zasnęłam, ukołysana szumem fal, ale w środku nocy zbudził mnie niespodziewany dźwięk. Zaciekawiona, usiadłam i ze zdumieniem dostrzegłam stado delfinów płynących wzdłuż plaży, niebezpiecznie blisko lądu. Przyglądałam im się przez cały czas, a kiedy jeden za drugim powróciły w głębiny, pomachałam im na pożegnanie.

- Zerowały. Otaczają ryby i łapią je tam, gdzie jest płytko. Miałaś szczęście, że je widziałaś.

- Tak, to było piękne. Wiedziałam, że to zrozumiesz.

- Tak. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Przyłożyłam rękę do serca, mimo że ona raczej nie mogła dostrzec tego gestu w ciemności. Milczała przez chwilę.

- Są rzeczy, które możesz zrozumieć, i takie, których nigdy nie zrozumiesz. Jeżeli nie powiedziałam ci całej prawdy o mojej sytuacji, to dlatego, że uznałbyś ją za niewiarygodną.

- Chyba nie cenisz mnie zbyt wysoko, skoro tak mówisz.

- A jak ci powiem, to nie pomyślisz sobie o mnie źle?

- Nie.

- Nie jestem przekonana.

- Spróbuj - zachęciłam ją, wstrzymując oddech.

Nie odpowiedziała od razu, ale czułam, że zbiera się na odwagę. Zrobiła parę kroków, a ja stałam nieruchomo, śledząc każdy jej gest, skupiając na niej całą swoją uwagę. Oddychałam pełną piersią, choć szybciej niż zwykle.

Odwróciła się i stanęła tuż przede mną. Jej ruchy były precyzyjne i zdecydowane, jakby zaakceptowała wszystkie konsekwencje swojej decyzji. Z opanowaniem, które wzbudziło mój podziw, powiedziała:

- Ten mężczyzna, z którym tu przyjechałam, nie jest moim mężem. Mój prawdziwy mąż, którego niefortunnie zdarzyło mi się poślubić, gdy byłam na to o wiele za młoda, jest bardzo wpływowym człowiekiem i posiada wielki majątek. Nasze małżeństwo skończyło się w noc poślubną. Nic więcej ci nie powiem, to dla mnie zbyt trudne i zbyt przygnębiające. Jedyna korzyść, jaką z tego wyniosłam, to świadomość, że nie ma nic cenniejszego nad życie i że jest ono bardzo krótkie.

Przerwała, a jej ramiona zeszywniały, zdradzając napięcie całego ciała. Moja postawa ujawniała tylko najszczerze uczucie, uwagę i opiekuńczość. Patrzyła w ciemny kąt w milczeniu nabrzmiałym powściągliwością, nawet zawstydzieniem. Potem przeszedł ją dreszcz. Opuściła ramiona i brzemień trudności, które musiała znieść, spowodowało, że moje serce wypełniło się współczuciem. Zniżając głos do ledwie słyszalnego szeptu, podjęła swoją opowieść:

- Tak, życie jest cenne i dziwne. Po latach, kiedy spotkałam mojego ukochanego i odzyskałam wiarę w świat, chciałam zostawić męża, ale on nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że skompromitowałoby go to w towarzystwie, i naciskał, żebym robiła to, co mi każe. Otoczył mnie kręgiem dozorców, prawników i opiekunów; nie słuchał moich próśb i nie pozwolił mi odejść. Każdy dzień przynosił nowe poniżenie. W końcu, gdy zawiodły wszystkie próby porozumienia, zrozumieliśmy z moim ukochanym, że jedyny sposób to ucieczka. Nie była to łatwa decyzja, ale alternatywą byłaby powolna agonía. Niestety, mój mąż jest upartym, pełnym gniewu człowiekiem i ściga nas, gdziekolwiek się pojawimy.

- Więc ci faceci na placu?...

- To mogli być jego ludzie, choć nie wiem tego na pewno. Powiedział jasno, że nic go nie powstrzyma i będzie o mnie walczył. Boję się o mojego ukochanego. Parę razy ledwie uszliśmy z życiem. Choć dotychczas za każdym razem udawało nam się zbiec, to zawsze zdołał nas ponownie wyśledzić.

- To dlatego udawałaś, że twój towarzysz jest twoim mężem? Żeby zmylić pogoń?

- W pewnym stopniu, tak. Ale on jest moim mężem w sensie duchowym.

- Ale nie faktycznym — powiedziałem, czując potrzebę podkreślenia różnicy. - Nie - przyznała. - Ale tyle już razem przeżyliśmy, że trudno mi myśleć o nim inaczej. Jesteśmy partnerami na całe życie.

Przerwała na chwilę i cofnęła się o krok. Uświadomiwszy sobie, że mogłem ją niechcący zdenerwować, powiedziałem, że rozumiem jej sytuację i sam nie jestem zwolennikiem tradycji. To ją chyba uspokoiło i podniosło na duchu. Głosem pełnym nowej wiary w siebie powiedziała:

- W zeszłym roku, po tym jak mój ukochany przeżył jeszcze jeden z tajemniczych wypadków, zwierzyliśmy się przyjacielowi z naszych kłopotów. Jest pisarzem, bardzo inteligentnym, pomysłowym człowiekiem o gołęmbim sercu. Wymyślił on, jak rozwiązać nasz problem. W grę wchodziła podróż do Maroka, gdzie żadne z nas nigdy przedtem nie było. Trzeba było także komuś zaufać - jego przyjacielowi - i wtajemniczyć go w nasz plan. Na początku to wszystko wydawało się niewiarygodne, ale nie mieliśmy nic do

stracenia i podjęliśmy ryzyko. I prawie nam się udało... - dodała pełnym przekonania głosem.

Być może powinno mnie to wzruszyć, ale czułem się tylko zagubiony.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem - powiedziałem, starając się utrzymać równy ton głosu i nie zdradzić, jak bardzo byłem zakłopotany — Wybacz, jeśli uznasz moje pytanie za obraźliwe, ale czy wy pozorujecie zaginięcie? Czy ten atak na placu był wyreżyserowany?

Wydawała się naprawdę zaniepokojona.

- Proszę, nie pytaj o nic więcej! . Jej reakcja była wystarczającą odpowiedzią.

- A co będzie, jak przejrzą wasz plan? - zapytałem.

- Jesteśmy przygotowani na ryzyko.

- Co zrobicie? Dokąd pójdziecie?

- Mam nadzieję, że tam, gdzie nikt nas nie znajdzie.

Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy. Starłem się uśmiechnąć pocieszająco, ale moje usta pozostały zaciśnięte. Z każdą minutą wydawała mi się coraz bardziej obca. Nagle poczułem się urażony, choć nie zrobiła nic złego. I choć wiedziałem, co odpowie, zanim jeszcze zadałem pytanie, ponownie zaoferowałem jej swoją pomoc.

- Nie, nie! Proszę, posłuchaj mnie i spróbuj zrozumieć. Wszystko jest już umówione — zawołała panicznie.

- No dobrze - odparłem, godząc się z tym, że znalazłem się na marginesie.

- Co o tym wszystkim myślisz? — spytała.

Z przyjaznej nuty w jej głosie wyczytałem, że po tym wyznaniu spadł jej ciężar z serca.

- Lepiej mnie teraz znasz?

- Tak - skłamałem. - A co ze mną?

- Ciebie w ogóle nie znam, i tak powinno zostać.

Byłem tak zafrapowany jej historią, że już o nic więcej nie pytałem. Popatrzyła na mnie płomiennym wzrokiem.

- Cieszę się, że rozumiesz. I mam nadzieję, że rozumiesz też, że jeżeli cię o nic nie prosiłam, to dlatego, że niczego nie potrzebuję.

- To też rozumiem, ale tylko częściowo.

Jej następny gest mnie zaskoczył. Zdjęła chustę, którą nosiła, i podarowała mi ją na pamiątkę. Materiał był ogrzany ciepłem jej ciała.

- Znajdź sobie kobietę. Będzie przy tobie szczęśliwa.

- Już ją znalazłem - odparłem smutno.

- Wolałabym, żeby uczucie, jakim mnie obdarzyłeś, przypominało raczej braterską czułość.

- To nie to samo - odparłem - i dobrze o tym wiesz. Cofnęła dłoń z mojego ramienia.

- Idź w pokoju. I pamiętaj mnie, tak jak pamiętasz ocean.

- Myśl o mnie ciepło - powiedziałem na pożegnanie. - Będę tam, gdzie chcesz, żebyśmy byli.....

MARZENIA I ZŁUDZENIA

Mustafa przerwał i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym rozpacz.

- Cóż więcej mogę ci powiedzieć, Hasanie? Ostatni raz widziałem ją, jak stała pośrodku ciemnego pokoju w białej muślinowej sukience, która przyklejała się do każdej wypukłości jej ciała, i z odsłoniętą głową, gdyż podarowała mi chustę.

Nie wiedziałem, co zrobić. Opowiadając tę historię, zupełnie niespodziewanie odkrył przede mną swoją szlachetną stronę, o której istnieniu dotąd nie miałem pojęcia. Co więcej, będąc pod wrażeniem jego bólu, byłem gotów uwierzyć w to, co powiedział. Wymruczałem jakąś zdawkową uwagę, która wcale nie oddawała tego, że nigdy wcześniej nie współczułem mu tak bardzo.

Nieświadomy moich myśli, kontynuował zrezygnowanym tonem:

Możesz sobie wyobrazić, co stało się później. Jakkolwiek było to trudne, wyszedłem z pokoju, obiecując sobie, że uszanuję jej wolę i nie wrócę, bez względu na wszystko. Nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzam - pamiętałem jedynie przytłumione światło księżycy sączące się przez ażurowe prześwity na dachach — błąkałem się jak ogłupiały po suku, starając się wytrwać

w postanowieniu. Niepokoiłem się o jej bezpieczeństwo. Zacząłem się coraz bardziej martwić; nachodziły mnie różne obawy i nie dawały mi spokoju. Czy jej ukochany będzie w stanie znaleźć drogę powrotną w labiryncie przejść? To trudne zadanie nawet za dnia, a co dopiero w środku nocy. I czy uda im się stamtąd wydostać, nie gubiąc się i nie zdradzając swojej obecności przed ludźmi, którzy ich szukali? Byłem pełen złych przeczuc i z każdą chwilą stawały się one silniejsze. Zacząłem się nawet obawiać najgorszego. Czułem, że muszę im jakoś pomóc, muszę coś zrobić. W końcu z ogromną ulgą, ale też lekkim poczuciem winy, zawróciłem z drogi. Tłumaczyłem sobie, że łamię daną obietnicę tylko ze względu na jej bezpieczeństwo. Zacząłem biec. Nagle poczułem, że otaczające mnie galeryjki napierają na mnie i unoszą do przodu. Targały mną coraz silniejsze emocje. Czułem się niepokonany; mogłem stanąć do walki przeciwko całej armii. Chciałem jej pomóc, chciałem, żeby przekonała się o moim oddaniu.

W uniesieniu pospieszyłem do warsztatu Karima i wtargnąłem do pokoju, gotowy rzucić się do jej stóp. Ale pokój był już pusty. Przed oczami stanął mi jej obraz, zatrzymał się na ułamek sekundy i zaraz potem rozpadł na miliony drobnych kawałków. Jej już nie było, a ja straciłem wszelką nadzieję.

To było nie do wytrzymania! Pokój był pusty, jakby nigdy jej tam nie było; ulotnił się nawet zapach jej perfum. Załamałem się i płakałem jak jeszcze nigdy w życiu.

Po tych słowach Mustafy przeszedł mnie dreszcz. Oczami wyobraźni widziałem zaciemniony pokój, plątające się po kątach cienie. Ujrzałem Mustafę, jak stał tam z twarzą zalaną łzami, ze spuszczoną głową, pokonany. Była to wstrząsająca wizja.

„Braterska udreka” — pomyślałem. „Oto, co teraz czuję”.

Mustafa podjął swoją opowieść:

— To była tylko mrzonka, która nigdy nie mogła się spełnić, przedwczesna, groteskowa, ale mimo wszystko sprawiła mi tyle bólu. Cierpiałem, przebywając tam, gdzie jej już nie było. Usiadłem na podłodze, starając się przywołać wspomnienia, ale w głowie miałem tylko pustkę. Moje serce zostało złamane dwa razy: po raz pierwszy, kiedy się dowiedziałem się, że ona już do kogoś

należy, po raz drugi zaś, kiedy ponownie ją utraciłem, tym razem nieodwołalnie.

Oparł czoło o żelazne pręty.

- To było piekło, Hasanie, czyste piekło! Czułem, że moje życie dobiegło końca. Byłem zdruzgotany.

- I co wtedy zrobiłeś? - zapytałem.

Wciąż opierając czoło o kratę, Mustafa odpowiedział:

- Siedziałem w tym pokoju, strasznie przygnębiony. Nie wiem, jak długo tam byłem. Potem zaczęła mi doskwierać ciemność i pierwszy raz tej nocy włączyłem po omacku światło. Kiedy już nie raziło mnie w oczy, podniosłem z podłogi kamiennego lwa i wyciągnąłem pochopne wnioski co do twojego udziału w całej tej historii. Hasanie, raz jeszcze błagam, byś mi wybaczył. Po prostu nie przyszło mi do mojej skołatanej i, przyznaję, opętanej zazdrością głowy, że wydaję zbyt pospieszne sądy.

- Nie myśl o tym więcej - powiedziałem zdecydowanie. - To było tylko nieporozumienie spowodowane pobieżną oceną faktów. Przyjmuję twoje przeprosiny. Zamknijmy już ten temat.

Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie.

- Nie wiem, ile jeszcze mamy czasu - powiedziałem — ale nie zamierzam stąd wychodzić, dopóki nie wysłucham całej twojej historii. Być może jakiś bardziej wnikliwy ode mnie słuchacz odtworzyłby sobie drogę, którą przebyłeś od tego ciemnego pokoju u Karima do miejsca, gdzie teraz jesteśmy, ale ja nie mogę tego dokonać bez twojej pomocy.

To była zamierzona ironia, która na dodatek miała być też dowcipna, ale Mustafa wcale się nie uśmiechnął. Widać było, że wziął to sobie do serca. Wykrzywił usta na myśl, że musi dalej wspominać miłosne niepowodzenia.

Było mi go żal, ale ciekawość - fatalna przypadłość każdego bazarza - wzięła górę nad dyskrecją. Kiedy jednak Mustafa nadal uparcie milczał, a jego twarz zdradzała nadmiar emocji, zrozumiałem, że nie jest mu łatwo sprostać moim egoistycznym wymaganiom.

- Rozumiem - powiedział, intuicyjnie podchwytyjąc moje myśli. - Natarczywa ciekawość bazarza, jeśli można ją tak nazwać, jest naprawdę nienasycona. I pomyśleć, że nawet tutaj nie możesz się od niej uwolnić.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Ale zdaje się, że sam sobie na to zasłużyłem, przechwalając się, że opowiadam równie dobrze jak ojciec i ty. Mogę tylko winić samego siebie.

Odwrócił się ode mnie i sposepniał.

OCEAN

— Hasanie - podjął niskim i przejętym głosem - co to znaczy, że ktoś jest oceanem? Wciąż zastanawiam się nad tym, co mi powiedziała.

Pomyślałem przez chwilę, zanim zdobyłem się na odpowiedź.

— Myślę, że to oznacza przebywanie w jednej i we wszystkich rzeczach w tym samym czasie. Słyszałem, że mistycy opisują to zjawisko jako zanurzenie w przepływającym przez wszystko nurcie energii.

— Tak więc utożsamienie się z oceanem, bycie oceanem, jak to określiła, znaczyłoby zjednoczenie z tą energią?

— Z pewnością zjednoczenie, ale także coś więcej; sugerowałoby to pojęcie własnego bytu jako energii, jako przynależności do niezmaconej ciszy i spokoju oceanu, a także jego głębi i siły ciężkości. W tym sensie jest to prawdopodobnie jednoznaczne z tym, co rozumiemy pod pojęciem prawdy.

— Czy można stać się oceanem?

— Na pewno można próbować.

Zastanowił się chwilę nad moją odpowiedzią, a potem dodał:

— Szkoda, że tamtej nocy nie miałem w sobie choć odrobiny energii. Zanim nad horyzontem wstał świt, czułem się całkiem przegrany.

Rozmasował brwi koniuszkami palców i uśmiechnął się ponuro.

— Nie martw się, przywołam dla ciebie wydarzenia tamtego poranka, mimo że nowy dzień nie przyniósł mi światła, ale długie zimowe ciemności. — Ocean trwał w milczeniu?

— Całkowitym.

— Przykro mi - powiedziałem i pochyliłem głowę.

— Za co? Tak już jest, nieprawdaż? Czy tonimy, czy unosimy się na powierzchni, oceanu to nie obchodzi. Wszystko mu jedno. A na cierpienie nie ma lekarstwa. Przekonałem się o tym, kiedy wyszedłem z pokoju i błąka-

łem się bez celu między kramami, z nadzieją, że spotkam ją za rogiem. Ale nie to było mi pisane. Nie zdarzył się cud, nie stanęła nagle przede mną. O świcie przyznałem się do porażki i powlokłem na plac. Bolało mnie życie. Czułem się całkiem sam. Bolało mnie własne istnienie, bolało mnie moje złamane serce. Nie bardzo pamiętam, co stało się później.

Skrzywił się, a na jego twarzy wyraźnie odbiło się wyczerpanie, towarzyszące mu w tych najtrudniejszych chwilach życia. Nagle poczułem mdłości, tak jakbym sam doświadczył tego co on.

— Pamiętasz, jak spędziliśmy burzę piaskową na pustyni? — spytał. - Tamte doświadczenia były niczym w porównaniu z tym, jak się czułem tego wieczoru. Kiedy wróciłem do As-Sawiry, starałem się żyć jak dawniej, ale wszystko wydawało się bez sensu. Nie mogłem spać, nie chciało mi się pracować, nie chciałem spotykać się z przyjaciółmi. Próbowałem czytać książki, o mądrości, o miłości, o immanencji, ale wkrótce i to zarzuciłem. W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie lubiłem czytać. Nawet spacer po plaży, które pomagały zawsze wtedy, kiedy miałem kłopoty, już nie wystarczały. W tym czasie ćwiczyłem się w samotności i zależnie od tego, jak definiujesz powodzenie, albo poniosłem porażkę, albo osiągnąłem niespodziewany sukces. Przez cały czas toczyłem z nią w głowie niekończące się rozmowy Wyobrażałem sobie, że jesteśmy razem, i to pozwoliło mi przeżyć. Wspominałem każdą spędzoną wspólnie chwilę, każde słowo, każdy najdrobniejszy gest i każdy niuans w wyrazie twarzy. Te wspomnienia wypełniały moje dni i stanowiły treść nocnych marzeń. Wyobrażałem sobie, że jest zawsze tuż obok mnie i się do mnie uśmiecha. Niestychana jest siła wyobraźni.

— Posunąłeś się za daleko, Mustafo — zauważyłem.

Zrobił lekceważący gest, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że to nie moja sprawa. Zamilkł, pogrążony w myślach, a ja skorzystałem z okazji, aby zadać mu pytanie. Chciałem sformułować je taktownie, ale i tak zabrzmiało dość obcesowo. — Czy miłość może być aż tak oderwana od rzeczywistości? — spytałem. Popatrzył na mnie kątem oka i spostrzegłem, że zraniłem go tym pytaniem. Mój biedny brat, schwyty w szpony tak wspaniałej i tak beznadziejnej obsesji! Ileż było w nim męstwa i jednocześnie zaślepienia właściwego tym, którzy opętani miłością, gotowi są do największych poświęceń.

Współczułem mu, ale zarazem czułem, że patrzę na te zdarzenia z coraz większym dystansem. Moim zdaniem jego pasja była nazbyt gwałtowna -być może rzeczywiście jestem w tych sprawach konserwatywny. W innych okolicznościach prawdopodobnie byłbym zaintrygowany jej mocą, a nawet uznałbym to za rozrywkę, ale mój brat siedział teraz w więzieniu.

W końcu, uświadomiwszy sobie, że oczekuję odpowiedzi, wzruszył ramionami.

- Może i mógłbym ci na to pytanie odpowiedzieć, jeśli tylko rozumiał, o co ci chodzi. Póki co mogę cię tylko zapewnić, że miłość nie podlega prawom logiki.

Starłem się unikać jego wzroku.

- Nie będę się wdawał w dyskusje o logice, Mustafo — odparłem dość opryskliwie - nawet ja nie jestem tak naiwny. Jestem natomiast przekonany, że miłość musi mieć jakiś realny fundament. Miłość nie jest jakimś abstrakcyjnym tworem, nie da się jej wyczytać z książek. Nic dziwnego, że w tych, do których zaglądałeś, nie znalazłeś odpowiedzi. Miłość to dotyk, dźwięk, smak, zapach, widok; wszystko to, co z czego składa się świat. Oczywiście, może się opierać na jakimś ideale, ale to jej nie wystarczy Aby żyć, potrzebuje czegoś bardziej konkretnego. Rozważ w tym kontekście chociażby twój przykład z oceanem. Można czerpać natchnienie z oceanu, można podziwiać ocean, ale nie można pływać w fotografii oceanu, nawet jeśli jest bardzo ładna. Do tego potrzeba samego oceanu. - Hasanie, jesteś nieobiektywny! - zaprotestował. - W ten sposób na pewno nie dojdziemy do porozumienia.

- Być może, ale nie to jest teraz najważniejsze - odparłem. - Nie obchodzi mnie, czy mamy podobne wyobrażenie miłości. Musisz o niej zapomnieć, Mustafo. Musisz zostawić to wszystko za sobą. Inaczej nigdy nie zaznasz spokoju. - I tu się mylisz, Hasanie! - wykrzyknął.

W jego głosie rozbrzmiewał wyjątkowy entuzjazm. Wychylił się przez kraty i złapał mnie za rękę. Zdziwiła mnie nagła zmiana jego nastroju.

- Nie mogę jej zostawić - powiedział natchniony - i wcale nie muszę. Ona jest we mnie. Ocean nie jest poza nami. My nim jesteśmy. Nadaje naszemu życiu sens. Uwierz mi. W tym najtrudniejszym okresie mojego

życia trwałem tylko dzięki miłości do niej. I nie musiałem niczego robić. Zwyczajnie obudziłem się pewnego dnia jako inny człowiek. To się po prostu stało. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Pokój wypełnił jego radosny, chłopięcy śmiech.

- Opowiem ci, jak to było. Wczesnie rano, leżąc jeszcze w łóżku, usłyszałem głos muezzina z pobliskiego meczetu i poczułem, że dryfuję. Tylko tak mogę to opisać. Porwała mnie i uniosła kaskada jego głosu. Otworzyła wszystkie moje zmysły i stałem się oceanem. Przepęłniały mnie wdzięczność i spokój. Czułem, że mam w sobie siłę, które nie da się przezwyciężyć. Poszedłem do pracy ze śpiewem na ustach. Po drodze zauważyłem nagłówki porannych gazet. Wszystkie trąbiły o zaginięciu pary cudzoziemców. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem przelatujące mewy. Zmówiłem cichą modlitwę i wiedziałem już, co mam zrobić.

Wyprostował się i wysunął do przodu dolną szczękę.

- Jeśli zostaną uznani za zmarłych, wtedy nie będzie już ryzyka, że ktoś odkryje ich plany. Powiem policji, że ich uprowadziłem i zamordowałem. Wtedy mąż przestanie jej szukać i będą mogli żyć własnym życiem - tak jak na to zasługują. I to, co postanowiłem, w pokoju i jedności, poparłem czynem. Wyznaję otwarcie, że urzeczywistniłem to marzenie. Stałem się oceanem — powtórzył z uśmiechem.

LWI POPIOL

Po tym wyznaniu Mustafa siedział spokojnie, wyciszony i zadowolony.

Przypomniały mi się czasy młodości, kiedy stawał przed lustrem z zadartym podbródkiem, spletał ręce za plecami i całą postawą wyrażał swoją buntowniczą naturę. W decyzji, aby oddać się w ręce policji, intuicyjnie wyczuwałem przejaw buntu przeciwko rzeczywistości.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Potem powiedziałem cicho:

- Mustafa, czy jakakolwiek kobieta jest warta takiego poświęcenia?

- Odpowiem ci tylko pod warunkiem, że wyjaśnisz, dlaczego przeznaczone mi było ją spotkać — odpowiedział równie cicho.

Odwróciłem się i wbiłem wzrok w podłogę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. „Kim ja jestem, żeby wyrażać opinie o przeznaczeniu” - myślałem. Porzuciłem filozofię i postanowiłem porozmawiać z Mustafą o bardziej przyziemnych sprawach.

- Dlaczego nie możesz opowiedzieć tej samej historii policji? - spytałem, starając się ukryć rozpacz w moim głosie.

- Oszalałeś?! Nigdy bym jej nie wydał!

Zaczerwienił się i zrozumiałem, jak głęboko go uraziłem. Przez parę minut siedzieliśmy twarzą w twarz, nie odzywając się ani słowem. W międzyczasie Mustafa wtulił głowę w ramiona i spojrzał na mnie nadąsany. W końcu podciągnąłem nogi i potarłem dłonią czoło. Bardzo powoli, uważnie i z namysłem dobierając słowa, spytałem:

- To znaczy, że istnieje trzecia wersja wydarzeń tamtego wieczoru? Zaśmiał się pogardliwie.

- Tak, istnieje. Ale nie martw się, nie dotyczy ani ciebie, ani jej, ani nikogo innego oprócz mnie.

Jego głos stracił śpiewny ton.

Uświadomiłem sobie wtedy, że jest tylko jeden sposób, żeby przejrzeć na oczy — będę musiał postąpić wbrew własnym przekonaniom i rzucić cień wątpliwości na jej prawdomówność. Zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę:

- Uwierzyłeś w to, co ci powiedziała? - zapytałem.

Mustafa podskoczył jak oparzony. Z tej reakcji wyczytałem wszystko, czego potrzebowałem, by wpłynąć na jego przekonania.

- Czyżbyś kwestionował jej prawdomówność?

- A nie wydaje ci się, że warto się zastanowić na tym, na ile jej historia jest prawdopodobna?

- O czym ty mówisz? — zachnął się, sugerując, że moje pytanie jest bezpodstawne.

Po chwili wahania dodałem:

- Myślę, że warto zastanowić się spokojnie nad czynnikami, które każda rozsądna osoba bierze pod uwagę, oceniając, czy warto w daną historię uwierzyć, czy też nie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Kocham ją, kocham, rozumiesz? Nie chcę słyszeć o niczym innym! — zawołał donośnie. - Gdy się kogoś kocha tak mocno jak ja, to się tę osobę uwielbia. A ja uwielbiam ją w każdym calu. Nie mogę jej nie wierzyć. Nie mogę kwestionować jej prawdomówności. To nie ma sensu. To mnie nie interesuje.

Nie mogłem opanować zniecierpliwienia.

- I nie widzisz w tym żadnego problemu? : Mustafa, zdziwiony, uniósł wysoko brwi.

- Hasanie, zawsze wiedziałem, że jesteś cynikiem, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielkim. Mnie możesz się czepiać, jeśli chcesz, ale ją zostaw w spokoju. Ona nie kieruje się twoimi zasadami. Ona nie należy do twojego świata. W coś trzeba wierzyć, a ja wybrałem wiarę w miłość.

- Cynik, romantyk... to tylko słowa, Mustafo. Ale jest też smutna prawda, która - na naszą wielką niekorzyść - nie jest tylko fikcją literacką. Siedzisz w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełniłeś, ale do którego się przyznałeś. Wierz mi, nawet ja nie wymyśliłbym bardziej nieprawdopodobnej i bardziej zajmującej historii. Jeśli chodzi o tych cudzoziemców, to jeśli są bezpieczni, gdziekolwiek się znajdują, życzę im jak najlepiej. Ale my, ja i ty, nie możemy sobie wybrać rzeczywistości, w której chcemy żyć. Mamy już jedną: własne życie, od którego nie uciekniemy. I wygląda ona dość nędznie. Mustafa nie odpowiedział. Zmierzył mnie tylko wyniosłym spojrzeniem. Jego idealnie owalna twarz wyrażała takie poczucie wyższości, że nie mogłem już na niego patrzeć. Przygnębiony, skupiłem wzrok na własnych pantoflach - babuszkach z żółtej skóry, powyginanych i wytartych przy obcasach. Choć kupiłem je w Marrakeszu, przypominały mi o naszej rodzinnej wiosce w górach. Tamto życie wydało mi się teraz tak odległe, tak bezpowrotnie utracone, że ogarnął mnie obezwładniający smutek. Mustafa nie przerywał ciszy. Nie patrząc na siebie nawzajem, siedzieliśmy oddzieleni kratami celi, obaj zatopieni we własnych myślach. Nasze spotkanie utknęło w martwym punkcie, osiadło na potężnej rafie miłości i nie wiedziałem, jak je uratować. Z upływem czasu coraz bardziej pogrążałem się smutku, z Mustafą tymczasem działo się coś zupełnie odwrotnego. Uspokajał się coraz bardziej, wyglądał już niemal tak jak w chwili, gdy przyszedł na

tę rozmowę. Zastanawiałem się, czy ukojenie, które znalazł w miłości, było podobne temu, jakie daje wiara. I w końcu czy warte było zdobycia, jeśli ceną za nie było życie.

Kiedy się w końcu odezwałem, w moim pytaniu wybrzmiewało echo tych myśli.

- Modlisz się w tych ciężkich chwilach?

Tym razem nie wydawał się niezadowolony z pytania. Odpowiedział spokojnie i pewnie.

- Zwracam się do Boga, który we mnie wierzy. Proszę go, aby pomógł mi rozedrzeć zasłony, które przesłaniają świat. Mam wrażenie, że płynę do dalekiego brzegu, że jestem na samym środku szerokiego i głębokiego oceanu i istnieje duża szansa, że nigdy nie dopłynę do celu.

Usłyszałem za sobą jakiś hałas i się odwróciłem.

W drzwiach stał policjant. Wszedł do pokoju i wskazał zegar wiszący na ścianie. Podniosłem się z krzesła, wdzięczny za jego interwencję. Byłem wyczerpany i brakowało mi sił, aby kontynuować to spotkanie. Bezradność powodowała, że czułem się śmiertelnie zmęczony. Czułem ból w sercu i ścisnęło mnie w piersiach. Spojrzałem przepaszająco na Mustafę, ale on też wstał już z krzesła. Nagle pochylił się do przodu i zupełnie innym tonem, pełnym czulej troski, wyszeptał:

- Hasanie!

- Chciałbym mieć twoją wiarę - powiedziałem zmęczonym głosem.

OGRODY MENARA

Zanim opuściłem posterunek policji, odszukałem inspektora, który prowadził sprawę Mustafy, i zapytałem, jaki wyrok czeka mojego brata.

- Będzie siedział do końca życia - powiedział obojętnie.

- On jest niewinny. Cokolwiek ci powiedział, to czysta fantazja. Wszystko zmyślił.

Zaskoczyła mnie jego odpowiedź.

- Wiem - rzekł. - Złapałem już w życiu wystarczająco wielu morderców,

żeby wiedzieć, że Mustafa nie jest jednym z nich. Przesłuchiwałem go, ale nie potrafił podać żadnych szczegółów. Nic konkretnego. Ale przyznał się do popełnienia przestępstwa i musieliśmy go zatrzymać. Jedyne, co może tu pomóc, to nowe poszlaki. Szczerze mówiąc, myślę, że twój brat zwariował. Ta cudzoziemka zawróciła mu w głowie. - Jest w niej zakochany - powiedziałem. Inspektor oparł się o krzesło i nic nie mówiąc, przyglądał mi się uważnie przez chwilę. Zmrużył oczy i miałem wrażenie, że stara się przejrzeć mnie na wylot. Już zacząłem odczuwać niepokój, kiedy powiedział: - A czy wszyscy nie jesteśmy trochę w niej zakochani? Spojrzał na mnie, zawahał się i odwrócił wzrok. Opuściłem komisariat zagubiony i przybity. Schodząc po schodach, uświadomiłem sobie, że wciąż ściskam w dłoni małego kamiennego lwa. Zastanawiałem się, co z nim zrobić. Nie chciałem, aby przypominał mi o szaleństwie mojego brata. Dwa dni później poszedłem do Ogrodów Menara i wrzuciłem go do głębokiej sadzawki przy głównym pawilonie. Kiedy zniknął pod powierzchnią wody, wymówiłem w duchu słowa, dzięki którym miałem nadzieję poczuć się trochę lepiej. Pomyślałem, że jedynie ja sam mogę wybawić się od wspomnień, które mnie trapią. Spacerowałem, pogrążony w myślach, wzdłuż brzegu sadzawki. Powierzchnię wody marszczył łagodny powiew wiatru. Odbijały się w niej niebieskie niebo i postrzępione obłoki. Przez moment wydawało mi się nawet, że jestem zupełnie sam na świecie. Nie słyszałem ulicznego zgiełku ani nie dostrzegałem tłumu turystów krążących wokół pawilonu, wybudowanego na rozkaz sułtanów na potrzeby romantycznych schadzek. Przystanąłem na moment i spojrzałem na balustrady balkonu, skąd, jak wieść niesie, jeden z sułtanów każdego ranka zrzucał prosto do wody kobietę, z którą spędził noc. Nagle stało się ze mną coś dziwnego. Być może sprawiły to zadziwiająco niebieskie niebo, powietrze przesycone zapachem pomarańczy i jaśminu albo chór ptaków śpiewających na powitanie wiosny. Być może pogodziłem się z faktem, że Mustafa jest dorosły i podejmuje decyzje, kierując się tylko jemu zrozumiałymi powodami. W końcu było to jego życie, nawet jeśli ja nie widziałem w tym, co robił, żadnego sensu. Cokolwiek to było, postanowiłem żyć dalej, pomimo wszystkich trudności. Wróciłem do domu uspokojony.

BAŚŃ

Po uwięzieniu Mustafy przez jakiś czas unikałem Dżama, nękały mnie bowiem nieprzyjemne skojarzenia. Wyjechałem nawet na kilka dni z Marrakeszu i schroniłem się w domu rodziców w górach. Ale nie mogłem zbyt długo przebywać poza miastem, ponieważ czułem, że powinienem odwiedzać brata w jego więziennej celi. Kiedy już wróciłem, nie było mi łatwo pogodzić się z tym, że Mustafa spędzi resztę życia za kratami. Bałem się o niego, i ten strach, spotęgowany dodatkowo rozpaczą, sprawił, że nie mogłem znieść myśli o naszym ponownym spotkaniu.

Na początku starałem się przemówić mu do rozumu. Całymi dniami głowiłem się nad tym, jak otworzyć mu oczy, i nawet poprosiłem o pomoc Ahmeda. Wkrótce przekonaliśmy się jednak, że racjonalne wyjaśnienia na nic się nie zdają, kiedy ktoś usilnie próbuje dostosować rzeczywistość do marzeń. Po pewnym czasie Ahmed dał sobie spokój z tym, jak to nazwał, idiotycznym przedsięwzięciem, a ja zrozumiałem, że Mustafa, podejmując swoją irracjonalną decyzję, przestał przynajmniej cierpieć wewnątrz. Ból, tak samo jak wyrzuty sumienia, wygasa po pewnym czasie, ale miłość mojego brata zdawała się rosnąć i nabrała cudownej mocy, która wynosiła go ponad wszystko. Wciąż opętany wspomnieniami o Lucii, nie tylko nie potrafił rozmawiać o niczym innym, ale nawet nie próbował udawać, że reszta świata go interesuje. Zdeterminowany, żył tak, jakby należała do niego. Wybuchał śmiechem w trakcie rozmowy, a niekiedy jego namiętne opisy powodowały, że oblewałem się rumieńcem. Widocznie obserwował ją uważnie przez ten krótki czas, jaki z nią spędził. Uśmiech, brzmienie głosu, najdrobniejszy nawet gest składały się na całkiem szczęty, aczkolwiek elegijny portret ukochanej.

I tak z biegiem czasu coraz lepiej poznawałem tę zupełnie obcą mi kobietę, a przynajmniej to, jak postrzegał ją Mustafa. Przywoływał jej obraz podczas każdych moich odwiedzin, upiększał go, dodając jej przymioty, których szukał u idealnej kobiety, i oddawał się temu z coraz większym zapałem. Widocznie ośmielała go cicha i skupiona uwaga, z jaką go słuchałem.

Pewnego dnia wychylił się przez kraty i położył mi ręce na ramionach.

- Hasanie, możliwość zwierzenia się tobie jest dla mnie wielką pociechą. To, że snuję na głos te wszystkie wspomnienia, sprawia, że ona staje się bardziej rzeczywista.

- Cieszę się - powiedziałem.

- Moja Lucia, ona wypełnia mój świat...

Wypowiedział jej imię z tak wielką czułością, prawie dławiąc się z nadmiaru emocji, że z szacunku spuściłem wzrok.

- Ach, Hasanie, gdybym tylko umiał wyrazić to, jaka ona jest! Każdego dnia, kiedy ją wspominam, zakochuję się w niej na nowo. Jakbym codziennie doznawał objawienia. Wszystko inne schodzi na bok. Czegóż więcej mógłbym chcieć od życia?

Milczał przez chwilę, a potem dodał z uśmiechem:

- Dlatego doszedłem do wniosku, że lepiej jest marzyć niż posiadać.

- Skąd taki pomysł? - zapytałem.

- Posiadanie niszczy marzenie. Sam sen jest prawdą, a ona dała mi sny poety.

Znów przerwał, a jego oczy płonęły z pasją. Potem rzekł niskim głosem:

- Zamień moją historię w baśń, Hasanie, tak jak tylko ty potrafisz. Skorzystałem z okazji i zachęciłem go, aby ten jeden i ostatni raz powiedział mi, co rzeczywiście stało się tamtej nocy na suku.

- Przecież znasz już prawdę - odparł zaskoczony. - Jesteś moim bratem i uprawiasz niezwykle rzemiosło. Dlaczego miałbym cię okłamywać?

Zignorowałem tę odpowiedź, nalegając, by podał mi po prostu suche fakty. - Skoro mi nie wierzysz, to wymyśl sobie tę baśń - powiedział wielkodusznie. — Masz wszystkie potrzebne informacje.

- To odpowiedź czy unik? - zapytałem, bardziej poirytowany, niż sądziłem. - Ani jedno, ani drugie.

- A więc proponujesz mi serię wariacji opartych na kłamstwach?

- Prawda kłamie. Zawsze maskują ją słowa. Jako bajarz powinienes wiedzieć o tym najlepiej.

- Moje historie nie kłamią - zaprzeczyłem uparcie. - To nie należy do tradycji ani dziedzictwa, które przejąłem po ojcu, tak jak on kontynuując zawód naszych przodków.

Mustafa wyrzucił ręce w górę.

- Bierzesz moje słowa zbyt dosłownie - zaprotestował. - Nigdy tego nie zrozumiesz. Kręcimy się tylko w kółko.

Wydawał się głęboko dotknięty, ale ja byłem zbyt rozczarowany ciągłym odmawianiem wyznania prawdy. W końcu, siedząc naprzeciwko siebie, każdy z nas oddał się swoim myślom.

Po pewnym czasie Mustafa - chyba głównie po to, by przerwać ciszę - poprosił, abym opisał, jak wyglądał plac, gdy szedłem go odwiedzić.

Pożałowawszy swojej wcześniejszej natarczywości, włożyłem w ten opis cały swój zapał i wszystkie umiejętności. Zdawało mi się, że komponuję, maluję obrazy z głębi siebie. Byłem zadowolony, że mogę w ten sposób pomóc memu nieszczęsnemu bratu. Opowiadanie sprawiło mi ulgę, przyniosło mi spokój i satysfakcję.

Wiedząc o tym, jak bliska jest mu As-Sawita, rozpocząłem od porównania migoczących nocą światełek na Dżama do morza. To z kolei przypomniało mi, jak siedzieliśmy razem na wale morskim podczas mojej wizyty w As-Sawitze i uderzył w nas nagły poryw wiatru. Potrzebowaliśmy obu par rąk, aby utrzymać jeden parasol, ale na końcu i tak byliśmy przemoczeni od rozprysku morskich fal.

Powiedziałem Mustafie, że przypomniał mi się ten morski wiatr, gdy przechodziłem przez owiewany lekko plac. Cieszył mnie ten szybki spacer w blasku popołudniowego słońca. Spoglądając wstecz, zacząłem opisywać zimowe niebo, grę światła w chmurach, zmienne nastroje na Dżama, radosny tłum i kolory. W jaskrawym świetle plac przypominał ośnieżoną równinę, jakie napotyka się u podnóża gór, i poczułem tęsknotę za rodzinnymi stronami. Wszystko zdawało się świeżo spryskane wodą. Ale w głębi suku panował, tak jak zwykle, ciemny mrok.

Mówiłem przez chwilę, dodając różne szczegóły, aby Mustafa mógł dokładnie sobie wyobrazić to, co widziałem: nieruchomą, pełną kolorów chmurę nad minaretem Kutubijja albo rząd kilimów zawieszonych w powietrzu na sznurach rozciągniętych w alejce za posterunkiem policji, albo łagodne zimowe słońce, które wisiało nad Dżama jakby na piedestale.

- To było wspaniałe, Hasanie - powiedział z błyskiem w oku, gdy skończyłem. - Dziękuję, że zechciałeś spełnić moją zachciankę.

Patrzył na mnie długo, tak jakby widział mnie pierwszy raz, i dostrzegłem wdzięczność na jego twarzy. Wiedziałem, że przebaczył mi uprzednią tępotę, i ogarnęło mnie tak wielkie współczucie, że do oczu napłynęły mi łzy. Myśl o tym, że dzięki paru prostym słowom mogłem zabrać go w podróż poza mury celi, wzruszyła mnie tak głęboko, że aż zabrakło mi tchu w piersiach i nie byłem w stanie się odezwać, kiedy zapytał:

— Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy tu w lecie z ojcem? Czasem było tak gorąco, że widziałem podwójnie. Taki skwar. Tyle światła.

Wydawało się, że zapomniał o wszystkim, spoglądając przez więzienne okienko na dogasające promienie słońca. Przyłączyłem się do niego i doznałem czegoś, czego nie doświadczyłem od wielu lat: uzyskałem nowe spojrzenie na życie. W przyćmionym świetle ponury pokój zmienił się w ostoję spokoju. Zatarły się wszelkie granice. W bezkresie tej chwili miłość mojego brata była wszystkim, co istniało na świecie, i jedynie ona miała znaczenie. Siedziałem w milczeniu, nie chcąc przerwać tej idylli. Patrzyłem, jak niebo ciemnieje, i dziwiłem się, że zmiana nastąpiła tak szybko. Tylko horyzont, otoczony gęstymi chmurami, pozostał jasny i świetlisty. Potem i on pociemniał i firmament skrył się za zasłoną w kolorze indygo.

Zanim odszedłem, zapytałem Mustafę, czy potrzebuje czegoś z zewnętrznego świata.

- Nie - odparł łagodnie. - Dziękuję ci, Hasanie. Wystarcza mi to, co mi dajesz. Pomagasz mi przywoływać moją ukochaną i przez to wspomnienia po niej zapadają coraz głębiej w mój własny byt. To najwspanialszy, najbardziej szczodry dar, o jaki można prosić.

PRAWDA I PIĘKNO

W ciągu lat, które upłynęły po uwięzieniu Mustafy, zdałem sobie sprawę, że nawet jeśli nie mogę go uwolnić, to czyn mojego brata może nauczyć mnie czegoś o życiu. Treść tej nauki zawierała się w pozornie prostym spostrzeżeniu: piękno jest nieodłącznym towarzyszem prawdy i zapewnia najczystsza formę emocjonalnego wsparcia. Piękno musi być rozważane

jako misterium, dostępne tylko w przebłyskach intuicji, a nie poprzez jakąkolwiek formę racjonalnego poznania — piękno pierwszorzędne odznacza się wyjątkowością cudu. Dlatego też zakochując się, doświadczamy czegoś pokrewnego mistycznemu przeistoczeniu. To pojedynczy, nagły wypadek - dryfowanie, jak to opisał mój brat. W efekcie dokonuje się jedyna rzecz, która ma znaczenie: spotkanie człowieka z jego duszą. W prawdziwej miłości dusza okrywa ciało. Stwarza świat, który może istnieć tylko wewnątrz. Z tej perspektywy decyzja usunięcia się ze świata, jaką podjął mój brat, miała głęboki sens. Kochając samotnie, czuł się spełniony. Im bardziej jego wyobraźnia wykraczała poza fakty, im bardziej była nie z tego świata, tym dłużej utrzymywało się jego poczucie autonomii, a tym samym własnej godności. Wiedzieć, że niezbadane istnieje i przejawia się w pięknie -ta mądrość stanowi trzon prawdziwej wiary. Cała reszta to tylko dysharmonia pomiędzy jednostką a światem, ale jej nie da się zapobiec.

PUSTYNIA MIŁOŚCI

Z kręgu słuchaczy doleciał mnie niski głos, narastający jakby z głębi pełnej zamyślenia ciszy.

- Nigdy nie nadarzyła się okazja, aby ocalić twojego brata?

Nie zdziwiło mnie to pytanie. Byłem ciekaw, kto je zadał, ale w tej części kręgu było dosyć ciemno, a nie chciałem opuszczać ciepła ogniska tylko po to, żeby tam podejść.

— Oczywiście, że były okazje — powiedziałem — ale żadna, może poza jedną, nie dawała nadziei na jego uwolnienie.

Czekałem na odpowiedź, albo może na następne pytanie, ale ponieważ nikt się nie odzywał, postanowiłem opowiedzieć tę historię. Zmrużyłem oczy, szukając odpowiednich słów, aby przekazać to, co miałem do powiedzenia, choć instynkt mnie ostrzegał, że powinienem zachować to dla siebie.

Na południu gór, za granicą z Algierią, jest suche koryto rzeki, znane tubylcom jako miejsce, gdzie wielbłądy przychodzą umierać. Poza tym ponu-

rym miejscem czarna kamienista równina zmienia się w bezkresną piaszczystą przestrzeń, która jest pierwszą zapowiedzią Sahary właściwej, i tu właśnie niektórzy cudzoziemcy - głównie przyjezdni z Zachodu - żegnają się ze swoim życiem i odchodzą. Niczego nie mając, są zadowoleni, że wszystko zostaje za nimi. Wkraczają na pustynię i idą tak długo, aż w końcu opadają z sił, zwykle z wielkiego pragnienia i od upału. Szlak śmieci znaczy ich drogę, jakby nie mogli się doczekać, kiedy zrzucą z siebie skórę. Najpierw wyrzucają portfele i laminowane karty bankomatowe, potem banknoty i monety, następnie dokumenty i inne dowody tożsamości. Zatrzymują fotografie ukochanych ludzi do ostatniego etapu, a potem, w większości przypadków, je także porzucają. Pustynia wie, jak wszystko pochłonąć, i w końcu nastaje łaskawa, szybka śmierć. Piasek ich obmywa, rozbiera, wybiela ich kości. Jeśli znajdzie się ich, zanim nastąpi całkowity rozkład ciała, zawsze mają uśmiech na twarzy. Wkroczyli bowiem do rajy, a poświadczają to ślady po nich w świecie doczesnym. Sahrawi nazywają ten obszar Pustynią Miłości; mówią, że współczucie wyznacza to miejsce, gdzie odchodzą do wieczności.

I właśnie tam, w tym nieprzebytym i kompletnie opustoszałym regionie, wędrowny handlarz wielbłądów natknął się parę lat temu na postrzępiony i wyblakły paszport. Przyniósł go ze sobą na odbywający się każdej środy suk w Asmarze z nadzieją, że sprzeda go za parę dirhamów. Usłyszałem o tym od mojego przyjaciela Nabiła i zdołaliśmy zdobyć ten dokument. Oddaliśmy go w ręce policji w Marrakeszu, próbując dowieść niewinności mojego brata. Ale nasz plan się nie powiódł - zamiast zinterpretować ten paszport jako dowód, że Mustafa nie miał nic wspólnego z zaginięciem pary cudzoziemców, policja stwierdziła, że dokument potwierdza jego winę, i mój brat nadal siedzi w więziennej celi.

CZŁOWIEK RELIGII

- To wszystko brzmi bardzo interesująco i romantycznie — dał się słyszeć miękki, niebezpiecznie słodki głos - ale sposób, w jaki twój brat kończy swe życie, nie jest zbyt chlubny.

Po krótkiej pauzie ten sam głos dodał głębszym, poważniejszym tonem:

- Życie muzułmanina.

Spojrzałem z ciekawością w kierunku, z którego dochodził głos, i poznałem brodatego fakiha, który przepytывał mnie już na początku wieczornej sesji. On też na mnie patrzył i się uśmiechał.

- Odszukałem cię, ponieważ słyszałem, że jesteś zręcznym i nowatorskim bazarzem. Oczekiwałem, że tego wieczoru zapomnę o troskach tego świata. Jak wiesz, przybyłem tu dość wcześnie, aby nie uronić ani jednego twojego słowa. Postanowiłem wstrzymać się z osądem i słuchać z otwartym umysłem, ale już na początku powinienem był się zorientować, że nie uda ci się spełnić obietnicy.

Zrobił znaczącą przerwę i popatrzył na mnie badawczym wzrokiem.

- Sztuka opowiadania - podjął - jest subtelna, przynajmniej w tradycji naszego ludu, i człowiek, który decyduje się poświęcić cały wieczór kobiecie, i to cudzoziemce, odchodzi od ideału bardzo daleko. Słuchałem cię z coraz większym niedowierzaniem, które wkrótce przeszło w oburzenie. Twoja historia nie tylko nie pokrzepia, ale jest wręcz pozbawiona sensu. Nie zawiera nic, co byłoby warte naśladowania, żadnych uniwersalnych wartości czy aspiracji, nic, zupełnie nic wartego ocalenia. Jeżeli zawiera jakąś prawdę, to tylko na poziomie degradacji, jedynej w swoim rodzaju. Dotąd słuchałem go z uwagą, ale teraz już musiałem mu przerwać. - Czy miłość nie jest uniwersalną wartością? — zapytałem. — Czyż nie jest tak, że wszyscy bez wyjątku dążą do prawdziwej miłości? - Ta „miłość”, w którą jesteś tak zapatrzony, może być skierowana tylko do Boga — odparł. — Nie widzę jej w historii mężczyzny, który poświęca życie na dopieszczanie własnej udręki.

- Czyż w pięknie nie ma nic boskiego?

- Nie, jeśli podnosisz znaczenie tylko ludzkich atrybutów, których doszukałeś się w jednostce, i przypisujesz im boski status. Ja też byłem na Dzama, kiedy tych dwoje go odwiedziło, i nie dostrzegłem w nich niczego, co zasługiwałoby na uwagę, jaką obdarzyłeś ich historię.

- Być może - wtrąciłem - ale jako mężczyźnie z pewnością zdarzyło ci się podziwiać piękną kobietę.

- To nie ma teraz znaczenia!

- Skoro tak, to przejdźmy od ogólników - zasugerowałem — do szczegółów mojego opowiadania. Powiedz nam, na przykład, jak wyglądali ci nieznajomi.

Uśmiechnął się, bo rozbawiła go przejrzystość tego manewru, i dał odpowiednio cierpką odpowiedź.

- Byli pozbawieni wdzięku, tak jak wszyscy ludzie Zachodu.

- Patrząc na nią, nie dostrzegłeś żadnego wdzięku? Roześmiał się, ubawiony.

- Nie mogę powiedzieć, że wzbudziła we mnie podziw. Raczej wywoływała litość. Nawet jeśli działała na ludzi jak magnes, to jedynie na zasadzie zwierzęcego instynktu. W przeciwieństwie do ciebie - dodał z naciskiem - nagie ciało nie pobudza mojej wyobraźni, a tamtego dnia ta kobieta na pewno nie była ubrana przyzwoicie.

- Nie słyszałem, żeby ktoś opisywał jej ubranie jako nieprzyzwoite.

- To nie ma znaczenia - powiedział gładko, jakby wyciągając przeciwstawny wniosek. — Tymczasem z opowiedzianych przez ciebie anegdot jasno wynika, że nie można jej pochwalić za czystość i delikatność myśli i czynów.

Następnie zaczął wyśmiewać wszystkie słabości, jakie przypisywał kobietom z Zachodu. Mówił o nich z głębokim przekonaniem, twarz wykrzywiał mu grymas niesmaku i pogardy, a głos stawał się coraz to bardziej krzykliwy.

- Mieszkałem w Londynie, tej współczesnej Gomotze. Znam te kreatury. Niczym się nie różnią od *qahbat*, kurew. Nie mają poczucia skromności i godności stosownej do ich toli w życiu.

Zastanawiałem się, czy fakih nie próbuje tak naprawdę uderzyć w prześmiewczy ton, ale gdy usłyszałem, jak bardzo napięty jest jego głos, zrozumiałem, że był śmiertelnie poważny. Absurdalność jego tyrady podkreślał dodatkowo fakt, że oto konserwatywny fakih wypowiada się z taką znajomością intymnych szczegółów na temat upadłych kobiet.

- Jeśli chodzi o ciebie - zwrócił się do mnie - oferujesz mieszankę snów i płomiennych fantazji. Dlaczego poświęciłeś cały wieczór na podtrzymywanie iluzji? Ta kobieta mogła ci się wydawać słodka i piękna, ale była zepsuta pod każdym względem. To niemoralna dziwka. Porzuciła swojego

prawnie poślubionego męża, a ten miał prawo ją ścigać. Niech jej dusza gnije w piekle! Zamieniając ją w mit, powielasz błąd logiczny twojego brata; twojego pomyłonego brata, który sfabrykował zeznania i pokochał własne cierpienie, znajdując satysfakcję w poniżeniu. To oczywiste, że obaj lubicie poczuć dreszczyk emocji. Ten rodzaj fascynacji, która was łączy, jest oburzający. Dobrowolnie wdaliście się w tę samą chorą awanturę.

Powtórzył ostatnie zdanie, nieomal się dławiąc i przechodząc w krzykliwy ton. Jego wściekłość wydawała się przesadzona, oddychał coraz szybciej, i jedyne, co mi się nasuwało jako wyjaśnienie jego wrogości, to że historia mojego brata w jakiś sposób go dotknęła.

- Tak samo jak wszyscy - powiedziałem chłodno - mój brat chce żyć i cieszyć się życiem. Ponieważ okoliczności, w jakich się znalazł, sprawiły, że jest to niemożliwe, obrał inną strategię: przesycił swoją miłość heroicznym idealizmem i zasługuje z tego powodu na podziw, a nie naganę.

- Co za głupoty! Czy w ogóle istnieje taka kobieta, jaką opisałeś? Daję słowo! Ciebie też usidliła! Gdyby nawet istniała w rzeczywistości, nie mogłaby was bardziej opętać. Zapełniacie pustkę życia pozbawionego duchowości plugawymi żądzami.

- Nie żądzami cielesnymi - odpowiedziałem spokojnie - raczej ucieleśnionym idealizmem. Jeśli to doświadczenie czegoś mojego brata nauczyło, to uwielbienia piękna. Co w tym złego? Wspominanie doznanej łaski ma moc uzdrawiania. - Uwielbienia piękna? — powtórzył miękkim, niebezpiecznym głosem. - Radzę ci nie bluźnić tak blisko meczetu. Daj sobie trochę czasu i uporządkuj swoje myśli.

Odwrócił się ode mnie i zwrócił do moich słuchaczy z niepohamowaną gwałtownością: - Wszyscy jesteście pod wpływem jakiegoś czaru, grupowej psychozy. Myślicie, że przywołujecie wspomnienia, ale zajmujecie się tylko upiększaniem kłamstw. Pochlebiam wam, że słuchacie nawzajem swoich opowieści, podziwiając przy tym górnolotność wielkich uczuć. Wasze opowiadania wyrażają wdzięczność i zadziwienie, gdy tymczasem powinniście się wstydić. Zostaliście wykorzystani, ale mimo to stworzyliście legendę z niejasnych wspomnień. Wasze motywy nie są czyste. Powoduje wami duma

i żądza posiadania. Dzieci Mahometa, składacie cześć niewiernym! Zachód odcisnął na was swoje piętno, a wy nawet sobie tego nie uświadamiacie!

Po jego przemowie zapanowała cisza. Patrzyłem na niego, zażenowany jego zjadliwością. Mogłem tylko w myśli przeciwstawić zamieszanie, jakie ten oddany religii człowiek wprowadził w mój krąg, spokojnej ufności Mustafy w obliczu przeciwności losu. Wiedząc, że moje porównanie tylko by go jeszcze bardziej rozsierdziło, zapytałem cicho, skąd w nim tyle złości.

Wyszczerzył zęby, gniew ścisnął go za szyję.

- A teraz jeszcze mnie obrażasz? To cud, że cię nie uderzyłem, tak jak uderzyłbym tę zdeprawowaną kobietę!

- Jesteś zwolennikiem przemocy?

- Oczywiście. Pomaga przywrócić ludziom rozum.

- Widzisz, tak się składa, że się z tobą nie zgadzam. Nasza religia nie popiera takich zachowań.

- Kto tu jest człowiekiem religii? Ty czy ja?

- Może i jesteś człowiekiem religii, ale przemawia przez ciebie rozgoryczenie.

- I chcesz mnie za to winić? W krajach muzułmańskich szaleje wojna, nasi ludzie muszą stawać do walki, są uchodźcami.

- Ale co to ma wspólnego z historią mojego brata? - zaprotestowałem.

- Mustafa jest pełen miłości, a taka miłość nie zna granic rasy ani wyznania. Po prostu istnieje i musi być zaakceptowana.

Mój rozmówca zorientował się nagle, że stoi na grząskim gruncie, i zaczął się wycofywać.

- Nie będę z tobą dyskutował o semantyce! — warknął. — To nie jest zagadnienie teoretyczne, ale wołanie o zwykłą przyzwoitość.

- Miłość to nie teoria. Wyraźnie jednak ty i ja mamy różne zdanie na ten temat. - Diametralnie różne! Żyjesz marzeniami, a te są źródłem rozkładu moralnego. Jesteś zaślepiony pożądaniem.

W tym momencie uznałem, że pora zakończyć tę dyskusję. Podeszedłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu. Przyjaznym tonem powiedziałem:

- Odejdź stąd. Natychmiast. Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Jeszcze nie skończyłem — odparł.

- To akurat nie ma znaczenia — powiedziałem twardo. — Ja z tobą skończyłem i zaraz ci powiem dlaczego. Jako fakihi możesz uczynić życie lepszym, a ludzi bardziej szczęśliwymi, ale widzę, że trawi cię złość, która ma swoje źródło w twojej bezradności wobec świata. Nieważne. Twoje rozgoryczenie nie ma nic wspólnego ze sprawą, która nas tutaj przywiodła. Należysz do innego świata i dlatego nie ma dla ciebie miejsca w naszym zgromadzeniu.

Zrobił krok wstecz i podniósł zaciśniętą pięść w sposób, który nie pozwalał go traktować jak człowieka rozsądnego. Jego głos, gdy znów przemówił, był lodowaty.

- Uważasz znieważanie naszego ładu moralnego za błahostkę? Bardzo dobrze. Powiem ci tylko tyle: nie jestem sam. Są inni, którzy myślą tak samo jak ja. Możesz postępować, jak chcesz, a my rozprawimy się z tobą w sposób, który uznamy za stosowny.

Wiało od niego takim chłodem, że nie można było wątpić w powagę jego zamiarów.

Skłoniłem głowę z największą uprzejmością.

CASA VOYAGEURS

Ognisko w środku naszego kręgu się dopaliło i w chwili ciszy, jaka nastąpiła po odejściu fakihi, dorzuciłem do niego trochę patyków. Dało mi to czas, aby zebrać myśli.

Poruszyłem żar w ognisku i płomienie strzeliły w górę jak łodyżki roślin. Kolumna niebieskiego dymu uniosła się do nieba. Księżyc opuścił zenit, pozostawiając kredowy zarys swojego toru.

- Dzisiejsza noc jest cudownie jasna - odezwał się niepewnie jakiś człowiek.

Wciąż mając myśli zajęte sprzeczką z fakihiem, nie odpowiedziałem ani nie próbowałem się dowiedzieć, do kogo należy nieznany mi głos. Pokiwałem tylko głową.

Kiedy odezwał się po raz drugi, odwróciłem się już, aby go zobaczyć. Był to drobny mężczyzna z gęstymi, siwiejącymi włosami. Poprosił, abym pozwolił mu zabrać głos.

- Jest coś, co chciałbym dodać do twojego opowiadania. Być może cię to zainteresuje - powiedział.

Napiłem się wody przesyconej aromatem mięty i skinałem głową. Mężczyzna powstał, przeczyścił z zakłopotaniem gardło i przygładził włosy, każdym swoim gestem zdradzając onieśmienie.

- Nigdy nie miałem okazji wypowiadać się publicznie - powiedział - więc mam nadzieję, że wybaczycie, że mówię bez ładu i składu. Nazywam się Hamed. Jestem licencjonowanym bagażowym na stacji kolejowej Casa Voyageurs w Casablance, ale pochodzę z wioski Ajn Lauh, leżącej na południe od Azru w Atlasie Środkowym. Pojechałem do Casablanki za pracą, kiedy miałem osiemnaście lat, i od tej pory jestem tam bagażowym.

Odchrząknąłem zniecierpliwiony.

Po krótkiej przerwie mężczyzna podniósł głowę i wypalił:

- No więc kiedy jechałem autobusem z Casablanki, napotkałem troje cudzoziemców.

Niezadowolony, przerwał i spojrzał na mnie trochę bezradnie.

- Mogę zacząć jeszcze raz?

- Proszę bardzo - odparłem.

Przesunął się kilka kroków do przodu, jakby nieodwracalnie podjął zobowiązanie. Następnie zaczął opowiadać i nabierał pewności siebie, gdy zachęcałem go uśmiechem i skinieniem głowy.

Chciałbym opowiedzieć o pewnym zdarzeniu z mojego życia, które - jak myślę - ma związek z tą historią. Chodzi o podróż, jaką odbyłem z Casablanki do mojej rodzinnej wioski w górach, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miało miejsce to zaginięcie, o którym mówiliście. Moja matka zachorowała i jako najstarszy syn musiałem wypełnić swój obowiązek i do niej pojechać. W autobusie jadącym w kierunku Ajn Lauh było czworo pasażerów — ja i troje nieznajomych, którzy siedzieli z zasłoniętymi twarzami przez całą podróż, która z przesiadką w Meknes trwała sześć godzin. Tylko jeden z mężczyzn się do mnie odezwał, mówiąc

płynnie w daridży, marokańskim dialekcie. Miał śpiewny głos, podobny do twojego. Kobieta i ten drugi mężczyzna milczeli przez cały czas. Zresztą nawet ten, który się odezwał, był małomówny - nawet w odpowiedzi na moje pytanie o docelowe miejsce ich podróży odpowiedział zdawkowo, że to gdzieś w górach, nie podając żadnych szczegółów. Cała trójka trzymała się na osobności. Dopiero gdy dotarliśmy do Ajn Lauh, kobieta odezwała się po raz pierwszy. Ze sposobu, w jaki mówiła po arabsku, domyśliłem się, że jest cudzoziemką. Choć widziałem tylko jej oczy, to i tak dostałem dreszczy - były tak piękne. Duże, zielonozłote, obrysowane kohlem. Tak bardzo rozpałiły moją wyobraźnię, że chciałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Zaproponowałem im nawet usługi mojego brata przewodnika, gdyby tylko zechcieli zaczekać, aż przyprowadzę go z jego domu, ale odmówili i poszli swoją drogą. Było to bardzo dziwne — rzadko zdarza mi się spotykać tak małomównych ludzi. Ale i tak pewnie bym o nich zapomniał, gdyby nie to, że parę dni później, w trakcie rozmowy z moim przyjacielem Talalem, dowiedziałem się, że tych troje nieznanomych wynajęło go jako przewodnika przez część drogi. Mężczyzna był, zdaje się, z bardzo daleka, z Iranu czy z Indii, a ona była pół Francuzką, pół Amerykanką. Był wobec niej bardzo opiekuńczy i co parę minut przytulali się, jakby łączyła ich niewidzialna nić. Było to dość intrygujące - jak mówił Talal — i dlatego zaczął im się przypatrywać.

Jeśli chodzi o mnie, wyznam szczerze, że ten młodzieniec wzbudził we mnie taki sam podziw jak towarzysząca mu smukła kobieta. Była w nim męska siła i bezinteresowność. Tak bardzo był jej oddany, że ogromnie mnie to wzruszyło.

Hamed przerwał raptownie, jakby wyczerpany. Patrząc pod stopy, powiedział: - Pomyślałem, że podzielę się tym z wami. Być może ludzie, których napotkałem, nie byli tymi samymi, którzy zaginęli tamtego wieczoru, ale nigdy nie wiadomo. Dziękuję, że mnie wysłuchaliście.

Odwrócił się, aby na mnie spojrzeć, i zauważył, że wpatruję się w niego, pogrążony w myślach. Zapalił papierosa i dostrzegłem, że drżą mu ręce. Przez chwilę płomień zapałki oświetlał jego rysy. Wydawał się zakłopotany, ale mimo to nie odwróciłem wzroku. Ponieważ nic lepszego nie przyszło

mi do głowy, zapytałem go po dłuższej przerwie, co przywiodło go do Marrakeszu.

— Moja córka tu mieszka — powiedział i natychmiast się rozjaśnił. — Kształci się na murszidę, teologa islamu. Jesteśmy pierwszym muzułmańskim krajem na świecie, który popiera tę inicjatywę, i ona, *in sza Allan*, będzie w pierwszej grupie absolwentów. Wszyscy w rodzinie są z niej dumni. A to, że jestem tu dzisiaj, to akurat czysty przypadek. Przechodziłem tędy i nie planowałem przysłuchiwać się twojemu opowiadaniu, ale takie jest życie, nieprawdaż? Jakie to dziwne, że miałem coś do dodania! Element przypadkowości. Czasem tak się zdarza.

Spojrzał na mnie, być może szukając dla siebie usprawiedliwienia, ale zachowałem rezerwę, z bladym, ironicznym uśmiechem na twarzy. Po chwili wahania spuścił wzrok, a w wyrazie jego twarzy malowała się niewzruszona prawdomówność. Patrzyłem na niego jeszcze przez chwilę, aż w końcu czując potrzebę odzyskania mojej opowieści, zwróciłem się do słuchaczy:

- Chciałbym wam opowiedzieć o pewnym śnie.

DOLINA KWIATÓW

Kiedy jeszcze żył najstarszy przyjaciel mojego ojca, Mordechaj, niewidomy pianista w dzielnicy Mellah, lubił opowiadać sen, który przyśnił mu się tej samej nocy, gdy zaginęło dwoje cudzoziemców. Odwiedził w nim daleką dolinę głęboko w górach Atlasu. Otaczały ją ośnieżone szczyty. Zbocza gór porastały cedry. Rozrzucone pomiędzy lasami a łąkami kolorowe dywany kwiatów mieniły się w promieniach słońca. Powietrze pachniało jałowcem, cedrem i sosnową żywicą. Cień ostrolistnego dębu otulał porzuconą studnię. Zielone rękawiczki porostów okrywały korzenie najwyższych drzew.

W dolinie stał tylko jeden dom, po części zrujnowana kasba zakończona blankami. Miała ściany z ciemnoczerwonej gliny i cztery kamienne wieże po bokach. Któregoś ranka drzwi szafy w pokoju przylegającym do jednej z wież zaskrzypiały i same się otworzyły. W tyle szafy, która była bardzo głęboka, Mordechaj ujrzał migotliwe oprzędy motyli. Był tak zaskoczony, że

zamarł w bezruchu na dłuższą chwilę. Potem usunął się na bok, a cały pokój wypełnił się motylami: zielonymi perłowcami, marmurkowymi bielinkami, kleopatrami w kolorze siarki i ogromnymi rusałkami. Mordechaj otworzył więc wszystkie drzwi i okna i motyle wyleciały, wzlatując wysoko w górę. Pomalowały dolinę swoimi kolorami, nazwami, anegdotami, wspomnieniami. Przez cały dzień latały to w górę, to w dół, oklejając kamienie, kwiaty, strumienie i moczary. Po zachodzie przysiadły na najwyższych gałęziach; o świcie jednocześnie wzleciały ku słońcu. Wtedy Mordechaj widział je ostatni raz. W cedrowych lasach i na łąkach zostawiły za sobą gęste cienie, zagajniki ciszy, białe kolumny powietrza rozpościerające się bez końca w kierunku złotych piasków po drugiej stronie gór. Mordechaj widział to wszystko pokrytymi bielmem oczyma, kiedy stał otoczony przez niewidoczne cienie, czarne linie, mleczone chmury, czerwone ściany. Na tarasie dostrzegł przytulonych do siebie w milczeniu mężczyznę i kobietę. Stał dalej, pochłonięty tym widokiem. Nie czując się intruzem, wkrótce odniósł wrażenie, jakby był częścią nich. Później usłyszał odgłos oddalających się kroków.

W ostatnią noc przed śmiercią Mordechajowi śniło się, że wrócił do doliny. Z trudem rozpoznaliśmy go, gdy się przebudził. Wyglądał tak młodo jak za dawnych lat: czarujący, krzepki, przystojny i uprzejmy. Ale wydawał się też pełen niezwykłej mądrości, człowieczeństwa oraz współczucia. Wskazał stary kredens obok łóżka. Był on wypełniony po brzegi tanimi wydawnictwami powieści w papierowych okładkach, ale nie to zwróciło naszą uwagę. Pomiedzy dwoma grubymi książkami na najwyższej półce leżał jaskrawoczerwony wełniany koc ozdobiony abstrakcyjnym geometrycznym wzorem przedstawiającym motyle. W jego fałdach znaleźliśmy lśniące nasiona granatu oraz płatki niebieskiego przetacznika i jaśminu. Jeden z nas znalazł także kawałek wciąż trzepoczącego skrzydła motyla.

DOLINA PTAKÓW

Parę lat po śmierci Mordechaja mój brat Mustafa odziedziczył jego sen, a przynajmniej jego część. Śniło mu się, że odwiedził tę nieco zrujnowaną

kasbę w sercu dalekiej górskiej doliny. Kiedy tam dotarł, zobaczył, że jedno skrzydło domu wraz z przylegającą do niego wieżą zostało pieczołowicie odrestaurowane. Mustafa powiedział, że stojąc przed domem, wahał się przez chwilę, czy wejść do środka, ale ponieważ drzwi były szeroko otwarte, przekroczył próg. Nikogo tam nie było, ale wszystko wskazywało na to, że dom jest zamieszkały i że ktoś o niego dba. Sufity wzmocnione zostały szerokimi belkami z cedru, ściany pokryte tadelaktem, podłogi utwardzone wapnem i gliną. Na środku pokoju leżał duży szary berberyjski kobierzec w kształcie chmury. W drugim stało piękne intarsjowane biurko z ciemnego drewna, na którym leżały oprawione w skórę dzienniki z notatkami zapisanymi starannym pismem. Mustafa otworzył jeden z dzienników i przeczytał: *Ce qui importe c'est la verite*. Na podłodze obok biurka leżało parę książek, wszystkie w nieznanym mu językach. W sąsiednim pokoju, nad łóżkiem, wisiał szkic węglem, przedstawiający zasłoniętą hidżabem twarz kobiety o wielkich, podkreślonych kohlem oczach. Mustafa zapewniał, że te oczy cały czas go obserwowały. W pokoju z wysoko sklepionym sufitem, tuż obok wyjścia na taras na dachu, stała szafa. Zajrzał do środka, ale nie znalazł śladu motyli, tylko stos czerwonych wełnianych koców haftowanych w geometryczne wzory. Wziął jeden na pamiątkę. Z gwoździ w pobielonych drzwiach na taras zwisały chusty, szale, maski, peleryny i płaszcze z kapturami i bez kapturów. Sufit największego pomieszczenia w kasbie pokrywał wzór malowanych cieni. Stał tutaj warsztat tkacki okryty zwiewną białą narzutą. Ten całun sprawił, że Mustafa poczuł się jeszcze bardziej obco i samotnie. Domy pod nieobecność właścicieli żyją własnym życiem. Będąc w środku, można odnieść podobne wrażenie jak wtedy, kiedy nocą pójdzie się w znajome miejsce, zwykle odwiedzane tylko w świetle dnia. Zwiedziwszy wszystkie pokoje, Mustafa wyszedł bosy do słonecznego ogrodu. Wszędzie widać było ślady kobiecej ręki: w równych rzędach ziół, w kwiatnych rabatkach w kształcie gwiazd, różowych kamykach w fontannach i jedwabnych haftowanych poduszkach na drewnianych malowanych ławach. Na gałęziach pomarańczowych i cytrynowych drzewek zawieszono ptasie karmniki zrobione ze starych butelek. Widok wyłożonej zellidżem sadzawki, w

której pływały czerwono-białe płatki róż, ukoił Mustafę i sprawił, że poczuł się jak

w rajskim ogrodzie. Odpoczywając przy sadzawce, niespodzianie zobaczył, że z wody spogląda na niego para oczu. Były przejrzyste i spokojne, nie zdradzały nawet cienia strachu czy niezadowolenia. Spomiędzy oczu wypływały na powierzchnię czterowerszowe strofy, ale łagodny powiew wiatru rozwiewał słowa, zanim Mustafa zdołał je odczytać.

Mój brat twierdzi, że od tego czasu, kiedy pogrąża się we śnie, może patrzeć na świat tylko tymi oczyma - i to go zadowala.

TABBAJT

Ognisko w środku kręgu znów zgasło, ale tym razem nie próbowałem już go rozniecić; patrzyłem ponad głowami słuchaczy i raczyłem się nocą. Mgła się podniosła i rozgwieżdżone niebo rozjaśniał niebieskawy księżycowy blask. Pogrążone w głębokim cieniu domy wokół Dżama stały się czarnymi sylwetkami, ich kontury były tak wyraziste, jakby zostały obrysowane kredką. Brukowana powierzchnia placu odbijała niebo jak lustro, bo każdy kamień skrzył się, pokryty srebrzystym szronem. Gwiazdy były wszędzie: na niebie, na ziemi, na gałęziach drzew, głęboko we wnętrzach meczetów, nawet w oczach moich cierpliwych, wiernych słuchaczy. Patrzyłem na nie i moje serce zamarło z zachwytu. Zainspirowany ich blaskiem, wstałem, poprawiłem fałdy płaszcza i przemówiłem do kręgu słuchaczy niskim, żarliwym tonem:

- Czym jest gwiazda? - zapytałem. - Czym jest natchnienie? Czym jest pasja? Czym jest tęsknota? Patrząc z wysokości gwiazd i czuję, że pomiędzy wami są duchy moich przodków. Ich oczy lśnią jak czarne nasiona; ich twarze odbijają minione wieki jak przyćmione lustra. Są odwieczni, niezgłębieni; ich cienie przenikają wasze cienie. Każdy z nich ma wronę na ramieniu, każdy dzierży czarny kostur, a ich szeregi ciągną się po horyzont jak zwarte łany zboża. W tym oceanie, który jest ich wszechświatem, znacie mnie jako Hasana, bajarza z Dżama i kronikarza placu. Wy jesteście moimi braćmi i siostrami. To piękne, że wyznajemy jedną religię, dzielimy tę samą kulturę i to samo dziedzictwo. Jakby wkraczając w nowy

świat, dołączacie do mnie każdego wieczoru i pozwalacie mi odzyskać to, co prawowicie do nas należy i co musi być stale przekazywane jako nasza powszechna spuścizna. W naszym kręgu czas zwalnia, odmierzając nocne godziny. Teraz jednak nadeszła już pora, by zakończyć ten wieczór. Jutro wstanie nowy dzień. Jutro przyniesie następne historie. Jutro powiem to samo co dzisiaj: *Witajcie w moim świecie, mam nadzieję, że spowije was dym*. Jutro ponownie, przez kilka godzin, będziemy towarzyszami w podróży, którą jest życie. Moje najlepsze opowieści są elastyczne, przetrwały próbę czasu; każda opowieść jest tak elastyczna, jak giętkie są więzi, które ją spajają. Mam cztery albo pięć takich opowieści w swoim repertuarze, przekazywanych w mojej rodzinie przez setki lat. Dojrzewały przez wieki i na pewno was zadowolą, może w przeciwieństwie do tej, trochę młodszej, którą podzieliłem się z wami dziś wieczorem. Przyznaję, że czuję potrzebę, aby relacjonować ją raz do roku i przewietrzyć ciemne zakamarki myśli, choć ostatecznie i tak mi to nie wystarcza. Ale jutro będzie inaczej. Jutro postaram się opowiedzieć wam historię tak nieprawdziwą, tak nieprawdopodobną, że nawet najbardziej łatwowiernym spośród was trudno będzie ją przełknąć. Ale kto wie? Kto może to wiedzieć? Ludzka naiwność nie zna granic, a pragnienie wiary jest bardzo głębokie.

Po tym pożegnaniu uścisnąłem kilku słuchaczy i przyłożywszy rękę do serca, pokłoniłem się pozostałym. Gdy się rozeszli, policzyłem zarobek i wziąłem pod ramię Nabiła, który cierpliwie czekał na mnie aż do końca. Zapytał, czy moglibyśmy rozprostować nogi i przejść się dookoła Dżama, zanim odprowadzę go do pokoju w meczecie Muwassin. Chętnie na to przystałem. Dżama odprężał się w ciszy; suki i qajsarijje oddychały głęboko, spokojnie. Obeszliśmy cały plac, prawie pusty o tak późnej porze - tylko Tahat, artysta akrobacji na trapezie, i paru linoskoczków ćwiczyli układy na następny dzień. Wspomniałem o nich Nabilowi.

- Ilu ludzi zdaje sobie sprawę, jak wiele trudu trzeba włożyć w przygotowanie przedstawień, które codziennie można oglądać na placu? — zapytał z uśmiechem. — Po utracie wzroku zawsze wyobrażałem sobie siebie na godzinę przed rozpoczęciem wieczornej sesji opowiadań. Może siedzisz w jakimś kącie i powtarzasz w myśli historię, którą zamierzasz opowiadać,

w ostatniej chwili zapelniając lukę po tym czy innym zapomnianym szczególe. Zdejmujesz pantofle, czujesz kurz pod stopami, patrzysz, jak słońce złoci ci skórę. I cały czas jesteś pogrążony w myślach. Wymyślasz, wiążesz, wnioskujesz. A potem... - przerwał, zwolnił kroku i przystanął. - Co dzieje się potem, Hasanie? Może nagle otwiera się dla ciebie przestrzeń i podróżujesz w czasie sto, dwieście, a może i pięćset lat wstecz? A naprzeciwko ktoś próbuje ci sprzedać wielbłąda albo opowieść, albo miecz wykuty z brązu, pamiątkę po przodku, generale dawno wymarłej armii, którego teraz, niestety, musi się pozbyć, aby uezierać na posag dla córki. I ty byś się z nim targował, albo i nie? Twoja berberyjska natura odpowiedziałaby na wyzwanie i zapomniałbyś o kręgu słuchaczy, cierpliwie czekających, aż się pojawisz, a ja najpokorniej spośród nich.

Znów przerwał, obrzucił mnie chytrym spojrzeniem i roześmialiśmy się. Chwyciłem go czule za ramię.

- Sam powinieneś zostać bazarzem - powiedziałem. - Może pozwolę ci się czasem zastępować. Szkoda byłoby zmarnować tak wspaniałą wyobraźnię.

- Och, to nie tylko moja wyobraźnia, to magia Dżama. Bo oprócz tego, że Dżama al-Fna' jest ucieleśnieniem historii i zawiera nasze dzieje - twoje, moje, dzieje naszego ludu - to jest także okiem, które widzi, jak historia się tworzy Rejestruje swoje wrażenia na rozrzuconych wokół liściach; liściach, które migają nam ledwo przed oczyma, gdy przelatują niesione podmuchem wiatru. Niektóre z nich znajdują spoczynek na okapach i tarasach meczetów i pałaców; pozostałe są zamiatane, rozmywa je deszcz, ulegają zapomnieniu. Ale kilka z nich przykuwa uwagę uważnego Hasana, mojego przyjaciela, bazarza z Dżama, który je podnosi, bierze do domu i układa w kroniki, opowiadane potem na placu. I tak koło się zamyka. Pizy ostatnim słowie zrobiłem szybki gest ręką.

- Rzeczywiście, dotyczy to wszystkich innych historii, ale jeśli chodzi o tę, którą opowiadałem dzisiaj, koło nigdy się nie zamknie.

Nabił zwrócił twarz w moją stronę i doznałem dziwnego uczucia, że przejrzał mnie na wylot.

- Kiedy przestaniesz opowiadać historię Mustafy?

- Kiedy pogodzę się z własnym sumieniem.

- Czy chodzi o sztukę, czy o sumienie? - spytał łagodnie, z ledwie wyczuwalnym śladem ironii.

- Mówimy o moim bracie — powiedziałem najeżony. - Nie przeczę, że jego historia jest nieznośnie wręcz wymowna i podsycą moją sztukę, ale moim głównym celem jest powiedzieć prawdę.

Nabił odwrócił się ode mnie z melancholijnym uśmiechem.

- Oczywiście. Oczywiście, przecież wiem - zamruczał pod nosem.

- Ale ja nie wiem, Nabilu. Jestem śmiertelnie zmęczony. Czasem pytam sam siebie, dlaczego wciąż muszę powracać do tej historii, której końca nie da się przewidzieć.

Pozwolił mi wysunąć się naprzód. Teraz ujął moje ramię i lekko utykając, zwrócił mi łagodnie uwagę:

- Być może, tak jak powiedziałeś wcześniej, powtarzając tę opowieść, nadajesz znaczenie temu, co wszystkim poza twoim bratem wydaje się całkiem bez znaczenia. Tworzysz dzieło miłości, braterskiej miłości, które zawsze musi być podejmowane od nowa.

Zastanawiając się jeszcze nad jego słowami, czułem, że opadają mi ręce, jakby dopiero teraz w pełni ujawniło się zmęczenie - tak, ujawniło się poprzez ciężar myśli, których nie mogłem głośno wypowiedzieć, a które stale mi ciążyły.

- Nie wiem, czy tylko o to chodzi - powiedziałem z westchnieniem. -Może byłeś bliższy prawdy, kiedy sugerowałeś coś przeciwnego. Na pewno kieruje mną miłość do brata, ale motywuje mnie też coś innego. Tworzę nawet wtedy, kiedy oddycham. Braterska miłość zaś zazwyczaj nie zasługuje na swoje miano.

- Ale nawet ten rodzaj dzieła może odsłonić przyszłość, nie uważasz? Idee są jak nasiona: pełne obietnicy, że wykiełkują. Nie mają jednak własnej energii. Potrzebują takich jak ty, którzy zasadzą je w ludzkich umysłach i będą pielęgnowali, aż wyrosną z nich opowieści, które będzie można puścić z wiatrem. To praca wymagająca inteligencji i serca. Niewielu potrafi połączyć te dwie zdolności.

Owinąłem się płaszczem, chroniąc przed chłodem. Potrzebowałem samotności.

- Pochlebiasz mi — odezwałem się po chwili.

- Mówię prawdę. Powiedz mi, co cię najbardziej motywuje?

- Pragnienie, aby przeistaczać, zmieniać, może nawet uwznioślać. Istotą moich opowiadań jest znalezienie sposobu radzenia sobie z banalną codziennością. Nie daje mi spokoju tajemnica życia. To ona jest natchnieniem mojej twórczości i dokładam wszelkich starań, aby ją zachować.

Nabił zwrócił twarz w kierunku linoskokczków, którzy wyskakiwali w powietrze z przeraźliwymi okrzykami. Wydawało się, że przesłuchuje powietrze. Potem utkwiał we mnie przesłonięte bielmem oczy i jego twarz się rozpromieniła.

- Słuchając cię - powiedział - myślałem o historii, którą opowiadałeś dziś wieczorem. Niektóre części mnie zasmuciły, inne rozśmieszyły. Najważniejsze, że pozwoliłeś słuchaczom odnieść wrażenie, że są niewinni, co jest doprawdy przyjemną fikcją. Możesz to zrobić, ponieważ twoja sztuka zastępuje moralność. Jest działaniem woli, a z nią świetnie sobie radzisz. Dlatego jesteś bajarzem. Tworzysz swoje własne mitologie. Wszystko możesz urzeczywistnić. Możesz sprawić, że wszystko wyda się prawdziwe.

Zawahał się, po czym dodał półgłosem:

- I właśnie tego dokonałeś.

Powiedział to obojętnym tonem, jakby rzucił tylko ogólną uwagę, bez śladu przezorności, potępienia czy żalu.

Odwrociłem się do niego i przyglądałem się mu przez chwilę.

- Masz mi to złe? - zapytałem. Pokręcił poważnie głową.

- Jestem twoim przyjacielem - powiedział z godnością. - Nigdy nie zdradzę twojego sekretu.

Wyciągnął rękę i mocno uściśnął moją dłoń na znak lojalności.

SEN

Wyszliśmy z Dzama w zacisze suku, nie wiedząc, że właśnie wtedy na skraju placu pojawiła się młoda para: mężczyzna i kobieta. Powoli przeszli obok szeregów uszpionych, lśniących bielą dorożek. On był wysmukły,

brodaty; ona miała długie ciemne włosy, które sięgały jej aż po pas. Wyłonili się z cienia i jakby niepewni swoich zamiarów, zawahali przed wejściem na plac. Wtedy mężczyzna nagle rozpostarł ramiona, a ona podbiegła do niego szybko, z uśmiechem. Objął ją i przez moment stali przytuleni. Lekko uginając kolana, zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałował ją w czoło. Roześmiała się błogo, nieświadoma niczego poza łączącą ich bliskością. Ramię w ramię, przytuleni, wkroczyli na Dżama. Przywiodła go na środek placu, gdzie wciąż jeszcze tlił się płomień ogniska rozpalonego przez bajarza. Spojrzeli na dopalający się żar, a w ich oczach odbiły się ostatnie iskierki. Nieśmiałym, prawie dziewczęcym gestem dotknęła delikatnie jego policzka, a on ujął jej rękę i powoli gładził jej długie palce, dłoń i nadgarstek. Żadne z nich nie zauważyło tajemniczej postaci przyglądającej się im z uwagą w mroku okiennego wykuszu. Wokół panowała cisza.

SŁOWNICZEK

aberdag — taniec, część muzycznego występu *rwai*. *al-hamdu lilllah* — chwała Bogu.

Al-Hamra - dosł. czerwona, zwyczajowo nazwą tą określa się Marrakesz — „miasto otoczone czerwonym murem”.

Al-Karawijjin — jeden z najstarszych uniwersytetów na świecie, założony w Fezie w 857 roku przez córkę uchodźcy z miasta Karawijjin w Tunezji.

Al-Maghreb al-Aqsa - „najdalszy zachód”, „miejsce, gdzie zachodzi słońce”.

Almorawidzi - pierwsza wielka dynastia berberyjska, panująca na terenie północno-zachodniej Afryki i Hiszpanii (1062-1147), wywodząca się z plemienia Sanhadża, koczującego na terenach obecnej Mauretanii. Obszar dzisiejszego Maroka podbił i przyłączył do państwa Almorawi-dów Jusuf ibn Tazfin (1090-1106).

amarg — pieśń, trzon występu *rwai*.

amjadaz — poeta stojący na czele grupy *imdijazn*.

ammussu — uwertura choreograficzna występu *rwai*.

Andaluzyjczyk — człowiek pochodzący z Andaluzji w południowej Hiszpanii.

arjana - naga; Marokańczycy często mówią tak o kobiecie nieprzesłoniętej hidżabem. *as-salamu alejkum* - pokój z tobą.

astara — preludium instrumentalne do występu *rwai*, odgrywane na jednostrunnych rababach, które nadaje ton pozostałym melodiom.

bstilla - potrawa z zapiekanych w cieście gołębi. *bab* — brama prowadząca do miasta.

babusze — tradycyjne skórzane pantofle, zwykle w kolorze żółtym.

Badajoz — podczas bitwy pod Badajoz (1086) Almorawidzi, członkowie plemienia z rejonu Atlasu Wysokiego, wkroczyli do Hiszpanii i pokonali siły chrześcijańskie pod dowództwem Alfonsa I, króla Kastylii i Leonu.

baraka alafik — dziękuję, proszę.

bendir - bęben.

Berber - rdzenny mieszkaniec Maroka; Berberowie stanowią większość obecnej populacji tego kraju.

bi-smillah ar-rahman ar-rahim - w imię Boga miłosiernego, litościwego.

bubu — obszerna, powiewna, haftowana suknia, tradycyjny ubiór w Senegalu i innych państwach środkowoafrykańskich.

Casa Voyageurs — główna stacja kolejowa w Casablance.

chamsin — bardzo gorący południowy albo południowo-wschodni wiatr, który wiosną wieje w północnej Afryce przez pięćdziesiąt dni.

daff - podwójny tamburyn.

derb - ulica, droga.

dess - podłoga z ubitej gliny z dodatkiem wapnia, klepisko, dirham - podstawowa jednostka waluty marokańskiej. *dulla* - arbuzy. *dżabal* - góra.

dżamur - zwieńczenie dachu wykonane z wypalanej emaliowanej gliny lub metalu, od jednej do pięciu kul o wzrastających rozmiarach, często ukoronowanych godłem Maroka - gwiazdą w półksiężycu.

dżebana — wysmukłe naczynie do kawy.

dżellaba — tradycyjny narodowy strój noszony przez mężczyzn i kobiety,

długa suknia o szerokich rękawach,

dżembe - pokryty skórą bęben w kształcie kieliszka lub klepsydry, umieszczany pomiędzy nogami i uderzany gołymi dłońmi,

dżinn - zły duch.

fakih - znawca religii muzułmańskiej, ekspert prawa islamskiego, nauczyciel, przewodnik.

Fanrazja - pokaz umiejętności jeźdźców konnych na *mawsim*.

fekkas - słodkie biszkopty z anyżem.

fna (fana) - przemijanie, unicestwienie, śmierć,

funduk — gospoda, zajazd, karawanseraj.

futah - tradycyjna suknia w szkarłatno-białe paski, noszona przez kobiety z gór Rifu.

gandura - krótka, obszerna tunika bez rękawów, ghajta - instrument muzyczny, rodzaj oboju, glissa - poduszka.

gnawa - grupa etniczna i bractwo religijne wywodzące się z potomków niewolników z Afryki Subsaharyjskiej przywiezionych do Maroka, także ich styl muzyczny.

guedra - duży, stojący bęben.

habibi - kochanie, mój drogi / moja droga.

habra - stek, porcja mięsa.

hadis - opowieść o słowach i czynach proroka Mahometa; zbiór hadisów tworzy sunnę — najważniejsze po Koranie źródło prawa muzułmańskiego,

hadzdzi — osoba, która odbyła pielgrzymkę do Mekki. *kahba*, l.mng. *kahbat* — kurwa, dziwka.

halwa - słodczyce.

hamma - kamienista, pustynna równina na Saharze,

hammam — łaźnia turecka.

hanbel - kobierzec, koc noszony przez Berberów.

harissa — przyprawa lub sos z mielonej ostrej papryki.

hettara - kanały podziemne.

hurysa - niezwykle piękna kobieta; kobieta tak urodziwa jak przyszłe oblubienice w raju (Dżannan).

imaziren — szlachetny, arystokratyczny, wolny - tak określają się Berberowie.

imdjazn - wędrowny muzyk z gór Atlasu.

in sha Allah - jeśli Bóg zechce.

inadan — rzemieślnik, twórca z plemienia Tuaregów, także bajarz i inni parający się ustnym przekazem tradycji i spuścizny literackiej.

kaftan - długa, zapinana z przodu suknia noszona przez kobiety, ozdabiana haftem lub pasmanterią.

kaid - wódz, naczelnik jakiegoś terytorium, obszaru administracyjnego.

karkabaty — podwójne kastaniety używane przez muzyków *gnawa*.

kasba - umocniony dom, zamek, budowla z warownymi wieżami, cytadela.

kefta — pikantne kuleczki mięsne.

kif - nazwa popularnego narkotyku, miejscowe określenie na marihuanę, *kilim* - tkany kobierzec, dywan.

ksar — umocniona osada, wioska otoczona warownym murem (z klasycznego arab. *qasr* — pałac, zamek)

kuskus - podstawowa potrawa marokańska z ziarna semoliny, mąki i wody, gotowana z dodatkiem warzyw i mięsa.

la bes - jak się masz, cześć, witaj.

leveche - ciepły wiatr z Sahary wiejący w kierunku Hiszpanii, nazywany

sirocco w innych częściach regionu śródziemnomorskiego,

lotar - rodzaj lutni.

ma as-salama — do widzenia.

mabruk — gratulacje, wszystkiego najlepszego.

Maghreb — „Kraina zachodzącego słońca”. Słowem *gharb* (zachód) określa się w języku arabskim kraje najbardziej wysunięte na zachód świata arabskiego; należą do nich Libia, Tunezja, Algieria i Maroko.

mahzan - namiot używany w czasie festiwali.

manijja — los, przeznaczenie, nieuchronna śmierć.

marabut — świątobliwy człowiek, też miejsce, gdzie został pochowany.

Marrakesz - miasto w południowym Maroku, zwane Bramą Sahary.

maszrabijja - koronkowa żaluzja używana w oknach i na balkonach domów i meczetów.

Maurowie - zachodnie plemiona Berberów, które żyją na terenie Mauretanii.

mawsim — festiwal, festyn, święto muzułmańskie, medresa - szkoła koraniczna.

medyna - najstarsza, otoczona murem część miasta, pot. arabska starówka.

Mellah - żydowska dzielnica w medynie.

merguez - pikantna kiełbaska z jagnięciny.

meszwi - pieczona jagnięcina.

Mogador - wyspa na zatoce koło As-Sawiry; dawniej nazwa ta odnosiła się także do samej As-Sawiry.

muallim - dyplomowany artysta rzemieślnik.

murszida - reolog islamu, wykształcona kobieta, która naucza i interpretuje Koran, ale nie może prowadzić wiernych w modlitwie,

naj - flet.

nakus — niewielkie cymbały.

nasib — liryczny wstęp do kasydy staroarabskiej, zwyczajowo zawierający opis opuszczonego obozowiska i refleksje o miłości do ukochanej, która odeszła wraz ze swym plemieniem.

nazarejczyk - chrześcijanin, obca osoba, cudzoziemiec.

Ogrody Menara - publiczny ogród/park w Marrakeszu z sadzawką i pawilonem.

Palmeraie - Palmiarnia, sławny zagajnik palmowy w Marrakeszu.

pert — w mitologii perskiej skrzydlata wróżka, osoba piękna i pełna wdzięku.

pisć - materiał budowlany z wysuszonej w słońcu gliny i żwiru, czasem z dodatkiem słomy,

qajsarijja — zadaszone galeryjki w sukach, rabab - skrzypce z jedną stuną.

rai - forma muzyki popularnej wywodząca się z portu Oran w Algierii, wyrażająca poglądy lub opinię na poruszające tematy

rais — lider zespołu *rwai*.

ręka Fatimy - talizman w kształcie ręki córki proroka Mahometa Fatimy,

riad - tradycyjny marokański dom z ogrodem na wewnętrznym dziedzińcu.

Rif - półkolisty łańcuch dzikich gór na północy Maroka,

ruh — wiatr, tchnienie, oddech, duch, dusza.

rwai - grupa zawodowych muzyków z berberyjskiego plemienia Chleuch z doliny Sus, występ *rwai* składa się z części zwanych *astara*, *amarg*, *ammussu*, *tamsusst*, *aberdag*, *tabbajt*.

Sadyci — pierwsza arabska dynastia panująca w Maroku (1554—1659) od czasów Idrysydów. Sadyci położyli kres rządowi Berberów. Ich największym władcą był Ahmed I al-Mansur (Zwycięski), pod którego dowództwem wojska Sadytów pokonały portugalską armię w tzw. bitwie trzech króli w 1578 roku.

Sahel - od słowa *sahil* (granica, brzeg, wybrzeże Sahary), pas sawanny biegnący od Atlantyku do Rogu Afryki odgraniczający Saharę od bardziej żyznych rejonów na południu.

Sahrawi — mieszkaniec Sahary Zachodniej, w szerszym znaczeniu mieszkaniec pustyni.

samum - gorący, suchy wiatr, niosący pył z nad pustyni,

serdal - kolorowa chusta ozdabiana cekinami noszona przez berberyjskie kobiety.

sfendzi — marokańskie ciasteczka przypominające pączki,

sidi - pan, władca.

sirwale - luźne spodnie do pół łydki, zawiązywane w pasie i kolanach, noszone pod dzellabą.

squala - obwarowania, fortyfikacje, sufi - muzułmański asceta i mistyk,

suk - targowisko, plac targowy, dzielnica handlowa.

Supratours - ekspresowe autokary „kolejowe”, tzn. autokary zastępujące koleje państwowe do czasu ukończenia budowy trakcji z Marrakeszu do Al-Ujun.

szejk - przywódca bractwa religijnego, wódz plemienia.

szilha - dialekt berberyjski używany w górach na południu Maroka.

Sziraz, Tebriz i Erat - miasta w imperium Persji i szkoły malarstwa, jakie tam powstały.

szukran — dziękuję.

tabbajt - finał, zakończenie występu *rwai*.

tabia - materiał budowlany z gliny lub błota.

tadelakt - gładź ścienna, nieprzemakalna płaszczyzna z wypolerowanego gipsu.

tadżin - tradycyjna potrawa składająca się z mięsa i jarzyn gotowanych wolno nad paleniskiem w glinianych naczyniach z pokrywką w kształcie stożka.

Tafilalt - region oaz i uprawy palm daktylowych w południowo-wschodnim

Maroku; największe miasto regionu to Atfud.

tamssust — skoczna pieśń, część występu *rwai*.

tam-tam - bębny bongo.

tandżija — mięso duszone w glinianym naczyniu,

tar/taridża - rodzaje tamburynów.

tarika salama, bon voyage — szczęśliwej drogi.

tizi - przełęcz górską.

Tuareg — członek z plemienia wędrownych nomadów, Berberów z zachodniej Sahary.

tuja - gatunek drzewa używanego przez rzemieślników z As-Sawiry.

turiq - dekoracyjne motywy roślinne stosowane w architekturze: przeplatające się wzory kwiatów, liści, wachlarzy palm; wywodzą się z tradycji arabskich i andaluzyjskich.

ud - rodzaj lutni.

wadi - wąwóz, wyschnięte lub na wpół wyschnięte koryto rzeki, które woda wypełnia tylko w porze deszczowej.

Zahra — dosł. kwiat, także Wenus; popularne imię żeńskie.

zauq — dosł. smak, gust; także obraz malowany na desce.

zefir - ciepły, łagodny wiatr; gr. *zephyros* - wiatr wiejący z zachodu.

zellidż - tradycyjna marokańska mozaika z glazurowanych kafli, układana na ścianach i posadzkach w geometryczne wzory.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim składam wyrazy wdzięczności dla Nicole Aragi, bez której *Bajarz z Marrakeszu* by nie zaistniał. Oprócz wielu innych wspólnych upodobań szczęśliwym zbiegiem okoliczności Nicole podziela moją fascynację Marrakeszem i wszystkim, co ma związek z Marokiem.

Brak mi słów, aby wyrazić uznanie dla pracy redaktorskiej, jaką włożyła w tę książkę niestrudzona i niedościgniona Alane Salierno Mason.

Bardzo dziękuję Denise Scarfi, która daje z siebie tak wiele.

Podziękowania należą się też Louise Brockett, Ingsu Liu, Jeannie Luciano, Winfridzie Mbewe, Amy Robbins, Billowi Rusinowi, Nomi Victot, Chrisowi Welchowi, Devonowi Zahnowi i wszystkim pracownikom wydawnictwa W.W. Norton.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec tych, którzy utwierdzali mnie w zamiarach podczas pisania: JoAnne Akalaitis, Atisha Bagchiego, Thomasa Battscherera, Valerii Berchicci, Karla Heinza Bittela, RONALDA BRIGGSA, Lany Cable, Marisy Caramelli, Sebastienne Chatrier, Stephanie i Christophera Cherdelów, Elizabeth Frank, Jima Hanksa, Chrisa Hedgesa, Maryline Herron, Liz van Hoose, Pierre'a Jorisa, Geralda Junga, Benjamina La Farge'a, Rachel Lambusson, Torgila i Jenniki Lenningów, Mathilde Levitte, Alexandry Ludvig, Gail i Roberta C. Ludwigów, Eshtagha Mota-hara, Lily Oei, Patricii i Donalda Pitcherów, Julie Pulerwitz, Joan Retallack, Roberta de Saint Phalle'a, Ftançoise Songe, Marielle Songe, Benjamina Stevensa, Claudii Strobel, Françoise Osttikera van Willema i Maurizia Zollo.

Dodam jeszcze, że książkę tę zainspirowała Stefanie Herron.